

Stelar doskonale orientuje się, jak działają służby specjalne. Czy to może być przypadek...?

**VINCENT V. SEVERSKI**

M A R E K  
S T E L A R

I N T R U Z

FILIA

M A R E K  
S T E L A R

**I N T R U Z**

**FILIA**



## **Spis treści**

[Karta tytułowa](#)

[Oświadczenie](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[6.](#)

[7.](#)

[8.](#)

[9.](#)

[10.](#)

[11.](#)

[12.](#)

[13.](#)

[14.](#)

[15.](#)

[16.](#)

[17.](#)

[18.](#)

[19.](#)

[20.](#)

[21.](#)

[22.](#)

[23.](#)

[24.](#)

[25.](#)

[26.](#)

27.

28.

Reklama

Karta redakcyjna

Wszystkie wydarzenia, postacie i niektóre miejsca  
opisane w tej historii są fikcyjne.

## 1. Warszawa, wiosna 2018

– Proszę się trochę podsunąć do góry, znów mi pan uciekł...

Gabinet stomatologiczny tonął w blasku promieni słońca wpadających przez szeroki na całe pomieszczenie pas okien i stłumionych nieco półprzezroczystymi, zasuniętymi do połowy roletami. Fotel skierowany był nie w stronę okien, lecz na przeciwległą ścianę, na której wisiał pięćdziesięciocalowy plazmowy ekran. Może dlatego, że widok na zewnątrz nie był zbyt atrakcyjny. Dzięki temu, zamiast kominów mokotowskich kamienic, pacjenci oglądali widoki z najpiękniejszych miejsc świata, okraszone kojącą muzyką, która sączyła się z niewidocznych, ukrytych w podwieszanym suficie głośników.

Mężczyzna niemal leżał na fotelu, nad jego szeroko otwartymi ustami pochylał się stomatolog.

– Niech się pan mnie nie boi, robię, co mogę – zażartował, poprawiając maseczkę zsuwającą się z nosa.

Pacjent zmrużył oczy i wybełkotał niewyraźnie:

– Ja też robię, co mogę...

Roześmieli się obaj, wiedzieli, że to taki mały prezent dla pacjenta od dentysty: chwila oddechu i spadku napięcia. Moment na uspokojenie.

– Co się stało? Zabolało? – Dentysta zmarszczył nagle brwi.

– Nie, nie. – Pacjent machnął ręką. – Coś mi się tylko przypomniało...

Wciąż mówił niewyraźnie. Palce obleczone lateksem zniknęły co prawda z jego ust, ale gazik wypychał mu dolną wargę i krępował język.

– Coś nieprzyjemnego? – Stomatolog odłożył wiertło na asystor.

– Nie, nie o to chodzi. Kiedy pan się tak roześmiał, przypomniał mi się ktoś z dzieciństwa. Byliśmy razem na obozie młodzieżowym. Ten pana śmiech brzmi niemal identycznie.

– Może to byłem ja? Może już się kiedyś spotkaliśmy? Nawet na tym obozie, jesteśmy chyba w podobnym wieku? – Zmrużył oczy. – Gdzie on był?

– W Paprotnie, niedaleko...

– Rewala?

– Tak! To taka dziura, że aż strach. Nawet nie wiem, czy jeszcze istnieje. Skąd pan ją zna?

– Cóż... Sporo jeżdżę po kraju.

– Nawet jeśli się kiedyś spotkaliśmy, to na pewno nie wtedy. – Mężczyzna pokręcił głową i sięgnął do ust, wyjmując gazik, który wysunął mu się spod języka. – To była dziewczyna. Niech pan mi nie ma za złe, ale była bardzo podobna do pana. Wręcz łudząco. W dodatku strasznie dziwna, niepokojąco dziwna. Ale ten śmiech... Identyczny. Mam znakomitą pamięć dźwiękową, w końcu jestem muzykiem. A nie ma pan przypadkiem siostry?

– Spokojnie, ja wezmę. – Stomatolog nie odpowiedział, tylko wyjął zaśliniony wałeczek z palców pacjenta i wyrzucił do kosza na śmieci wysycianego czerwonym, plastikowym workiem.

– To co? – zapytał, uśmiechając się. – Jedziemy dalej z tym koksem?

Pacjent przewrócił oczami i odchylił głowę, a dentysta włożył między dziąsło a policzek nowy gazik i wrócił do pracy. Skończył kilkanaście minut później. Zsunął maseczkę z nosa i ust na podbródek, a potem ściągnął z trzaskiem lateksowe rękawiczki, które wylądowały tam, gdzie wcześniej gazik.

– Gotowe. Proszę nie jeść przez godzinę. Gdyby bolało, kiedy znieczulenie puści, proszę dobrać coś przeciwbólowego. Obawiam się, że może trochę ćić, kiedy minie znieczulenie.

– Biegać mogę?

– Biegać?

– Tak, biegać. Planowałem dziś wieczorem truchtanie na Agrykoli. Nie ma przeszkód?

Dentysta spojrział w okno.

– Żadnych – odparł obojętnie. – W końcu sport to zdrowie...

Mężczyzna zsunął się z fotela, otarł usta papierową chusteczką i odruchowo się jej przyjrzał. Jeszcze raz popatrzył na stomatologa i pokręcił głową.

– Jak ja nie lubię, kiedy nie mogę sobie czegoś przypomnieć – powiedział z namysłem.

– A czego pan zapomniał? – Dentysta znów zmarszczył brwi: były tak



rzadkie, że prawie niewidoczne.

– Skąd pana kojarzę.

Lekarz machnął ręką.

– Ach, to... Niech pan sobie tym nie zaprząta głowy – poradził. – A jeśli mowa o zapominaniu, to proszę jednak nie zapomnieć: następna wizyta za dwa tygodnie, wtorek, siedemnasta. Gdyby coś się zmieniło, musiałbym pilnie wyjechać czy coś takiego, sekretarka przyśle mail albo zadzwoni. Do zobaczenia.

\* \* \*

Biała skoda zatrzymała się przy Myśliwieckiej, na parkingu przy kortach Legii. Drzwi kierowcy otworzyły się. Z samochodu wysiadł mężczyzna ubrany w obcisłe spodnie do biegania i ciemny softshell. Zamknął drzwi, porzucił się trochę, raczej dla zasady niż z potrzeby, bo planował tylko krótką przebieżkę. Potem pochylił się i poprawił sznurówki. Ruszając truchtem przed siebie, odruchowo sprawdził językiem zrobiony trzy godziny wcześniej ząb. Nie bolał, ale na wszelki wypadek łyknął dwa panadole, żeby nic nie zaskoczyło go wieczorem podczas koncertu. Przebiegł przez ulicę i aleją Radiowej Trójki, już szybszym tempem skierował się w stronę Agrykoli. Było późne popołudnie, pora powrotów z pracy, więc w parku nie było dużo ludzi. Kilka minut później, gdy biegł asfaltową aleją w stronę Ogrodu Botanicznego, ujrzał kogoś zbliżającego się z naprzeciwka. Szczupły facet w czapce z daszkiem biegł z pochyloną głową, więc kiedy zbliżali się do siebie, lekko zboczył w prawo, żeby ustąpić mu miejsca. Nie był typem pieniacza, zresztą rozumiał, jak można zapomnieć o wszystkim, kiedy już wpadnie się w swój rytm biegu i człowieka pochłona własne myśli. Tamten widocznie zauważył go w ostatniej chwili, i choć miał dość miejsca, by się minęli, odskoczył dziwnie skurczony w pół kroku. Mimo to potracili się dość mocno biodrami. Mężczyzna poczuł ból wysoko w udzie, po wewnętrznej stronie. Syknął, ale tamten pobiegł dalej, wciąż z pochyloną głową. Kiedy się za nim obejrzał, żeby posłać mu kilka słów na do widzenia, zobaczył, jak tamten, kołysząc biodrami w miarowym tempie, w milczeniu podnosi rękę w geście przeprosin. Dał więc sobie spokój i lekko utykając, potruchtął dalej, masując bolące miejsce.

Następnego dnia rano ból się zwiększył. Mężczyzna czuł się źle, nie miał apetytu, na widok jajecznicy, którą zrobiła mu żona, dostał mdłości. Zaczął go boleć również brzuch. Sugestię, że to atak wyrostka, zbył machnięciem ręki, w końcu bolało go po lewej stronie. Wziął kolejną dawkę paracetamolu i ibuprofen. Wieczorem podczas koncertu noga i brzuch zaczęły mu dokuczać jeszcze bardziej. Mężczyzna zaczął się pocić. Ból przeszkadzał mu w grze, smyczek sunął momentami po strunach wiolonczeli zupełnie nie tak, jak go prowadził. W czasie przerwy zwymiotował w łazience. Na salę koncertową już nie wrócił; zamówił taksówkę i pojechał do domu; wziął nospę i położył się do łóżka. W nocy żona wezwała karetkę. Udo w okolicach pachwiny wyglądało, jakby zaczęło gnić, węzły chłonne wypchnęły skórę, a gorączka niemal paliła go żywcem. Mężczyzna majaczył i rzeził z bólu. W szpitalu zaczęto go diagnozować, ale zanim ktokolwiek zdał sobie sprawę, jak poważny jest jego stan, kolejne narządy wewnętrzne przestawały funkcjonować. Krwawienie z jelita cienkiego, a następnie mocznica i odwodnienie spowodowały zapaść.

Mężczyzna zmarł kilkanaście godzin później, nie odzyskawszy przytomności.

\* \* \*

## **Warszawa, październik 2018**

Mariusz starannie układał narzędzia w odpowiednich przegródkach. Metodycznie i skrupulatnie. Jego uwielbienie porządku graniczyło z obsesją i wiedział o tym, ale uważał, że właśnie dzięki temu osiągnął w życiu tyle, ile osiągnął. A przede wszystkim dzięki temu był bezpieczny.

Sprzątał swój gabinet sam. Sąsiednie gabinety należące do jego kolegów po fachu obsługiwały Ukrainki z firmy porządkowej wynajętej przez klinikę, ale on odmówił tej usługi. Nie ze względów finansowych, o finanse akurat nie musiał się martwić. I również nie dlatego, że miał tu rzeczy, których nie powinno być w gabinecie stomatologicznym, tylko dla zasady. O własne śmieci dba się samemu. Spryskał blat octeniseptem i wytarł starannie szmatką. Właśnie zabierał się do opróżniania czerwonego worka z odpadami, kiedy zadzwonił jeden z jego dwóch telefonów. Ten ważniejszy. Spojrzał na zegarek: była dokładnie dziewiętnasta. O takiej, wyłącznie

takiej, porze mógł dzwonić tylko ktoś, kto wiedział, że on odbierze go tylko o tej godzinie. Wziął telefon z blatu i odebrał.

– Tak? – rzucił krótko.

– Dobry wieczór. – Człowiek po drugiej stronie mówił po angielsku z obcym akcentem, ale on nie potrafił ocenić z jakim. – Czy rozmawiam z Mariusem?

– Tak.

– Chciałbym się umówić na wizytę. Pilną.

– Rozumiem. Gdzie pan jest?

– Godzinę temu przyleciałem do Warszawy. Jestem jeszcze na lotnisku.

– Dwudziesta, „Alhambra”, Aleje Jerozolimskie trzydzieści dwa.

– Jak się rozpoznamy?

– Ma pan rękawiczki?

– Mam. – W głosie dało się słyszeć lekkie zdziwienie.

– Proszę położyć jedną na stoliku. Do zobaczenia. – Rozłączył się.

Nie było potrzeby kontynuowania rozmowy przez telefon i tamten również to wiedział. Za godzinę pozna szczegóły. Dokończył sprzątanie gabinetu, potem przebrał się i wyszedł. Włączył alarm i zamknął drzwi na klucz. Skierował się na wewnętrzny parking i wsiadł do samochodu. Miał trzydzieści osiem minut, ale chciał być przed czasem. Ryzyko, że się spóźni z powodów niezależnych od niego, istniało zawsze, po to właśnie była rękawiczka; na wszelki wypadek.

Na szczęście zdążył. Na miejscu był za piętnaście ósma, znalazł wolne miejsce na chodniku i zaparkował. Siedział w samochodzie i obserwował wejście do kawiarni.

„Alhambra” była gejowskim lokalem. Półoficjalnym w latach osiemdziesiątych, później, kiedy nie trzeba było się już aż tak ukrywać, zrobiła się jeszcze bardziej popularna. Kiedyś dawali tu świetną czekoladę pitną, lepszą niż u Wedla, lokal miał klimat i zapewniał dyskrecję, na czym Mariusowi zależało najbardziej.

Za dwie dwudziesta na ulicy tuż obok jego samochodu zatrzymała się taksówka. Nie miała oznaczeń korporacji, a wyłącznie numer boczny i koguta z napisem TAXI. Bezpiecznie schowany za przyciemnianymi szybami swojego sportowego audi Marius patrzył, jak wysiada z niej mężczyzna w staromodnym kapeluszu na głowie. Kiedy cień ronda zszedł

na chwilę z jego twarzy, z zaskoczeniem zobaczył twarz Azjaty. Chińczyk zatrzasnął drzwi taksówki, wszedł na chodnik i pewnym krokiem podążył w kierunku wejścia do „Alhambry”. Po chwili zniknął w środku. Marius odczekał chwilę, a potem zrobił to samo.

Kiedy wszedł do lokalu, Chińczyk, już bez płaszcza i kapelusza, kładł właśnie rękawiczkę na stoliku. Podszedł i usiadł obok, zdejmując ją z blatu i podając właścicielowi.

– Marius – powiedział cicho, nie licząc nawet, że tamten również się przedstawi.

Nie pomylił się. Przyglądał mu się przez chwilę, dokonując w myślach szybkiej oceny. Na oko pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt lat, ale Marius nie był pewien. Ubrany po europejsku, ale krój płaszcza i ten śmieszny kapelusz mogły świadczyć o tym, że przebywał w Europie Zachodniej od dawna i przyzwyczajony do mody z dawnych lat nie zamierzał podporządkowywać się jej nowym trendom.

– Taksówkarze mają u was złodziejskie stawki – poskarżył się Chińczyk.

– Trzeba brać taksówki z korporacji – odpowiedział. – Słucham pana.

Chińczyk również przyglądał mu się dłuższą chwilę.

– Wygląda pan bardzo niepozornie – wypalił.

Marius pomyślał, że jest bardzo bezpośredni. Nie przejął się tym; i bez niego wiedział, jak wygląda. Potraktował to jako wskazówkę.

– Wygląd nie ma znaczenia – odparł. – Pan również wygląda niepozornie.

– Oczywiście. – Tamten lekko przekrzywił głowę i Marius stwierdził, że ta uwaga mogła być elementem testu.

Podszedł kelner i wręczył im karty. Kiedy wzięli je do ręki, natychmiast dyskretnie się oddalił. Marius odłożył kartę na przykryty karminowym obrusem stół, przybysz zaś swoją otworzył i zaczął przeglądać.

– Jest pan podobno bardzo skuteczny? – ni to zapytał, ni stwierdził Chińczyk, wpatrzony w zdjęcia koktajli, kaw i deserów.

– Owszem.

– I dość drogi?

– Proszę zatrudnić Rosjanina albo Czeczena, jeśli pana na mnie nie stać. Są tańsi.

Cień uśmiechu przemknął po twarzy Chińczyka. Przeniósł wzrok na Mariusa, zamknął kartę i odłożył ją na blat.

– Nie będzie takiej potrzeby. Mam pan rewelacyjne referencje. W tej branży są bardzo cenne. Można wierzyć im bez zastrzeżeń; to nie entuzjastyczne opinie użytkowników mediów społecznościowych, tylko poparte twardymi dowodami realne polecenia.

Mariusz uśmiechnął się ze skromnością.

– Tak się składa, że bardzo dbam o to, żeby tych dowodów było jak najmniej – wyjaśnił, a Chińczyk roześmiał się cicho i wykonał ruch przypominający groźenie palcem.

Chciał coś powiedzieć, ale w tej samej chwili do stolika podszedł kelner.

– Czy panowie już się zdecydowali?

Chińczyk zamówił gorącą czekoladę z chili i cynamonem, Mariusz poprzestał na kawie. Dziś czekolada była tu taka sama jak wszędzie indziej.

– Pozwoli pan, że na początek zadam kilka pytań – zaczął po chwili.

Chińczyk uprzejmie skłonił głowę.

– Proszę bardzo.

– Jak mam się do pana zwracać? Chodzi o wygodę. Wyłącznie.

– Może mnie pan nazywać Czangiem.

– Kogo pan reprezentuje?

Czang cmoknął z lekkim niesmakiem.

– To nie są pytania, które zadaje się w takiej sytuacji. Jest pan zawodowcem. To ja daję panu zlecenie, a reszta pana nie powinna interesować.

– Owszem. Ale zabezpieczanie się przed ryzykiem jest moim priorytetem. Jak wspomniałem przed chwilą, dbam o to wyjątkowo, niemal obsesyjnie. To dlatego działam na rynku tych usług tak długo.

– Ja to rozumiem. Tylko że... Wie pan, że mogę powiedzieć panu cokolwiek?

– Wiem. Ale liczę na szczerą i uchylenie przynajmniej rąbka tajemnicy.

– Dobrze. Myślę, że i tak wiele zdradził panu mój wygląd, tego przecież nie da się ukryć, choć zawsze mógłbym twierdzić, że to przypadek. Ale to nie przypadek. Reprezentuję dużą, ale bardzo dyskretną grupę wpływów działającą głównie w Chinach kontynentalnych i na Tajwanie. Grupę biznesmenów kilku poważnych i rozwojowych branż. Jesteśmy czymś w rodzaju konsorcjum. Interesy robimy jednak na całym świecie. I nie, nie

jest to żadna z triad. Można nawet powiedzieć, że nasze stosunki z władzami są... dość poprawne.

– Z którymi władzami?

– Wie pan: pieniądze nie mają poglądów politycznych. – Czang upił łyk czekolady. – Tak więc żyjemy dobrze z obiema. Ma pan z tym jakiś problem, Marius?

– Żadnego. Ja też nie mam poglądów politycznych.

Podszedł kelner z tacą i dwiema filiżankami brzęczącymi cicho na spodkach. To Marius zawsze tu lubił: szybką i profesjonalną obsługę.

Czang pokiwał ze zrozumieniem głową, wziął łyżeczkę i zanurzył ją w gęstej czekoladzie. Marius obserwował, jak delikatnie rozrywa lekki kozuch, który uformował się na powierzchni stygnącego napoju. Czang rozejrzał się po kawiarni.

– To jakaś pedalska knajpa? – zapytał, oblizując i odkładając łyżeczkę na spodek.

W oczach Mariusa pojawił się błysk. Na ułamek sekundy jego powieki uniosły się niemal niedostrzegalnie, ale Czang to zauważył.

– Uraziłem pana? – Rzadkie, czarne brwi powędrowały w górę.

– Nie. – Marius wzruszył ramionami. – Te kwestie również nie mają dla mnie znaczenia. Absolutnie żadnego. Jestem neutralny pod każdym względem. Każdym, panie Czang.

– Rozumiem. I szanuję to. Wracając do zlecenia i do tego, dlaczego chcemy współpracować akurat z panem; interesował nas ktoś, który zna miejscowe realia, i choćby z tego względu Rosjanie i Czeczeni są wykluczeni. – Czang się roześmiał. – Nasi wspólni znajomi zaproponowali nam właśnie pana. Rozumiem, że zna pan miejscowe zwyczaje i bez problemu porusza się w polskich realiach?

– Skąd te wątpliwości?

– Pański samochód ma holenderskie tablice. Pan z kolei ma holenderskie obywatelstwo, to akurat wiem na pewno od ludzi, których obaj znamy. Żywię pewne obawy związane z sytuacją, że powrócił pan do swojego kraju po wielu latach i nie do końca jest zorientowany, jakie zmiany w nim zaszły. To byłoby niedopuszczalne...

– O to proszę się nie obawiać. Wróciłem do Polski wiele lat temu. To wystarczający okres, żeby się znów zaadaptować.

– Zgadza się. Uspokoił mnie pan. Czyli trafiliśmy dobrze.

– Oczywiście. O co chodzi?

Czang upił dwa łyki czekolady. Oblizwał wąskie usta i odstawił filiżankę. Marius przypatrywał mu się bez skrępowania.

Wyglądali jak dwaj przypadkowi ludzie, którzy spotkali się w przypadkowym miejscu i toczyli niezobowiązującą pogawędkę na luźne tematy. Ktoś, kto spojrzełby na nich z boku, na przykład kelner zerkający zza kotary, mógłby nawet wziąć ich za gejów, którzy spotkali się najpierw w sieci, a teraz tutaj, i siedząc obok siebie na kanapie dyskretnej łązy, badają się wzajemnie, sprawdzając, czy mogą i chcą pójść krok dalej.

Marius zawsze się starał, by tak właśnie wyglądały te pierwsze spotkania.

Niewinnie.

Czang położył ręce na stole i splótł palce. Miał niewielkie dłonie z zadbanymi, lekko kwadratowymi paznokciami.

– Poszukujemy człowieka, który ma coś bardzo dla nas cennego. To twarde dyski z danymi dotyczącymi pewnego projektu badawczego. Nie musi pan znać żadnych szczegółów w tym zakresie. Chodzi wyłącznie o odnalezienie człowieka i urządzeń. Zlecenie obejmuje obie te rzeczy. Ekstrakcja, że użyję bliskiej panu nomenklatury, jest możliwa dopiero PO odzyskaniu dysków, lub przynajmniej jednego z nich. Jeden to ostateczność, bo choć na obu jest ta sama zawartość, to my nie jesteśmy zainteresowani tym, żeby te dane trafiły do kogoś prócz nas. Powtarzam: ekstrakcja następuje nie po uzyskaniu informacji, gdzie są dyski, tylko po tym, jak będzie pan miał je w ręku.

– Skąd będę miał pewność, że to te, o które wam chodzi? Prawdopodobnie będą zaszyfrowane, a przynajmniej zabezpieczone przed nieautoryzowanym dostępem.

– Dostanie pan ich numery seryjne. Dopiero po potwierdzeniu autentyczności dysków może pan zlikwidować człowieka, który je miał. Czy to jasne?

– Oczywiście.

– Cieszę się.

– Kim jest nasz cel?

Czang wyciągnął z kieszeni niewielki pudełko. Otworzył je, wyjął z niego

pendrive i pokazał go Mariusowi.

– Tu ma pan jego podstawowe dane. A także pozostałe istotne informacje. Człowiek ten jest obecnie poszukiwany przez polskie służby specjalne. I tak się składa, że jest również funkcjonariuszem tych służb...

Mariusus siedział przez chwilę w bezruchu. Czang spojrział na niego i zapytał z lekkim zaskoczeniem w głosie:

– Czy to dla pana problem?

– To trochę zmienia postać rzeczy... – odparł ostrożnie.

– Jak bardzo?

– Będzie to nieco trudniejsze, niż myślałem. Ale oczywiście jest do zrobienia.

Czang pokiwał głową, lekko wydymając usta okolone delikatnym i rzadkim zarostem.

– To oczywiste, że poziom komplikacji rośnie – powiedział. – Jeśli mogę coś zasugerować: w zasadzie rzecz sprowadza się do tego, żeby iść śladem tych, którzy pójdą śladem naszego celu. Myślę, że tak będzie najprościej. Problem w tym, że jeśli służby znajdą go przed panem, będzie pan musiał go jakoś przejąć. Razem z dyskami, oczywiście, choć wątpię, żeby nosił je przy sobie. Nie znam pana możliwości, ale oczywiście jeśli uzna pan, że jest w stanie odszukać go sam, to nie ma sprawy. Ma pan wolną rękę.

– Myślę, że zacznę tak, jak pan proponuje. Jak mam namierzyć ludzi poszukujących naszego człowieka?

– Wszystkiego dowie się pan w ciągu kilku dni. Operacja polskich służb jest obecnie w fazie przygotowania. Wszelkie informacje o poszukiwaniach prowadzonych przez Polaków będą aktualizowane na bieżąco.

– Jakim cudem?

Czang uśmiechnął się lekko i zmrużył powieki, tak że czarne oczy niemal za nimi zniknęły.

– Nie musi pan tego wiedzieć.

– Muszę. Muszę mieć pewność, że to sprawdzone informacje.

– Są sprawdzone. Pochodzą z bardzo dobrego źródła. Naprawdę świetnego, proszę mi wierzyć. Praktycznie trudno wyobrazić sobie lepsze.

– To dlaczego wciąż nie znaleźliście człowieka, którego szukacie?

– Zawsze są pewne ograniczenia, Marius. Zawsze. Ale proszę mi wierzyć, dzięki owemu źródłu te ograniczenia łatwiej pokonać. I po to też właśnie



chcemy wynająć pana. Żeby pozbyć się tych ograniczeń.

Mariusz westchnął i wyciągnął z kieszeni mały pakuneczek. Położył go na stole przed Czangiem.

– Moja cena to dwieście tysięcy euro. Zaliczka pięćdziesiąt tysięcy pięcioma przelewami po dziesięć tysięcy na różne konta w De Nederlandsche Bank do jutra, numery kont w środku. Jest tam również telefon, z którego o każdej porze może pan do mnie zadzwonić, gdyby zaszła taka potrzeba. Proszę go mieć zawsze przy sobie, ja też mogę zadzwonić w razie sytuacji awaryjnej lub po informacje. Proszę więcej nie dzwonić pod numer, którego pan użył do nawiązania kontaktu. W telefonie, który pan dostaje, proszę niczego nie ustawiać ani nie zmieniać. Jeśli stwierdzę, że ktoś się nim bawił, zrywam kontrakt i znikam, a zaliczka przepada.

– Jak pan to stwierdzi?

Mariusz nie odpowiedział.

– Dlaczego upiera się pan przy telefonie? – zapytał Chińczyk. – Wolałbym kontakty przez komunikator albo maile. Nawet przez sieć TOR. To znacznie wygodniejsze i bezpieczniejsze.

– Co weszło w internet, zostaje w nim na zawsze. Sieć TOR też ma swoje słabe punkty, panie Czang. Dlatego. Ślady w sieci zostają zawsze, mniej lub bardziej widoczne, ale jednak są i przy odpowiednim zaangażowaniu można je odkryć. Oczywiście kontakty nasze ograniczamy do minimum, podczas rozmów będziemy również unikać sformułowań mogących zainteresować na przykład analityków z Echelonu.

Czang patrzył na niego z lekkim rozbawieniem.

– Pan naprawdę jest stomatologiem? – zapytał Mariusza. – Tak twierdził jeden z naszych wspólnych znajomych.

– Naprawdę. Pana to bawi?

– Absolutnie nie. To trochę... Dziwne, dla mnie dziwne, po prostu.

– Lubię swoją pracę. – Wzruszył ramionami.

– A tę drugą?

– Też...

– Trudno będzie panu zniknąć, tak nagle zamknąć praktykę, zostawić pacjentów... – Czang dopił czekoladę, odchylając lekko głowę do tyłu i czekając, aż jej resztki spłyną mu na język.

– Takie są moje zasady współpracy, albo je akceptujecie, albo nie. Kwota

zaliczki nie jest astronomiczna, więc nie wydaje mi się, żebyście mnie szukali, aby odzyskać jakieś nędzne grosze. A jeśli chodzi o znikanie... Nie będzie mi żal, panie Czang. Żyję w taki sposób, że w każdej chwili mogę zniknąć bez śladu, rozumie pan? Nic mnie nigdzie nie trzyma...

Chińczyk patrzył przez chwilę na Mariusa w zamyśleniu.

– Wie pan, Marius, w tym fachu trudno spotkać człowieka kulturalnego albo chociaż o elementarnej kulturze osobistej. Zwykle są to byli żołnierze sił specjalnych albo ludzie służb. Lub zwykli bandyci pozbawieni skrupułów. W każdym z tych przypadków takich ludzi nie interesuje nic więcej poza pieniędzmi, które zarobią za wykonanie zlecenia, i przyjemnościami, które za nie kupią.

– Nie ma pan pojęcia, na co przeznaczę pieniądze za to zlecenie.

– To prawda. Ale coś mi mówi, że nie jest pan jednym z tych, którzy przepuszczają forszę na narkotyki, alkohol, dziwki i hazard. Może to nie jest istotne z ogólnego punktu widzenia, ale dla mnie jednak to ma znaczenie, Marius. I dlatego bardzo się cieszę na naszą współpracę. Naprawdę. Mam nadzieję, że będzie owocna. – Czang odsunął rękaw koszuli, zerknął na zegarek i lekko klepnął się w uda. – No dobrze, wszystko jasne. Mamy umowę i nie zamierzam postępować wbrew jej zasadom. Liczy się nasz cel; od tej pory nasz wspólny cel. Pozwoli pan, że zapłacę rachunek?

Marius skinął głową. Czang podniósł rękę i przywołał kelnera czającego się w półmroku przy kontuarze. Zerknął na paragon i wyjął portfel, z którego wyciągnął sześćdziesiąt złotych. Dał je kelnerowi, a kiedy ten odplynął miękkim krokiem w swój półmrok przy barze, podał Mariusowi rękę.

– Powodzenia, Marius. Życzę tego nam obu...

Wstał, wziął z wieszaka swój płaszcz i włożył.

– Zamówić panu taksówkę? – zapytał Marius.

Czang odmówił.

– Przejdę się – odparł i pomachał mu na pożegnanie, a potem wyszedł na zewnątrz.

Marius odczekał pół minuty, a potem nieśpiesznie ubrał się w kurtkę i również wyszedł, zostawiając zimną, nietkniętą kawę. Wsiadł do samochodu i uruchomił silnik.

Czang popełnił mały błąd, a właściwie okazał się odrobinę nieostrożny.

Kiedy płacił rachunek, w portfelu ukazał się mały, wąski fragment jakiejś plastikowej karty. Marius nie miał pojęcia, do czego służyła, ale to było nieistotne. Istotne było to, że nosiła ślady zużycia: była wytarta od częstego wyciągania i wsuwania w otwór automatu. I jeszcze coś. Zauważył w jej rogu wspiętego niedźwiadka. Był czarny, a tarczę, w której tkwił, wieńczyła złota korona. Drugą rzeczą było przyznanie się, że widział go siedzącego w samochodzie przed kawiarnią. Oraz to, że jego auto miało holenderskie tablice. Marius przecież widział, jak Czang przechodził od taksówki do lokalu: szybko i nie rozglądając się na boki. Jakim cudem zauważył tyle rzeczy? Jego, ukrytego za ciemnymi szybami, i żółte tablice, w dodatku wiedział, że są holenderskie. Na tej podstawie oraz na podstawie uwagi o jego wyglądzie z początku rozmowy Marius wysnuł pewien wniosek. Nie mógł mieć stuprocentowej pewności, ale jego podejrzenie mogło z nią graniczyć.

Grupa wpływów, o jakiej wspomniał Chińczyk na początku spotkania, była bardzo dobrym określeniem, ale nie do końca oddawała istotę rzeczy. Czang zapewne był szpiegiem, i to z dużym doświadczeniem, najprawdopodobniej rezydował na stałe w Berlinie i na pewno od dawna przebywał w Europie. Nie była to informacja, która cokolwiek zmieniała i z którą Marius wiązał jakieś wielkie oczekiwania, ale mogła mu się przydać.

Zerknął w lusterko, wrzucił bieg i ruszył w stronę Marszałkowskiej.

## 2. Szczecin, 22 października 2018, godz. 11.00

Skrzynkę mailową sprawdzam regularnie, choć jestem święcie przekonany, że niewiele jest na tym świecie osób, które mogłyby chcieć do mnie napisać z powodów innych niż merkantylne. Robię to po prostu z nawyku, a może raczej wiedziony rozpaczliwą nadzieją, że to się jednak z jakichś powodów zmieni i ktoś napisze nie z grzeczności, nie z obowiązku ani na polecenie służbowe przełożonego. Klikanie kolorowego prostokątka wypełnionego napisem „odbierz” jest chyba przejawem gasnącej z każdym rokiem mojego jałowego życia nadziei, że pojawi się w nim ktoś, kto sprawi, że takie już nie będzie. Ktokolwiek. To taka nienazwana tęsknota za odmianą, której chciałbym, ale której równocześnie się boję. I w tamtej chwili, gdy w mojej skrzynce pojawił się mail z biblioteki publicznej, poczułem ten lekki skurcz gdzieś nad wcięciem mostka: zaciekawienie i zdziwienie. Zdziwiłem się, ponieważ nie jestem zapisany do żadnej biblioteki. Nigdy i nigdzie, poza szkolną, w podstawówce, milion lat temu, i to nawet mimo że mieszkam w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów od jednej z filii miejskiej biblioteki publicznej.

Otworzyłem wiadomość kliknięciem myszy, w końcu była do mnie, na mój adres i wszystko wskazywało na to, że nie była spamem. Dziwna była tylko jej treść: wynikało z niej ni mniej, ni więcej to, że jestem jednak czytelnikiem filii Miejskiej Biblioteki Publicznej i to właśnie tej mieszczącej się przy ulicy, przy której mieszkam. Dowiedziałem się również z zaskoczeniem, że zalegam ze zwrotem wypożyczonej książki. Jednej. *Nowy wspaniały świat* Aldousa Huxleya. Coś mi zaświtało. Sięgnąłem na półkę nad biurkiem, gdzie leżało kilka książek mojej żony. Huxley był na samym wierzchu. Na stronie tytułowej znajdowała się naklejka z kodem paskowym i logo biblioteki. Odłożyłem książkę na biurko i przez długą chwilę wpatrywałem się w ekran laptopa, zastanawiając się, o co chodzi. Mail był wygenerowany automatycznie, nie miało więc sensu odpisywanie

na niego. Mogłem tylko tam pójść i wyjaśnić sprawę od ręki.

Tak też zrobiłem. Wstałem od biurka, ściągnąłem z wieszaka w przedpokoju kurtkę i wyszedłem, zatraskując za sobą drzwi. Chwila wahania na klatce schodowej i sprawdzenie kieszeni, czy na pewno w którejś jest klucz, przypomniały mi jak zwykle, że od kilku tygodni jestem sam. Gdybym nie zabrał tych cholernych kluczy, moja żona nie mogłaby mi otworzyć drzwi mieszkania z tego powodu, że jej w nim po prostu nie było. Razem byliśmy już chyba tylko na formularzu wniosku o kredyt wzięty na to mieszkanie. Adrian i Laura Wicha. Obecnie wyłącznie Adrian Wicha. Prawie rozwodnik. To tylko kwestia czasu. Jeszcze jedna rzecz, jaką w życiu spierdoliłem. Na własne życzenie, z powodu karmy czy jakiegokolwiek innej przyczyny, na którą nie miałem wpływu; to nieistotne.

Byłem sam.

Laura wyprowadziła się do rodziców kilka tygodni temu, poprosiła, żebym nie przychodził ani tam, ani do jej pracy. Uszanowałem to. Może właśnie nie powinienem był tak robić, może powinienem walczyć, skamleć o litość, pobiec tam z bukietem kwiatów, stanąć pod oknem i wołać ją po imieniu, mając gdzieś sąsiadów, ale nie, nie zrobiłem tak. Zamiast tego jak zwykle pokiwałem głową i przystałem na jej prośbę. „Zastanów się nad sobą, Adrian – powiedziała pewnego wieczoru, po raz kolejny. – Zastanów się, gdzie w życiu jesteś, gdzie chciałbyś być i gdzie powinienes. Czy to, co osiągnąłeś, jest szczytem twoich możliwości, czy stać cię na więcej...” Nie musiała dodawać, że w jej mniemaniu nie osiągnąłem zbyt wiele. Radca prawny w urzędzie miejskim nie był dla niej szczytem moich możliwości.

Najzabawniejsze, że się z nią zgadzałem. Nie, to jednak wcale nie było zabawne. Tamten wieczór był ostatnim wspólnym wieczorem. Następnego dnia nie wróciła z pracy do domu, tylko zadzwoniła i poinformowała, że ma dość. Nie ma kochanka ani kochanki, tylko ma dość życia z kimś bez ambicji, woli walki i szans na zwycięstwo. „Walka i zwycięstwo? A gdzie miłość?” – zapytałem naiwnie przez ściśnięte gardło, a ona nie odpowiedziała.

Od tamtej pory minęło parę tygodni, a ja wciąż nie zastanowiłem się nad sobą. Nie w tym sensie, w jakim Laura chciała, bym to zrobił. Nie musiałem się nad tym zastanawiać. Wbrew pozorom nie jestem idiotą

i wiedziałem, czemu tak jest. Ona też, ale ta wiedza w pewnym momencie naszego wspólnego życia przestała być istotna.

Dochodząc do budynku biblioteki, wyciągnąłem telefon i zadzwoniłem do Laury. To nie tak, że nie mieliśmy ze sobą kontaktu. Mieliśmy, ale to był ersatz życia małżeńskiego. Wyłącznie przez telefon i wyłącznie proste sprawy. Czułem, że za każdym razem ona czeka, aż powiem coś, co chciałyby usłyszeć, ale nie byłem na to jeszcze gotowy. Na co czekałem? To jak z paniką: kiedy jesteś w śmiertelnym niebezpieczeństwie, odbiera ci możliwość jakiegokolwiek działania. Kamieniejesz i giniesz, nie będąc w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Nie poruszając tematu, na którym zależało Laurze najbardziej, narażałem się na to, że w końcu nie odbierze telefonu, a kontaktować się będziemy już wyłącznie przez prawnika. Zegar tykał, czas uciekał, a ja nic z tym nie robiłem.

– Hej – mruknąłem, kiedy Laura odebrała. – Wypożyczałaś ostatnio książkę z biblioteki?

– Przepraszam bardzo: dzwonisz tylko po to, żeby zapytać, czy wypożyczyłam książkę? – zapytała po chwili wahania.

– Tak – odparłem. – Wspaniały świat czy coś takiego. Leżała na twojej półce...

Milczała przez chwilę, ale kiedy odpowiedziała, jej głos był już pewny i zdecydowany.

– Znalazłam ją przedwczoraj pod drzwiami.

– Przedwczoraj? Byłaś u mnie... U nas?

– Wpadłam po żelazko, kiedy byłeś w pracy. Mamie się spaliło. Coś nie tak? O ile pamiętam, mieszkanie jest wspólne?

– Oczywiście. – Westchnąłem. – Wracając do tej książki...

– Myślałam, że tobie wypadła na klatce, więc położyłam na półce.

– Ale zapomniałaś mi o tym powiedzieć.

– Owszem – potwierdziła sucho. – Coś jeszcze?

– Nie, to wszystko.

– No, to skoro wszystko, to na razie. – Rozłączyła się, nie czekając na moją reakcję.

Tik-tak, tik-tak...

Szyba w starych, jeszcze poniemieckich drzwiach biblioteki zadrżała niebezpiecznie, dźwięcząc w drewnianych ramach. W środku było cicho

i pusto jak w moim życiu. Podeszedłem do kontuaru, za którym siedziała dziewczyna w okularach, i podałem książkę, mówiąc „dzień dobry”. Zeskanowała kod z naklejki, poklikała myszą i spojrzała na mnie.

– Opłata za nieterminowy zwrot wynosi osiemdziesiąt groszy – poinformowała, nie patrząc na mnie, tylko sięgnęła gdzieś do tyłu, do małego regału stojącego za jej plecami.

Wyciągnąłem portfel i wyskrobałem kilka monet. Dziewczyna przyjęła je, a potem podała mi jakąś książkę.

– Proszę, to zamówiona pozycja.

– Ale ja niczego nie zamawiałem!

Byłem coraz bardziej zdziwiony.

– Zamawiał pan – powiedziała bibliotekarka z przekonaniem.

Rozejrzałem się po regałach z książkami.

– Mogę wiedzieć, od kiedy jestem czytelnikiem tej biblioteki? – zapytałem.

Dziewczyna położyła książkę obok klawiatury i zerknęła w ekran.

– Od miesiąca.

Pokiwałem głową. Nie przypominałem sobie momentu, w którym tu się zapisywałem, bo coś takiego po prostu się nie zdarzyło. Zastanawiałem się, jakim cudem nastąpiła taka pomyłka, skoro rejestracja do biblioteki wymagała okazania dowodu osobistego?

– Dziękuję – mruknąłem, biorąc książkę.

Podrzuciłem ją lekko w dłoń, nie bardzo wiedząc, co z nią zrobić. Prawie nie czytam. Mam sporo wolnego czasu, ale od dawna nie czytam dla rozrywki, a jedynie książki i czasopisma branżowe. Prawo zmienia się co rusz, a ja muszę być na bieżąco. Zszedłem po zewnętrznych schodkach i poczułem pod palcami, że coś wysuwa się spomiędzy kartek. Przystanąłem i przyjrzałem się książce. Wyglądało, jakby jedna z kartek odkleiła się i teraz wystawała lekko poza pozostałe. Spróbowałem wsunąć ją z powrotem, ale tylko ją zagiąłem, otworzyłem więc książkę w tym miejscu i zobaczyłem, że to nie strona, tylko niewielki arkusz papieru, którym zapewne ktoś założył miejsce, gdzie skończył czytać. Odruchowo przeleciałem tekst wzrokiem i poczułem, jak uginają się pode mną nogi.

*Nikt nie może wiedzieć, że się z tobą kontaktowałem, wszystko masz na*

*podstuchu i podglądzie ABW. Perlustrują nawet listy z banku czy gazowni. Przyjdą po ciebie w ciągu kilku dni. Nie uciekaj. Powiedzą ci, o co chodzi, ale nie wierz we wszystko, co usłyszysz. Zrób, co będą chcieli, ale nie daj się wykorzystać. Mam już tylko Ciebie, nikogo innego. Nikomu innemu nie mogę też zaufać. Uważaj na siebie i nie daj się zabić, Mały. Proszę. Spal tę wiadomość, jakkolwiek melodramatycznie by to brzmiało. Po prostu zrób to. Przykro mi, że Cię w to wciągam, ale nie mam już wyjścia. Ty chyba już też nie.*

Patrzyłem na kartkę i czułem, jak zasycha mi w gardle, a przed oczami latają czarne płyty. Jakby otoczył mnie rój nietoperzy. Przysięgnęłbym, że gdzieś z tyłu czaszki szeleści mi trzepot ich błoniastych skrzydeł.

Mały.

Mały to ja.

Duży to Kamil.

Brat bliźniak, który urodził się dwie minuty przede mną i w związku z tym niemal od zawsze uważał się za starszego. Dziecięce przekomarzanie się na temat starszeństwa, a co za tym idzie dominacji, z upływem lat zmieniło się w to specyficzne i niemal wręcz naturalne przekonanie, że faktycznie tak jest. Ziarno zasiane w trakcie niezliczonych braterskich sprzeczek wykiełkowało także we mnie owym przeświadczeniem, najwyraźniej w takim samym stopniu. Rzeczy, które powtarza się w nieskończoność, w końcu zaczyna przyjmować się za prawdę, a pogodzenie się z tym może być po prostu kwestią świętego spokoju. Jedno było pewne: w moim przypadku tak było. Było to również wygodne i bezpieczne, a przynajmniej w założeniu miało takie być. Zwłaszcza po tym, jak nasz ojciec poleciał do Lizbony i wrócił stamtąd w metalowym pudle.

Zamykam oczy i cofam się w czasie o jakieś ćwierć wieku. Jakie to proste. Wbrew fizyce, ale ludzki mózg ma to gdzieś. Znów jestem w parku niedaleko szkoły. Wszyscy nazywają go Okrągłakiem. To spory plac, położony o jakiś metr, półtora poniżej poziomu okalającej go brukowanej ulicy, pełen drzew i krzaków, między którymi wiją się ścieżki. Esencja szczecińskiego Pogodna i Łękna, willowych dzielnic nietkniętych wojną. Tego dnia ma odbyć się egzamin na kartę rowerową. Uczniowie piątych



klas przyjechali do szkoły rowerami. Policjant, prywatnie mąż jednej z nauczycielek, który ma przeprowadzić egzamin, spóźnia się. Okazuje się, że przyjedzie dopiero za dwie godziny, więc jedziemy do Okrągłaka. Przez ostatni tydzień niemal bez przerwy padało i teraz cały park jest niecką olbrzymiego, idealnie okrągłego stawu, z którego, niczym w lesie namorzynowym, wyrastają smukłe pnie drzew. Wody jest po kolana. Jeździmy po parku rowerami, znajdujemy kilka utopionych szczurów, aż wreszcie zatrzymujemy się przy ławkach i siadamy na ich oparciach. Kamila nie ma, został w szkole, bo rozmawiał z kolegą ze starszej klasy i powiedział, że przyjedzie później. Zaczynamy gadać. To niby zwykła gadka nastolatków, ale ta rozmowa toczy się w złym kierunku. Złym dla mnie.

– Co robi twój tata? – pada pytanie.

To ktoś z innej klasy, chyba z „b”. Nie zdążam odpowiedzieć, robi to za mnie ktoś inny. Ktoś z mojej klasy; on w przeciwieństwie do pytającego wie, co się stało.

– Jego ojciec nie żyje...

Latają mi przed oczami czerwone płaty.

– Gównu cię to obchodzi – syczę nienawistnie.

Nigdy w życiu się nie biłem. Nie musiałem, bo w razie konfliktu na podwórku takie sprawy załatwiał za mnie Kamil. Ale tego dnia czuję, że to dla mnie za dużo. Do dziś nie wiem, dlaczego pytanie, jakie dzieciaki zadają sobie prawie zawsze gdzieś na początku znajomości, a właściwie głupia odpowiedź rzucona przez jakiegoś wrednego gnojka z mojej klasy, wzbudziła we mnie aż takie emocje.

– Nie mów do mnie „gównu”, kutafonie jeden. – Tamten wstaje z ławki i podchodzi do mnie.

Jest pół głowy wyższy. Nazywa się Mąkowski. Nigdy go nie lubiłem.

– To się nie wtrącaj w nie swoje sprawy – odpowiadam mu, a słowa ledwie przeciskają się przez ściśnięte żalem i strachem gardło.

– Bo co, przyjdzie tatuś i mnie pobije?

To po prostu taki wiek, choć żaden z nas tego nie rozumie. Brak empatii, kontroli nad emocjami i poczucie własnej mocy, którego jeszcze nikt, ani życie, ani przełożony, ani żona nie zdążyli stłamsić. Po chwili obaj taplamy się w brudnej od ziemi wodzie, szczepieni w uścisku, dyszący i szarpiący się

za ubrania i włosy. Kamil pojawia się znikąd. Dopada nas nagle i rozdziela. Nic nie mówi, ale patrzy tak, że obaj stajemy przed nim karnie, jak przed wychowawczynią ze świetlicy, która łoł nas linijką po łapach za każde grubsze przewinienie. Pozostałe dzieciaki, do tej pory wrzeszczące w pełnym emocji doping, cichną nagle i w milczeniu przyglądają się sytuacji.

– Powiedział, że tata nie żyje... – chlipię, czując, że zaraz wybuchnę płaczem.

Nieopanowanym, głośnym, który wszyscy zapamiętają na długie lata i którego tyle samo czasu albo nawet dłużej będę się wstydził, jak niczego wcześniej.

– Chodź do domu się przebrać. – Głos Kamila jest spokojny.

Kamil brzmi i wygląda jak starszy brat, ale starszy nie o dwie minuty, lecz o kilka lat. Ja tego nie widzę, bo mój wzrok wbity jest w stopy ledwo widoczne w burej wodzie, ale w oczach chłopaków jest szacunek. W oczach Mąkowskiego również. Kamil czeka, aż wezmę swój rower oparty o sąsiednią ławkę, kładzie mi rękę na ramieniu i obaj odchodzimy w milczeniu. Słysząc tylko chlupot brudnej wody, przez którą brniemy w kierunku schodków prowadzących na ulicę.

W domu nie mówimy o tym, co się stało. Nie mówimy matce ani nie rozmawiamy o tym ze sobą. Dwa miesiące, które upłynęły od śmierci ojca, to za mało czasu na taką rozmowę. Nie mówimy też o tym nigdy później. A może powinniśmy. Może wtedy wszystko wyglądałoby inaczej? Może dzięki temu dziś nie rozmawiałbym z Laurą przez telefon o książce, tylko o czymś innym? Może nawet nie rozmawialibyśmy przez telefon, tylko normalnie, twarzą w twarz, w naszym wspólnym mieszkaniu?

Kiedy ktoś, bardzo rzadko, zagadnie mnie o brata, ta właśnie scena staje mi przed oczami. Jej bolesne wspomnienie wryło mi się w mózg niczym wbite sztancą. Inna sprawa, że prawie nikt z moich nielicznych znajomych nie wie, że w ogóle mam brata. Że go miałem; dawno temu i nieprawda. Mój brat wraca do mnie wyłącznie jako wspomnienie i dbam o to, żeby te powroty zdarzały się jak najrzadziej. Nie wiem nawet, jak on teraz wygląda. Czy posiwał już, a może wyłysiał? Czy musi nosić okulary jak ja? Czy wypadł mu już jakiś ząb, czy ma kobietę, dziecko, a może mężczyznę? Nie wiem o nim niczego. Prawie niczego. Wiem tylko, że ma na imię Kamil,

urodził się dwie minuty przede mną i też, tak jak ja, fatalnie przeżywał brak ojca. Nie wiem tylko, jak Kamil radzi sobie z tym dzisiaj.

Ja sobie ewidentnie nie poradziłem. Ani wtedy, ani dziś. Bo „dziś” jest konsekwencją „wtedy”. Sam wielokrotnie zadawałem sobie pytanie, dlaczego brak ojca w domu spowodował u mnie takie, a nie inne konsekwencje. Przecież mnóstwo innych dzieciaków też nie miało ojców. Niektórzy nie mieli ich od początku, bo ci umarli albo odeszli, zanim dzieciaki mogły ich w ogóle poznać, albo chociaż zapamiętać. Inni ojcowie byli wojskowymi lub marynarzami i też ciągle nie było ich w domach. A ja ojca miałem przynajmniej trochę. No właśnie, miałem, choć nie miałem. Kiedy żył, prawie w ogóle nie było go w naszym domu. Taką miał pracę, ale mnie nigdy nie przekonała odpowiedź, że jedni mają taką robotę, a inni siaką i że zobaczą, jak to jest, kiedy sam dorosnę. Nie zobaczyłem. Dlaczego mój ojciec nie mógł pracować od siódmej do piętnastej, po pracy naprawiać samochodu, czyścić akwarium albo sklejać z nami modele samolotów? Dlaczego nie mógł być po prostu normalnym ojcem?

A teraz stoję przed biblioteką z wyschniętym gardłem i czuję, jak pod powiekami wzbierają mi łzy. Gorycz, żal, wspomnienie sytuacji z parku. I nie tylko tej.

Nie mam brata od kilkunastu lat. Teraz jakby wrócił, choć nie wiem tego na pewno. A przede wszystkim nie mam pojęcia po co.

„Nie daj się zabić, Mały”.

– Pierdol się – wymruczałem i ruszyłem gwałtownie w kierunku domu.

Przystanąłem nagle, kiedy coś znieenacka przyszło mi do głowy. Nie miałem z Kamilem kontaktu prawie dwadzieścia lat. Skąd, do cholery, znał mój adres mailowy, który trzeba podać przy rejestracji do biblioteki? I po co ta cała zabawa z podrzucaniem jednej książki i listem w drugiej?

Kamil się nie pomylił. Przyszli po mnie następnego dnia o siódmej rano, tuż przed tym, jak zamierzałem wyjść do pracy.

### 3. Szczecin, 23 października 2018, godz. 07.00

Kiedy otworzyłem im drzwi, w rękę trzymałem teczkę. Wziąłem ją chwilę przedtem, nim dźwięk dzwonka przerwał ciszę samotnego poranka. To na niej zawiesili wzrok, jakbym trzymał w rękę broń albo inne niebezpieczne narzędzie.

– Pan Adrian Wicha, prawda? – zapytał wyższy.

– Tak. – Poczułem, jak szyja nabrzmiewa mi od krwi coraz szybciej pompowanej arteriami przez trzepoczące w piersi serce. – Panowie w jakiej sprawie?

Przypomniałem sobie wiadomość od brata. Nie spaliłem jej, bo faktycznie uznałem ją za wygłup, a jej treść za idiotyczną. List leżał w kuchni, na blacie, tam gdzie zostawiłem go po powrocie z biblioteki. Teraz starałem się zachować spokój, w końcu nie miałem niczego na sumieniu, ale ci dwaj przed drzwiami nie musieli o tym wiedzieć. Chwyciłem mocniej rączkę teczki, a palce drugiej ręki zacisnąłem na klamce tak, że aż pobieleały. Mężczyźni nie mogli tego widzieć, ale coś musieli dostrzec w mojej twarzy, bo ten drugi uśmiechnął się uspokajająco.

– Spokojnie. – Podniósł dłoń. – Chcieliśmy z panem porozmawiać. Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Zapraszamy pana na spotkanie.

– Muszę iść do pracy. – Tylko to przyszło mi do głowy.

– Rozumiem, ale to długo nie potrwa. Nalegam.

Pokiwałem głową i nie powiedziałem już nic więcej. Jako człowiek po studiach prawniczych miałem świadomość pewnych rzeczy, więc w tym samym momencie uznałem po prostu, że bezpieczniej będzie niczego nie mówić. Milczałem więc przez całą drogę do centrum, podobnie jak dwaj mężczyźni, którzy mnie zabrali, a w głowie kłębiły mi się setki niewesołych myśli. Zatrzymaliśmy się w końcu przed wąską bramą jednego z budynków na Małopolskiej, a potem, kiedy brązowe, segmentowe drzwi uniosły się, wchłonął nas ciemny tunel, by wypluć po chwili na wewnętrznym

dziedzińcu szczecińskiej delegatury ABW. Przeszliśmy w ciszy do budynku, dotarliśmy do głównej klatki schodowej i po chwili znaleźliśmy się przy dyżurce.

– Poproszę pana o dowód osobisty oraz telefon i wszystkie urządzenia, które mają możliwość rejestracji dźwięku i obrazu – powiedział wyższy, wyciągając rękę.

Spełniłem jego prośbę, a kiedy funkcjonariusze załatwiali z dyżurnym formalności, wpatrywałem się tylko w wystającą z posadzki skośną rurę stanowiska do bezpiecznego rozładowywania broni i zastanawiałem się, o co tu, kurwa, chodzi.

Moje rozmyślania przerwało przybycie dwóch mężczyzn, którzy wymienili z dyżurnym po cichu kilka słów. Potem podeszli i stanęli nade mną. Uniosłem głowę; nie byli to ci, którzy mnie tu przywieźli.

– Zapraszamy – powiedział jeden, wskazując drzwi obok dyżurki.

Widniała na nich tabliczka z napisem „Pokój rozmów”. Prawie jak pokój zwierzeń... Wstałem i wszedłem do pomieszczenia, puszczony przodem przez obu mężczyzn. Za mną do środka wszedł tylko jeden.

– To na razie, daj znać, jak skończysz – rzucił drugi i zamknął drzwi.

Zostałem z tym pierwszym. Przyglądaliśmy się sobie jak dwaj nowi więźniowie w celi, którzy usiłują się wybadać i ustalić hierarchię, jaka będzie ich obowiązywać przez cały czas odsiadki, dopóki nie zjawi się ktoś jeszcze, by ją zmienić.

– Niech pan usiądzie – zaproponował tamten.

Był wysoki i sztywno wyprostowany, jakby kij połknął. Miał wygoloną głowę o podłużnym kształcie, a odrastające i już siwiejące włosy pokazywały prawdę: łysiał. Nie wyglądał, jakby się tym przejmował i chciał to ukrywać. Osadzone głęboko pod gęstymi brwiami oczy patrzyły bystro, a szczęki zaciskały się pod wystającymi kośćmi policzkowymi, uwydatniając pod skórą mięśnie i ścięgna. Wyglądał bardzo męsko. Z takim wyglądem mógłby grać agenta w filmie sensacyjnym, ale nie powiedziałem mu tego, tylko skorzystałem z jego propozycji i usiadłem przy małym stoliku na środku pokoju. Poza nim i dwoma krzesłami w pomieszczeniu nie było niczego. Nawet okna.

– Pewnie zastanawia się pan, po co chcieliśmy z panem rozmawiać? – Jego głos miał przyjemną barwę.

Usiadł przede mną. Patrzył na mnie przyjaźnie, tak jakby chciał, żebym się uspokoił.

– Nic innego nie robię od pół godziny – powiedziałem. – Wykazałem sporo dobrej woli, jadąc tu dobrowolnie. O ile wiem, a tak się składa, że wiem, podczas zatrzymania powinno się podać jego powód.

– Pan nie został zatrzymany. Pan został poproszony o rozmowę. To wszystko.

– Zgadza się – przyznałem spokojnie. – Wiem, że to nie było zatrzymanie. Jedynie wciąż zastanawiam się, jaki był powód tej prośby. A właściwie powód rozmowy.

– Oczywiście, rozumiem, już wyjaśniam. Tamci ludzie nie mieli pojęcia, po co kazano im pana tutaj przywieźć. Takie po prostu otrzymali polecenie. Na początek może się przedstawię: major Arkadiusz Oleszczuk z warszawskiej centrali Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

– Witamy w Szczecinie. – Uśmiechnąłem się i nie sędzę, żeby to wyglądało szczerze.

Kompletnie mi na tym nie zależało. Oleszczuk nie zareagował. Zamiast tego wstał z krzesła, przysiadł na skraju stolika, sięgnął do kieszeni marynarki i położył przede mną model samolotu. To był mały metalowy boeing 767, jaki personel pokładowy wręcza czasem wyjątkowym pasażerom albo gościom linii lotniczych. Ten pomalowany był w barwy lotowskie. Miał nawet małe logo Star Alliance i jedna tylko rzecz różniła go od typowych liniowców LOT-u. Z boku kadłuba ktoś niezdarnie wydrapał kilka niewielkich liter.

ADRIAN.

– To pan? – Oleszczuk dotknął napisu i przejechał po nim palcem, a ja niemal poczułem ten dotyk na sobie.

– Skąd mam wiedzieć? – Moje ciało zaczęło nagle ważyć kilka razy więcej i doznałem uczucia, jakby jakaś niewidzialna siła wciskała mnie w krzesło.

– Pan ma tak na imię – stwierdził major.

– Wiem – odparłem takim samym tonem, wpatrując się w zabawkę jak zahipnotyzowany.

Oleszczuk delikatnie przygryzł dolną wargę, przyglądając mi się uważnie. Potem wziął samolocik za tył kadłuba i podniósł go wysoko. Przez chwilę myślałem, że zechce nim się pobawić jak dziecko, które wydając buczenie,

unoszą go, a potem pozwala ręce opaść w wyimaginowanej trajektorii rodem z gier, niemającej nic wspólnego z rzeczywistością. Ale Oleszczuk opuścił rękę normalnie i zaczął kręcić samolocikiem w palcach, tam i z powrotem. Skrzydła rozmyły się w białawym wirze, potem zatrzymały i znów zakręciły, tym razem w drugą stronę, kiedy maleńki kadłub przetaczał się po palcu wskazującym.

– Pański brat, Kamil, miał to w szufladzie swojego biurka – powiedział major.

Wciąż nie mogłem oderwać wzroku od zabawki.

– Jaki był powód, że ABW grzebała w szufladzie jego biurka? – zapytałem.

– Przełożeni mają prawo wglądu w stanowisko pracy swojego pracownika, to chyba normalne. Ach, nie wspomniałem, że to było biurko w jego miejscu pracy.

– I znalezienie tam zabawki musi być od razu powodem powiadomienia ABW? Prawo zabrania trzymania w biurku takich rzeczy?

Oleszczuk zamrugał gwałtownie, a kącik jego ust powędrował leciutko do góry.

– Chce mi pan powiedzieć, że nie ma pan pojęcia, co brat robił w życiu? Gdzie pracował?

Milczałem, pełen najgorszych przeczuć. Na twarzy Oleszczuka malowało się niebotyczne zdziwienie.

– Nie wie pan, że był funkcjonariuszem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego? – zapytał.

Zastygłem w bezruchu. Nagle poczułem, że mój mózg jest wyjąłowiony z myśli o czymkolwiek i kimkolwiek. Owszem, nie miałem pojęcia. Naprawdę nie wiedziałem, że mój brat pracował w ABW. Nic dziwnego; przecież nie wiedziałem o nim prawie niczego. Poczułem, że zasycha mi w gardle, a kiedy usiłowałem przełknąć ślinę, przyschnięty język tylko lekko drgnął, lecz nie dotknął ściany gardła, by ją zwilżyć.

– Co to znaczy „był”? – zapytałem, kiedy odzyskałem już głos.

– Tak mi się powiedziało – wycedził Oleszczuk. – JEST pracownikiem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Jak na razie, formalnie rzecz biorąc, faktycznie wciąż nim jest...

– To jakiś dowcip?

– Nie. Żarty odkładamy na bok, panie Adrianie, bo tu nie ma na nie miejsca. Więc jak? – Podstawił mi samolocik niemal pod sam nos. – Pan, czy nie pan?

– Pewnie ja. – Potarłem skroń i pod opuszkami palców poczułem tętent krwi w nabrzmiąłych pod skórą żyłach. – Tylko co to ma oznaczać?

– Nie domyśla się pan?

– Nie. – Miałem nadzieję, że wzruszenie ramionami wystarczy; że Oleszczuk nie będzie ode mnie wymagał pełniejszej odpowiedzi.

Mylilem się.

– Na pewno?

Spojrzałem mu w twarz.

– Czego pan ode mnie oczekuje; mam teraz powiedzieć, że kłamałem? Że się jednak domyślam? Będzie pan pytał, aż uzyska satysfakcjonującą odpowiedź?

– Dlaczego akurat samolot?

Znowu mnie zatkało. Przez głowę przeszła mi myśl, że wszystko, co działo się w tym pokoju, zakrawa na jakiś ponury żart, nawet pomimo deklaracji Oleszczuka sprzed chwili.

– Nie rozumiem. – Ponownie wzruszyłem ramionami. – Skoro Kamil był pracownikiem ABW, to musieliście go prześwietlić. Chce mi pan wmówić, że umknęło wam... coś takiego?

– Chciałbym usłyszeć to od pana, niezależnie od tego, czego dowiedzieliśmy się sami i co opowiedział nam o tym pański brat, a co jest w jego teczce personalnej. Słucham.

Poczułem, jak oblewa mnie fala gorąca. Kiedy miałem mówić o tym, co sprawiło, że moje życie wyglądało tak, jak wyglądało, zaczynałem się niemal trząść i na przemian oblewałem się zimnym potem albo odczuwałem uderzenia tych cholernych fal gorąca, które sprawiały, że czerwieniłem się jak panna na balu. To siedziało we mnie tak głęboko, że nie było możliwości, bym się tam dokopał. Nie sam. A kogoś innego nie chciałem prosić o pomoc. Nawet Laury.

– Mój ojciec zmarł w dziewięćdziesiątym trzecim roku na pokładzie samolotu lecącego do Lizbony – powiedziałem w końcu powoli. – To jedyny związek, jaki widzę w tej sprawie. Nie, jest jeszcze drugi. Praca. Jak się właśnie okazało, przykład ojca nie nauczył mojego brata niczego...



Wciąż jak zahipnotyzowany wpatrywałem się w modelik.

– Uhm... – Oleszczuk siedział bez ruchu na krawędzi stolika i z kolei wpatrywał się we mnie.

– To wszystko. – Wzruszyłem ramionami.

– Wszystko?

– Tak, wszystko.

– Pana ojciec był funkcjonariuszem służb...

– Zgadza się, był etatowym pracownikiem Zarządu Wywiadu Urzędu Ochrony Państwa. To bardzo stresująca praca, więc nic dziwnego, że w wieku czterdziestu sześciu lat dopadł go zawał...

– Skąd pan wie, że ta praca jest stresująca?

– Umarł podczas podróży służbowej. A skoro został do tej pracy przyjęty, zakładam, że przeszedł wcześniej szczegółowe badania lekarskie, które wykluczyły wrodzoną wadę serca lub jego chorobę. Zatem wnioski nasuwają się same.

– Bardzo przeżył pan jego śmierć? – Pytanie było zadane dokładnie takim samym tonem jak poprzednie.

Ton odpowiedzi, jakiej udzieliłem, różnił się od wcześniejszego.

– A jak pan myśli, panie majorze? – Zdobyłem się na sztuczny uśmiech.

To był nieokreślony grymas dolnej części twarzy, który naśladował uśmiech wyłącznie z powodu uniesienia kącików ust. Oczy nie brały w tym udziału. Nie musiałem mieć przed sobą lustra, żeby to wiedzieć.

– Ja nie jestem tu po to, żeby się czegoś domyślać. Ja pytam, pan odpowiada. Na tym to polega, rozumie pan?

Wbiłem wzrok w ścianę za Oleszczukiem. Oklejona raufazą w nieokreślonym kolorze przypominała usianą węgami skórę trupa.

– Przeżyłem śmierć ojca tak bardzo, jak tylko może przeżyć ją wrażliwy trzynastolatek – odparłem twardo. – Choć mojego taty prawie nigdy nie było w domu i można powiedzieć, że w związku z tym prawie go nie znałem, i tak był to dla mnie cios, po którym chyba nie podniosłem się do dziś. Rozumie pan, co mam na myśli, panie doktorze?

Oleszczuk nie zareagował na zaczepkę.

– A pana brat? Jak on to przeżył? – zapytał spokojnie.

– Inaczej – odparłem. – Po swojemu. Ja byłem zrozpaczony, on wściekły. Ja zamknąłem się w sobie, on o wszystko pytał. Ja uciekłem w świat

książek i filmów, on w łobuzerkę. Co prawda nigdy nie miał kłopotów z prawem, ale lubił znikać z domu. Nocował w namiocie w lesie, wyjeżdżał na jakieś wyprawy stopem, nic nie mówiąc matce, zostawiał mi tylko krótkie liściki. Już w szkole średniej praktycznie straciliśmy ze sobą kontakt, zresztą chodziliśmy do innych szkół, ja do liceum, on do technikum. Kiedy on robił maturę, ja już studiowałem. Po maturze Kamil zniknął. Słyszałem, że poszedł do wojska, a po wojsku zamieszkał w Warszawie, to powiedział matce. Kiedy umarła, nic nikomu już nie mówił. Tak więc nie wiem, co się z nim działo później. Nie wiedziałem do dziś dnia. Wystarczy to panu?

Oleszczuk kołysał się na krawędzi stolika, milcząc przez chwilę.

– Na razie wystarczy – mruknął.

Zapadła chwila ciszy. Słyszać było jedynie ciche brzęczenie czyjejs komórki, dochodzące zza ściany, a potem krótkie, niezrozumiałe słowa wypowiedziane nieznoszącym sprzeciwu tonem.

– Powie mi pan, o co chodzi z Kamilem? – zapytałem w końcu.

To imię zabrzmiało mi w ustach i uszach obco. Od lat nie mówiłem ani nie myślałem o swoim bracie inaczej niż „mój brat” albo „on”.

– Powiem...

Major popatrzył przez chwilę w ścianę, jakby bił się z własnymi myślami albo zastanawiał się, jak zacząć, a potem wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki telefon z nadgryzionym jabłkiem błyszczącym z tyłu obudowy.

– Wie pan, co to jest? – zapytał, podstawiając mi go niemal pod sam nos, jak przed momentem zabawkowy samolot.

– To jest iPhone – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Zgadza się. – Major pokiwał głową. – iPhone... Stary dobry Apple, prosto z Kalifornii, technologia z Doliny Krzemowej, dobrze mówię? – Zerknął na mnie z lekkim rozbawieniem.

– Wyczuwam jakąś pułapkę.

– I słusznie. W piętnastym wieku Europejczycy zaczęli kolonizować świat. Odkrywali kolejne, nieznane do tej pory lądy i brali je w swoje posiadanie: krzyżem, ogniem i mieczem. Przez następne czterysta lat wysysaliśmy z tych lądów złoto, srebro i diamenty, później rudy, metale ziem rzadkich, eksploatowaliśmy ziemię i ludzi, a potem, jak już niemal nic nie zostało, wspaniałomyślnie daliśmy im niepodległość i pozwoliliśmy bawić się we

własne gry i zabawy, jeszcze bardziej krwawe, niż urządzaliśmy im my, biali. A teraz Chińczycy robią to samo, ale bez krzyża, ognia i miecza. Zamiast tego mają pieniądze, które zarobili na nas. Opanowują świat. Nasz świat. Nie zagraża nam ISIS, islam, Rosja czy Korea Północna, tylko Chiny, panie Adrianie.

– Jest pan sinofobem, panie majorze – stwierdziłem, patrząc Oleszczukowi prosto w oczy. – Mówił to już panu ktoś?

Ten uśmiechnął się lekko, ale z wyższością.

– Nie mam na myśli hord najeźdźców wyrzynających europejskie narody w pień. To nie tak. Oni nie muszą nas wyrzynać, ba, to byłoby nawet wbrew ich interesom. Bo będą nas potrzebować. Naszych fabryk, kopalń i hut, naszych rąk do pracy. Oni przywiozą tylko swoją kadrę kierowniczą i menedżerów. To jak epidemia, rozumie pan? Trochę jak niezłośliwy nowotwór. Ich nie interesuje Bóg, w jakiego wierzymy lub nie. To dla nich nieistotne. Są cierpliwi. Ich cywilizacja trwa od tysięcy lat. Każda zachodnia kultura: grecka, rzymska, jakakolwiek, trwała zaledwie kilkaset, nawet niech będzie te parę tysięcy lat, jak egipska, ale ginęła w końcu pod ciosami barbarzyńców. Potęgi rodziły się i upadały. W czasach nowożytnych o tej skali czasu nawet nie ma co wspominać. A oni? Nikt nigdy ich nie podbił, bo to oni podbijali...

– Mongołowie i Japończycy ich podbili – zauważyłem.

– To drobiazg wobec tych tysięcy lat nieprzerwanego trwania cywilizacji chińskiej. – Oleszczuk machnął ręką. – Oni robią swoje. Od zawsze. To specyficzny naród. Ci ludzie są jak mrówki, a ich kraj jest jak mrowisko. Wszystkie mrówki pracują na rzecz tego mrowiska, jedne wytwarzają dla jego mieszkańców pokarm, inne czuwają nad jego bezpieczeństwem, a jeśli przy tym zginie choćby i milion mrówek, nikt się tym nie przejmuje. A dlaczego? Bo wciąż pozostaje dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć milionów innych mrówek, które dalej będą robić to samo. Proszę zobaczyć, jak niewielu używamy w życiu codziennym rzeczy, które nie byłyby wyprodukowane w tym kraju. Te przedmioty mają logo i nazwy amerykańskich i europejskich firm, ale wytworzono je w Chinach, a nie w Ameryce czy Europie. – Podniósł iPhone i pokazał jego tył. – Kiedyś wystarczyło zwykłe „Made in”, dziś mamy „Designed by Apple in California”, ale „Assembled in China”. Jeździmy chińskimi samochodami,

dzwonimy z chińskich telefonów, oglądamy filmy na chińskich telewizorach, dajemy dzieciom chińskie zabawki. I nie wiemy, co tam wsadzili: małeńki układ, który zbiera informacje. Położenie. Czas działania. Dźwięki. Obrazy. Z pozoru nieistotne, jako pojedyncze nic nikomu nie dadzą, ale kiedy zbierze się miliony takich informacji do kupy, mamy już obraz całości. Ilość: o to chodzi. Tak też doszli do potęgi: milionami par rąk. Zręcznych i karnych. A że kradną i zrzynają technologie? Każdy tak robi. Tak się rodzi postęp: bazujesz na tym, co ktoś wcześniej zrobił, a ty to tylko albo aż ulepszasz. Granice nie mają znaczenia: liczy się własny naród, własna rasa, dla własnego dobra gotowi są zrobić wszystko. Postęp. Trwanie. Dominacja, by to trwanie przedłużyć. Mrowisko. Kropla draży skałę, panie Adrianie. Chińskie krople zdążyły wydrążyć już kanion, którym technologie płyną na Daleki Wschód, ale trwało to tak długo, że nikt w zasadzie nie zwrócił na to uwagi. Obudziliśmy się w tym kanionie, obudziliśmy się z ręką w nocniku, ale tych, którzy już nie śpią, jest tak naprawdę niewielu. Wciąż prawie nikt nie chce uwierzyć w to, co się dzieje. Wolimy śnić, że wszystko jest w porządku. Wolimy udawać, że kanion jest drobnym wyżłobieniem. Mówimy: dziś świat to globalna wioska i takie jest prawo rynku, że im taniej coś wyprodukujesz, tym więcej zarobisz na sprzedaży. Racja. Wrzeszczymy, że Facebook czy Google kradną ludziom życie. Też racja, ale to nie do końca tak. To albo ślepotą, albo co gorsza mydlenie oczu i odwracanie uwagi od prawdziwego problemu, od jego istoty. Bo gra toczy się pod stołem. Poza oczami opinii publicznej, poza wścibskimi mackami Human Rights Watch, WikiLeaks i tak dalej. To brudna gra, gdzie stawką jest przyszłość świata, jakkolwiek głupio i górnolotnie by to zabrzmiało. I jakiś czas temu okazało się, że pana brat jest jednym z uczestników tej gry...

– Słucham?

– Czy wie pan, co to jest grafen?

– Każdy wie, co to jest grafen.

Chciałem o coś zapytać, ale nie zapytałem, tylko podałem odpowiedź na zadane pytanie. Walczyłem ze sobą: z jednej strony chciałem złapać tego człowieka za koszulę, potrząsnąć nim i wrzasnąć, żeby natychmiast powiedział mi, co miał na myśli, mówiąc o Kamilu, a z drugiej... Z drugiej strony czułem, że nie chcę tego usłyszeć. Że nie jestem na to gotowy. Że się

tego cholernie boję. Że tak naprawdę głównie mnie to obchodzi, wszystko: to, co Oleszczuk ma do powiedzenia o moim bracie, Chińczycy oraz mój brat we własnej osobie. On obchodził mnie w tym wszystkim najmniej. Dlatego właśnie wydukałem, że wiem, co to takiego grafen. Po prostu odkładałem nieuniknione jak najdalej w czasie.

– Aha, czyli pan nie wie – stwierdził Oleszczuk.

Nie miałem siły protestować. Major westchnął.

– Grafen to struktura złożona z atomów węgla – zaczął tonem nauczyciela z wieloletnim stażem, co roku opowiadającego to samo kolejnym rocznikom. – Jest praktycznie dwuwymiarowa, czyli ma grubość jednego atomu. Posiada fantastyczne właściwości w wielu aspektach, to przyszłość elektroniki, ochrony środowiska, wojskowości, długo by wymieniać. Na przykład Novak Djoković wygrał kilka lat temu Australian Open właśnie dzięki grafenowej rakiecie.

– Sądzę, że Djoković wygrałby i bez tej rakiety – wtrąciłem i dodałem po chwili: – Czyli grał dwuwymiarową?

Oleszczuk zmrużył lekko oczy.

– Nieważne, to tylko przykład zastosowania. W skrócie i dużym uproszczeniu: dziś problemem nie jest samo wytworzenie grafenu, ile wytworzenie go po pierwsze tanio, a po drugie, w wielkoformatowych płytach, które mogłyby wtedy służyć czemuś więcej niż tylko badaniom nad właściwościami tego materiału, do czego wystarczą małe arkusze. Nie będziemy się zagłębiać w szczegóły techniczne, ja zresztą też ich nie znam, w każdym razie istnieje już kilka metod wytwarzania, ale żadna z nich nie spełnia obu kryteriów naraz: albo jest cholernie droga, albo grafen nie jest idealny. Tak się składa, że polscy naukowcy mają na tym polu ogromne osiągnięcia. Są jak do tej pory najbliższe znalezienia idealnej formuły...

– Czytałem o tym w „Newsweeku” – bąknąłem.

– Ja też. – Oleszczuk się uśmiechnął. – Ale w „Newsweeku” nie napisali wszystkiego. Pojawiły się pewne problemy natury, rzekłbym, politycznej...

– Jakoś mnie to nie dziwi – znów wtrąciłem.

– Skończymy szybciej, jeśli pozwoli mi pan dokończyć, dobrze? – zaproponował Oleszczuk.

Przyjąłem tę propozycję leniwym skinieniem głowy.

– Cieszę się. Otóż w wyniku zawirowań na wysokim szczeblu program

„Femto Carbon”, jak ochrzczono program badań nad tą strukturą, zaczął przechodzić obiektywne trudności. Formalnie wygląda to tak, że stworzeniem przemysłowej metody wytwarzania grafenu oraz jego komercjalizacji zajmuje się spółka o takiej właśnie nazwie należąca do Państwowej Grupy Zbrojeniowej i jeszcze jednej dużej polskiej spółki strategicznej...

– Miedziowego Kombinat Górnictwo-Hutniczego?

– Właśnie. PaGZ i MKGH kontrolują „Femto Carbon”, mają po połowie udziałów. Wpompowały w ten interes sporo pieniędzy. Bo oczywiście nie idzie tylko o prestiż, ale głównie o biznes. Te pieniądze w założeniu mają się zwrócić. W pewnym momencie okazało się jednak, że plany czynione przez ekonomistów nie za bardzo przystają do realnych efektów pracy naukowców. Czyli klasycznie, oczekiwania i wyniki nieco się rozminęły. Pojawił się też jeszcze jeden element, niebrany wcześniej pod uwagę, i teraz właśnie powiem panu, czemu służyła moja tyrada na temat Chińczyków i ich roli we współczesnym świecie. Otóż oni również maczają swoje małe, żółte paluszki w grafenie, panie Adrianie. Co prawda również nie umieją go wytwarzać skutecznie, ale są najbliższą ze wszystkich.

– Przed chwilą powiedział pan, że to my jesteśmy najbliższą?

– Tak powiedziałem. Bo tak jest, ale teoretycznie. I tu właśnie mamy kolejny zgrzyt, tym razem między teorią a praktyką. A dlaczego? Bo oni mają gotowe zakłady produkcyjne. Mają wyszkolony personel. Mają wszystko, czego potrzeba do wytwarzania grafenu na skalę przemysłową. I czekają. Czekają, bo nie mają tylko formuły. A u nas odwrotnie: mamy formułę, prawie, ale nie mamy zakładów, które mogłyby ją wykorzystać do produkcji. Powiem po piłkarsku: z grafenowej czołówki, z podium Ligi Mistrzów, spadliśmy do polskiej okręgówki, choć to my mamy jedyną piłkę, którą da się grać. I co? Gówna. A teraz tracimy i tę piłkę. Nawet ją...

– A bez metafor?

Oleszczuk spojrzał na mnie smutno.

– Ma ją teraz pański brat. Tylko że my nie wiemy, z kim on gra. W której drużynie, rozumie pan?

– Nie bardzo. Nie przepadam za futbolem, może dlatego te piłkarskie przenośnie do mnie nie przemawiają...

Major jakby nie słyszał.

– Kilka tygodni temu zginął pewien naukowiec z Politechniki Warszawskiej. Jak pan zapewne się już domyśla, był zaangażowany w program. Pracował w Państwowym Instytucie Zastosowań Elektronicznych w Warszawie, który badał własności grafenu na zlecenie „Femto Carbon”. Zespół naukowców próbował opracować opłacalną metodę jego wytwarzania. Profesor Zajmert był kierownikiem zespołu, który się tym zajmował, był również członkiem zarządu „Femto Carbon”. Bardzo ustosunkowany człowiek, a równocześnie niezły naukowo, co podobno nie jest takie oczywiste w tym światku. W każdym razie został zamordowany.

– A wyniki badań zniknęły?

– Owszem. Domyślny pan jest.

Spróbowałem się roześmiać. Coś jednak sprawiało, że nie potrafiłem.

– Brzmi jak w taniej powieści szpiegowskiej, wie pan? – powiedziałem, kręcąc głową. – Czytywałem takie, kiedy byłem chłopakiem.

Oleszczuk za to był śmiertelnie poważny.

– Wszystkie materiały stanowiące dokumentację badań i będące efektem prac tego zespołu objęte były klauzulą niejawności najwyższego stopnia. Wszyscy członkowie zespołu podlegali poszerzonemu postępowaniu sprawdzającemu i uzyskali odpowiednie poświadczenie bezpieczeństwa. Wdrożono restrykcyjne procedury wytwarzania i obiegu dokumentacji, zarówno w wersji papierowej, jak i elektronicznej. Cały ten cyrk z grafenem to sprawa najwyższej wagi państwowej, podlegająca ochronie z punktu widzenia istotnego interesu ekonomicznego państwa. To nie tania sensacja, panie Adrianie. To kwestia przewagi ekonomicznej i strategicznej. To jak wyścig atomowy w latach trzydziestych i czterdziestych. Jak gwiazdne wojny z lat osiemdziesiątych, ale nie te filmowe; mówię o kosmicznym wyścigu zbrojeń między USA a ZSRR. Kto wygra taki wyścig, wygra wszystko.

– Gwiazdne wojny były oszustwem Reagana...

– Co z tego? Ruscy utopili miliardy rubli w czymś, co nie miało prawa istnieć i przegrali. Ich gospodarka nie dźwignęła tego, a Amerykanie uzyskali zamierzony efekt. Z grafenem sprawa wygląda nieco inaczej. Grafen to nie mrzonka: grafen jest realny, a badania potwierdziły wszystkie jego teoretyczne właściwości. Niemal cudowne właściwości...

Nie miałem ochoty dłużej słuchać wykładu Oleszczuka na ten temat.

Nurtowało mnie coś o wiele poważniejszego, przynajmniej dla mnie, i liczyłem, że on to zrozumie.

– Co miał z tym wszystkim wspólnego mój brat?

– Pański brat pracował w „Dojebie”. Tak nazywaliśmy u nas Departament Ochrony Ekonomicznych Interesów Państwa. Ta sekcja została jakiś czas temu zlikwidowana i pozostawiam to bez komentarza, teraz zajmuje się tym departament Zwalczania Terroryzmu i Zagrożeń Strategicznych. Kapitan Wicha jako funkcjonariusz departamentu siódmego odpowiadał za program w aspekcie ochrony kontrwywiadowczej. To on od dwa tysiące dwunastego, od chwili stworzenia z naukowców Politechniki Warszawskiej zespołu PIZE, kontrolował procedury. Wszystkie.

– Uhm... To chyba się nie sprawdził z tą ochroną, skoro ktoś zamordował tego profesora od grafenu?

Oleszczuk wzruszył ramionami.

– Można tak powiedzieć. – Jego ton był raczej obojętny. – W końcu jest podejrzany o to zabójstwo.



#### 4.

Usiłowałem wyglądać normalnie. Przychodziło mi to z trudem, w końcu nie co dzień człowiek dowiaduje się, że jego brat zamordował człowieka. A przynajmniej jest o to podejrzewany.

– Lis w kurniku, co? – zapytałem.

– Takie przyjęto założenie. Danych z badań nie przechowywano oczywiście gdzieś w chmurze, tylko na specjalnie zabezpieczonym, przeznaczonym wyłącznie do tego komputerze. Dane były szyfrowane i zabezpieczone przed nieautoryzowanym skopiowaniem na urządzenie zewnętrzne. Komputer miał system RAID, czyli kilka współpracujących między sobą dysków, w tym wypadku były dwa. Zwiększa to wydajność i znacznie zmniejsza ryzyko awarii i utraty danych. Na wszelki wypadek jednak co tydzień kopiowano całość z aktualnymi danymi na dysk zewnętrzny, przechowywany w sejfie, do którego dostęp miał tylko profesor Zajnert i kapitan Wicha. I oba dyski z komputera, na których były identyczne dane, bo na tym to mniej więcej polega, zostały wymontowane i zniknęły razem z pańskim bratem.

– A ten zewnętrzny?

– Znalaziono go w słoju z kwasem solnym w jednym z laboratoriów. Oczywiście, do niczego się już nie nadawał.

– Na jakim etapie były badania?

– Nie można powiedzieć, że Zajnert je zakończył, i to z sukcesem. Pełnym sukcesem. Jednak stopień ich zaawansowania był tak daleki, że przy odpowiednich nakładach finansowych i zapleczu technologicznym ich dokończenie jest kwestią niezbyt odległej przyszłości. Nie muszę dodawać, kto dysponuje takim zapleczem...

– Dlaczego upiera się pan tak przy tych Chińczykach?

– Nie bez powodu. Nikt o tym nie wie, bo zadbaliśmy o dyskrecję i nic nie wyciekło do prasy... Jeden z członków zespołu, młody adiunkt na

politechnice, został aresztowany w związku z podejrzeniem o utrzymywanie kontaktów z chińskim wywiadem. Asystent profesora Zajnerta, zresztą jego dawny doktorant. Nazywa się Cwynar, Dariusz Cwynar. Ma również związek z zabójstwem Zajnerta.

– Przed chwilą powiedział pan, że podejrzany o to zabójstwo jest Kamil.

– Owszem.

– To czemu aresztowano tego Cwynara?

– O to proszę pytać prokuratora, nie mnie. To prawda, są pewne poszlaki wskazujące na udział tego człowieka w zabójstwie, ale podkreślam: tylko poszlaki. No i był dostępny, że tak powiem, w przeciwieństwie do pańskiego brata, który zniknął. Sam pan wie, że w sprawach politycznych często chwyta się wszystko, co jest pod ręką i nie ucieka. Dodam też, że jeśli chodzi o współpracę z Chińczykami, to tu ABW dysponuje czymś więcej niż poszlakami. Tak czy siak siedziałby do wyjaśnienia sprawy.

– Rozumiem, podejrzewa pan Kamila o zdradę? O sprzedaż tajemnicy państwowej służbom obcego wywiadu, tak?

– Szczerze mówiąc, trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Nie wykluczam tego, ale pański brat nie zachowuje się tak, jak zachowywali się zwykle inni w takiej sytuacji. Próbowali zniknąć, często znikali, a w końcu odnajdywali się gdzieś po drugiej stronie. Kapitan Wicha zniknął, ale... – Oleszczuk wydał policzki i pozwolił, żeby powietrze uszło z nich powoli; trwało to kilka sekund, które chciał chyba wykorzystać do namysłu. – On zostawia znaki. Czytelne wyłącznie dla pana.

– Jakoś nie mieliście problemu z samolocikiem?

– Z samolocikiem nie. – Oleszczuk dotknął palcem boeinga stojącego samotnie na blacie, jak izraelski airbus w najodleglejszej części lotniska w Entebbe. – Ale z delfinem już mamy.

– Z jakim delfinem?

Oleszczuk ponownie sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął z niej coś niewielkiego.

– Z takim. – Podał mi niewielki przedmiot, który z zaskoczeniem rozpoznałem już na pierwszy rzut oka.

– Biały delfin Um – stwierdziłem.

– Wiem. Może nie wyglądam, ale też byłem kiedyś mały.

– Nie rozumiem. – Oddałem Oleszczukowi gumowy breloczek na krótkim

łańcuszku z zawieszka.

– Ja też nie. Był przyczepiony do samolociku. Wiemy tylko, a w zasadzie podejrzewamy, że to też znak, ale już dla pana. Kapitan Wicha bawi się z nami w dziwną grę, w którą z jakichś powodów wciągnął swojego brata. Dlatego osobiście nie spisywałbym go jeszcze na straty. Tak nie zachowuje się ktoś, kto po prostu ukradł dane dotyczące cennej technologii i szuka kogoś, komu mógłby to opchnąć. Tu się dzieje coś dziwnego...

– Ma pan jakieś przypuszczenia?

– Owszem. Skoro kapitan Wicha wciąga w to pana, oznacza to niechybnie, że nie ufa nikomu z nas. Absolutnie nikomu. I to też jest dziwne. – Wzrok Oleszczuka zmętniał.

– Bo przecież Agencja jest dla niego jak matka?

– Niech się pan nie wygłupia, dobra? – Major drgnął jak wybudzony z drzemki i spojrzał na mnie ostrzej. – Wie pan, jak najłatwiej namierzyć szpiega?

– Nie wiem.

– Mówię oczywiście w uproszczeniu. To zawsze jest długi proces, dowody są zwykle nikłe, ale chodzi mi o to, jak zwykle pojawiają się podejrzenia w stosunku do tych, którzy przeszli na drugą stronę.

– Wciąż nie wiem. – Pokręciłem głową.

– Forsa. Na palcach jednej ręki mogę policzyć sytuacje, w których zdrajcy działali z pobudek innych niż finansowe. Przekonania polityczne, zemsta i tak dalej... Na przykład jeden z tych palców nazywa się pułkownik Kukliński. Ale prawie zawsze chodzi o pieniądze, panie Adrianie. Tak jest od zarania dziejów. I kiedy sprawdzamy ludzi, na tej części skupiamy się najbardziej. Wydaje więcej, niż zarabia? Już jest podejrzany...

– Dziewięćdziesiąt pięć procent Polaków żyje, wydając więcej, niż zarabia. – Nie mogłem się powstrzymać.

– A pan znów swoje... Powtarzam, zostawmy politykę. Nie mówię też o zwykłych przestępcach w białych kołnierzykach i ich przekrętach finansowych. Mówię o mojej branży. Tak wpadała większość szpiegów zwербowanych przez obce wywiady. Przez wydatki. Przez forszę, której pochodzenia nie umieli udokumentować. A tak naprawdę wpadali przez głupotę. Chyba najlepszym przykładem może być Aldrich Ames, pracownik CIA, szef wydziału kontrwywiadu na Rosję i Europę Zachodnią, szastający

forsą jak gwiazda filmowa.

– Rozumiem, że Kamil też wydawał więcej, niż zarabiał?

– No właśnie nie. – Oleszczuk zmrużył oczy. – On pod tym względem był czysty jak łąza. Żył skromnie. Żył pracą. Nie można mu niczego zarzucić. Niczego.

– Konto w zagranicznym banku? – zasugerowałem.

– Ma nas pan za idiotów? – Uśmiechnął się krzywo. – Nie miał takiego. Gdyby miał, dotarlibyśmy do niego. Dziś nie da się nie zostawić śladów, rozumie pan?

– Może jemu to się jednak udało?

– Nie. Pomińmy tę kwestię. – Oleszczuk zerknął na zegarek. – Musimy na razie kończyć. Wszystko, co pan tu usłyszał, jest ściśle tajne, ujawnienie choćby drobnych szczegółów osobom postronnym grozi sankcjami przewidzianymi w kodeksie karnym. Jako prawnikowi nie muszę tego panu tłumaczyć, prawda? Będziemy jeszcze mieli mnóstwo czasu na rozmowy, ale teraz zawiozę pana do domu.

Też spojrzałem na zegarek.

– Do pracy, nie do domu – poprawiłem go. – I mogę pojechać tramwajem, nie ma sprawy.

Oleszczuk spojrzał na mnie wzrokiem lekarza informującego pacjenta o złych wynikach badań. O bardzo złych wynikach.

– Obawiam się, że nic z tego, panie Adrianie. Na razie nie będzie pan chodził do pracy. Na jakiś czas musi pan zniknąć. Pana przełożeni zostali już poinformowani o nagłej sytuacji, oczywiście bez szczegółów, jedynie w niezbędnym zakresie. Teraz zawiozę pana do domu, żeby się pan spakował. O czternastej z minutami mamy pociąg do Warszawy.

\* \* \*

Jechaliśmy przez miasto w milczeniu. Odkąd Oleszczuk oznajmił mi, że nieprędko wrócę do pracy i w ogóle do domu, nie odezwałem się do niego. Przez cały ten czas myślałem o Laurze. Jak jej to powiem i co jej w ogóle powiem. Jak można wyjaśnić komuś coś takiego? I jak można to zrobić, skoro właśnie nie można?

Na Konopnickiej byliśmy kwadrans później. Kiedy podjechaliśmy pod budynek, w którym mieszkałem, obaj z Oleszczukiem wysiedliśmy,

a kierowca został w samochodzie.

– Poczekam na zewnątrz. – Oleszczuk wyciągnął z kieszeni elektronicznego papierosa. – Proszę spakować trochę rzeczy, ale bez przesady. Jakby co, kupimy panu to, co potrzeba. Nie ma aż takiego pośpiechu, ale niech się pan nie grzebie za długo, dobrze? Powiedzmy kwadrans, no, dwadzieścia minut. Wystarczy?

Skinąłem głową i sięgnąłem do teczki po klucze. Drzwi do klatki schodowej były otwarte, bo właśnie ocieplano elewację i na czas remontu wymontowano domofon. Wszedłem na górę, powłócząc nogami jak skazaniec prowadzony na szafot. I tak się czułem. W mieszkaniu odłożyłem teczkę na szafkę na buty i poszedłem do sypialni. Stałem na środku, a potem nagle i niemal bez zastanowienia wyciągnąłem z szafy walizkę i zacząłem wypełniać ją ubraniami. Później poszedłem do łazienki i spakowałem kosmetyczkę. Zapinając ją, spojrzałem w lustro i zobaczyłem w nim swoją wymizerowaną twarz. Nie miałem ochoty na nią patrzeć, za to przyszło mi do głowy, żeby zostawić Laurze jakąś informację. List pożegnalny. Kilka słów od męża do żony. Przechodząc do kuchni, wrzuciłem kosmetyczkę do leżącej na podłodze otwartej walizki, następnie podszedłem do blatu i wtedy zobaczyłem kartkę, którą wczoraj pod biblioteką wyjąłem z książki.

List od Kamila.

Tekst jakimś cudem zniknął, zamiast niego na środku arkusza czerniał niewielki prostokąt. Wziąłem papier do ręki i dopiero teraz zwróciłem uwagę na to, jaki jest cienki i gładki. Przypominał trochę ten, na którym drukuje się paragony. Podniosłem paperek i spojrzałem na niego pod światło wpadające przez okno, ale nie było nawet śladu liter. Znów zacząłem zastanawiać się, jakim cudem zostałem czytelnikiem miejskiej biblioteki publicznej, jak wypożyczyłem jedną książkę i zamówiłem drugą, nie mając o tym pojęcia. I nagle coś mi przyszło do głowy. Rzuciłem bluzę na łóżko i sięgnąłem do kieszeni po telefon. W internecie znalazłem numer telefonu do filii biblioteki publicznej i zadzwoniłem tam. Telefon odebrała ta sama dziewczyna, która dała mi książkę.

– Dzień dobry, dzwonię w takiej sprawie: nazywam się Adrian Wicha i wczoraj odebrałem zamówioną książkę, Grishama.

– Taak?

– Tak. Chciałbym się dowiedzieć, kiedy została zwrócona przez osobę, która wypożyczyła ją wcześniej. Rozumiem, że jest RODO i tak dalej, ale ja nie chcę znać nazwiska, tylko datę zwrotu. Może pani to dla mnie zrobić?

– Oczywiście...

Usłyszałem ciche klikanie w klawiaturę i jakieś głosy w tle. Kilkanaście sekund później dziewczyna się odezwała:

– Książkę zwrócono tydzień wcześniej. Od razu trafiła na półkę z zamówieniami.

– Dziękuję pani serdecznie...

– A jeśli chodzi o nazwisko... – przerwała mi rozbawionym i równocześnie lekko zdziwionym tonem – ...to myślę, że w tym wypadku RODO nie obowiązuje...

– Co pani ma na myśli?

– Nie wiem, o co chodzi, ale osobą, która zwróciła książkę, był pan. Do widzenia.

Bezwiednie opuściłem rękę, w której trzymałem telefon. Teraz wszystko miało jeszcze mniej sensu niż minutę wcześniej. Stałem tak na środku sypialni z kłębiącymi się pod czaszką myślami, kiedy nagle do mieszkania wszedł Oleszczuk. Zobaczył mnie od razu.

– Z kim pan rozmawiał? – spytał ostrym tonem.

Wzruszyłem ramionami.

– To moja prywatna sprawa. Mam zakaz rozmów telefonicznych?

Oleszczuk westchnął.

– Nie, ale wolałbym, żeby od tej pory informował mnie pan o tym, do kogo chce dzwonić, a także ograniczył te rozmowy. W zasadzie proszę, żeby pan do nikogo nie dzwonił...

– Słucham?

– Ja wiem, że osobie zupełnie niezwiązanej z moją branżą trudno zrozumieć pewne rzeczy, ale proszę od tej chwili bezwzględnie stosować się do moich poleceń czy też próśb. To nam naprawdę ułatwi współpracę. Tak więc ja o to proszę, a nie zakazuję.

– Wymowa za każdym razem jest jednoznaczna – zauważyłem.

– Mimo to widzę tu jednak subtelną różnicę. Poproszę telefon. – Wyciągnął rękę, robiąc dwa kroki w moją stronę.

Ścisnąłem mocniej komórkę, ale po chwili wahania oddałem ją majorowi.

Opór na nic by się nie zdał.

Oleszczuk wziął ją, ale nie odsunął ręki.

– Proszę odblokować – polecił.

Przyłożyłem kciuk do Touch ID i ekran telefonu zajaśniał. Major kliknął w ikonkę połączeń.

– Dzwoniłem do biblioteki – bąknąłem.

Oleszczuk mimo to przyłożył telefon do ucha.

– Dzień dobry, przepraszam, gdzie się dodzwoniłem? – zapytał po chwili, potem popatrzył na mnie, kiwając głową. – Dziękuję, do widzenia.

Oddał mi telefon.

– Mogę wiedzieć, dlaczego dzwonił pan tam akurat teraz?

– Załatwiam sprawy, bo nie wiem, kiedy znów będę miał okazję. Nie chcę płacić kary za przetrzymanie książek. Wie pan, ile zarabiają urzędnicy?

– Wiem. – Zabrzmiało to jak szczeknięcie. Zerknął na zegarek i już ciszej mruknął: – Proszę dokończyć się pakować. Tylko najniezbędniejsze rzeczy. Za pół godziny musimy być na dworcu.

Zdążyliśmy. Za to zapomniałem zostawić Laurze list. Już na dworcu doszedłem do wniosku, że i tak nie wiedziałbym, co jej napisać, nawet gdybym mógł powiedzieć prawdę.

## 5. PKP Intercity, trasa Szczecin Główny–Warszawa Centralna, 23 października, godz. 19.25

Pociąg sunął gładko po torach, jednostajny szum przerywał co chwila stukot kół na złączach szyn i zwrotnicach. Od kilku minut byliśmy z Oleszczukiem w przedziale sami. Przez pierwsze trzy godziny nie odzywaliśmy się do siebie; gapilem się w okno, za którym przesuwały się pola, połacie lasów i zabudowania. Po jakimś czasie wieże kościołów zmieniły się z ceglanych na tynkowane i wkrótce dojechaliśmy do Poznania, gdzie dwójka naszych towarzyszy podróży wysiadła. Oleszczuk wyciągnął ze swojej torby półlitrową coca-colę i wypił ją całą, od razu. Zgniółł butelkę i wyrzucił ją do śmietniczka pod oknem.

– Czego tak naprawdę ode mnie chcecie? – zapytałem; zapytałem teraz, choć może powinienem zrobić to wcześniej, jeszcze w Szczecinie.

Byłem mistrzem w niezadawaniu pytań na czas. A przeważnie nie zadawałem ich wcale, jak Laurze.

Oleszczuk spojrzał na mnie pytająco.

– Przecież te znaki mógłbym odczytywać zdalnie – powiedziałem głośniejszym głosem.  
– Możecie przysłać mi zdjęcie, albo nawet sam przedmiot i też będzie dobrze.

– To zupełnie nie tak. – Uśmiechnął się do mnie wyrozumiale.

– Już wiem: chcecie, żebym przejął jego tożsamość. Żebym się pod niego podszył i znalazł te dyski czy cokolwiek, udając Kamila? – Oleszczuk wciąż patrzył na mnie spokojnie, więc podniosłem głos o jeszcze kilka decybeli. – Jesteśmy bliźniętami dwujajowymi, rozumie pan? Jestem do niego mniej podobny niż pan czy ktokolwiek inny. Umknęło to wam?

Major uśmiechnął się.

– Już? – zapytał.

– Co, już?

– Rozładował pan negatywne emocje?



Sapnąłem przez nos.

– Owszem. Trochę...

I to była szczerza prawda. Zbierały się we mnie od rana, a może i nie od rana, tylko od trzynastego roku życia.

– Dobrze. – Major pokiwał głową. – Naprawdę ma nas pan za idiotów?

– Nie. Ale zna pan zasadę, że współczynnik inteligencji tłumu wynosi tyle, ile najgłupszego z jego członków? Stąd moje wątpliwości, bo ja po prostu wiem, że ta zasada odnosi się również do instytucji państwowych i samorządowych.

– A skąd pan to wie?

– Pracuję w jednej. A resztę informacji wziąłem z gazet i telewizji.

– Tak... Rozumiem, że nie lubi pan polityków. Ja też za nimi nie przepadam.

– Ale politycy to właśnie pańscy szefowie. To oni decydują o wszystkim. Mianują ich i odwołują inni politycy. Przypadkowi ludzie o rozdętym do granic możliwości ego i chorobliwie przerośniętej ambicji, wciśnięci na te stanowiska przez takich samych przypadkowych ludzi o takich samych cechach. Stasiu, byłeś w wojsku? A co? Nic, trzeba by kogoś na ministra obrony narodowej dać. Jurek miał ojca wojskowego, to może jego? Ale ojciec Jurka przecież nie żyje? Wiem, dlatego Jurka dajcie... Umie w internety? To dajcie go na ministra cyfryzacji... I tak to się kręci.

Oleszczuk wyszczerzył zęby.

– Znów zapytam: ulżyło panu?

– Nie – odpowiedziałem znów zgodnie z prawdą i pociągnąłem nosem. – Tym razem nie, i obawiam się, że to u mnie stan chroniczny.

– Trudno, nie pomogę panu, zresztą nie jestem od tego. No dobra, ponarzekaliśmy sobie i skoro już jesteśmy przy tym temacie, to powiem panu jeszcze tylko, że za kilka dni będzie pan musiał zacisnąć zęby i przełknąć tę gorycz.

– Bo?

– Ma pan spotkanie z kimś ważnym.

– Z kim?

– Obawiam się, że tego nie mogę powiedzieć. Dowie się pan we właściwym czasie.

– Czyli?

- Kiedy zacznie się to spotkanie.
- Aha. Powie mi pan chociaż, po co się spotkamy?
- Ten ktoś chce pana poznać.
- Ale po co?
- Ta osoba chce zobaczyć na własne oczy człowieka, który będzie realizował jedną z najbardziej, hmm... nietypowych misji w historii naszych służb. Z wielu względów nietypową...
- Głównie z tego, że jestem do niej kompletnie nieprzygotowany?
- Zgadza się. – Oleszczuk pokiwał z przekonaniem głową. – Przede wszystkim z tego powodu.
- Chce obejrzeć dziwoląga?
- Mniej więcej. – Major obrzucił mnie taksującym spojrzeniem. – Jest pan jak kobieta z brodą albo bliźnięta syjamskie.
- O, to drugie porównanie było dobre – zauważyłem. – Czy to konieczne?
- Spotkanie? Owszem. Mamy mu powiedzieć, że pan się nie zgadza?
- Nie obraziłbym się.
- To było pytanie retoryczne, panie Adrianie. Przełożonym się nie odmawia, a ta osoba jest, że tak powiem z samego świecznika. A wracając do kwestii, jak pan to określił, podszywania się pod brata. Oczywiście, że nie o to chodzi. Chodzi o te znaki. Pójdzie pan za nimi, a my za panem. Taka jest intencja pańskiego brata, tak przynajmniej uważamy...
- Naprawdę myśli pan, że będę lojalny w większym stopniu wobec was niż wobec własnego brata?
- Nie wobec nas, tylko wobec kraju, którego jest pan obywatelem. Z tego tytułu ma się nie tylko przywileje, ale i obowiązki, i o tym też musi pan pamiętać. To po pierwsze. A jeśli chodzi o pańskiego brata... – Oleszczukowi wyrwało się coś w rodzaju fuknięcia – ...fakt, że nie wiedział pan o jego pracy w Agencji, chyba dobitnie świadczy o waszych wzajemnych relacjach. Mylę się?
- Wybaczyłem mu to fuknięcie, bo w jego oczach natychmiast pojawiło się coś w rodzaju poczucia winy, jakby się tego zawstydził. Obiektywnie rzecz ujmując, miał cholerną rację: nasze relacje z Kamilem nie istniały od lat. Jedyne, co nasz łączyło, to geny i wyłącznie geny.
- Skąd ta ważna osoba wie, że w ogóle zgodzę się to zrobić? – zapytałem.
- Pójść za znakami?

– Bo po prostu nie zakłada odmowy. Poza tym sporo nas kosztowało, żeby przekonać ją do tego pomysłu. A skoro już się zgodziła, to niedobrze byłoby, gdyby zmieniła zdanie.

– Dobrze, więc co to za misja? Do czego sprowadzi się w rzeczywistości podążanie za znakami?

– Nie potrafię panu jeszcze powiedzieć. Nie mam nawet stuprocentowej pewności, że chodzi o te znaki, choć wiele na to wskazuje. My po prostu robimy wszystko, żeby odzyskać efekty miesięcy, a nawet lat pracy i zminimalizować straty budżetu państwa. Ogromne straty. Decyzję o zaangażowaniu pana w tę sprawę podjęto w ścisłym kierownictwie służby, mimo wątpliwości prezentowanych przez niektórych ludzi współodpowiedzialnych za te działania.

– Pańskich wątpliwości również?

– Nie jestem w ścisłym kierownictwie ani nie podejmuję decyzji na tym szczeblu. Ja wykonuję rozkazy, a mój punkt widzenia nie ma tu nic do rzeczy.

– A tak z ciekawości, odpowie mi pan na to pytanie?

– Jakie to ma znaczenie?

– Dla mnie ma.

– Też mam wątpliwości. Ale jak już wspomniałem, ja tylko wykonuję rozkazy. Jak najlepiej potrafię. Więc zostawmy już ten temat i skupmy się na rzeczach ważnych. Myślał pan o tym delfinie?

– A, tak, myślałem.

– I co?

Uśmiechnąłem się do siebie w myślach i popatrzyłem Oleszczukowi prosto w twarz.

– Będziemy musieli wrócić do Szczecina...

– O co chodzi? – zapytał, ale widziałem, jak mięśnie wydatnych szczęk prężą się od zaciskania zębów.

– Um to tak naprawdę skrót.

– Skrót?

– Tak, od słów „umówione miejsce”. Kiedy w dzieciństwie któryś z nas znalazł albo dostał coś fajnego, co niekoniecznie nadawało się do pokazania rodzicom, gwizdał melodię z *Białego delfina Uma*.

– Skąd to znaleźcie? Nie jesteście za młodzi? To leciało na początku lat

osiemdziesiątych.

– Nie pamiętam tej bajki z dzieciństwa. Ale melodię znaleźliśmy. Kiedy ja albo Kamil zagwizdaliśmy ją temu drugiemu, to oznaczało, że jak najszybciej spotykamy się w umówionym miejscu, żeby coś obgadać albo zobaczyć. Takie dziecinne, braterskie zabawy. Chodziło o to, że nikt tego miejsca nie znał. Nikt nie wiedział, gdzie jest, ani nawet, że w ogóle istnieje. Było tylko nasze. To jeszcze było w czasach, kiedy mieliśmy sporo wspólnych rzeczy. Kiedy w ogóle mieliśmy ze sobą coś wspólnego...

Oleszczuk patrzył na mnie nieruchomym wzrokiem.

– Chryste, to jakaś dziecinada... Sądzi pan, że teraz coś tam ukrył? Dla pana? – zapytał.

– Tak myślę. A pan nie?

– To możliwe. Ale to miejsce funkcjonowało trzydzieści lat temu. Teraz może być tam budynek, parking, supermarket: cokolwiek.

– Nie ma niczego takiego. – Pokręciłem głową. – Może pan być spokojny.

– Gdzie to jest?

– Mogę spróbować panu opisać, ale to nic nie da, bo przecież nie zna pan Szczecina. Ale zapewniam, że prawie nic się nie zmieniło.

Oleszczuk założył ręce na piersi i odwrócił twarz w stronę okna. Po jakimś czasie zamknął oczy, głowa opadła mu lekko na bok, a miarowe, ciche posapywanie uświadomiło mi, że zasnął. Niewiele myśląc, zrobiłem to samo.

\* \* \*

**Emów, województwo mazowieckie, 23 października 2018, godz. 23.55**

Emów to zabita dechami dziura położona niedaleko Otwocka. Jedynym wartym uwagi miejscem jest tu Centralny Ośrodek Szkolenia ABW. Kiedyś stacjonowały tu pułki: Łączności, a potem Zabezpieczenia Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych podległych Ministrowi Spraw Wewnętrznych i Administracji. Funkcjonariusze ABW z wiadomych względów nie lubią tu przyjeżdżać na szkolenia. To nie to co Łódź, gdzie po zajęciach można wyjść na miasto. Tu nie można. Tu nie ma gdzie wyjść, nawet kantyna na terenie ośrodka pozostawia wiele do życzenia w zakresie oferty i godzin otwarcia.

Tam właśnie trafiłem razem z Oleszczukiem jeszcze tego samego dnia późnym wieczorem. Z dworca zabrał nas służbowy samochód, a kiedy przyjechaliśmy na miejsce, ktoś pokazał nam pokoje, w których nas zakwaterowano. Rozpakowując walizkę, zastanawiałem się, jak ułożyć ubrania w szafce wielkości apteczki, żeby po wyjęciu nie wyglądały jak wyrwane psu z gardła. Nagle do drzwi mojej klitki zapukał Oleszczuk, wybawiając mnie na chwilę od tego problemu. Zaprosiłem majora do środka.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Powiedzmy, że tak.

– Niech pan się wcześniej położy – poradził.

Zerknąłem na zegarek.

– „Wcześniej” już się nie da, jest prawie północ. Ale trochę spałem w pociągu.

– Nie szkodzi. Nie da się wyspać na zapas, ale zawsze warto próbować. Jutro czeka pana ciężki dzień. Proszę się wyspać. Dobranoc.

– Dobranoc – mruknąłem, zastanawiając się, co ma na myśli.

– Aha, jeszcze jedno. – Oleszczuk odwrócił się nagle w moją stronę. – I przejdźmy może na „ty”, jeśli mogę zaproponować. Tak będzie po prostu łatwiej, skoro w najbliższej przyszłości mamy ze sobą spędzić sporo czasu. Arek.

– Nie ma sprawy – zgodziłem się, ściskając jego dłoń: była twarda i sucha. – Adrian.

Kiedy poszedł do siebie, wziąłem prysznic i położyłem się do łóżka. Leżąc w ciemności, pomyślałem, żeby zadzwonić do Laury, ale wtedy poczułem, że odpływam. Nie zdawałem sobie nawet sprawy, jak koszmarnie jestem zmęczony. Zasnąłem, zanim zdążyłem sięgnąć na stolik po telefon...

\* \* \*

**Emów/Warszawa, Ursynów, 24 października, godz. 09.10**

Następnego dnia po mizernym śniadaniu Oleszczuk polecił mi, żebym przebrał się w dres. Kiedy powiedziałem mu, że nie przewidziałem aktywności sportowej i nie wziąłem nawet ciuchów do biegania, westchnął i powiedział:

– W takim razie niech to będzie coś wygodnego i lekkiego.

Włożyłem więc T-shirt i najmniej eleganckie spodnie, jakie miałem, czyli dżinsy, a Oleszczuk zaprowadził mnie do budynku, w którym mieściła się sala gimnastyczna.

– Musimy przeprowadzić kilka testów. To niestety niezbędne. Porozmawiasz również z psychologiem.

– Po co to wszystko?

– Takie są procedury. Chodzi również o twoje bezpieczeństwo. Załatwimy wszystko w jeden dzień, obiecuję.

– Mam nadzieję. Podobno nie mamy czasu.

– Właśnie – odparł, otwierając przede mną drzwi prowadzące do sali gimnastycznej. – Powodzenia.

Wszedłem do środka. Kilku mężczyzn pod przeciwległą ścianą rozgrzewało się do jakichś ćwiczeń. Połowa posadzki była drewnianym parkietem, drugą część wyłożono cienkimi zielonymi materacami. Na środku tej części stał bosy niski, ale niezłe zbudowany facet ubrany w obcisłą koszulkę i luźniejsze spodnie. Zobaczył mnie i przywołał machaniem.

– Hej – powiedział, kiedy podszedłem do niego, i uśmiechnął się.

Miał miłą i sympatyczną twarz.

– Jacek. – Wyciągnął do mnie rękę, więc podałem mu swoją.

Uścisk miał silny, za silny jak dla mnie.

– Adrian, miło mi – powiedziałem. – Będziesz przeprowadzał test?

– Zgadza się – przytaknął. – Zaczynamy?

– Zaczynamy. – Kiwnąłem głową, zastanawiając się, na czym polega ów test.

– Dobrze. – Znów się uśmiechnął. – Chciałbym, żebyś mnie teraz uderzył.

– Proszę?

– Uderz mnie.

– Jak...

– Jak chcesz. Kopnij, uderz bykiem, rzuć się na mnie, walnij z główki. Co tylko chcesz.

Roześmiałem się.

– Nie o to pytam. Jak mogę uderzyć obcego faceta, do którego nic nie mam? Jestem raczej pokojowo nastawiony do ludzi...

– Nie szkodzi. Po prostu uderz, nie bój się.

– Ja się nie boję. Ja po prostu nie chcę.

– Uderz – powtórzył cierpliwie.

– Nie mogę.

– Jeśli mnie nie uderzysz, ja uderzę ciebie – powiedział to z tym samym uśmiechem, z którym mnie przywitał i który wciąż kwitł na jego płaskiej twarzy. – I będzie bolało.

– Nie. – Pokręciłem głową. – Mam pewne zasady, których...

Poczułem piekący ból lewego policzka, kiedy stojący naprzeciwko mnie skurwiel, wciąż się uśmiechając, niespodziewanie przyłożył mi z liścia. Chwyciłem się za twarz.

– Wystarczy – syknąłem, patrząc na Jacka przez palce.

– Uderz mnie – powtórzył po raz kolejny.

– Nie. – Też potrafiłem być uparty.

Zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, przyłożył mi z drugiej strony. Już się nie uśmiechał i może dlatego straciłem panowanie nad sobą. Po prostu zacisnąłem pięści i zacząłem nimi machać jak w amoku. Jacek zaczął się bronić. Nie oddawał ciosów, ale zasłaniał się przed moimi tak szybko, że tylko kilka z nich dosięgło jego głowy, klatki piersiowej i brzucha. Nie ukrywajmy, nie były to precyzyjne uderzenia na korpus, w szczękę czy ucho, tylko młócka po omacku, zza czerwonej zasłony, która zamgliła mi wzrok.

– Dobra, dobra! – Krzyk Jacka otrzeźwił mnie nieco. – Starczy!

Opuściłem ręce, choć wciąż byłem gotowy na jakiś niespodziewany ruch z jego strony. Znów się uśmiechał. Ja dyszałem jak uszkodzony parowóz, on oddychał tylko odrobinę szybciej niż normalnie. Ale poczułem małą satysfakcję. Nad górną wargą agresora zobaczyłem strużkę krwi, jej kropla zwisała też z czubka osy. Wytarł krew wierzchem dłoni i pociągnął nim.

– Okej, test skończony.

– Zaliczyłem?

– Nie wiem. Ja jestem tylko od bicia. – Podniósł ręce i cofnął się o krok. – Bez urazy, co?

– Jasne. Taka robota – powiedziałem, uśmiechając się.

Twarz paliła mnie żywym ogniem. Oleszczuk czekał przy drzwiach oparty o framugę. Lekko się uśmiechał, ale miał chyba większy powód do

uśmiechu niż ja. On to tylko oglądał.

– Nie przejmuj się – powiedział, kiedy szliśmy przez plac. – Odpękanie. Przebierz się. Zaraz wyjeżdżamy.

– Gdzie jedziemy?

– Do miasta. Mówiłem, że będzie intensywnie.

– Fajnie. Okropnie nudno w tym Emowie.

– To nie jest wycieczka, Adrian. Czeka cię jeszcze jeden test.

– Będzie bolał?

– Nie. Żadnej przemocy.

– A ten test; test z przemocą? – Machnąłem ręką gdzieś za siebie, w stronę sali gimnastycznej. – Zaliczyłem go?

– To nie ma znaczenia. – Oleszczuk pokręcił głową.

– Nie?

– Nie dla ciebie. Zostaw to już i skup się na tym, który czeka cię teraz, dobrze?

Pobiegłem do pokoju i przebrałem się. Zszedłem na dół, Oleszczuk czekał już przy samochodzie, tym samym, który przywiózł nas tu wczoraj. Nawet kierowca był ten sam: ponury, milczący typ o aparycji zmęczonego kombajnisty. Droga do Warszawy zajęła nam kilkadziesiąt minut. Kiedy zabudowa zaczęła gęstnieć, zapytałem Oleszczuka.

– Dowiem się wreszcie, co to za test?

– Już mówię. Kiedy dotrzemy na miejsce, na jedno z warszawskich osiedli, podam ci dokładny adres. Pójdiesz tam i zadzwonisz do drzwi. Otworzy ci pewna starsza pani. Starsze panie są zwykle dość nieufne. A twoim zadaniem jest przekonać jakoś starszą i wyjątkowo nieufną panią, żeby cię wpuściła do środka. Na tym polega ten test.

– Co?

– Kiedy będziesz wchodził do budynku, zadzwonisz do mnie. Od tego momentu masz dziesięć minut, co do sekundy, żeby przekonać ją do wpuszczenia cię do środka i zrobienia ci herbaty.

– Jeszcze raz, bo nie bardzo...

– Jeżeli po dziesięciu minutach od telefonu do mnie nie będziesz stał w oknie jej mieszkania z filiżanką w ręku, tak żebyśmy mogli cię zobaczyć z okna bloku naprzeciwko – nie zaliczysz testu. A to oznacza, że się nie nadajesz.



– Taak? – zdziwiłem się lekko.

Naprawdę lekko.

– Tak.

– Jak mam to niby zrobić?

– Nie wiem, jak ty to zrobisz. – Major podkreślił słowo „ty”.

– A jak robili to inni? – zapytałem. – Bo rozumiem, że nie ja pierwszy przechodzę taki test?

– Niech cię nie interesuje, jak zrobili to inni. Wymyśl, jak zrobisz to ty. – Oleszczuk znów położył nacisk na zaimek osobowy, a potem zerknął na mnie. – Aha, i żeby nie przyszły ci do głowy żadne głupoty. Miało być bez przemocy i potraktuj to poważnie. Nikomu nie może stać się krzywda, działasz w granicach prawa i zdrowego rozsądku.

– W granicach prawa?

– Oczywiście. Szeroko rozumianych. Wolno ci prawo lekko nagiąć, ale nie przekraczasz jego granic.

– Szeroko rozumianych granic?

– Właśnie.

– Tym bardziej nie wiem, jak miałbym to zrobić – mruknąłem. – Najprościej byłoby ją jednak sterroryzować.

– Chłopie. – Oleszczuk westchnął. – Ja słyszałem, że jesteś inny, ale postaraj się, dobrze? To jak z jajkiem Kolumba, rozumiesz? Nie da się postawić jajka na czubku, ale Kolumb trochę pogłótkował i jednak postawił.

– Oszukał.

– Nie oszukał – stwierdził major. – Nikt nie mówił, że nie można nadtluc skorupki. Miało stać i stało. Już rozumiesz?

– Rozumiem. – Pokiwałem głową. – Teraz rozumiem.

– No. Pamiętaj: polscy lotnicy byli tacy dobrzy, bo umieli latać nawet na drzwiach od stodoły. Takie dziedzictwo zobowiązuje. Chyba nie dasz się pokonać starszej pani, co?

– Kim ona jest?

– Nie wiem. – Oleszczuk wzruszył ramionami. – Nasi konsultują to z lokalnymi jednostkami policji, potem podają przeprowadzającym ćwiczenie wyłącznie adres, pod który ma się udać kandydat do służby, i tylko od jego szczęścia oraz od humoru dzielnicowego zależy, czy trafi na

przeciętnie ostrożną babcię, czy podejrzliwą wiedźmę, która nie wpuściłaby nawet Jezusa pokazującego jej dziury po gwoździach. Życzę ci oczywiście tej pierwszej opcji. Resztę zrobią twój wrodzony wdzięk i umiejętności aktorskie. Liczę, że je masz.

Jechaliśmy w milczeniu przez miasto. Kiedy dotarliśmy na Ursynów, przez następne kilka minut krążyliśmy po osiedlowych uliczkach. Kierowca rozglądał się na boki, skręcając w kolejne, a potem wyjeżdżając z nich. W którymś momencie zauważyłem, że jesteśmy drugi raz w tym samym miejscu.

– Coś nie tak? – zapytałem z niewinną miną. – Zgubiliśmy się?

– Wszystko jest tak i nie zgubiliśmy się – odparł Oleszczuk, nie patrząc na mnie, a potem poklepał kierowcę w ramię i przez przednią szybę pokazał mu jakiś blok.

Wysiadając z samochodu, gorączkowo zastanawiałem się, jak wejść do mieszkania nieufnej staruszki. Metodą „na wnuczka”, jako niosący dobrą nowinę ewangelizator, kontroler instalacji gazowej? Nie miałem niczego, czym mógłbym uprawdopodobnić swoją legendę: ani Pisma świętego, ani identyfikatora pracownika gazowni, ani ran po gwoździach; nic z wyjątkiem swojej szczerzej do bólu twarzy, z której można było czytać jak z książki.

Drzwi do klatki schodowej bloku były otwarte, co uznałem za dobry omen. Pozwoliło mi to przynajmniej uniknąć pierwszej przeprawy. Nie skorzystałem z windy, chcąc dać sobie więcej czasu na opracowanie jakiejś strategii. Kiedy człapałem na górę, poczułem wibracje komórki w kieszeni spodni.

Odebrałem.

– Halo?

– Teraz ty się gdzieś zgubiłeś, chłopie? – Głos Oleszczuka był zimny jak lód.

– Dlaczego?

– Bo nie dzwonisz, że wszedłeś do budynku. Takie było polecenie.

– Aha. – Głos miałem raczej beztroski. – Zapomniałem...

– Kurrwa. – Major nawet nie ściszył głosu. – Masz dziesięć minut, chociaż powinieneś mieć już osiem. Czas start. Nie spierdol tego...

– Ja? – zapytałem ze świętym oburzeniem, ale odpowiedziała mi już tylko

cisza.

Kontynuowałem więc wspinaczkę, a w mojej głowie było coraz bardziej pusto. Jajko Kolumba – pomyślałem, kręcąc głową, kiedy wchodziłem na ostatni stopień, i wtedy nagle mnie olśniło. Wiedziałem już, co powiem nieufnej staruszce. Chciałem się roześmiać, ale przypomniałem sobie, dlaczego jestem na ósmym piętrze ursynowskiego mrówkowca, i przeszło mi od razu. Zamiast tego stanąłem przed drzwiami i nie tracąc więcej czasu, wcisnąłem przycisk dzwonka. Drzwi otworzyły się niemal od razu i w tym samym momencie, gdy ujrzałem za nimi starszą panią, stwierdziłem, że prawdopodobieństwo pomyłki spada niemal do zera. Nie znaczyło to, że za chwilę drzwi z hukiem nie zamkną się tuż przed moim nosem, bo kobieta mogła zareagować i w ten sposób, ale przecież nie miałem nic do stracenia.

Naprawdę nic.

– Dzień dobry pani. – Uśmiechnąłem się, ale nie przymilnie czy prosząco: po prostu przywołałem na twarz normalny, uprzejmy uśmiech, który gościł na niej zawsze wtedy, gdy nie tyle wypadało go mieć, ile po prostu chciałem, żeby tam był. – Nazywam się Adrian Wicha, a pani jest zapewne emerytowanym pracownikiem UOP-u lub ABW, którego doświadczenie wykorzystuje się do przeprowadzania testów na przyszłych asach wywiadu. Tak się składa, że ludziom, którzy mnie do pani przysłali, zależy na mnie o wiele bardziej niż mnie na nich, więc pozwoli pani, że wproszę się na herbatę, kawę lub jakikolwiek inny napój, jaki mi pani zaproponuje, i nie będziemy tracić czasu na stanie na schodach. Co pani na to?

Na twarzy starszej pani wykwitła cała gama uczuć. Zdziwienie, uraza, a zaraz potem lekkie rozbawienie.

– Nie pracowałam w terenie – powiedziała w końcu. – Byłam tylko sekretarką w jednym z wydziałów Biura Analiz i Informacji UOP. Jak pan się domyślił?

– To nie było trudne – odparłem, pomijając wyjaśnienie, że wpadnięcie na to zajęło mi osiem pięter. – Pomyślałem sobie, że to mało prawdopodobne, żeby wciągać w taką akcję postronną osobę, w dodatku starszą, która na przykład dostanie zawału albo zawiadomi policję, że właśnie ktoś próbował ją okraść. Ryzyko jest zawsze, a służby nie mogą sobie pozwolić na taką wpadkę. Tuszowanie wpadek też wymaga czasu i pracy, więc po co takie

ryzyko stwarzać, skoro można to załatwić własnymi ludźmi? Nie wspominając, że otworzyła mi pani drzwi tak szybko, jakby się mnie pani spodziewała. Dwa plus dwa jest cztery. Za cholerę nie wyjdzie inaczej... – Wzruszyłem ramionami.

– Mógł się pan mylić – zauważyła. – To życie, a nie matematyka.

– Owszem, mogłem – przyznałem. – Ale podjąłem ryzyko. Poza tym... Tak jak wspominałem: mnie nie zależy. To im zależy. Ludziom z pani dawnej pracy.

– Czemu więc pan wchodzi w to bagno? Skoro panu nie zależy?

– Nie bardzo mogę o tym rozmawiać. – Skrzywiłem się.

– Och, naprawdę? – Roześmiała się.

– Powiedzmy, że ktoś mnie w to wciąga.

– To niebezpieczne. Mówili o tym panu?

– Wspominali. W zasadzie powtarzali to do znudzenia. Ale próbuję równocześnie wyciągnąć kogoś z tego, jak pani mówi: bagna. I chyba nie mam wyjścia. Albo go wyciągnę, albo skończę tam razem z nim. Na dnie...

– Dobrze. – Spojrzała na mnie jakoś tak ciepło i wskazała otwarte na oścież drzwi w głębi mieszkania. – To co, zapraszam do okna. Jak test, to test. – Puściła do mnie oko.

Wszedłem do pokoju. Stałem przy oknie i odsunąłem firankę, zerkając jeszcze na zegarek. Pięć minut czterdzieści sekund. Spojrzałem w okno: ponure osiedle spowijała mieszanina smogu i lekkiej mgły, która osiadała mokrym, lepkiem kożuchem na elewacjach, samochodach, ubraniach i skórze mieszkańców tego miasta. Wbiłem wzrok w bloki naprzeciwko, zastanawiając się, w którym z maleńkich, przeszklonych kwadracików stoi teraz z lornetką przytkniętą do oczu Oleszczuk. Jednym uchem słyszałem, że starsza pani rozmawia z kimś, jej głos dochodził gdzieś z głębi mieszkania. Nie dbałem o to, z kim rozmawia i kto tam jest. Stałem tak i patrzyłem przed siebie, aż nagle za moimi plecami coś brzęknęło.

– Herbatka dla pana – usłyszałem.

Odwróciłem się i wziąłem od starszej, wyjątkowo nieufnej pani stojącą na spodeczku filiżankę z herbatą. Były z delikatnej, zdobionej porcelany, tak kruchej jak ludzka psychika.

– Jak grać, to do końca, co? – Roześmiałem się.

Kobieta stanęła obok mnie przy oknie, trzymając swoją herbatę.

– Myśli pani, że patrzą na nas teraz? – zapytałem.

– Zapewne – odparła.

Jakby na potwierdzenie, poczułem wibracje swojej komórki. Chwytając mocniej spodek, drugą ręką wyciągnąłem telefon z kieszeni spodni i odebrałem.

– Oszukałeś. – W głosie Oleszczuka była tajona wściekłość.

Brzmiał jak dzieciak wyrzucający koledze, że zjadł więcej kawałków czekolady niż on. Wpatrzony w widok za oknem pomyślałem, że właśnie dziś zrujnowałem majorowi świat. Jego poukładany szpiegowski światek, pełen zasad, reguł i algorytmów postępowania na każdą okazję. Oleszczuk chyba zapomniał o polskich lotnikach w Anglii.

– Było w granicach prawa? – zapytałem go spokojnie.

– Nieważne...

– Użyłem siły?

– Zdekonspirowałeś się, palancie jeden...

– Improwizowałem. Nadtłukłem skorupkę – powiedziałem i rozłączyłem się.

Schowałem telefon, delikatnie chwyciłem uszko swojej filiżanki, podniosłem ją i jeszcze delikatniej stuknąłem brzeżkiem filiżankę starszej pani. Rozległ się cichutki, niemal niesłyszalny brzęk.

– Za jajko Kolumba – powiedziałem, upijając łyk herbaty.

Kobieta uniosła nieco brwi, ale nic nie powiedziała, tylko lekko skinęła głową. Wzniosłem kolejny toast, ale już w kierunku okna, potem postawiłem filiżankę na spodeczku, oderwałem od cienkiego jak nitka spaghetti uszka kciuk i palec wskazujący, a następnie wystawiłem środkowy, przyciskając go z satysfakcją do zimnej szyby.

Nie lubię, jak ktoś nazywa mnie palantem.

\* \* \*

Wracaliśmy do Emowa znów przez centrum. Tym razem kierowca nie zgubił się na uliczkach Ursynowa. Siedziałem z tyłu, obok mnie siedział Oleszczuk, wciąż chyba trochę zły z powodu tego, co zrobiłem w mieszkaniu starszej pani.

– Po co w ogóle był ten test? – zapytałem obojętnie.

– Nie rozumiem?

– Po co był ten test, skoro i tak miałem go zdać?

Żuchwa Oleszczuka cofnęła się lekko. Miał minę matki przeszukującej historię przeglądania stron w tablecie nastoletniego syna.

– Dlaczego uważasz, że miałeś go zdać? – Zmarszczył brwi.

– Ta miła pani przyniosła mi herbatę niespełna minutę po tym, jak wszedłem do jej mieszkania. Miałem tam wejść i dostać tę herbatę, cokolwiek by się działo, prawda?

– Może akurat właśnie ją zrobiła? Sobie?

– Były dwie herbaty. Czekały na nas. Na nią i na mnie.

– A może po prostu dorobiła szybko drugą, bo miała gotową esencję?

– Kiedy ta pani podała mi moją filiżankę, herbata nie była już wrzątkiem. Zdążyła przestygnąć. Poza tym w kuchni była zajęta, ale nie robieniem mi herbaty. Rozmawiała z tobą przez telefon, kiedy czekałem na nią przy oknie. Pewnie musiała zapytać o dyspozycje w związku z nieoczekiwanym obrotem sytuacji.

Oleszczuk spojrział na mnie zezem i oklapł lekko na kanapie.

– Nie za sprytny jesteś? – zapytał cierpko i z jakąś rezygnacją w głosie.

– Nie, ja tylko kojarzę fakty. Ty też zresztą się zdradziłeś...

– Co? Ja?

– Tak. Tłumacząc mi zasady testu, powiedziałeś o herbacie. Nie kawie, wodzie czy czymkolwiek do picia. Jakbyś od razu zakładał, że to będzie herbata. Powiedziałeś też: filiżanka. Że mam stać w oknie z filiżanką w rękę. Ty po prostu wiedziałeś, że to będzie herbata, bo to pewnie zawsze jest cholerna herbata w cholерnej filiżance. To powiesz mi, po co był ten test, poza kompletną stratą czasu? Przecież i tak to ja muszę grać w tę grę Kamila. Nikt inny. Po co to było? – Wskazałem za siebie, nie oglądając się.

Oleszczuk popatrzył jakoś smutno w nieokreślone miejsce gdzieś na horyzoncie.

– Kurwa, bo coś muszę wpisać do papierów! – rzucił nagle z goryczą. – Myślisz, że to jest MI6, a ty jesteś pierdolonym Bondem? Jebał pies, że ta operacja ma najwyższy priorytet! Tu jest Polska, chłopie, mamy coś takiego jak Najwyższa Izba Kontroli, a ty jesteś cholernym... Nie, ty nawet nie jesteś żółtodziobem! – Popatrzył, jakby widział mnie pierwszy raz, i nie spodobało mu się to, co zobaczył. – Ty jesteś totalnym amatorem. Pokuszę się o wyrafinowane porównanie, żeby ci to dobrze wytłumaczyć: jesteś

prawiczkiem, którego przyprowadzili do gwiazdy porno, żeby pokazał jej coś, czego jeszcze w seksie nie widziała. Żeby ją zadziwił, rozumiesz? I co teraz zrobisz, synku? Jak zadziwisz pannę Saszę Grey?

Patrzyłem przez boczną szybę samochodu na *skyline* Warszawy, mniej więcej w to samo miejsce, w które przed chwilą wbijał smutny wzrok major, tylko że ja się zastanawiałem, kiedy to wszystko wyrosło z ziemi. Nie byłem tu całe wieki.

– Jak ją zadziwię? – zapytałem spokojnie Oleszczuka.

– No właśnie, jak?

– Otóż mam wielkie jaja.

– Co masz!?! – Spojrzał na mnie zdumiony.

– Mam wielkie jaja – powtórzyłem. – Pokażę Sashy moje wielkie *cojones*. I tym ją zadziwię. Co ty na to?

Naprawdę w to uwierzyłem. Przez tę jedną, krótką chwilę wierzyłem, że wbrew temu, co przyniosło mi życie, stać mnie jednak na wiele. Że nie jestem życiową pizdą, której życie kręci się wokół pracy za biurkiem i telewizora, i nawet wypuszczenie się na kilkunastokilometrową przebieżkę trzy razy w tygodniu nie jest w stanie tego zmienić.

Oleszczuk pokręcił głową, obrzucając mnie wymownym spojrzeniem, w którym było rozbawienie zmieszane z podziwem, a przynajmniej tak sądziłem.

– Jedno ci muszę przyznać – powiedział w końcu major. – Masz tupet.

– Nie tupet, Arek – odparłem zadowolony z siebie. – Jaja. Mam jaja...

Jadąc do Emowa, stanęliśmy po drodze na obiad w jakiejś knajpie na wylotówce z Warszawy. Kierowca jadł z nami, ale przez cały czas nie odezwał się słowem. Po posiłku Oleszczuk wytarł usta papierową serwetką, pogłaskał się po brzuchu i powiedział:

– No, obiad zjedzony; dzień zaliczony. Na dziś wolne. Jutro z samego rana dwa spotkania, w tym jedno z kimś, o kim ci mówiłem, a potem lecimy do Szczecina.

## 6. Emów, 25 października, godz. 06.40

Rano Oleszczuk zapukał do mojego pokoju, a kiedy krzyknąłem z łazienki, żeby wszedł, zrobił to i zajrzał do mnie. Właśnie się goliłem.

– Bardzo ładnie. – Skrzywił się lekko i wyraz jego twarzy przeczył słowom. – Ubierz się tym razem w miarę elegancko.

Rzuciłem mu w lustrze wymowne spojrzenie.

– Miałem brać tylko to, co najpotrzebniejsze, a ty wymagasz ode mnie stroju na każdą okazję. Do filharmonii też pójdziemy? Nie wziąłem smokingu.

– Ty nie masz smokingu – mruknął.

– Bardzo śmieszne... Do pojemnika na szczotkę od kibla też zaglądaliście?

Ubrałem się w to, co miałem pod ręką. Jako urzędnik nieprowadzący życia towarzyskiego garderobę miałem raczej niewyszukaną: komplet koszul, marynarek i spodni przeważnie eleganckich, ale zwyczajnych. Dwie pary dżinsów i bluza dresowa wystarczały na zakupy czy spacer z Laurą. To wszystko.

Oleszczuk zerknął na zegarek.

– Zanim pojedziemy do Warszawy, odbędziesz jeszcze małą rozmowę z psychologiem.

– Z kim?

– Nie pytaj, po prostu potraktuj to jako zło konieczne. Rozmowa przynajmniej nie boli. Pamiętasz, co ci mówiłem wczoraj o regulaminie i tak dalej? Przez noc nic się nie zmieniło. Normalnie musiałbyś przechodzić postępowanie sprawdzające i spowiadać się ze wszystkiego, włącznie z posiadanymi dobrami i chorobami psychicznymi w rodzinie. No. – Otaksował mnie spojrzeniem. – Możemy iść. Już czekają...

Przeszliśmy do głównego budynku. W małej salce, wyglądającej jak zwyczajna klasa w podstawówce, czekał facet. Siedział przy jednej z ławek,



obok niej stała teczka, a na oparciu krzesła wisiała marynarka. Mężczyzna na nasz widok wstał i podszedł, wyciągając rękę.

– Marek Malisz – przedstawił się i poprosił, bym usiał naprzeciwko niego.

– Zostawiam was – rzucił Oleszczuk i wyszedł.

Usiadłem na wskazanym miejscu. Malisz też usiadł, wziął do ręki notatnik i oparł go niemal pionowo o ławkę. Potem uśmiechnął się i zapytał, jak się czuję, czy nie mam poczucia wyobcowania w nowym miejscu, jak mi smakują posiłki i o kilka innych rzeczy. Pytanie o żonę przyprawiły mnie o szybsze bicie serca. Pytania o narkotyki i alkohol natomiast rozbawiły. W życiu nie zapaliłem nawet trawy, a ostatni raz upiłem się na studiach. Przypuszczałem, że miało to pomóc określić mój profil psychologiczny, przynajmniej wstępnie. Malisz zrobił kilka zapisków w formularzu, który starannie chronił przed moim wzrokiem.

– Jeździ pan samochodem? – zapytał po kilkunastu sekundach ciszy, w trakcie których bazgrał coś w notatniku.

– Tak.

– Mieszka pan w Szczecinie. Macie tam pewnie korki?

– Owszem.

– Proszę sobie wyobrazić taką sytuację. Jest dwupasmowa jezdnia, która po kilkuset metrach zwęża się do jednego pasa. Jest korek, który zaczyna się jeszcze kilometr dalej. Sięga tej dwupasmówki, na niej również się tworzy, ale samochody zajmują tylko prawy pas. Lewy jest wolny. Większość czeka w korku na prawym pasie, niektórzy jadą lewym i włączają się do kolejki dopiero przy zwężeniu. Zna pan to?

– Znam. Bardzo dobrze to znam.

– Świetnie. A zatem co pan wtedy robi? Czekają czy jedzie lewym pasem, dokąd się da i próbuje się wcisnąć?

– To zależy.

– Od czego?

– Czy mam czas, czy nie.

– Proszę doprecyzować.

– Jeśli mi się nie spieszy, czekam grzecznie. Jeśli bardzo mi się spieszy, jadę lewym i się wciskam. Przecież przepisy na to pozwalają.

– Nie mówię, że nie pozwalają. Pytam, co pan robi w takiej sytuacji.

– Już panu odpowiedziałem. Tak właśnie postępuję.

– Dobrze, dobrze... – Malisz zerknął w notatnik. – Co pan czuł, kiedy dowiedział się pan, że pański ojciec nie żyje?

Siedziałem spokojnie na krzeselku, choć w środku zaczynałem się gotować.

– Jakie to ma znaczenie? – zapytałem cicho. – Tu i teraz?

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

Przypomniał mi się Jacek agresor. Jego uśmiech, jego nachalność, brak empatii i zrozumienia, że ktoś może czegoś nie chcieć. Ale nie dałem się sprowokować jak wtedy.

– Nie odpowiem panu na to pytanie – odparłem i zrobiłem to wyjątkowo spokojnie. – Nie zamierzam odpowiadać na żadne więcej pytania. Nie chce mi się. Nie sądzę, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie i jakiegokolwiek wpływ na to, co ma się wydarzyć, zatem szkoda naszego czasu: pańskiego i mojego.

– Przykro mi, ale to nie pan o tym decyduje. – Malisz pokręcił głową.

Pokazałem mu więc, że jednak mam na to jakiś wpływ. Po prostu wstałem, pożegnałem się i wyszedłem na korytarz. Oleszczuk stał pod ścianą i bawił się swoim ersatzem papierosa, wyraźnie nie mogąc się doczekać, aż będzie mógł z nim zrobić to, do czego był przeznaczony.

– Już? – Zmarszczył brwi, widząc mnie.

– Już – potwierdziłem.

– Tak szybko?

– Tak. – W tym samym momencie na korytarz wyszedł również Malisz.

Przez rękę miał przewieszoną marynarkę, w dłoni trzymał teczkę.

– Do widzenia, panie Adrianie, panie majorze – rzucił, przechodząc obok nas, jakby nic się nie stało, i poszedł sobie.

Zaimponował mi trochę. A może faktycznie nic się nie stało? Wiedziałem tylko jedno: Oleszczuk nie miał racji, przekonując mnie, że rozmowa z psychologiem przynajmniej nie boli.

Boli.

Czasem bardziej niż test z Jackiem.

Zanim wsiedliśmy do samochodu, Oleszczuk zapalił swojego elektronika. Stał oparty o ścianę budynku, a ja patrzyłem, jak z lubością wciąga do płuc, a potem wydmuchuje do góry kłęby białego i gęstego jak wata dymu.

– Jedziemy do Warszawy, gdzie spotkamy się z Piotrem Karaimowem,

ministrem koordynatorem służb specjalnych. Tak jak ci wspomniałem jeszcze w Szczecinie, chce cię poznać osobiście. Podobnie jak ty, wcale nie marzę o tym spotkaniu, uwierz mi. Załatwmy więc to szybko, dobrze? – Pokiwałem głową, też było mi to na rękę. – Pozwól mu mówić. Najlepiej się nie odzywaj. Potakuj, kiwaj mądrze głową i nic nie mów, chyba że cię wprost o coś zapyta. Wtedy odpowiadaj ściśle na pytanie. Nie kręć, nie mów, co ci się wydaje, albo jakie masz na ten temat zdanie. To go i tak nie interesuje. Mnie interesuje wyłącznie to, żeby ta rozmowa się jak najszybciej skończyła. Będzie ci pewnie pierdolił o etosie służby, bezpieczeństwie państwa, ojczyźnie i tak dalej...

– Przepraszam: pierdolił o ojczyźnie?

Spojrzał na mnie ponuro.

– Wiesz, co mam na myśli. To polityk. On to ma nagrane gdzieś z tyłu głowy i rzuca frazesy. Tak właśnie, frazesy. Moje zdanie o politykach jest takie samo jak twoje. Nawet jeśli we własnym przekonaniu kochają ojczyznę i chcą dobra dla nas wszystkich, i tak rzucają tylko tymi frazesami na prawo i lewo, rozumiesz? I to, dokładnie to miałem na myśli.

– A twój etos?

Oleszczuk niemal niezauważalnie zmarszczył nos. Taki tik, którego nawet nie był świadomy.

– Wiesz, awans na pierwszy stopień oficerski wręcza nam sam prezydent. Mnie też wręczał. Byłem po kilku latach służby przygotowawczej i kucia po nocach, kursach, szkoleniach, testach i tak dalej. Zmęczony i dumny. Tak bardzo dumny. Z siebie i z tego, że będę chronił ten kraj. Swoją kraj. Autentycznie, nie przesadzam, byłem wzruszony, czułem się, jakbym połknął pluszową zabawkę i ona tkwiła mi tam w gardle...

– I co?

– I nic. Pracuję już dwadzieścia lat. Jak myślisz, co zostało z tego pluszaka? Żałosna kupka kłaków. Odeszła ode mnie żona, nie mam kontaktu z dzieciakiem, który jest już w liceum, a ja nawet, kurwa, nie wiem w którym. Ale to osobiste sprawy. Bo tak naprawdę najbardziej boli mnie to, że w tej instytucji dzieje się to samo co wszędzie indziej. Jestem otoczony miernotami tłamszącymi porządnych ludzi, którym się jeszcze chce. Jediną dobrą rzeczą w tej robocie jest pensja. Ale i tak nie mam co z nią robić, bo przecież jestem sam. Kiedy jestem gdzieś w terenie na

kontroli, jem za służbowe i śpię za służbowe, po pracy żywię się w barach. W domu jestem średnio przez tydzień w ciągu miesiąca. Nie chodzę do kina ani na imprezy, bo z kim? Nie mam prawie kumpli, bo jak można ich utrzymać przy sobie, skoro ciągle cię nie ma w domu? Ale takie życie wybrałem. Natomiast nie wybierałem konfliktów z przełożonymi, podpieprzania się nawzajem, lizania tyłków i odpychania roboty jak najdalej od siebie. Dziękuję za uwagę.

Nic nie powiedziałem. Czułem się lekko skrępowany, przede wszystkim tym, że Oleszczuk, opisując siebie, odmalował obraz mnie. Wypisz, wymaluj. To on powinien być moim bratem bliźniakiem, a nie Kamil...

\* \* \*

**Warszawa, Centrala ABW, Rakowiecka 2a, godz. 08.20**

Wsiedliśmy do samochodu i po jakichś trzech kwadransach dojechaliśmy na Rakowiecką. Rotmistrz Pilecki spoglądał na nas z wielkiego banera zasłaniającego kawał elewacji monumentalnego gmachu, w którym mieściła się siedziba centrali ABW. Gmach ten był kolejnym przykładem tego, kiedy architektura mająca w założeniu ukazywać jedynie powagę władzy urzędującej w budynku ociera się o arogancję, pokazując wyłącznie jej pychę i pogardę dla maluczkich. Rzędy okien przypominały otwory strzelnicze w burcie wojennego galeonu.

Wjechaliśmy na teren obiektu, gdy już wylegitymował nas policjant, a już chwilę później poczułem się zagubiony w plątaninie korytarzy. Wyobcowany, jakby określił to Malisz. W końcu trafiliśmy pod właściwe drzwi. Oleszczuk wyglądał na lekko spiętego. Powiedziałem mu to.

– Wiem – odparł. – Nie znoszę takich spotkań. Pamiętaj, co ci mówiłem. Załatwmy to jak najszybciej...

Nacisnął klawisz i znaleźliśmy się w sekretariacie gabinetu ministra Karaimowa. Za czymś w rodzaju kontuaru siedziała ładna dziewczyna i spoglądała w monitor. Wyglądała na zapracowaną albo zmęczoną; kąciaki pełnych ust opadały lekko, podobnie jak ramiona, drgające w rytm pośpiesznych ruchów palców tańczących na klawiaturze.

Oleszczuk chrząknął i powiedział:

– Dzień dobry, major Oleszczuk, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Dziewczyna przestała na chwilę pisać i zerknęła w jakiś papier leżący koło niej.

– Proszę chwilę poczekać. – Wstała, wyszła zza kontuaru i skierowała się do drzwi.

Patrzyliśmy z Oleszczukiem, jak stukając obcasami po parkiecie, pewnie stawia stopy w szpilkach, a potem sięga do klamki, uchyla je odrobinę i zagląda przez szparę.

– Panie ministrze, umówieni panowie z ABW – usłyszeliśmy jej cichy głos.

Był tak samo zmęczony jak jej ciało.

Otworzyła drzwi na całą szerokość i wpuściła nas do gabinetu Karaimowa. Odruchowo rozejrzałem się po ścianach i zobaczyłem ogromną mapę Polski oraz parę rycin przedstawiających widoki starej Warszawy. Za plecami Karaimowa na amarantowym kilimie wisiał puklerz i dwie skrzyżowane szable. Poza tym w pokoju były jeszcze trzy szafy na akta, sejf i ogromne biurko, na którym panował idealny porządek. Karaimow wstał i wyszedł zza niego, zapinając marynarkę.

Minister był niewysokim mężczyzną pod sześćdziesiątkę. Miał charakterystyczne wysokie czoło i włosy przerzedzone na czubku głowy, tracące swój kolor z kolejnymi latami życia. Na nosie tkwiły małe okulary z niemal niewidocznymi oprawkami, które znacznie powiększając oczy, dodawały jego przeciętnej i zwyczajnej twarzy wyrazu jakiegoś nieokreślonego cierpienia. Całości obrazu dopełniał idealnie zawiązany węzeł krawata ściskający kołnierzyk błękitnej koszuli i szyję ministra oraz wpinka flagi narodowej w klapie granatowej marynarki.

– Siadajcie, panowie. – Wskazał fotele stojące przed jego wielkim biurkiem, a sam odpiął guzik marynarki i zajął swoje miejsce.

Szuranie ciężkich mebli zabrzmiało w ciszy przestronnego gabinetu jak lawina na gołoborzu.

Karaimow złożył ręce na blacie, splatając palce i przyglądając się nam na zmianę. Potem skupił wzrok na mnie, lekko pochylając się do przodu.

– Nie zajmę panom dużo czasu – powiedział, a ja niemal usłyszałem westchnienie ulgi Oleszczuka. – Chciałem panu osobiście podziękować, że wyraził pan zgodę na uczestnictwo w operacji „Boeing”. Sytuacja jest bardzo nieciekawa, również dla pana, ze względu na ciążące na pańskim

bracie zarzuty. Wiem, że to, czego od pana będziemy wymagać, stanowić może duże obciążenie także dla pańskiej rodziny, ale czasem trzeba się poświęcić dla ojczyzny. Niekiedy dobro jednostki jest niczym wobec dobra społeczeństwa, które od swoich członków wymagać może nawet najwyższej ofiary, ofiary krwi. Nasi dziadkowie, idąc na powstanie, wiedzieli o tym najlepiej, prawda? – Powiększone szklami okularów bladoniebieskie oczy wpatrywały się we mnie intensywnie, przez moment wydawało mi się, że Karaimow studiuje moją twarz jak rzeźbiarz przygotowujący się do wstępnego ociosania materiału. – Obdarzyliśmy pana wyjątkowym zaufaniem, ponieważ z konieczności będzie pan miał dostęp do wielu tajemnic państwowych. Wie pan już, że chodzi o działania wrogich sił godzące w interes i podstawy ekonomiczne państwa. Zdaję sobie sprawę, że to wszystko jest dla pana kompletnie nowe i trudno się panu w tym poruszać, dlatego proszę trzymać się majora Oleszczuka i ściśle wykonywać jego polecenia. Wydarzenia przybrały nieomal formę konfliktu międzynarodowego, a jego skala jest tylko pozornie mała wobec tego, o czym słyszymy na co dzień. Ona nie jest mała, tylko po prostu niewidoczna, a to nie to samo.

Pamiętny próśb Oleszczuka trzymałem język za zębami. Minister koordynator nic nie wiedział ani o moim życiu, ani o rodzinie, której już nie miałem. I o tym, że poświęcali się nie tylko dziadkowie, ale i ojcowie. Siebie i swoich synów. Za to rzadko swoją krew składali w ofierze ci siedzący na najwyższych stołkach; ci, którzy o niej decydowali. Karaimow o tym widać nie miał pojęcia, a ja nie zamierzałem mu o tym mówić. Byłem pewien, że nic to nie da, skoro nie dowiedział się o tym do tej pory.

– Mam nadzieję, że uda się załatwić wszystko bardzo sprawnie – kontynuował minister. – Program polskiego grafenu bez wątpienia wymaga naprawy i wdrożenia nowych procedur bezpieczeństwa, uwzględniających sytuacje do tej pory nieprzewidywane. Ale o tym będziemy myśleć później, najpierw przede wszystkim należy odzyskać dane, a także upewnić się, że nie trafiły one w niewłaściwe ręce. Modłę się do Boga, modłę się codziennie i żarliwie, żeby tak się nie stało, panowie. W was cała nadzieja, nie będę tego ukrywał. Na waszych barkach ciąży ogromna odpowiedzialność za przyszłość tego kraju, nie zawaham się użyć takich słów. Idzie o naprawdę dużą stawkę i mam nadzieję, że zdajecie

sobie z tego sprawę. Chciałem wam życzyć powodzenia w tej trudnej misji. Życzę wam go szczerze. Wam, sobie i milionom Polaków. Dziękuję za spotkanie. Pan major uzgodni pozostałe sprawy z pułkownikiem Łodygowskim, jak to zostało ustalone.

– Tak jest – potwierdził spokojnie Oleszczuk.

Wszyscy wstaliśmy. Karaimow znów wyszedł zza biurka, podszedł do nas i tym razem uściskał nam ręce, patrząc głęboko w oczy. Na jego twarzy malował się autentyczny niepokój.

– Pana ojciec poniósł najwyższą ofiarę w służbie państwa – powiedział. – Mój dziadek mawiał: „krew z krwi”. Mam nadzieję, że to sprawdzi się również w pana przypadku. Nie mówię, broń Boże o ofierze, tylko o godnym następstwie. Życzę panu, żeby zmazał pan hańbę, którą okrył pańską rodzinę brat. Jeszcze raz: powodzenia.

A więc myliłem się. Karaimow jednak wiedział coś o mojej rodzinie. Zastanawiałem się, co jeszcze wie...

Z gabinetu wyszliśmy z Oleszczukiem w milczeniu. W sekretariacie czekał już jakiś generał policji, który na nasz widok poderwał się z krzesła i rzucił w kierunku drzwi, jakby bał się, że zamkną się na wieki wieków, zanim on zdąży je przekroczyć.

Na korytarzu Oleszczuk wyciągnął z kieszeni moda.

– Było krótko – stwierdziłem, nie nawiązując do ostatnich słów ministra koordynatora.

– Na szczęście – potwierdził i zerknął na mnie. – Widzisz, nie mówiłem? Piękne słowa o dziadkach powstańcach i subtelne podkreślenie, że jak coś spierdolimy, to nie będzie wesoło. Gra na czulej strunie i walnięcie z grubej rury. Kij i marchewka. Patos i groźby. Zarządzanie przez strach. Jakbyśmy to, kurwa, my dwaj byli wszystkiemu winni... A na koniec ten tekst o twoim ojcu... Już wiesz, o czym ci mówiłem w Emowie?

– Arek, kto wpadł na pomysł, żeby mnie w to wciągnąć? – zapytałem. – Mówisz ciągle: my to, my tamto, a ja chciałbym wiedzieć, kto konkretnie to zaproponował?

– Ja – powiedział niemal natychmiast i raczej beztrósco.

– Mówiłeś, że decyzja zapadła w ścisłym kierownictwie, a ty tylko miałeś wątpliwości...

– Owszem, tak było. Miałem wątpliwości, i to całkiem spore. Szczerze

mówiąc, wciąż je mam. Co nie zmienia faktu, że to byłem ja. A co?

– Nic. – Przełknąłem ślinę. – Przez chwilę pomyślałem, że to zemsta Karaimowa na mnie. Za to, że mój brat zdradził, czy raczej, że jest o to podejrzany.

Zeszliśmy schodami na parter.

– Nie sądzę. – Oleszczuk wciąż bawił się elektronicznym papierosem. – Cokolwiek by mu zarzucać, to jednak w zgodnej opinii wielu fachowców jest profesjonalistą. Mam nadzieję, że pomimo wejścia w politykę nie poddał się do końca temu strumieniowi i nie płynie bezmyślnie wraz z nim, tylko rozgląda się czasem, co dzieje się dookoła.

– Masz nadzieję... – mruknąłem.

– Jak nam dobrze pójdzie, dadzą ci order, wiesz? – rzucił nagle Arek z jakimś rozbawieniem w głosie.

– Za co?

– Za postawę. Oni lubią dawać ordery. To taki fajny sposób zrewanżowania się za coś, za co zrewanżować się nie da. Ten sposób załatwienia sprawy pozwala uniknąć kosztów związanych na przykład z rentą czy odszkodowaniem za straty fizyczne i moralne. Wymyślono go dawno temu i wciąż działa, niezależnie od opcji politycznej, która decyduje o jego nadaniu. Kawałek metalu na kolorowej wstążce jest dla nich bardzo ważny. Uspokaja resztki ich sumień. Macie i idźcie, ofiara spełniona...

Nie skomentowałem. Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, Oleszczuk wsadził w usta epapsa i po chwili jego głowa tonęła w białej mgłę. Zobaczyłem, że kierowca nas zauważył i ruszył, by podjechać pod wejście.

– Co teraz? – zapytałem Oleszczuka.

– Ciąg dalszy. Mamy naprawdę napięty plan.

– To może przebioreę się w coś wygodniejszego?

– Nie mamy czasu. – Uniósł rękę z epapsem i pomachał nim. – Skończę tylko i jedziemy prosto na lotnisko.

\* \* \*

**Warszawa, lotnisko im. Chopina, godz. 09.40**

Przeszliśmy odprawę bez problemu, zwłaszcza że nie mieliśmy bagażu, i teraz czekaliśmy, aż zostanie wywołany nasz lot. Gapiłem się na ludzi



czekających na swoje loty, zatopionych w rozmowach ze sobą, telefonach, tabletach albo własnych myślach.

– Samolot... Cud, że były bilety i miejsca obok siebie. Sporo was kosztuję – mruknąłem do Oleszczuka, który siedział obok mnie na niewygodnym foteliku i robił dokładnie to samo co ja: gapił się przed siebie. – Stać was?

– Widziałeś kiedyś instytucję państwową, która nie klepałaby biedy? – zapytał w odpowiedzi i dodał, mrugając: – Zawsze mogliśmy zorganizować rządowego embraera, no nie?

– Znalazłoby się parę bogatych instytucji – powiedziałem, ale Oleszczuk tylko westchnął.

– Nie brnijmy w to, dobra?

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, kiedy z głośników popłynęło wezwanie do wchodzenia na pokład maszyny. Wstaliśmy jak na komendę i ruszyliśmy do bramki, a wkrótce zajęliśmy swoje miejsca w samolocie. Kilkanaście minut później samolot rozpoczął kołowanie na pas.

– Coś nie tak? – zapytał Oleszczuk, kiedy zacisnąłem palce na podłokietniku fotela.

– Nie przepadam za lataniem – powiedziałem. – To chyba rozumiało?

– Raczej tak – odparł.

– Chcę się zobaczyć z żoną – rzuciłem nagle, gdy już wystartowaliśmy.

Zrobiło się ciszej, kiedy przestaliśmy łupać kołami o płytę pasa, ale głos majora był ledwie słyszalny przez brzęczenie silników. Za to wyraz jego twarzy rozwiewał wszelkie wątpliwości.

– Proszę? – wykrztusił.

– Chcę się zobaczyć z żoną – powtórzyłem. – Kiedy przylecimy do Szczecina.

– Wykluczone. – Oleszczuk powiedział to tak kategorycznie, że mogłem mieć pewność, że nic z tego nie będzie.

Ale on nie wiedział, że mi zależy. Ja też jeszcze wczoraj nie wiedziałem, że mi zależy, ale dziś już tak. Musiałem porozmawiać z Laurą. Nie poukładałem sobie niczego w głowie, nie miałem gotowego planu rozmowy, nawet nie wiedziałem, o czym chcę z nią rozmawiać. Chyba chciałem ją zobaczyć. Kto wie, czy nie ostatni raz jako swoją żonę.

– Musisz się zgodzić. – Zamknąłem oczy i oparłem się o zagłówek. – Inaczej nic z tego.

– Z czego? – Nie zrozumiał.

– Ze współpracy. – Wciąż nie otwierałem oczu.

– Chyba żartujesz? Ile ty masz lat? To ma być szantaż emocjonalny?

– Nie. – Pokręciłem głową. – Wiesz, że nie. To prośba. Gorąca prośba.

Oleszczuk oddychał chwilę przez nos głośniej niż zwykle.

– O czym chcesz z nią rozmawiać?

– O nas. O mnie i o niej.

– Nie możesz jej powiedzieć o szczegółach sprawy. O niczym z tym związanym nie możesz jej mówić. I potraktuj to poważnie. Wreszcie – dodał na koniec.

– Wiem.

– Wiedziałeś od początku, co oznacza ten cholerny delfin, co? Nie zapomina się takich rzeczy z dzieciństwa.

Otworzyłem wreszcie oczy i popatrzyłem na Oleszczuka.

– Uwierz mi, ale wiele rzeczy z dzieciństwa wyrzuciłem z głowy. Inaczej bym już chyba nie żył.

Zacisnął usta.

– Ale nie delfina. Nie pieprzone „umówione miejsce”.

Pokiwałem głową, potem znowu zamknąłem oczy i wygodniej rozparłem się w fotelu.

– Masz rację – przyznałem po chwili. – Nie zapomniałem o nim. Zostawiłem sobie furtkę. Musiałem wrócić do Szczecina, żeby zobaczyć się z żoną. Postaraj się to zrozumieć.

Przez następnych kilkanaście sekund słychać było tylko pomruk silników i przyciszone głosy pasażerów.

– Niech to będzie ostatni raz, Adrian. – Drgnąłem, kiedy oddech Oleszczuka połaskotał mnie w ucho. – Proszę cię. Zaklinam. Tu chodzi o ludzkie życie. Nie tylko twojego brata, ale i o inne. Niejedno życie, rozumiesz? Koniec z żartami i niedomówieniami. Okej?

Zrobiło mi się chłodno.

– Okej – powiedziałem cicho. – To był ostatni raz...

## 7. Głewice, Port Lotniczy Szczecin – Goleniów, godz. 12.15

Kiedy wylądowaliśmy w Goleniowie, wyszliśmy przed terminal w oczekiwaniu na busa kursującego do Szczecina. Oleszczuk stwierdził, że tym razem nie będziemy angażować nikogo ze szczecińskiej delegatury, która już nawet nie była delegaturą, tylko wydziałem zamiejscowym delegatury w Gdańsku.

Poza tym mieliśmy dziś przecież napięty grafik.

– Od tej chwili odczepiamy nasz wagon od składu – powiedział mi major, kopiąc swojego elektronicznego papierosa, kiedy czekaliśmy na odjazd busa. – Nikt poza kilkoma osobami z samej góry nie wie, co robimy i dokąd jedziemy. Mam mały fundusz, z którego będziemy korzystać. To tyle, jeśli chodzi o samolot. – Machnął epapsem w stronę drzwi prowadzących do terminalu. – Musimy sprawdzić wszystko, co ma związek z Kamilem. Jeśli zostawia ślady, po których mamy pójść, to będziemy nimi szli, dokądkolwiek by prowadziły.

– A dokąd twoim zdaniem prowadzą?

Chmura białego dymu poszybowała w kierunku zadaszania nad wejściem.

– Do szpiega. Do prawdziwego szpiega.

Spojrzałem na niego podejrzliwie.

– Tak. – Pokiwał głową. – Myślałem trochę nad tym. Kamil usiłuje nam coś udowodnić. Popatrz, w jakiej jest sytuacji. Wszyscy myślą, że zdradził, że maczał palce w zabójstwie Zajnerta. Niby jest tak, że niewinni nie mają się czego bać, ale to tak przecież nie działa. Nie da się bronić, siedząc w areszcie, *vide* przykład Cwynara. Coraz bardziej jestem przekonany o tym, że Kamil próbuje nam coś przekazać. Zobaczmy. – Kierowca busa odpalił silnik, więc Oleszczuk pogmerał przy papierosie i schował go do kieszeni, a potem chwycił swój plecaczek. – Jedziemy...

\* \* \*

## **Szczecin, Pogodno, godz. 13.20**

„Umówione miejsce” nie zmieniło się za bardzo przez ostatnie trzydzieści lat.

W dzieciństwie mieszkaliśmy na Sienkiewicza, na skraju dzielnicy Pogodno, w wielorodzinnym budynku z ciemnej klinkierowej cegły; po przeciwnej stronie ulicy biegły tory kolejowe linii trzebieskiej. Na tych torach kilka razy omal nie straciłem nóg, a może i życia. Nasza skrytka znajdowała się na rogu ulic Sienkiewicza i Domańskiego. Nie była niczym niezwykłym, po prostu blaszaną puszką po eksportowym mleku w proszku, ukrytą w dołku tuż za narożnym słupem ogrodzenia, po wewnętrznej stronie jednej z posesji. Czasami tamtędy przebiegałem w drodze do Lasu Arkońskiego i stąd wiedziałem, że od czasów naszego dzieciństwa wszystko tam wygląda niemal dokładnie tak samo jak dawniej. Kiedy mijałem truchtem rodzinny dom, nie targały mną żadne uczucia. Żadne wspomnienia, ani dobre, ani złe, ani obojętne; był to prostu jeszcze jeden budynek mijany na trasie biegu.

Teraz staliśmy z Oleszczukiem kilkadziesiąt metrów od miejsca, gdzie spędziłem dzieciństwo, a także czas pomiędzy momentem, w którym je utraciłem, a wejściem w dorosłe życie, i patrzyliśmy na ścianę zieleni niemal całkowicie odcinającą od świata schowany za nią dom. To nas wtedy z Kamilem urzekło: ta dzika i nieokiełznana zieleń, przywodząca na myśl dżunglę. Przez kilka lat funkcjonowania skrytki nikt jej nie odkrył ani nie przyuważył, jak coś do niej chowamy. Ani dorośli, ani dzieciaki, ani właściciele domu za płotem, ani nawet robotnicy, którzy kiedyś wymienili szafkę elektryczną.

– To tu? – zapytał Oleszczuk, marszcząc z powątpiewaniem brwi.

Potwierdziłem skinieniem głowy.

Podszedłem do betonowego słupka tuż przy szafce elektrycznej i odchyliłem zardzewiałą siatkę. I wtedy znów poczułem się jak dziecko. To samo uczucie, które miałem na dźwięk pierwszych taktów *Białego delfina Uma* gwizdanych przez Kamila w szkole, na ulicy lub na torach, kiedy chciał mi pokazać ślepe naboje do kałasznikowa, paczkę czarnego prochu, który wyprodukował nielegalnie na kółku chemicznym, albo gazetkę

z panienkami, którą wydebił od kolegi za paczkę fajek.

Puszka wciąż tam była. Zardzewiała, ale w całości, nawet z wieczkiem. Serce zaczęło mi bić odrobinę szybciej.

– Jest? – Oleszczuka też chyba ogarnęło coś na kształt gorączki złota.

Mężczyźni jednak zawsze zostaną trochę dzieciakami.

– Jest – stęknąłem z wciśniętym między skrzynkę a słupek ramieniem. – Ziemia się tam wsypała, czekaj...

Nagle wymacałem coś śliskiego. Chwyciłem to palcami i wyciągnąłem.

– Nie tutaj, chodź – powiedział cicho Oleszczuk, kiedy wstałem z klęczek.

Siatka sama wróciła z chrzęstem na swoje miejsce. Rozejrzałem się, ale na ulicy nikogo nie było. Poszedłem za Oleszczukiem w kierunku ulicy Waryńskiego. Kiedy doszliśmy do niej, podałem ściskany w rękę przedmiot; małe, płaskie zawiniątko. Oleszczuk rozpakował je z mokrej folii i po chwili ze zdziwieniem przyglądał się zwykłej wizytówce wydrukowanej na eleganckim kredowym papierze.

– Forge SA – przeczytał, nie zwalniając tempa. – Ciekawe, czemu tu wszystko jest po francusku? Nie słyszałem o takiej spółce.

– Coś jest napisane z tyłu – powiedziałem.

Oleszczuk obrócił wizytówkę w dłoni.

– Ibrahim Farad/Jean-Luc – odcyfrował i podstawił mi ją pod nos. – To pismo Kamila?

Zerknąłem.

– Nie mam pojęcia. – Wzruszyłem ramionami. – Ostatni raz widziałem jego pismo dwadzieścia lat temu. Zawsze bazgrał, tyle pamiętam.

– To tutaj jest raczej staranne.

– Może się wyrobił. Nie wiem.

– Uhm. – Oleszczuk się rozejrzał. – Dziwne to jakieś wszystko...

– Co?

– Dlaczego po prostu nie wysłał tej wizytówki? Po co ta zabawa w chowanego?

– Komu miał wysłać? Tobie? Agencji? Skoro wmieszał mnie w ten bajzel, to oznacza jedno: chciał, żebym to ja ją dostał, do ręki, rozumiesz? Skąd miał mieć pewność, że tak będzie, gdyby wysłał to do kogokolwiek od was? A gdyby zaginęła gdzieś po drodze? Dokumenty lubią się gubić lub ulegać niszczeniu: przypadkiem albo i nie. W prokuraturach, sądach, na

komendach i w urzędach.

– Uważam, że mógł ci ją wysłać. Po prostu. Cholernym listem.

– Nie mógł – rzekłem machinalnie.

– Bo?

Zastanawiałem się, ile mogę powiedzieć i co. Musiałem być ostrożny, bo nie chciałem, żeby Oleszczuk zorientował się, że Kamil zostawił mi wiadomość. Że się ze mną kontaktował. I przypomniałem sobie to, co poczułem, odsuwając siatkę ogrodzenia przy naszym „umówionym miejscu”. Oleszczuk miał trochę racji. Zapewne można było dostarczyć wizytówkę inaczej, prościej i równie bezpiecznie. Czy to, że Kamil zostawił mi ją akurat tam, coś oznaczało?

– Byłem objęty kontrolą operacyjną? – zapytałem niewinnie.

– Mam ci odpowiedzieć na to pytanie?

– Przecież się nie obrażę.

– Byłeś. Przecież się domyśliłeś. Przez ostatnie dwa tygodnie. Więcej czasu nie mieliśmy, musieliśmy działać, więc cię, hm, poprosiliśmy o pomoc.

– Sam widzisz. – Wyjąłem wizytówkę z ręki Oleszczuka i pomachałem nią. – Zdawał sobie sprawę, że przetrzepiecie mi chatę. Poza tym nie wiedział, czy będę wtedy jeszcze w domu. Skoro zostawił u siebie w pracy ten samolocik, to wiedział, że mnie zgarniecie. I poprosicie o pomoc. Zakładając, że o to mu chodziło, liczył się z tym, że do domu prędko nie wrócę...

– Mógł to zrobić wcześniej. Samolocik i breloczek zostawił, kiedy jeszcze nikt nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje w instytucie.

– Mógł. Ale listy też giną. Jeśli to ma być ważny trop...

– Podrzucić jakoś mógł – przerwał mi Arek.

Jego upór zaczął mnie lekko drażnić.

– Wiesz, co bym z nią zrobił? – zapytałem, znów podnosząc kartonik. – No właśnie. Jest jeszcze jedna opcja. Ja miałem dostać tę wizytówkę, ale nie miałem być wtedy sam. On wiedział, że przydzielą mi już wtedy opiekuna, jakiegoś Oleszczuka. Nie wiem, czy takie macie procedury, czy to było dla niego takie oczywiste, ale wygląda na to, że się nie pomylił. On po prostu nikomu nie ufa, rozumiesz? Dlatego zniknął. Dlatego podrzuca to wszystko w taki idiotyczny sposób, żeby nie dało się wyśledzić miejsca, skąd to

zostało nadane. I powiem ci coś jeszcze: to nie jest ostatnia rzecz, jaką od niego dostaniemy.

– Jest w tym twoim wywodzie jeden błąd. Twierdzisz, że nie ufa nikomu prócz ciebie, a równocześnie założył, że będziesz miał obok siebie kogoś z Agencji. Czyli kogoś, komu również nie może ufać. To co?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie możesz mieć w życiu wszystkiego. Najwyraźniej liczy na coś jeszcze.

– Na co?

– Na mnie i mój rozum. – Uśmiechnąłem się szeroko.

Oleszczuk nie był tym uśmiechem zachwycony.

– Chyba już wiem, o co chodzi z tymi dziecinnymi podchodami – mruknął.

– No?

– To psychologiczna zagrywka. Żeby wciągnąć cię w to, potrzebował czegoś więcej niż tylko zwykłej prośby. Od kilkunastu lat jesteście sobie obcy. Nie wiecie o sobie niczego: jak wyglądacie, gdzie pracujecie, jak żyjecie. Być może bał się, że każesz mu się po prostu walić...

– Coś takiego przeszło mi przez myśl – przyznałem. – Na samym początku.

– Sam widzisz. I on to wiedział, w końcu to twój bliźniak. Jeśli nie z całą pewnością, to na pewno z dużym prawdopodobieństwem. Dlatego zagrał na czulej strunie i sięgnął w przeszłość, kiedy jeszcze byliście sobie bliscy. Szczególnie gdy zmarł wasz ojciec. Stąd samolocik, na przykład...

Milczałem. Też przyszło mi to do głowy. Oleszczuk nie musiał być geniuszem, żeby na to wpaść. Ani telepatą. Wystarczyło, że czytał z mojej twarzy. A tak naprawdę to było niemal oczywiste.

– Możesz mieć rację. Ale śmierć ojca była równocześnie początkiem naszego końca. Od tamtej pory zaczęliśmy oddalać się od siebie.

Nie muszę zamykać oczu, żeby wrócić do naszego pokoju z widokiem na tory. Jestem tam teraz. Matka wyszła po zakupy, przecież trzeba coś jeść. Od pogrzebu minęło kilka dni. Kamil chodzi od ściany do ściany: od mojej, wypełnionej po sufit panoramą Manhattanu, do swojej, na której wiszą plakaty Nirvany, Pearl Jam i Guns'n'Roses. Jest wściekły. „Jak możesz wierzyć w te bajki? – pyta czerwony z emocji. – Widziałeś ich miny? Każdy mówił coś innego!” „Wszyscy mówili, że nie wiedzą, co się stało, Kamil – odpowiadam spokojnie. – Że po prostu dostał zawału. Że to się zdarza...”

Kamil przystaje nagle i patrzy na mnie z wyższością. „Jakby ci powiedzieli, że poleciał na Księżyc, też byś uwierzył, co? – pyta kpiąco. „To, że będziesz uparcie nie wierzył w jego śmierć, niczego nie zmieni” – mówię mu, a on czerwienieje na twarzy jeszcze bardziej. „Ale ty jesteś ciemny... – syczy, a w oczach ma coś, czego jeszcze nigdy do tej pory nie widziałem. – Nie chodzi o to, że umarł, tylko jak umarł, rozumiesz?” „Jakie to ma znaczenie, Kamil? – Czuję łyzy pod powiekami. – Nie ma go, i już. I nie będzie”. Kamil wybiega z pokoju, a potem słyszę trzask drzwi wejściowych. To nie matka wróciła z zakupów, to on wyszedł z domu. Wyszedł i nie wrócił na noc. O czwartej rano przyprowadziła go policja. Nocował w namiocie w Lesie Arkońskim, a kiedy nad ranem zmarł tak bardzo, że nie był w stanie powstrzymać szczykania zębami, spakował sprzęt i wyszedł na ulicę, zamierzając wrócić do domu piechotą. W okolicach osiedla Zawadzkiego natknął się na radiowóz. Jego powrót tamtego dnia był tym momentem, w którym poczułem, że między nami coś pęka. Najpierw pojawiła się rysa, którą sygnalizowało spojrzenie, jakim obrzucił mnie, kiedy matka wprowadzała go za ucho do naszego pokoju. Potem spore pęknięcie, kiedy nie odzywał się dwa dni. Dwa lata później była to już szeroka szczelina, przez którą bez trudu przeciskały się nasze własne potwory, zawsze osobno. Aż wreszcie została tylko pusta przestrzeń i nie było już braci bliźniaków.

– Wiem, że to był początek końca. – Głos Oleszczuka wyrwał mnie z przeszłości. – Ale wyobrażasz sobie inne wytłumaczenie? Mówię ci: on liczy na to, że bardziej się w to zaangażujesz, że w ogóle się w to zaangażujesz dzięki wspomnieniom z dzieciństwa i bliskiej relacji, jaką kiedyś mieliście.

– Nie znałeś go, prawda? – zapytałem.

– Kamila? Nie. Nie osobiście. Wiedziałem, co robi, jako jedna z niewielu osób, ale nigdy się nie poznaliśmy.

– A on ciebie kojarzył?

Oleszczuk lekko zmarszczył nos.

– Możliwe. Nie jestem pracownikiem operacyjnym działającym pod przykryciem, o którym wie tylko kilka osób ze ścisłego kierownictwa. Jestem trochę urzędasem, jak ty. Prawdopodobnie też wiedział o moim istnieniu.



– A jakie było prawdopodobieństwo, że jego sprawą zajmiesz się właśnie ty?

Oleszczuk, który pocierał czoło wewnętrzną stroną dłoni, na chwilę zastygł w bezruchu. Wyglądał jak na zatrzymanym kadrze slapstickowej komedii, złapany na potężnym klepięciu się w czoło.

– Duże – rzekł w końcu, opuszczając rękę. – Nie będę wchodził w szczegóły, ale bardzo duże.

– Jesteś z wewnętrznego, prawda? – zapytałem, patrząc mu w twarz.

Lekko zmarszczył nos, między oczami pojawiła się pozioma bruzda.

– Jestem – przyznał po chwili. – I dlatego nikt mnie lubi.

Chyba nie mówił poważnie, więc powiedziałem:

– Tylko się nie rozplącz.

– Można się przyzwyczaić. – Skrzywił się. – Przynajmniej nikt ci dupy nie zawraca.

– W każdym razie masz już odpowiedź. Widocznie tobie ufa bardziej niż innym. – Pokazałem mu wizytówkę tkwiącą między palcami. – Co z tym robimy? Nie wiem, jak to tam u was działa, ale musisz chyba zlecić sprawdzenie tej firmy? Podśłuchy, inwigilacja?

Oleszczuk spojrział na kartonik łakomym wzrokiem.

– Żartujesz? – zapytał. – Nie wiem, co ty sobie myślisz o możliwościach ABW, ale po pierwsze, to trwa, a po drugie: wtedy dowie się o tym co najmniej kilka osób. To niedopuszczalne.

– W takim razie co dalej?

– Wygląda na to, że będziemy musieli tam po prostu pojechać. Iść za śladem. Skoro Kamil chce nam coś pokazać, to musimy to zobaczyć. – Pociągnął nosem i spojrział na mnie koso. – Jeśli chcesz się spotkać z żoną, niech to będzie dziś, dobrze? Najlepiej w ciągu godziny, dwóch.

\* \* \*

## **Szczecin, Łękno, godz. 15.00**

Umówiłem się z Laurą w „Biancafe” na Łęknie. Zgodziła się na spotkanie natychmiast, obiecała, że będzie w ciągu kwadransa. Oleszczuk poszedł do mojego mieszkania, miał tam na mnie czekać i prosto stamtąd zamierzaliśmy jechać znów do Goleniowa, tak żeby zdążyć na wieczorny lot

do Warszawy. Jeszcze na lotnisku zorientowałem się, że przecież nie zabrałem kluczy do mieszkania, które zostały w Emowie, ale okazało się, że nie zostały.

Zabrał je Oleszczuk.

Szarawy budynek na rogu Wojska Polskiego i Ostrawickiej stał na skraju porośniętego wysokimi drzewami skweru imienia mecenasa Łyczywka. Wybrałem miejsce na zewnątrz, przy małym stoliczku ustawionym obok grubego pnia lipy niknącego w specjalnym otworze zadaszania. Byłem przed Laurą. Czekając na nią, obserwowałem otoczenie: park, ulicę, młodego człowieka bawiącego się z labradorem i innych ludzi, którzy przyszli tutaj załatwiać swoje sprawy albo po prostu chwilę odpocząć.

Szczęśliwcy...

– Hej – powiedziała moja żona, kiedy pojawiła się kilka minut później.

Nie podeszła, żeby pocałować mnie chociaż w policzek. Po prostu usiadła naprzeciwko, położyła torebkę na sąsiednim krzeselku, oparła przedramiona o blat i wpatrywała się w nie w milczeniu. Kiedy podeszła kelnerka, zamówiłem dwa soki pomarańczowe.

– Nie jesteś w pracy? – zapytała zdziwiona.

– Nie – odparłem. – A ty?

Nie odpowiedziała.

– Dzięki, że przyszedłeś – mruknąłem.

Czułem się, jakbym zagadywał pierwszy raz do dziewczyny, która mi się spodobała. Nigdy nie byłem typem podrywacza, zawsze toczyłem wewnętrzną walkę, gdy miałem rozpocząć rozmowę, mimo że podobno byłem dość przystojny, a na pewno nie miałem się czego wstydzić, jeśli chodzi o aparycję.

– Dobrze, że zadzwoniłeś, bo też chciałam z tobą porozmawiać. – Laura wyjęła z torebki cienkie papierosy, włożyła jednego do pociągniętych karminową szminką ust i zapaliła.

– Nie będzie ci przeszkadzać? – zapytała, trochę poniewczasie.

Pokręciłem głową.

– Palisz? – zapytałem, lekko zdziwiony.

– Tak.

Od naszego nieformalnego i dobrowolnego rozstania minęło kilka tygodni,

a ja miałem wrażenie, że przede mną siedzi jakaś obca kobieta, obca przynajmniej w sensie fizyczności. Papieros, szminka w kolorze, którego nigdy nie używała, inna fryzura...

– O czym chciałeś rozmawiać? – zapytała, wydmuchując dym kącikiem ust gdzieś w bok i patrząc w tę samą stronę.

– Może w takim razie ty zacznij – zaproponowałem.

Przecież i tak nie wiedziałem dokładnie, o czym chcę mówić.

– Dobrze. – Pokiwała głową. – Dobrze, Adrian. Myślę, że to najwyższy czas, żeby wszystko wyjaśnić sobie do końca. Przez siedem lat naszego małżeństwa żyłam pod jednym dachem z człowiekiem, który stanowił dla mnie zagadkę. Nie dlatego, że nie wiedziałam, co się stało z twoim ojcem i jak to zniosłeś. Rozumiałam to, a przynajmniej próbowałam zrozumieć. To tragedia dla dziecka i absolutnie zdaję sobie sprawę, jaki może mieć wpływ na całe jego dalsze życie. Rozumiałam, że to cię mogło jakoś ukształtować jako człowieka dorosłego. Kiedy żyłeś z tym sam, to była twoja prywatna sprawa, twoja walka, a od jej wyniku zależał wyłącznie twój własny los. Ale od momentu gdy zdecydowałeś się wieść wspólne życie ze mną, to przestała być tylko twoja walka. To już była nasza walka. Ramię w ramię. Próbowałam ci pomóc. Nie chciałeś iść na terapię. Nie chciałeś o tym z nikim rozmawiać, nawet ze mną, żeby to jakoś przepracować. Nie miałam sojusznika, nie miałam oparcia w człowieku, z którym grałam przecież w jednej drużynie i któremu powinno zależeć na zwycięstwie najbardziej. Bardziej ode mnie. A nie zależało w ogóle. To była egoistyczna postawa, Adrian. Wiedziałam, że masz problemy z emocjami, ale i ogromny potencjał, i choć z natury jesteś dość spolegliwy, stać cię na dużo. Liczyłam, że weźmiesz się w garść. Że zaczniemy cieszyć się życiem i skoro nie możemy mieć dzieci, to będziemy z niego korzystać bardziej niż inni, którzy je mają. A tymczasem... Ja... Ja już dłużej nie mogę walczyć za nas dwoje samotnie. Nie mogę i nie chcę. Już nie. Przykro mi... – Z jej oczach zalśniły łzy.

Pociągnęła nosem i nerwowo się zaciągnęła. Widać było, że nie jest wytrawną palaczką. Kelnerka przyniosła soki i postawiła je przed nami, pytając, czy chcemy coś jeszcze. Podziękowałem. Miałem wrażenie, że zegar, który tykał od kilku tygodni, a może miesięcy czy nawet lat, właśnie wybił godzinę. Ostatnią godzinę naszego związku.

W końcu sam się o to prosiłem...

– Masz kogoś, prawda? – zapytałem spokojnie Laury, kiedy kelnerka zniknęła we wnętrzu kawiarni.

Moja żona splotła palce i pochyliła się ku mnie, tym razem patrząc mi prosto w oczy. Rozdzielała nas tylko smuzka dymu ulatująca z papierosa.

– Będę szczerą, bo zasługujesz na szczerą. Jesteś porządnym człowiekiem i szanuję cię. Bardzo cię szanuję, Adrian. Podjęcie tej decyzji kosztowało mnie mnóstwo emocji i bólu. Miałam teraz czas, żeby to wszystko przemyśleć. Ty też miałeś, ale go zmarnowałeś, bo nie wyciągnąłeś przez te kilka tygodni żadnych wniosków dotyczących naszej wspólnej przyszłości. A więc tak, to koniec. Nie będzie więcej szans. Tomka poznałam tydzień temu. Nie zakochałam się w nim szaleńczo, nie trzasnęło mnie, po prostu spodobał mi się i pozwoliłam wszystkiemu biec swoim torem. Nie chciałam dłużej tkwić w marazmie, bo do tego sprowadzało się nasze małżeństwo przez ostatnie lata. Wybacz, ale sporo winy jest po twojej stronie. Tyle miałam ci do powiedzenia. Przykro mi. – Zaciągnęła się ostatni raz i zdusiła niedopałek w popielniczce.

Zrobiła to mocno, jakby ten gest miał podkreślić jej słowa. I tak było. A ja przyjąłem to zadziwiająco spokojnie. Chyba po prostu spodziewałem się tego.

– Cóż... Skoro kogoś masz, to i tak wszystko stracone?

– Za późno na żale, Adrian. Ostrzegałam cię wielokrotnie. Nie mów, że nie odczytałeś tych znaków, bo to by uwłaczało twojej inteligencji. Mojej zresztą też. To nie jest żadne nieporozumienie. Ty te znaki świadomie ignorowałeś. I nie, nie wszystko stracone, mój drogi. Masz jeszcze coś. I zadbaj o to. Zadbaj o to najlepiej, jak umiesz, bo to ty sam.

W tym momencie wiedziałem już, co chcę powiedzieć. Poczułem ulgę. Wszystko poustawiało się samo, w takim porządku, w jakim chciałem. Nawet jeśli sobie tego nie uświadamiałem, albo po prostu nie chciałem uświadomić. Z wygody, z obawy, z jakiegokolwiek powodu.

– Przepraszam cię... – zacząłem.

– Nie przepraszaj, to nic nie da – przerwała mi.

– Poczekaj. – Uniosłem rękę i położyłem na jej dłoni.

Napięła się, ale nie wysunęła jej spod moich palców. Jej opuszki były czerwone od szminki z ustnika papierosa.

– Przepraszam cię za to, że zmarnowałem ci kilka lat życia. Pozostaje mi tylko cieszyć się, że nie całe i że któreś z naszej dwójki, to mądrzejsze, zdecydowało się na przerwanie tego i dało sobie szansę. Sobie i być może temu drugiemu również. Dawno nie zastanawiałem się, czy cię jeszcze kocham, a chyba powinienem. Powinienem się zastanowić i powinienem kochać. Zresztą sam tego nie wiem. Chyba tak, choć to teraz nie ma żadnego znaczenia. O ile pamiętam, powiedziałem ci to wprost tylko kilka razy na początku naszego związku. Dziękuję ci za wszystko.

Patrzyła mi w twarz, a ja w jej oczach widziałem niepewność. Zastanawiała się chyba, czy mówię szczerze, czy po prostu wykorzystałem fakt, że to ona zaczęła pierwsza i mogłem się wykręcić z naszego małżeństwa z godnością. Nie musiałem więc się w tłumaczeniach wartych niewiele więcej od tego, co psy zostawiały z sąsiednim parku. Mogłem po męsku przyjąć fakt rozstania i wyjść z tego z twarzą.

Nie miałem pojęcia, czy spodziewała się, a może wręcz tego chciała, że poinformuję ją o rozstaniu, czy że będę błagał na kolanach, by do mnie wróciła. Nie. Nie mogła wrócić, bo tak naprawdę to nie ona odeszła, tylko ja. Nie mogła zostać, nie po tym, co powiedziała, choć oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że tylko wyartykułowała to, co do tej pory obydwójmy myśleliśmy. Zwykle związki rozpadają się, bo zostało wypowiedziane za dużo słów, których już nie dało się cofnąć. Nasz rozpadł się, bo słów było zbyt mało. I to ja ich nie wypowiadałem.

Nie mieliśmy czym grać, bo mieszkanie na kredyt było wszystkim, co osiągnęliśmy wspólnie przez siedem lat. Nie musieliśmy się wzajemnie szantażować dziećmi, psem, parcelą nad morzem ani altaną na działce, mogliśmy się rozstać normalnie i zdrowo, jak dwójka ludzi, która stwierdziła, że dłużej im po prostu nie po drodze. To właśnie się stało w kawiarni koło parku, przy stoliku pod wielką lipą. Historia, jakich wiele.

Życie.

– Naprawdę bardzo cię przepraszam – powtórzyłem. – Nie będę ci rzucał kłód pod nogi, chcę, żebyś ułożyła sobie życie, bo też na to zasługujesz.

Wciąż spoglądała na mnie podejrzliwie. Sądziła, że za łatwo się z tym wszystkim pogodziłem, albo nie mogła uwierzyć, że to jej poszło tak łatwo. A może to to samo?

– Pytanie nie brzmi, czego ja chcę, ale czego nie chcę – ciągnąłem wątek.

– Nie chcę dłużej cię oszukiwać. Siebie też nie. Wbrew temu, co sądzisz, trochę nad tym wszystkim myślałem. Nie potrafię, nie umiem być z kimś, nie zasługuję na kogoś. Nie na normalnych warunkach, a głupotą byłoby oczekiwać od kogoś, żeby zgodził się na nienormalne. Ty się godziłaś przez te kilka lat. To ty byłaś dzielna, nie ja. Ja byłem egoistą, tu masz absolutną rację. Nie potrafię poradzić sobie z samym sobą. Znasz mnie dobrze, znasz mnie jak nikt inny. Oboje wiemy, że mam wgląd w siebie, ale mimo to nic z tym nie zrobiłem. Wciąż jestem, jaki jestem. Nie jest mi z tym dobrze, ale nic z tym nie robię, bo boję się, że gdy się zmienię, będzie gorzej. Że już w ogóle sobie nie poradzę. Tylu ludzi straciło w dzieciństwie rodzica i jakoś żyją. Może w moim przypadku stało się to w najmniej odpowiednim momencie rozwojowego skoku emocjonalnego, zaburzonego stresem, jakiego nie powinno przeżywać żadne dziecko. Matka też mi nie pomogła, pamiętaj o tym.

– To już wiemy, Adrian. – Laura ponownie pochyliła się ku mnie. – Wiedzieliśmy o tym jeszcze przed ślubem. Tylko że ty nic z tym nie zrobiłeś. Nawet nie próbowałeś. Tylko to mam ci za złe, nic innego, a już na pewno nie to, że przeżyłeś w dzieciństwie tragedię.

Znów zajrzałem w głąb siebie. W bezdennej pustce skrzywdzony przez los dzieciak siedział skulony i obejmował się własnymi ramionami, wpatrzony tępo w przestrzeń przed sobą; przestrzeń, w której nie było niczego, na czym można by skupić wzrok. Dorosły Adrian zostawił tak tego dzieciaka prawie trzydzieści lat temu. Nie podał mu ręki, nie pocieszył, nie pokazał, że można żyć tu i teraz, a nie tam i wtedy. Teraz widziałem chłopca w tej samej pozycji, w której go zostawiłem.

To ja byłem tym dzieciakiem.

Patrzyłem na siebie.

– Posłuchaj, Lauro. – Słyszałem swój głos, jakby dochodził gdzieś z tyłu, zza wielkiej lipy, a nie z mojego wnętrza. – Nie będzie mnie przez jakiś czas. Wyjeżdżam służbowo w delegację, może nawet na dwa tygodnie, nie wiem dokładnie. Możesz wrócić do domu. Potem załatwimy całą resztę. Mam tylko prośbę: nie sprowadzaj się tam z... nim. Jeszcze nie.

– Myślałam, że sprzedamy mieszkanie. Spłacimy kredyt, z reszty starczy na wkład własny na coś małego dla każdego z nas...

– Dobrze, dobrze... – Uniosłem uspokajająco ręce. – Oczywiście. Ale

zajmiemy się tym później, okej?

Wstałem i wyciągnąłem z portfela trzydzieści złotych. Położyłem je na blacie i przycisnąłem swoją szklanką. Potem podszedłem do Laury, pochyliłem się nad nią, wziąłem w dłonie jej twarz i pocałowałem ją w usta. Długo i mocno.

– Dziękuję – powiedziałem, dodając: – Zadzwoń, kiedy wrócę.

Odwróciłem się i poszedłem w stronę Pogodna, do domu. Mimo wewnętrznej pustki czułem równocześnie jakiś spokój, jakbym załatwił niesamowicie ważną sprawę, i to załatwił ją dobrze.

Najważniejsze, że wszystko skończyło się właśnie tak: dobrze.

\* \* \*

Oleszczuk siedział na kanapie i oglądał wiadomości na którymś z kanałów informacyjnych.

– Zawsze w pracy, co? – zapytałem, wskazując telewizor.

Pstryknął pilotem i odłożył go na stół.

– Mam nadzieję, że nie powiedziałaś jej o Kamilu i reszcie? – Spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Nie. Rozmawialiśmy wyłącznie o nas.

– I co? – zapytał z ciekawością.

– Nic. – Wzruszyłem ramionami. – Nie ma już o czym mówić, bo nie ma już nas...

Oleszczuk wstał, obciągnął koszulę i klepnął mnie przyjaźnie w ramię.

– Witaj w klubie – mruknął, dodając po dłuższej chwili: – Są też dobre strony, zobaczysz...

– Tak? Poznałeś je?

Uniósł brwi.

– Ja? Nieee... Jeszcze nie, choć minął już kawał czasu. Ale wierzę, że one jednak istnieją. – Roześmiał się.

Popołudnie spędziliśmy przy telewizorem, oglądając kanały informacyjne na przemian z kabaretami. O czwartej skoczyliśmy na ryneček „Pogodno” do pierogarni, żeby zjeść obiad.

O wpół do ósmej Oleszczuk spojrzał na zegarek.

– Zbieramy się – zakomenderował. – Skąd jeżdżą busy na lotnisko?

– Spod dworca. – Westchnąłem i wyciągnąłem swój telefon. – Zamówię

taksówkę.

Oleszczuk wyjął mi go z ręki.

– Pożegnaj się z tym. – Schował komórkę do kieszeni i wyciągnął swoją. –  
Później dostaniesz nową. Jaką tu macie najtańszą korporację?



**8. Warszawa, Centrala ABW, Rakowiecka 2a, 26 października, godz.  
10.00**

Była za dwie dziesiąta, kiedy major Arkadiusz Oleszczuk wszedł do sekretariatu gabinetu ministra koordynatora. Dziewczyna za kontuarem, tak samo zmęczona, tym razem po prostu wskazała mu drzwi, więc minął ją, skinąwszy głową, i od razu, bez pukania wszedł do gabinetu. Wiedział, że na niego czekają.

W środku był minister Piotr Karaimow, szef ABW pułkownik Piotr Łodygowski, współpracujący ze służbami psycholog Maciej Malisz, a także, ku ogromnemu zdziwieniu Oleszczuka, poseł i członek sejmowej speckomisji Marek Widacki oraz nieznany mu człowiek, ubrany niemal identycznie jak Karaimow. Stał obok biurka i przekładał jakieś leżące na nim papiery. Oleszczuk domyślił się, że to asystent ministra.

Major przystanął niezdecydowanie.

– Śmiało, śmiało – zachęcił go Karaimow, nie wykonując przy tym żadnego ruchu, a tylko patrząc na niego z drugiego końca pomieszczenia.

Oleszczuk podszedł więc do okrągłego stołu, przy którym siedzieli uczestnicy spotkania.

– Załatw to, Paweł, jak prosiłem i daj znać, dobra? – Karaimow zwrócił się do asystenta. – Jak ci to oddadzą, zawieź od razu na Wiejską, pogadaj z Kościukiewiczem o tym cholernym raporcie i powiedz mu, że ma być gotowy na jutro na czternastą, a potem zamów mi coś tajskiego, tak na trzynastą trzydzieści. Dziękuję.

– Pani Wanda mówiła, że kuchnia zrobiła dziś dla pana roladę z kluskami śląskimi.

– Właśnie dlatego zamów mi tajszczyznę. – Karaimow uśmiechnął się lekko i nagle jego twarz nabrała zupełnie innego wyrazu.

Trwało to sekundę. Uśmiech zniknął tak samo niespodziewanie, jak się na niej pojawił. Asystent skinął w milczeniu głową, pozbierał papiery,

włożył je do teczki i opuścił gabinet. Karaimow odprowadził go spojrzeniem, a potem podszedł do zebranych i usiadł w swoim fotelu. Oleszczuk potoczył spojrzeniem po mężczyznach siedzących wokół okrągłego stołu, zagłębionych w wygodnych fotelach, tak że niemal do połowy ukryci byli za blatem. W klapach marynarek Widackiego i Karaimowa tkwiły metalowe wpinki: małe polskie flagi bijące po oczach czerwienią i bielą, mające symbolizować u jednych patriotyzm i przywiązanie do określonych wartości, u innych służbę Polsce, a jeszcze u innych nieoznaczające niczego z wyjątkiem podporządkowania się stylowi i modzie. Major zastanawiał się, co oznaczały u posła i ministra. Chwilę wcześniej nad biurkiem Karaimowa pozbawionym jakichkolwiek prywatnych akcentów; zdjęć rodziny, pamiątek ze służby czy czegokolwiek innego, zauważył oprawione w ramkę motto: „Po owocach pracy ich poznacie”.

– To co, zaczynamy? – odezwał się Karaimow. – Przepraszam, ale nie mam za dużo czasu. Panowie wiecie, po co się spotkaliśmy. Adrian Wicha i zasadność wprowadzenia do ściśle tajnego śledztwa w sprawie o szpiegostwo człowieka całkowicie niezwiązanego ze służbami.

– Panie ministrze, ze względu na charakter sprawy, o czym sam pan przed chwilą wspominał... – Oleszczuk urwał.

Wiedział, że kładzie głowę pod topór, ale mimo to brnął dalej. Tu już nie chodziło o niego, tylko o coś więcej. Zauważył spojrzenie Łodygowskiego, ale nie było już odwrotu.

– Chodzi panu o obecność posła Widackiego? – Karaimow zmarszczył lekko brwi.

I tak ledwo widoczne, zniknęły za krawędziami szkielek okularów.

– Chodzi o to, że...

– Zwracam panu uwagę, że pan poseł jest przewodniczącym komisji sejmowej, a także członkiem kolegium do spraw specsłużb. Przypominam panu majorowi, że organy te z mocy prawa mają możliwość opiniowania pracy służb specjalnych. Nie rozumiem więc, skąd te obawy?

Oleszczuk milczał. Obecność Widackiego nie była więc pomyłką czy nieświadomym ruchem, tylko celowym zabiegiem, obliczonym nie wiadomo na co. Przynajmniej on tego nie wiedział. Należało tego uniknąć, zwłaszcza w tej sytuacji. Kompetencje organów, o których wspominał Karaimow, nie

sięgały tak daleko.

– Dobrze, proszę kontynuować – polecił minister.

– W ciągu kilku ostatnich dni przeprowadzono, oczywiście w miarę możliwości, kilka testów mających sprawdzić predyspozycje pana Adriana Wichy do ewentualnego udziału w operacji „Boeing”. Testy przeprowadzono przy udziale doktora Malisza, który współpracuje z ABW w zakresie oceny psychologicznej kandydatów i funkcjonariuszy służb. Chciałbym zwrócić uwagę, że ze względu na ograniczony czas nie możemy mówić o pełnej analizie, a jedynie o jej... zarysie.

– Ale jakieś zdanie na tej podstawie można sobie o nim wyrobić?

– Oczywiście. – Oleszczuk pokiwał głową. – Taki był cel: ogólna, a nie szczegółowa ocena przydatności.

– A więc?

– To może niech wypowie się doktor Malisz.

Malisz otworzył swoją teczkę i wyciągnął z niej plik kartek, ale kiedy spojrzał na pierwszą stronę, z wahaniem włożył wszystko z powrotem.

– Na podstawie materiałów z kilkunastodniowej obserwacji pana Wichy dostarczonych przez ABW oraz nieukończonego badania, które przeprowadziłem z nim osobiście, mogę stwierdzić kilka rzeczy. Nie będę się tu posługiwał terminologią fachową, jeśli to kogoś interesuje, może sprawdzić w raporcie, który wręcę zaraz panu majorowi. Omówię pokrótce jedynie rys charakterologiczny pana Wichy pod kątem, który tu rozważamy.

– O to nam właśnie chodzi – przytaknął Karaimow.

– Przede wszystkim jest to człowiek raczej wycofany i zamknięty w sobie. Mimo to jest pewny swojej wiedzy i kompetencji, oczywiście w pewnym zakresie zgodnym z wykształceniem i wykonywanym zawodem. Inteligentny, sporo ponad przeciętną. Zna biegle francuski i angielski, co też o czymś świadczy. Moralnie bez zarzutu. Zachowania niegenerujące agresji, a wręcz tonujące ewentualny konflikt. Podejmuje działania zapobiegające jego eskalacji. Ekspresja emocji: nie powiem, że bardzo zaburzona, jednak utrata ojca w dzieciństwie i brak emocjonalnego związku z matką spowodowały afekt nieco niedostosowany. Można to w skrócie określić: typ introwertyka. W sytuacjach bezpośredniego zagrożenia może tracić opanowanie, co zwykle przekłada się na nieco

chaotyczne działanie, jednak nie ma możliwości oceny, jak to wygląda w sytuacji realnego zagrożenia życia. W takich sytuacjach często reaguje się zupełnie inaczej.

– Podsumowując, czy ten człowiek nadaje się do pracy wymagającej działań o charakterze specjalnym?

– Powiem tak, panie ministrze: jako psycholog dokonujący oceny i weryfikacji kandydatów do służb specjalnych opieram się zwykle na szerokim spektrum badań i obszernym wywiadzie. W tym wypadku nie przeprowadzono chociażby testów wariografem czy testów wydolnościowych, nie wiemy, jak reaguje na alkohol, w związku z czym nie jestem skłonny do wydania stuprocentowo pewnej opinii w sprawie pana Wichy.

– A opierając się na tym, co pan ma? Dopuszczałby pan go? – Karaimow siedział wciśnięty w swój fotel, z nogą założoną na nogę, łokciem na kolanie i pięścią z wysuniętym palcem wskazującym podpierał sobie podbródek.

– Raczej nie. – Malisz pokręcił głową. – To nie jest typ człowieka, jaki preferuje się, przyjmując kandydata do długotrwałego szkolenia na funkcjonariusza służb specjalnych. Ma pewne cechy predysponujące go do tej roboty, ale prawie każdy z nas ma któreś z nich. Chodzi o te, których się nie ma. I u niego też ich brak. Przykro mi.

– Panie majorze? – Karaimow odkleił palec od policzka i skierował go w stronę Oleszczuka.

– Co mogę powiedzieć... Pozostaje mi zdać się na opinię pana doktora.

– Ale zgadza się pan z nią?

– Zasadniczo, tak. Ale... To nie jest głupi facet. Myślę, że na wiele go stać, mimo tego wycofania, o którym wspomniał pan doktor. Mam wrażenie, a nawet coś więcej niż wrażenie, że w skrajnych okolicznościach jest w stanie wykrzesać z siebie wolę walki, której na pierwszy rzut oka wcale w nim nie ma, co podkreślał doktor Malisz. To oczywiście moja osobista opinia.

– Oczywiście – mruknął Karaimow i zwrócił się do Malisza: – Panie doktorze, dziękujemy panu bardzo za poświęcony czas.

Malisz zrozumiał, że jego udział w spotkaniu właśnie dobiegł końca i ma opuścić gabinet, więc wstał, pożegnał się krótkim skinieniem głowy i wyszedł. Zapadła chwila ciszy.

– Co z możliwością, że kapitan Wicha wciągnął w operację swojego brata, żeby monitorować nasze ruchy? – zapytał Karaimow.

Głos zabrał Łodygowski; być może obawiał się, że Oleszczuk znów powie coś niepopularnego.

– Oczywiście wciąż bierzemy tę ewentualność pod uwagę, jednak staje się coraz mniej prawdopodobna. Nie ma żadnej łączności między braćmi, Adrian Wicha został całkowicie odcięty od swojego środowiska, co miało być gwarancją utrzymania tajemnicy. Od kilku dni Wicha przebywa pod naszą opieką i jest praktycznie dwadzieścia cztery godziny na dobę pod obserwacją majora Oleszczuka.

– To tylko kilka dni. Taki krótki czas nie może jeszcze o niczym przesądzać.

– Zgadza się, dlatego nie spuszczaamy go z oka. Ma nowy telefon, nasz telefon, nie wychodzi nigdzie sam, jego pokój w ośrodku w Emowie jest monitorowany. Nie stwierdziliśmy żadnych działań, których podejmowanie mogłoby świadczyć o próbie nawiązania kontaktu w kapitanem Wichą.

– A więc nie mamy wyjścia. Skoro pan major i pan pułkownik rekomendują Wichę do tego zadania, to chyba nie pozostaje mi nic innego, jak się zgodzić. Kwestia odzyskania dysków z danymi jest priorytetowa. – Karaimow wskazał na Widackiego. – Pan poseł zapewnił, że w razie nadzwyczajnych okoliczności postara się o pozytywną opinię komisji w sprawie przesunięcia środków budżetowych na cele inne niż deklarowane. Prezydent Bush mawiał, że nie negocjuje się z terrorystami, ale my jesteśmy realistami, panowie. Jeśli pojawi się opcja, nazwijmy to: zapłacenia okupu w rozsądnej wysokości, skorzystamy z niej bez wahania. Panie majorze, na pańskich barkach spoczywa ogromna odpowiedzialność.

Oleszczuk wyprostował się lekko i chrząknął.

– Zdaję sobie z tego sprawę, panie ministrze.

Karaimow spojrział na niego.

– Braliście pod uwagę, że on po prostu zwariował? Nie wytrzymał ciśnienia, nie wiem... On po coś to robi, a równocześnie jego ruchy są kompletnie absurdalne.

– Taka opcja też jest brana pod uwagę. Prawda jest taka, że w chwili obecnej wszystkie możliwości są brane pod uwagę.

Karaimow poprawił okulary zsuwające się z nosa.

– Dobrze. W takim razie pana pułkownika Łodygowskiego proszę o informowanie mnie na bieżąco o rozwoju sytuacji.

Obaj funkcjonariusze wstali, traktując te słowa jako sygnał do wyjścia, Widacki został na swoim miejscu. Kiedy obaj wyszli z gabinetu, jeszcze przez jakiś czas milczeli. Dopiero na korytarzu Łodygowski syknął do Oleszczuka:

– Aleś pierdolnął z tym Widackim. Zwariowałeś??

Oleszczuk zacisnął szczęki.

– Nie miałem wyjścia.

– Miałeś, kurwa. Mogłeś trzymać jęzor za zębami. Wygłupiłeś się i będzie ci to zapamiętane. A Karaimow ma dobrą pamięć, wiesz o tym?

– Po chuj go zaprosił na to spotkanie?

– Też byłem zdziwiony, ale to polityka, Arek. Dzieckiem jesteś?

– Gównu mnie obchodzi, że kolegium i komisja sejmowa opiniują budżet, kierunki i chuj wie co jeszcze, co dotyczy służb. Czy oni w ogóle zdają sobie sprawę ze skali tego bajzlu? Czy nie widzą, że tu nie ma miejsca na politykę? Czy tylko ja mam wrażenie, że jak zwykle sprawę załatwi się do połowy, bo coś komuś nie będzie pasować? Wszyscy, kurwa, się boją, że każdy ważny ruch potraktowany zostanie jako objaw braku kompetencji. Ja tego nie pojmuję, Piotrek, ja po prostu tego nie pojmuję...

Łodygowski szedł przez chwilę w milczeniu. Oleszczuk dotrzymywał mu kroku, czekając na odpowiedź przełożonego.

– Co mam ci powiedzieć? Nie denerwuj się. Wszystkie ustalenia między nami pozostają aktualne. Rób swoje, Arek. Po prostu rób swoje. Oficjalnie sprawdzasz wszystkie miejsca, w których na podstawie naszych ustaleń bądź podejrzeń przebywał kapitan Wicha. Pilnuj jego brata, niech ci się nie urwie. Ryzyko, że oni grają razem w swoją grę, wciąż jest realne. Widackiego i Karaimowa zostaw mnie. Co dalej?

Oleszczuk westchnął głęboko.

– Chcę jeszcze pogadać z Cwynarem. Zabiorę ze sobą Wichę. A potem jedziemy do Luksemburga. Wicha, ten nasz Wicha, zostawił bratu wizytówkę pewnej luksemburskiej firmy z nazwiskiem jakiegoś człowieka. Arabskim nazwiskiem, żeby było śmieszniej. Firma nazywa się Forge. Czekam na szczegóły od naszych, ale wygląda na to, że tak czy siak najlepiej będzie tam pojechać. Inaczej ten kawałek papieru nie miałby

sensu.

– Masz wszystko, czego ci potrzeba?

– Tak.

Wyszli na zewnątrz. Łodygowski zaczął wypatrywać na parkingu swojego służbowego samochodu, a potem wyciągnął telefon i zadzwonił do kierowcy. Oleszczuk w tym czasie zrobił to, na co miał ochotę od momentu wejścia do budynku przy Rakowieckiej.

– Podjedź pod główne – rzucił Łodygowski do telefonu, a Oleszczuk wydmuchnął z płuc dym, czując, jak opada z niego napięcie.

Kiedy czarna skoda podjechała pod wejście, Łodygowski otworzył tylne drzwi. Wsiadając, odwrócił się jeszcze do Oleszczuka.

– Uważaj na siebie – powiedział cicho. – Na niego też, ale na siebie najbardziej. Nie jesteśmy wywiadem i pamiętaj o tym. Nie popełnij jakiegoś głupstwa, po prostu rób to, w czym jesteś świetny: trop skurwysyna. Rozumiesz?

– Jasne...

– No. Będziemy w kontakcie...

## 9. Warszawa, areszt śledczy w Warszawie – Białolece, godz. 12.40

Areszt śledczy na warszawskiej Białolece wygląda tak samo jak każdy inny. Ohydnie i prosto. Oleszczuk zaskoczył mnie trochę informacją, że pojedziemy zobaczyć się z Cwynarem, asystentem profesora Zajnerta. Najbardziej zdziwiony byłem nie samym faktem wizyty, co tym, że mam tam pojechać z nim.

– Po co? – zapytałem.

– Posłuchać. Poobserwować. Twój brat się z nim znał, być może razem coś knuli, a tylko Kamil zdążył uciec... Nie wiem. Po prostu słuchaj i patrz.

Formalności związane z wejściem na teren aresztu zajęły trochę czasu, a kiedy wreszcie dotarliśmy do gabinetu oddziałowego, okazał się, że prokurator prowadzący sprawę Cwynara jeszcze nie przyjechał.

Metaliczny szczepek zamykanych krat budził lęk we mnie, a co dopiero w kimś, kto miał za nimi spędzić sporo czasu. Przygnębiające wrażenie robił niemal każdy element wystroju wewnątrz tego przybytku, od kolorów począwszy, na meblach skończywszy. Nawet w gabinecie oddziałowego. Wyszliśmy z Oleszczukiem na korytarz. W części administracyjnej nie było więźniów, więc staliśmy sobie spokojnie, a Oleszczuk ssał ustnik swojego elektronika.

– Mówiłem ci, że lepsze od skazania szpiega jest odwrócenie go, tak? – powiedział w pewnej chwili. – Musisz wiedzieć, że możemy odstąpić od informowania prokuratury o popełnieniu przestępstwa szpiegostwa w sytuacji, kiedy podejrzany ujawni wszelkie okoliczności i podejmie współpracę. Ustawa o agencjach daje nam taką możliwość, pod warunkiem że gość potem nie będzie dalej kombinował, czyli zaniecha poprzedniej działalności, za to będzie współpracował z nami. Ale problem z Cwynarem polega na tym, że zabił człowieka, czyli popełnił inne przestępstwo, konkretnie przeciw życiu, co automatycznie wyklucza taką opcję. Pomijając fakt, że nie idzie na współpracę, tylko w zaparte.



– Jeszcze mu niczego nie udowodniono?

– Zgadza się. Dlatego mamy pat. Nie wiemy, czy zabił, czy jest winny współsprawstwa zabójstwa razem z twoim bratem i czy tak naprawdę szpiegował, albo chociaż współpracował z Kamilem również w tym zakresie, co jest bardziej prawdopodobne. On sam nam nie pomaga. Nie przyznaje się do niczego. Jego sprawę prowadzi prokurator Gonera z Działu do spraw Szpiegostwa w Mazowieckim Wydziale Zamiejscowym Departamentu do spraw Przeszłości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej w Warszawie. Kurwa, słyszałeś kiedyś o dłuższym tytule?

– Oficjalny tytuł królowej angielskiej jest chyba dłuższy.

– Ten tam nie wygląda na królową... – Oleszczuk pokazał mi krępego człowieczka tonącego w zbyt obszernej, sztruksowej marynarce, który zbliżał się do nas, czy też raczej nacierał jak rozjuszony nosorożec.

Był zgrzany i spocony. Czarne włosy w nieładzie sterczały mu do góry, najwyraźniej zostały tak po niecierpliwym ruchu odgarnięcia ich z czoła. Podszedł do nas szybkim krokiem i przedstawił się. Oleszczuk zrewanżował się tym samym, jednak o mnie albo zapomniał, albo nie przedstawił mnie celowo. Nie miałem mu tego absolutnie za złe. Po prezentacji Arek zajrzał do gabinetu i po chwili oddziałowy wyszedł do nas uzbrojony w pęk kluczy. Wyglądało na to, że wszystko jest już dogadane.

– Nie będzie prawnika Cwynara? – zapytałem cicho Oleszczuka, kiedy szliśmy wszyscy ponurym korytarzem do części, w której przebywali osadzeni.

– Nie. – Pokręcił głową. – Jego obrońca leży w szpitalu z perforacją jelita i nie mamy czasu na żadne prawne szarady. To nie będzie przesłuchanie ani składanie wyjaśnień. Cokolwiek zostanie tam powiedziane, nie może być brane pod uwagę w późniejszym procesie przed sądem. Cwynar zgodził się na nieformalne spotkanie, zastrzegając sobie co najwyżej prawo do nieudzielania niektórych odpowiedzi. Traktuje to jako wolę współpracy i uznał, że taka postawa będzie świadczyć na jego korzyść. Czyli o jego niewinności. Prokurator musi przy tym być, ale obrońca nie. Tak mi przynajmniej tłumaczono.

– Uhm.

Szliśmy dalej w milczeniu. Gonera sapał przez nos, próbując dotrzymać

nam kroku, a poły jego marynarki fruwały na boki. Coś brzęczało w jednej z kieszeni.

Cwynar, szczupły i przystojny blondyn ubrany w szary dres, czekał już w sali widzeń. Był tam sam, jeśli nie liczyć strażnika, który przy nim stał i na nasz widok rozkuł mu ręce. Poczekaliśmy, aż obaj funkcjonariusze służby więziennej wyjdą. Cwynar w tym czasie nam się przyglądał, a w jego oczach nie było ciekawości, tylko zmęczenie. Był blady, kolano podskakiwało mu nerwowo pod stołem, a splecione palce rąk zaciskały się miarowo na sobie tak, że aż bieleły. Usiedliśmy przed nim we trzech, co jeszcze bardziej musiało spotęgować stres. Gonera postanowił, że będzie pełnił honory gospodarza.

– To pan major Oleszczuk z ABW. – O mnie nie wspomniał ani słowem i nic dziwnego: w końcu nie miał pojęcia, kim jestem, o co postarał się Arek.

– Dzień dobry. – Głos Cwynara był zadziwiająco spokojny i w ogóle nie korespondował z wyglądem i zachowaniem.

– Dzień dobry. Odwiedziliśmy pana, żeby posłuchać, co ma pan do powiedzenia w związku ze śmiercią profesora Zajnerta. Przy okazji: dziękuję, że pan się na tę rozmowę zgodził.

– Nie ma sprawy, tylko że ja wszystko już powiedziałem. Nie mam z tym nic wspólnego. Jestem niewinny. A zarzut współpracy z obcym wywiadem jest jeszcze głupszy. Dalej nie wierzę, że to się dzieje... To jakiś absurd.

– Dobrze, miał pan pewnie sporo czasu, żeby wszystko przemyśleć. Przypomnieć sobie wszystko, być może również to, czego nie powiedział pan prokuratorowi, bo pan o tym z jakichś względów zapomniał. Ze stresu na przykład, co jest absolutnie zrozumiałe. Mówię o jakimś nieistotnym szczególe: zdarzeniu, sytuacji, słowach, które nie powinny paść. Cokolwiek, co teraz wydaje się panu dziwne. Proszę się postarać. Po to właśnie nalegaliśmy na tę rozmowę.

– Mam nadzieję, że coś z tego wyniknie, coś pozytywnego dla mnie. A jeśli chodzi o dziwne rzeczy... Mówiłem już o dziwnych rzeczach panu prokuratorowi.

– Niech pan w takim razie powtórzy je teraz mnie.

Cwynar westchnął i popatrzył w sufit.

– Zajnert wspomniał mi, że ktoś zwrócił się do niego z pewną propozycją.

– Jaką propozycją?

– Profesor miał zapomnieć po pracy schować dysk zewnętrzny do sejfu. Powinien go zostawić przy komputerze w konkretnym dniu, informacja o terminie miała zostać podana później. W instytucie jest taki specjalny komputer zabezpieczony przed możliwością analizy ulotu elektromagnetycznego i wszelkimi innymi podstępami, kapitan Wicha przywiózł go od siebie. Nazywamy go „Matką”. Stoi w bezpiecznym pomieszczeniu bez okna. Ogólnie rzecz ujmując, to w nim spina się wyniki, wpisuje dane cząstkowe i prowadzi statystykę, na podstawie której otrzymujemy część wyników badań. Stamtąd co tydzień dane były kopiowane na dodatkowy dysk zewnętrzny, który chowano do sejfu. Zajnert odpowiadał za to osobiście, tylko on znał kod. On i Wicha, oczywiście.

– Od kogo wyszła propozycja?

– Nie chciał mi powiedzieć.

– Ale od kogoś z Instytutu?

– Powtarzam, nie mam pojęcia.

– Mówił pan o tym prokuratorowi? – Oleszczuk wskazał Gonereę.

– Mówiłem.

– I co?

– Nie uwierzył mi.

Ja też popatrzyłem na prokuratora. Miał zaciętą minę, a na twarzy wyraz lekceważenia.

Oleszczuk założył nogę na nogę.

– Już pan mówił, że nie wie, kim była ta osoba, ale będę pana cisnął: skoro Zajnert miał komuś zostawić dysk przy komputerze, to tym kimś musiał być ktoś z dostępem do pomieszczeń instytutu. Ktoś od was?

Miałem wrażenie, że Cwynar chce spojrzeć na sufit, ale się przed tym powstrzymał.

– Nie wiem. Ale to chyba logiczne. Ścisły trzon zespołu liczy kilkanaście osób. Tak w ogóle, to Zajnert wspomniał mi o tym w przelocie, bo w instytucie była sraczka; za kilka dni miał przyjechać zespół z ministerstwa na, jak to określaliśmy, gospodarską wizytę. Istniało ryzyko, że przyjedzie nawet sam premier. Wicha tylko się wkurzał, bo to oznaczało dodatkową robotę z zabezpieczeniem. W takich sytuacjach wszystko sprawdza SOP, wpieprzają się wszędzie i mają wszystkich w dupie. A Wicha traktował procedury jak świętość. Każdy człowiek spoza

zespołu był intruzem, bez względu na to, jakie miał uprawnienia. To u niego było wręcz obsesyjne.

– Kiedy to było?

– Na kilka dni przed zabójstwem Zajnerta. Koniec końców delegacja nie przyjechała, Wicha zniknął z twardzielami z „Matki”, a zewnętrzny dysk skutecznie zniszczył. I zostawił nas z niczym.

– Nie rozmawiał pan więcej o tym z Zajnertem? Mówię o tych kilku dniach między tą propozycją a jego śmiercią.

– Nie... – Cwynar pokręcił głową, a potem otworzył usta, jakby chciał coś dodać, ale się rozmyślił.

– Śmiało – zachęcił go Oleszczuk. – Niech pan mówi.

– Profesor Zajnert się do mnie dobierał.

– Proszę?

– Dobierał się do mnie. Złożył mi propozycję. – Cwynar westchnął głęboko i spojrzał w sufit. – Można powiedzieć, że była niemoralna. Chyba sobie coś tego dnia chlapnął, bo ciągle żuł tik-taki i był jakiś wesolutki. W pewnym momencie, kiedy byłem u niego w gabinecie, żeby mu coś pokazać, wstał, zaszedł mnie od tyłu, chwycił za tyłek i zapytał, czy nie miałbym ochoty na służbową kolację.

– Proszę nie konfabulować – wtrącił prokurator.

– Mówię prawdę.

– Profesor Zajnert miał żonę i dwie córki. To są insynuacje... Próbuje pan go zdezawuować w naszych oczach, żeby poprawić własną sytuację?

– Co z tego, że miał żonę? Gdzie pan żyje?

– Co było potem? – Oleszczuk powstrzymał szykującego się do tyrady Gonerę niecierpliwym ruchem ręki.

– Zgłupiałem. Zaniemówiłem. Po prostu wyszedłem do siebie i więcej do tego nie wracałem. On też nie.

– Po co nam to pan mówi?

– Pomyślałem, że to istotne.

– W jakim kontekście?

– Był gejem, tak? A właściwie kryptogejem, co jeszcze pogarszało jego sytuację. Kiedy jest to tajemnica poliszynele, to nie ma problemu. Wszyscy wiedzą i udają, że nic się nie dzieje. Ale on przecież miał żonę, rodzinę, pozycję... Nigdy nie słyszałem żadnych plotek na ten temat. Że miał

kochankę, kobietę, to tak. Ale że lubił chłopców?

– Dalej nie rozumiem kontekstu.

– Ktoś mógł go szantażować. Tylko po co komuś dysk bez dostępu do danych?

– Zajnert znał kod umożliwiający skopiowanie danych?

– No właśnie nie. Tylko kapitan Wicha go znał.

– Rozmawiał o tym z Wichą?

– Zajnert?

– Tak.

– O tym, że ktoś chciał, żeby wykradł dysk?

– Tak.

– Nie wiem.

– A pan? Poinformował pan Wichę?

– Nie.

– Dlaczego?

Cwynar spuścił wzrok.

– Nie wiem. Może myślałem, że to nie moja sprawa? Że profesor załatwi to sam?

– Pokpił pan temat.

Cwynar spojrzał na Oleszczuka ostrzej.

– Zajnert był moim przełożonym i idolem, poza tym świetnym naukowcem i fantastycznym facetem, porządnym człowiekiem. Uważałem, że załatwi tę sprawę sam, a ja nie będę się w to wpieprzał, zwłaszcza że nie dotyczyło mnie to bezpośrednio.

– To pan znalazł ciało Zajnerta, prawda?

– Tak. – Cwynar opuścił głowę.

– Dlaczego w jego domowym gabinecie było tyle pańskich odcisków palców? Również krwawych?

– A jak pan myśli? Bywałem u niego dość często. Jego żona to potwierdzi.

– A te krwawe?

– Sprawdzalem, czy żyje, rozumie pan? Miał na głowie ogromną ranę, czaszkę wgniecioną w głąb mózgu i charczał, więc próbowałem mu pomóc!

– Ale to nie wyjaśnia tych odcisków.

Cwynar pokręcił z rezygnacją głową i zwiesił ramiona.

– Tego dnia nie wzięłem ze sobą komórki. Chciałem zadzwonić po

pogotowie i szukałem jego telefonu. Na biurku, na półkach, wszędzie! – Złapał się nagle za głowę i ścisnął ją mocno. – Chryste, wszystko sprzysięgło się przeciw mnie. Wszystko!!!

Oleszczuk patrzył na niego spokojnie. Ja nie potrafiłem. Odwróciłem na chwilę wzrok.

– Porozmawiajmy o pana kontaktach z obcokrajowcami – zaproponował Arek.

Cwynar spojrział na niego jak na szaleńca.

– Ludzie, wszystko jest w ankiecie, którą wypełniałem do poświadczenia bezpieczeństwa! – krzyknął.

– Proszę nie podnosić głosu, dobrze? Ankieta ankieta, ale od tego czasu upłynęły ponad dwa lata. Czy w tym terminie miał pan jakiś kontakt z osobami zza granicy?

– Tak. To chyba nieuniknione w przypadku naukowców?

– Pan mnie o to pyta?

– Nie, myślałem, że to oczywiste. Ale widać źle myślałem. A więc tak, miałem kontakt. Z Chińczykami również, bo do tego zapewne pan dąży. To byli wykładowcy z NTUT. Politechnika w Tajpej. Poznałem ich na konferencji naukowej w Hongkongu, w maju dwa tysiące szesnastego.

– Czyli byli z Tajwanu?

– Tak.

– Czym się zajmowali?

– Byli pracownikami naukowymi wydziału inżynierii materiałowej.

– Czy to ma coś wspólnego w grafenem?

– Tak. Ale jeśli myśli pan sobie teraz: „i tu cię mamy”, to muszę pana rozczarować. Badania nad grafenem są interdyscyplinarne. Ja jestem fizykiem, profesor też nim był, ale współpracują z nami inżynierowie wielu dziedzin. To mniej więcej tak, jakby podejrzewać o podpalenie stodoły kogoś, kto pali papierosy, bo przecież zawsze nosi przy sobie zapalniczkę.

– Gościł pan później jednego z nich u siebie. Mówię o Chińczykach z Tajwanu.

– Co z tego!? I wcale go nie gościłem, nie u siebie. Przyleciał na tydzień do Berlina i skoczył na dwa dni do Polski.

– W jakim celu?

– Zwiedzać – wycedził Cwynar.

– Co zwiedzać?

– Wrocław i Warszawę. Ponieważ od urodzenia mieszkam w Warszawie, to go po niej oprowadziłem! To zbrodnia?

– Kapitan Wicha zgodził się na pański wyjazd do Chin?

– Do Hongkongu.

– To już to samo.

– Nie do końca. Poza tym kapitan Wicha nie miał tu nic do gadania. Jestem naukowcem i mam obowiązek się kształcić. Ta konferencja była bardzo interesująca z mojego punktu widzenia, gdyż dotyczyła rzeczy, którymi się zajmuję zawodowo. Jestem pracownikiem Politechniki Warszawskiej, a praca w PIZE jest tylko częścią mojego życia zawodowego. Niejawność tej części nie ma nic do rzeczy.

Oleszczuk westchnął cicho i spojrział na mnie.

– Cóż, dziękujemy panu.

Cwynar uśmiechnął się lekko samym kącikiem ust, ale w jego oczach błysnęło coś szalonego.

– Nie powiem, że cała przyjemność po mojej stronie. Jestem niewinny i będę to powtarzał, dopóki nie zdechnę w tej pieprzonej szcurzalni. Słyszysz mnie pan? I pan, panie prokuratorze? Jestem niewinny!!!

Cwynar wyglądał, jakby za chwilę miał całkiem stracić nad sobą panowanie, ale nagle, w jednej sekundzie, zgasł i zapadł się w sobie, zanim którykolwiek z nas zdążył zareagować.

– Strażnik! – zawołał Gonera.

Drzwi otworzyły się z tym samym metalicznym hurgotem. Funkcjonariusz służby więziennej podszedł do Cwynara, skuł go i wyprowadził z pomieszczenia w kompletnej ciszy, jaka zapadła po wybuchu naukowca.

Chwilę później my również wyszliśmy na zewnątrz. Idąc korytarzem, Gonera machał rękoma i tłumaczył, ale tylko Oleszczukowi, jakby mnie wcale tam nie było:

– Nie wiem, panie majorze, ile ta rozmowa panu dała. Oczywiście podzieliłbym to wszystko, o czym on mówił, na pół. To ładna bajeczka obliczona na odsunięcie od siebie podejrzeń.

– Co na niego macie? Co tak naprawdę na niego macie? – zapytał Oleszczuk.

– Na przykład to, że w jego biurku był kod do sejfu. Kody były zmieniane co tydzień, znał je tylko Zajnert, no i Wicha, który je ustawiał.

– Miał aktualny kod?

– Nie był aktualny, tylko sprzed miesiąca. Ale czy to ważne? Miał coś, czego nie powinien mieć.

– A co on na to?

– Jak to: co? – Gonera przystanął. – „To nie moje, ktoś mi podrzucił”. Co mógł mówić?

– Wiedział pan, że profesor próbował uwieść swojego asystenta?

– Wiedziałem, Cwynar wspominał mi o tym podczas składania wyjaśnień. Tylko że ja mu nie wierzę. Wręcz uważam, że było odwrotnie; to Cwynar próbował uwieść Zajnerta. Wie pan, on nie ma dziewczyny, mieszka z rodzicami, ma niewielu znajomych, głównie płci męskiej. Jego atencja w stosunku do Zajnerta była powszechnie znana i graniczyła z lizusostwem. Imponował mu. Pewnie się chłopak zakochał, a kiedy profesor odrzucił jego zaloty...

– Jak to się ma do próby wyniesienia danych?

– A co, jedno drugiemu przeszkadza? Śledztwo jest wielowątkowe. Cwynar został aresztowany na wniosek ABW za podejrzenie szpiegostwa, ale jest też drugi kierunek, właśnie zabójstwa. I ja dojdę, jaki był jego motyw. Niespełniona miłość czy odrzucenie propozycji współpracy. Bo to on zaproponował profesorowi, żeby zapomniał schować dysk. Widać próby zdobycia aktualnego kodu nie poskutkowały. Nie miał wyjścia, więc zwrócił się do Zajnerta...

– O ile pamiętam z akt, nie znaleziono narzędzia zbrodni?

– Nie. Dobrze je ukrył.

– Kiedy?

– Miał czas. Twierdził, że ponieważ nie znalazł tej komórki Zajnerta, pobiegł do sąsiedniego domu zadzwonić pod sto dwanaście. Kiedy przyjechało pogotowie, był znów w domu profesora, a ten już nie żył. Mógł narzędzie zbrodni wrzucić w krzaki, a nawet do kanalizacji burzowej.

– Nie szukaliście go?

– Szukaliśmy. W kanalizacji również.

– I co?

– Nic. Nie zostało znalezione.



– Czyli macie na Cwynara tylko ten nieaktualny kod do sejfu oraz wyjaśnienie podejrzanego, które interpretuje pan dokładnie odwrotnie? To niedużo. Ciekawe, co na to sąd?

– Oraz krwawe odciski palców i komórkę Zajnerta leżącą na jednej z półek. Twierdzi, że tam również jej szukał, ale nie znalazł. Czyżby za słabo szukał?

– Był w stresie... – wtrąciłem się.

Gonera nawet na mnie nie spojrzał.

– To wszystko stanowi poważne poszlaki, panie majorze. Ponadto kontaktował się z chińskimi naukowcami...

– Mówi pan o tej konferencji w Hongkongu? Nie za szybko takie wnioski?

– I pan to mówi? Pan!? Wyobraża pan sobie lepszy sposób na zwerbowanie przez obcy wywiad? Idealne okoliczności: czas i miejsce! Przebywał tam sam, bo Zajnert złamał nogę na nartach, i to było bardzo skomplikowane złamanie.

– To było, zanim Zajnert ściągnął swojego doktoranta do „Femto Carbon”?

– Tak, tuż przed, ale to nie ma znaczenia. – Gonera pokręcił głową. – Cwynar już wtedy wiedział, że będzie uczestniczyć w programie „Polski Grafen” i od jakiegoś czasu był już w stałym kontakcie z tym waszym Wichą. Poza tym przypominam panu, że to ABW zgłosiło sprawę prokuraturze, prawda? Poszlaki wskazujące na związek z zabójstwem Zajnerta pojawiły się nieco później. No, właśnie... On w końcu pęknie, panie majorze. Może pan to traktować jako pewnik. Nie wytrzyma ciśnienia, bo tylko współpraca z nami da mu w perspektywie choć starość na wolności. A jak schwytacie Wiche, to wszystkie klocki układanki wskoczą na swoje miejsce. Może wtedy okaże się, że to on był mózgiem, a zeznania Cwynara pomogą wszystko ustawić we właściwej kolejności. Wtedy będzie miał szansę na niższy wyrok i skorzysta z niej, wyznając całą prawdę.

Pożegnaliśmy się z Gonera przy bramie aresztu. Znow potraktował mnie oschle, a potem poszedł w stronę parkingu, i tyle go widziałem.

– I co myślisz? – zapytał Oleszczuk, kiedy już schroniliśmy się przed jesiennym chłodem w ciepłym wnętrzu samochodu.

Wzruszyłem ramionami.

– Pytasz, czy sądzę, że jest winny?

– Na przykład. – Oleszczuk przekręcił kluczyk i silnik zaklekołał.

– Nie mam pojęcia. – Sięgnąłem po pas. – Nie sprawia takiego wrażenia, jest autentyczny w swoim zachowaniu, w takim zaciętrzewieniu. Mam takie samo uczucie jak wtedy, kiedy widzę w telewizji gościa zwolnionego po dwudziestu latach odsiadki za zabójstwo, a okazuje się, że został skazany na podstawie pomówienia, a kiedy on przez te całe dwadzieścia lat zarzekał się, że tego nie zrobił, to nikt mu nie wierzył. Z jednej strony jest mi smutno, bo stracił kawał życia za kratami i nikt mu tego nie zwróci. Z drugiej – cieszę się, że chociaż teraz mu się udało, a jak dostanie odszkodowanie, to ułoży sobie to życie na nowo i odbije sobie jakoś te dwie dekady. A z trzeciej strony...

– Kurwa – zaklął nagle Oleszczuk i zahamował gwałtownie, wyjeżdżając z parkingu. – Jak mnie wkurzają te gnojki na skuterach! Sorry...

– To był skuter? – zdziwiłem się, bo tylko kątem oka widziałem, jak coś śmiga nam przed maską. – Skutery tak nie zapieprzają.

– Zapieprzają, to był jakiś maxi z pojemnością małego ścigacza. Dobra, a z trzeciej strony?

– Z trzeciej strony gdzieś tam z tyłu głowy kołacze się myśl... – Zawahałem się.

– Że jednak to zrobił?

– Otóż to. I to wszystko na podstawie kilkuminutowego materiału w wiadomościach. Nie wiem, czy Cwynar zabił Zajnerta i czy współpracował z Chińczykami. Przecież nie stwierdzę, że jest niewinny tylko dlatego, że wygląda na chodzącą skrzywdzoną niewinność. Życzę mu powodzenia, jeśli jest niewinny, i życzę mu jak najgorzej, jeśli zabił. A tak naprawdę to nie wiem, co o tym sądzić, Kamil...

– Arek.

– Słucham?

– Arek. Tak mam na imię.

– A... A co powiedziałem?

– Powiedziałeś: Kamil.

– Hmm... Przepraszam.

– Ależ nie szkodzi. – Oleszczuk przyglądał mi się z ciekawością.

– No co?

– Nic.

– Przejęzyczyć się nie można?

– Przecież nic nie mówię. – Znów patrzył na drogę. – Dostałem rano trochę informacji o tej firmie z wizytówki, którą zostawił ci Kamil. Forge Societe Anonyme, czyli po naszymu spółka akcyjna, to luksemburska firma, która obsługuje międzynarodowe spółki finansowe. Głównie gromadzi i zarządza informacjami i dokumentacją związaną z funduszami inwestycyjnymi. Ale świadczy też usługi konsultingowe: global trade, operacje skarbowe, innowacje, zarządzanie danymi i cyberbezpieczeństwo. Nie wiem, kim jest Ibrahim Farad, nikt taki nie figuruje we władzach spółki ani nie figurował. Jean-Luców jest trzech, ale to imię, a nie nazwisko i pojęcia nie mam, co twój brat miał na myśli. Forge powołana została ćwierć wieku temu przez zrzeszenie non profit reprezentujące przedstawicieli różnych luksemburskich funduszy inwestycyjnych i luksemburską giełdę. To moloch. Ma swoją siedzibę w biurowcu w Kirchbergu, nowoczesnej dzielnicy miasta Luksemburg, w której zlokalizowane są instytucje unijne i w ogóle współczesne pałace ze szkła i stali. Taki ichni „Mordor”.

– Chcesz tam pojechać?

– A masz jakiś inny pomysł? Lepszy?

– Nie.

– No właśnie, ja też nie. Więc jeśli czegoś jeszcze potrzebujesz: kurtki, bezglutenowego pieczywa albo przytulanki, to masz ostatnią okazję, żeby to kupić. Jutro wyjeżdżamy do Luksemburga.

## 10. Warszawa –Wawer, godz. 14.50

– Jest tu gdzieś po drodze jakiś większy sklep? – zapytałem.

Wyjeżdżaliśmy już z Pragi-Południe, by dotrzeć do krajowej dwójki i dalej siedemnastki, którą ostatecznie mieliśmy dotrzeć w okolicę Emowa.

– W Wawrze jest Lidl – powiedział Oleszczuk. – Wystarczy ci czy wolisz jakieś duże centrum handlowe?

– Lidl będzie okej. Kupię sobie coś wygodnego i parę rzeczy do jedzenia i picia na dziś. Mam już serdecznie dość tych emowskich parówek z MOM-u i lury, którą dają na śniadanie.

– Jak chcesz...

W Lidlu byliśmy kilkanaście minut później. Oleszczuk został w samochodzie, a ja poszedłem do sklepu. Przeleciałem szybko między regałami, nawet nie biorąc koszyka. Chwyciłem puste pudełko stojące na którejś z półek, wrzuciłem do niego polarową bluzę w swoim rozmiarze, dwa rogałe, wędzonego łososa, mozzarellę, napój izotoniczny i butelkę wody. Tej, którą dawali w Emowie, nie dało się pić; była lekko gazowana i smakowała jak pozostałość z wczorajszego wesela. Ruszyłem do kasy i kątem oka zobaczyłem zaniedbanego mężczyznę w pobrudzonej kurtce, który widząc mnie, wyraźnie próbował zdążyć do tej kolejki pierwszy. Pozwoliłem mu na to, nie miałem ochoty ani na wyścig, ani na żaden konflikt. Kiedy stanąłem za nim, położyłem pudło na taśmie i zapatrzyłem się w szybę. Ocknąłem się z zamyślenia, kiedy facet w brudnej kurtce dotknął mojego ramienia, mówiąc:

– Przepraszam, ktoś chce z panem rozmawiać.

Zaskoczony, wziąłem telefon do ręki i odruchowo na niego zerknąłem: to była jakaś stara nokia z powycieranymi klawiszami. Z wahaniem przyłożyłem ją do ucha i powiedziałem:

– Halo?

– Tu Kamil. Nic nie mów, nie mamy czasu. Skup się, musisz zapamiętać

kilka rzeczy. Podaję ci trzy nazwiska: Karaimow, pułkownik Dębski, Widacki. Powtarzam: Karaimow, Dębski, Widacki. To moje trzy typy. Któryś z nich jest niegrzeczny. Jest jeszcze czwarte nazwisko: Chen Quing, firma Quin-Pol Consulting – powtórzył to nazwisko i nazwę firmy – Przekaż to Oleszczukowi i róbci z tym, co trzeba. Nie wszystko mogłem sprawdzić sam, część rzeczy macie sprawdzić tam, gdzie wam sugeruję, i zebrać dowody, resztę sobie dośpiewacie, liczę na was. Jestem niewinny. Cwynar też. Gdybyś kiedykolwiek był w sytuacji bez wyjścia, namaluj czerwonym sprejem kółko na filarze wiaduktu kolejowego nad ulicą Targową na Pradze, od strony przystanku tramwajowego „Kijowska”, od przystanku, okej? Nie pomyśl stron. Nikomu o tym znaku nie mów, nawet Oleszczukowi, rozumiesz? To będzie nasze nowe „umówione miejsce” i twoja ostatnia deska ratunku. Trzymaj się Oleszczuka, jest w porządku. Uważajcie na siebie...

– Dlaczego dzwonisz? – wykrztusiłem bez tchu. – Dlaczego jak zwykle nie zostawiłeś mi jakiejś wiadomości albo zabawki, co?

W telefonie zapadła cisza.

– To dobre pytanie, Mały – powiedział po chwili mój brat. – Ale zanim ci na nie odpowiem, chciałbym, żebyś wiedział coś jeszcze, choć w mojej, a w zasadzie naszej obecnej sytuacji ma to drugorzędne znaczenie.

– Co to takiego, Kamil?

– Ten ktoś, kto leży w naszym rodzinnym grobie, to nie jest tata.

– C-c... Co ty powiedziałeś?

– Powiedziałem, że to nie jest ciało ojca.

– Chryste, skąd możesz to wiedzieć?

– Bo to sprawdziłem. Nieważne. Jak powiedziałem, to w tej chwili nie ma aż takiego znaczenia. Muszę kończyć, więc teraz powiem ci, dlaczego dzwonię. Dlatego że jest mi dość ciężko, wiesz? Czuję się wyjątkowo samotny, jak nigdy dotąd. Dlatego chciałem cię znów usłyszeć. I zobaczyć. Przydałby ci się fryzjer...

Usłyszałem trzy krótkie piknięcia.

Kamil rozłączył się, a ja zostałem z telefonem w ręku, oniemiały i z wyschniętymi z emocji ustami. Otrzeźwiło mnie szarpnięcie za rękaw.

– Czy mogę dostać z powrotem swój telefon? – zapytał człowiek w brudnej kurtce.

Oddałem mu go, machinalnie dziękując, a potem jak automat wziąłem pudło z zakupami pod pachę i ruszyłem ku wyjściu, przeciskając się koło kolejki do kasy.

– Halo, co pan robi? – zatrzymał mnie głos kasjerki.

– Nic nie kupuję. – Pokręciłem głową, cofnąłem się dwa kroki i odłożyłem niedoszłe zakupy na zagłębiony blat stanowiska kasowego. – Zapomniałem portfela...

Wyszedłem na zewnątrz, usiłując ochłonać. Oleszczuk właśnie wysiadał z samochodu i wyciągał z kieszeni swojego epapsa. Podeszedłem do niego.

– Kamil dzwonił – powiedziałem zdrewniałymi wargami.

– Co!?

– Dzwonił do mnie Kamil. Ale nie na mój telefon...

– Wiem, przecież nie masz telefonu, bo ci go sam zabrałem. Czyli jak?

– Facet z kolejki odebrał swój telefon, a potem podał go mi...

– Jeszcze raz: facet stojący przed tobą w kolejce odbiera telefon, a potem przekazuje ci komórkę, bo dzwoni twój brat, tak?

– Zgadza się.

– To niemożliwe...

– To był Kamil.

– Nie słyszałeś jego głosu od dwudziestu lat!

– Nie szkodzi. Nie mam żadnych wątpliwości, że to był on.

– Coś mi nie gra. – Oleszczuk pokręcił głową. – Skąd wiedział, że akurat ten facet będzie stał przed tobą w kolejce, że się w ogóle w niej spotkacie? Skąd znał numer telefonu?

– Obserwował nas. Powiedział, że chciał mnie nie tylko usłyszeć, ale i zobaczyć. Może miał dostęp do kamery sklepowej? Monitoring? Jakieś skanowanie czy coś?

Oleszczuk popatrzył na mnie kpiąco.

– Za dużo filmów widziałeś. Scenarzyści lubią wszystko komplikować, żeby się młodzież jarała. Jak wyglądał ten gość z kolejki?

– Normalnie. Zwyczajnie. – Odruchowo odwróciłem się w stronę sklepu. – O, tam idzie...

Człowiek w brudnej kurtce właśnie wychodził na zewnątrz, trzymając w rękę siatkę z zakupami.

– Prosiłem cię już, do cholery, żebyś nie robił sobie żartów, Adrian. To za

poważna sprawa...

– To tamten facet dał mi do ręki telefon, przez który rozmawiałem z Kamilem. Nie żartuję, Arek. – Moja mina musiała go przekonać, bo popchnął mnie lekko i szepnął:

– Chodź.

Ruszyliśmy w kierunku człowieka, który jakimś cudem stał się łącznikiem z moim bratem. Oleszczuk wyciągnął coś z wewnętrznej kieszeni kurtki i podstawił tamtemu pod nos. Na czarnym, skórzanym prostokącie zalśnił metal. To była policyjna odznaka i legitymacja.

– Dzień dobry, policja. Proszę tu na bok na chwilę. – Oleszczuk wskazał ścianę kamienicy.

– Ale ja nic nie zrobiłem! – Mężczyzna wyraźnie zbladł.

Podszedł do ściany, delikatnie prowadzony przez Oleszczuka za łokieć. Poczułem mrowienie na karku. Oleszczuk grał ostro. Podejrzewałem, że blacha jest fałszywa, a może jednak nie? Kto go tam wie...

– Przed chwilą w sklepie przekazał pan telefon temu człowiekowi. – Wskazał na mnie. – To złodziej, właśnie go zatrzymałem. Chcę wiedzieć, skąd osoba, która dzwoniła, wiedziała, że on stoi za panem.

– Ja... – Mężczyzna wpadł w popłoch i skurczył się wyraźnie. – Ja nie mam z tym nic wspólnego. Kiedy szedłem do sklepu, podszedł do mnie jakiś motocyklista i zaproponował mi stowę, jak dam mu swój numer i pozwolę do siebie zadzwonić. Miałem w sklepie podejść do człowieka w szarym płaszczu albo stanąć w kolejce przed nim i przekazać mu telefon, kiedy zadzwoni. Podałem mu numer i... I już. Nic nie zrobiłem! Mogę oddać te pieniądze!

Oleszczuk zacisnął usta. Wziął oddech i chciał coś powiedzieć, kiedy nagle stanęła przed nami jakaś kobieta.

– Przepraszam; dobrze słyszałam, że pan jest policjantem? Przed chwilą ukradziono mi telefon i...

– Jaki pani ma numer? – Twarz Oleszczuka poczerwieniała.

Kobieta podała mu go, a Oleszczuk wszedł w rejestr połączeń telefonu człowieka w brudnej kurtce. Po chwili wypuścił powoli powietrze z płuc i oddał komórkę właścicielowi.

– Może pan iść – powiedział cicho.

Tamten nawet się nie zastanawiał, tylko ruszył przed siebie, nie

ogładając się na nas. Kobieta zmarszczyła brwi.

– A ja?

Oleszczukowi opadły ramiona.

– Proszę zadzwonić pod numer alarmowy i zgłosić kradzież. Ja tu na ulicy nie mogę przyjąć zgłoszenia.

Zastanawiałem się, jak daleko zabrnę w to wszystko. Sytuacja chyba wymykała mu się spod kontroli.

– Z czego mam zadzwonić? Tłumaczę panu, że ktoś ukradł mi telefon.

– Na początek proszę się rozejrzeć w okolicy sklepu...

– On mi nie mógł wypaść, proszę pana...

– Nie twierdzą, że pani wypadł. Najprawdopodobniej złodziej po wykorzystaniu gdzieś go tu zostawił.

– Co pan opowiada? Skąd pan to może wiedzieć?

– Proszę pani: jestem w trakcie czynności zatrzymania, nie mogę pani pomóc. Proszę wrócić do sklepu, rozejrzeć się i ewentualnie poprosić obsługę o zawiadomienie policji. Proszę nie utrudniać...

Kobieta odeszła, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Kurwa... – wymamrotał Oleszczuk i rozejrzał się dookoła wzrokiem bezradnym jak u dziecka, które zgubiło rodziców w supermarkecie. – Leci z nami w człona...

Potem spojrział na mnie i bezradność w jego oczach ustąpiła miejsca czemuś w rodzaju oskarżenia.

– On nas śledzi. Wylazł z nory, w której się ukrywa, i patrzy sobie na nas. Nie przez kamery i te twoje magiczne systemy, tylko, kurwa, na własne oczy. Chodź. – Pociągnął mnie nagle w kierunku sklepu.

Chyba wiedziałem, co chce zrobić.

Weszliśmy do sklepu. Oleszczuk wciąż trzymał mnie pod rękę i kiedy podeszliśmy do pierwszej z brzegu kasy, zapytał siedzącej w niej dziewczyny:

– Którędy do pomieszczenia ochrony?

Wskazała drzwi z napisem „Tylko dla personelu”, obok których zobaczyłem wielkie okno z lustrzaną szybą. Poszliśmy tam. Oleszczuk zapukał do drzwi, te po chwili uchyliły się i przez szparę zobaczyliśmy człowieka w białej koszuli z logo firmy ochroniarskiej. Był chudy jak szczapa, a górną wargę zdobił mu sumiasty wąs.



– Policja. – Oleszczuk powtórzył numer z blachą. – Można na chwilę?

Ochroniarz wpuścił nas do środka i zamknął drzwi. Znaleźliśmy się na zastawionym kartonami zapleczu. W kącie stało maleńkie biurczko z komputerem: na monitorze widać było szachownicę kadrów ze sklepowych kamer.

– Macie kamerę przed sklepem?

Chudzielec pokiwał głową i usiadł przy biurczku. Nogi ledwie mu się pod nim mieściły.

– Poproszę podgląd. Ostatnie dziesięć minut... – rzucił Oleszczuk nieznośnym sprzeciwu tonem, a ochroniarz poklikał myszą i na ekranie zobaczyliśmy widok na zewnątrz.

Obaj z Oleszczukiem wbiliśmy wzrok w monitor. Kadry przesuwwały się w przyspieszonym tempie. Zobaczyłem siebie, jak idę chodnikiem, a potem wchodzę do sklepu.

– Stop!

Ochroniarz zareagował natychmiast.

– Patrz. – Arek wskazał skuter, który właśnie parkował na jednym z bardziej oddalonych miejsc postojowych.

– Myślisz o tym samym? – zapytałem go, widząc, jak wpatruje się w niego intensywnie.

Pokiwał głową. Ja nie mogłem być pewien, bo nie widziałem dokładnie, co przecięło nam drogę pod aresztem na Białolece.

– Dobra, dalej... – z gardła Arka wydobyło się coś na kształt warknięcia.

Obraz ruszył. Kierowca skutera zsiadł z niego i nie zdejmując kasku, rozejrzał się szybko dookoła. Potem podbiegł do kogoś; ten ktoś wyglądał znajomo, nawet na tym niewyraźnym obrazie widać było tłuste plamy na kurtce. Rozmowa trwała chwilę, banknot szybko zniknął w kieszeni, zaraz potem człowiek w kurtce wszedł do sklepu. Kamil został na zewnątrz. Podeszedł bliżej witryn, a kiedy z tyłu mijała go kobieta, którą też już poznaliśmy, cofnął się gwałtownie, wpadając na nią i niemal przewracając. Złapał ją wpół i pomógł utrzymać równowagę. Nawet nie miała pretensji, po prostu pomachali sobie i rozstali się: ona zniknęła w sklepie, on został na zewnątrz.

– Skurwiel. – W głosie Oleszczuka brzmiał podziw. – Pieprzony geniusz...

Pokazałem mu palcem błotnik naszego samochodu. Widać go było w rogu

ekranu.

– Nie widziałeś tej akcji? – zapytałem.

– Nie – warknął Oleszczuk. – Rozmawiałem przez telefon. Zresztą i tak był w kasku. Jak niby miałbym go rozpoznać, nawet gdybym to widział?

Podziękował ochroniarzowi i obaj wyszliśmy na salę sprzedaży, a potem na zewnątrz. Zaczął padać deszcz, więc podbiegliśmy do samochodu. Schowani w środku patrzyliśmy przez chwilę, jak grube, ciężkie krople rozbryzgują się na szybie, a obraz za nią rozmazuje się i rozmywa.

– Dobra – zaczął Oleszczuk. – Czego chciał?

Opowiedziałem mu o wszystkim. O wszystkim oprócz czerwonego kółka na filarze wiaduktu i ciele obcego człowieka w grobie mojego ojca. A zanim Oleszczuk zadał mi pytanie, które ja zadałem wcześniej Kamilowi, powiedziałem mu też, dlaczego mój brat zadzwonił, zamiast zostawić jakąś niespodziankę. Bo chciał mnie usłyszeć i przede wszystkim zobaczyć. Kiedy skończyłem, Arek siedział wpatrzony w przednią szybę i bębnił palcami po kierownicy. Potem popatrzył na mnie.

– Pytałeś, czy ma dyski?

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Skąd miałem wiedzieć, że mam go zapytać akurat o dyski?

– Bo to najważniejsza rzecz w tym całym burdelu!

– No to nie zapytałem. Przykro mi.

Oleszczuk przygryzł wargę.

– Czemu nie podał ci szczegółów? – zapytał z wyraźną pretensją w głosie, jakby to była moja wina. – Czemu nie powiedział: szukamy pracującego dla Chińczyków kutasa, który rozpierdolił polski przemysł i pogrzebał nasze szanse na drugą Japonię i Irlandię razem wzięte? Albo coś w tym rodzaju?

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Wspominał, że nie ma czasu i musi się spieszyć.

Oleszczuk machinalnie wyciągnął z kieszeni kurtki epapsa, a potem schował go w to samo miejsce, kiedy zorientował się, co zrobił.

Westchnął.

– Funkcjonariusze ABW kończą specjalne kursy i szkolenia, wiesz o tym. I zdają różne testy, o tym też dobrze wiesz. Mamy swój ośrodek szkoleniowy w Łodzi, w Emowie oczywiście, ale najlepsi i nieliczni kończą

Kiejkuty. Wiesz, jaka szkoła jest w Starych Kiejkutach, tak? – Pokiwałem głową. – No właśnie. Tam jest nieco inny tryb i zakres szkoleń. Kamil jest absolwentem Kiejkut. Wszystko na ten temat.

– A te nazwiska? – zapytałem. – Jedno oczywiście znam...

– Taak... Ja znam niestety wszystkie trzy – parsknął. – Karaimow. Ja pierdolę...

– A pozostałe dwa, których nie kojarzę?

– Marek Widacki to poseł partii rządzącej, nie z pierwszej ławki i niezbyt aktywny w sejmie, jeśli chodzi o interpelacje czy parcie na szkło, ale jest przewodniczącym sejmowej komisji do spraw służb specjalnych. Wiem też, że profesor Zajnert był teściem jego siostry. A Dębski... Pułkownik Dębski to zastępca Łodygowskiego.

– Kto to jest Łodygowski?

– Szef ABW.

– Jeeezu...

– Przykro mi, ale chyba nawet on nam nie pomoże.

Popatrzyłem na niego uważnie.

– Nie jesteś aż tak bardzo zaskoczony – stwierdziłem.

– Owszem, jestem.

Nie przekonał mnie.

– Ale nie aż tak – upierałem się. – Kamil to jedno, ale podejrzewam po twojej reakcji, że był ktoś jeszcze, co? I nie mówię o Cwynarze.

Oleszczuk zmarszczył nos i potarł go.

– No dobra, braliśmy pod uwagę jednego z tych trzech. Widackiego. Ja pierdolę...

– Co?

– Teraz już mam pewność, czemu twój brat to zrobił. Pamiętasz naszą rozmowę na lotnisku?

– Bo to sięga naprawdę wysoko i w dodatku był w tym sam?

– Zgadza się. Jeśli ma rację z tymi podejrzeniami, to był świadomy, że jest w tym właśnie sam, samiuteńki jak palec. A my... My teraz też jesteśmy sami, Adrian. Zdajesz sobie z tego sprawę? Sami jak palec i to w czarnej dupie. Pięknie. Po prostu pięknie...

Milczałem. Oleszczuk mocniej ścisnął kierownicę obiema rękami. Wciąż staliśmy, a deszcz głucho bębnił w karoserię i szyby.

– Karaimow traktuje program produkcji grafenu priorytetowo. W jakimś wymiarze jest to jego osobista porażka, w końcu nadzoruje służby specjalne. Ta sprawa staje na każdym posiedzeniu kolegium do spraw specsłużb, w których notabene uczestniczy też Widacki jako szef sejmowej speckomisji. Ten gość w ogóle jest do tego bardzo chętny, bierze udział w każdym posiedzeniu kolegium, interesuje się pracą służb i kiedy został posłem, mocno zabiegał o funkcję przewodniczącego KSS. No i mocno interesował się programem Femto Carbon, to był jeszcze jeden powód, z którego mieliśmy w stosunku do niego trochę podejrzeń. Dębski zastępuje czasem szefa ABW na posiedzeniach. Obecnie odbywają się one minimum raz w tygodniu, nie licząc spotkań osobistych Karaimowa z Łodygowskim. A więc wszyscy wiedzą o niemal każdym kroku, jaki stawiamy w tym śledztwie. Jak niby, do kurwy nędzy, mamy sprawdzić ludzi, którzy to wszystko kontrolują? No jak? Będą wiedzieć o tym pierwsi!

– Właśnie dlatego idziemy po tych śladach. Tropem, który zostawił Kamil. Miałeś całkowitą rację tam, na lotnisku. Mamy powtórzyć jego trasę. Tak jak mówiłeś: był głównym podejrzanym oraz kozłem ofiarnym. A skoro tak, to nikt mu nie wierzył. Co mógł w tej sytuacji zrobić? Chciał po prostu, żeby ktoś nie tyle dostał dowody do ręki, ile pozbierał je sam. On tylko wskazuje miejsca, gdzie je można znaleźć. Wskazuje je jedynym osobom, którym może jeszcze ufać.

– A one przekazują to tym, których on podejrzewa – dokończył Oleszczuk.

– To może po prostu im o tym nie mów? – zasugerowałem.

Arek siedział przez chwilę w milczeniu.

– Jesteś niewolnikiem książek i filmów sensacyjnych – powiedział powoli, patrząc na spływające po szybie potoki wody. – Zresztą jak większość ludzi. To tak nie działa, Adrian. Nie ma samotnych strzelców ratujących świat przed spiskiem. Nie ma samotnych detektywów tropiących zbrodnie. To jest zawsze praca zespołowa, określona regulaminami, wytycznymi, zarządzeniami, ustawami, rozporządzeniami i chuj wie, czym jeszcze. To są relacje służbowe, polecenia, rozkazy, raporty i tak dalej. I konsekwencje ich niewypełniania. Za to wszystko odpowiadają ludzie, nie zawsze kompetentni, nie zawsze mądrzy, często kierujący się chorą ambicją i przekonaniem o własnej nieomyślności. Agencja nie jest wolna ani od przepisów, ani od takich ludzi. Tam jest dokładnie tak samo jak wszędzie

indziej. W szpitalach, w szkołach, w urzędach, w wojsku...

– Do czego zmierzasz? – zapytałem. – Do tego, że mimo wiedzy, którą zdobyliśmy, dalej będziesz informował o wszystkim swoich przełożonych, czyli podejrzanych?

– Czy ja coś takiego powiedziałem, Adrian?

– No dobra – skapitulowałem. – A ten Chińczyk? Chen Quing?

– Pojęcia nie mam. Na pewno dobrze usłyszałeś i zapamiętałeś?

– Na pewno. O tej firmie nie słyszałeś? Quin-Pol Consulting?

– Nie. – Znów walnął otwartą dłonią w kierownicę. – Kurwa, już chociaż to mógł wyjaśnić... O co temu facetowi chodzi, co? O co, do jasnej cholery!?

Oddychał przez chwilę głęboko, trzymając wyprostowane ręce na kierownicy, a głowę odchyłoną do tyłu i wciśniętą w zagłówek. Miał zamknięte oczy.

– Dobrze. – Uniósł powieki. – Wracamy na wiochę i szykujemy się do wyjazdu do Luksemburga.

– Okej – rzuciłem obojętnie, a ponieważ coś mnie nurtowało, zapytałem: – ABW może działać za granicą?

– Może, jeśli te działania wynikają z czynności prowadzonych w sprawie przestępstwa szpiegostwa popełnionego w kraju. Taką właśnie mamy sytuację. – Spojrzał na mnie uważniej i zmarszczył brwi. – Nic sobie w końcu nie kupiłeś?

– Nie. – Westchnąłem. – Ale jedźmy już. Mam ochotę tylko odpocząć, nic więcej.

– Odpoczniesz sobie cały jutrzejszy dzień.

– Przecież jedziemy? – zdziwiłem się.

– Zapomniałem, że jutro sobota. W niedzielę tam, na miejscu, nic nie załatwimy, a taniej mieszkać tu niż w Luksemburgu, prawda? Więc ruszymy w niedzielę rano, będziemy na wieczór, prześpimy się, a od poniedziałku do roboty.

Byłem nawet zadowolony. Intensywnie spędzane ostatnie kilka dni dały mi w kość: byłem kurewsko zmęczony, bardziej psychicznie niż fizycznie, ale jednak.

Przespałem niemal całą sobotę, z kilkoma przerwami na posiłki i spacer po lesie. Wieczorem mogłem powiedzieć, że jestem wypoczęty, a kiedy obwieściłem to Oleszczukowi, pokiwał głową, tłumiąc ziewnięcie.

– I bardzo dobrze – odparł. – Nie wiadomo, kiedy znów trafi ci się taka okazja.

## 11. Trasa Warszawa–Luksemburg, 28 października

Trasę do Luksemburga zrobiliśmy w niecałe dwanaście godzin. Wstaliśmy faktycznie o wpół do piątej rano, a tuż przed wyjazdem Oleszczuk dał mi nowy telefon. Czysty, bez kontaktów i aplikacji. Przez Warszawę przebiliśmy się bez problemu, w końcu była niedziela i dopiero świtało. Do celu jechaliśmy niemal bez przerwy, jedynie z przystankami na zatankowanie, po drodze zmieniając się za kierownicą. Aż do Drezna nie rozmawialiśmy o niczym, co miało związek z operacją „Boeing”. Kiedy je minęliśmy, Oleszczuk zepsuł mi nastrój.

– Poprosiłem jeszcze wczoraj wieczorem Łodygowskiego, żeby pogadał z szefem Agencji Wywiadu bez pośrednictwa ministra koordynatora. To już grube naruszenie reguł, ale nie mamy wyjścia. Nasi sprawdzą ruchy znanych im chińskich rezydentów wywiadu z Luksemburga i z krajów ościennych. Być może Chińczycy wykorzystali okazję, żeby spotkać się z naszym ktosiem poza Polską i poza zasięgiem polskich służb. Tak jest przecież bezpieczniej. Gonera miał rację wtedy w areszcie, to normalna praktyka. Na razie nie możemy sprawdzić, kto z naszej trójki, nazwijmy go dla ułatwienia „Kowalskim”, był ostatnio w Luksemburgu i w jakim celu. Może chodzić o jakieś sprawy związane z członkostwem Polski w Unii albo w NATO, ale to później. Najpierw sprawdzimy, o co chodziło Kamilowi. Najbardziej pasuje mi Karaimow, bo jest bądź co bądź ministrem. Ale Widacki też mógł tu załatwiać sprawy służbowe. I powiem ci, co jeszcze narzuca mi się po rozmowach z Karaimowem. To trochę znamienne, bo wygląda na to, że bardziej zależy mu na odzyskaniu dysków z danymi niż na złapaniu szpiega.

– Podkreślał przecież interes ekonomiczny? – przypomniałem Oleszczukowi. – Poza tym dla niego to równoznaczne, skoro wszyscy, i on również, są przekonani, że zrobił to Kamil. Złapanie szpiega równa się odzyskaniu dysków, to proste.

– Tym razem to nie to samo.

– Wiemy o tym tylko my dwaj. I Kamil.

– Ale jeśli to Karaimow jest szpiegiem, to wie, że Kamil jest niewinny, choć najprawdopodobniej faktycznie ma oba dyski. I skoro Kamil nie jest szpiegiem, tylko lojalnym funkcjonariuszem służby, to nie sprzeda go Ruskim, Amerykanom czy nawet Chinolom. Choć to ostatnie mogłoby być dla Karaimowa połowicznym zwycięstwem, jeśli chodzi o pieniądze. A chodzi. Więc może dlatego podświadomie kładzie nacisk na kwestię odzyskania dysków jako priorytetową.

– Marna ta twoja analiza – ostudziłem jego zapał. – I nie mamy pewności, że to Karaimow.

– Zgadza się, tylko snujemy rozważania. Dlatego mówię: jeśli to on, a nie, że to on. I dlatego również nazywamy go „Kowalskim”...

Resztę trasy spędziliśmy niemal w milczeniu. Kiedy Oleszczuk prowadził, ja drzemałem i na odwrót. Komentowaliśmy sporadycznie widoki i samochody, te mijane, a przede wszystkim te, które mijaly nas, a o szesnastej trzydzieści zajechaliśmy na parking hotelu Ibis Budget, kilkanaście kilometrów od centrum stolicy Luksemburga, tuż przy lotnisku. Niebo było zaciągnięte chmurami i choć do zachodu słońca zostało jeszcze kilkanaście minut, dzień, przynajmniej dla mnie, kończył się dużo szybciej. I tak obaj z Oleszczukiem byliśmy znużeni monotonną jazdą, więc kupiliśmy sobie coś do picia i zainstalowaliśmy się w hotelowym pokoju wielkości łazienki w moim mieszkaniu.

W moim dawnym mieszkaniu.

– Kurwa, czegoś takiego jeszcze nie widziałem, jak żyję, a zjeździłem całą Polskę. – Oleszczuk kręcił zdumiony głową.

– Nie jesteśmy w Polsce – zwróciłem mu uwagę.

– I to jest właśnie najdziwniejsze. – Z oczami wielkości spodków podziwiał wykonany z jednego kawałka tworzywa boks z toaletą. – Przysięgam, nawet astronauta na stacji orbitalnej mają większy sraczyk.

Wyjrzałem na zewnątrz przez okrągłe okienko wielkości okrętowego bulaja i zobaczyłem hotelowy parking. Za nim rozciągała się zieleń pola golfowego. Gdzieś z boku dobiegał hałas lądującego albo startującego samolotu.

– Naprawdę po tanioci. – Uśmiechnąłem się do Arka.



– Wytrzymasz jeden dzień – pocieszył mnie, uklepując materac na górze piętrowego łóżka.

Otworzyłem swoje piwo.

– Na pewno nie chcesz? – zapytałem, wyciągając do Oleszczuka drugą puszkę.

– Nienawidzę piwa. Kiedy miałem szesnaście lat, urznałem się po raz pierwszy w życiu właśnie piwskim. Nie smakowało mi, ale piłem, bo koledzy pili. Następne dwa dni to była rzeźnia i od tamtej pory nie mogę nawet na nie spojrzeć. Ale nie przejmuj się ani nie krępuj. Mam wino. Wino to jest to.

Do wieczora siedzieliśmy na dolnym łóżku przy włączonym telewizorze, gapiąc się na program jakiejś niemieckiej stacji informacyjnej, i piliśmy: ja piwo, on swoje wino. Po trzech puszkach miałem już dość, ciążyło mi w żołądku. Oleszczuk wypił całą butelkę jakiegoś sikacza, używając do tego plastikowego kubka, który stał na umywalce i miał chyba służyć do płukania ust po umyciu zębów, i to broń Boże nie pomiędzy pierwszą a czwartą w nocy, kiedy to zgodnie z ostrzeżeniem przytwierdzonym do lustra nad umywalką hotelową sieć wodociągową w ramach dezynfekcji płukano wrzątkiem.

Zasypialiśmy przy szumie silników startujących i lądujących samolotów.

\* \* \*

**Luksemburg, miasto Luksemburg, dzielnica Kirchberg, 29 października, godz. 08.30**

Rano zjedliśmy niskobudżetowe śniadanie. Nie musieliśmy się spieszyć, nie sądziłem, by biura otwierano przed dziewiątą. W drodze do centrum mijaliśmy lotnisko.

– Patrz. – Pokazałem Oleszczukowi startujący samolot.

Droga biegła w tym miejscu równolegle do pasa startowego, oddzielona od niego tylko wysokim płotem ze stalowej siatki, kilkoma niskimi budynkami i parkingiem. Byliśmy dosłownie kilkadziesiąt metrów od olbrzymiego odrzutowca, który z rykiem silników mijał nas w pędzie, by po chwili płynnie i powoli zacząć wznosić się ponad ziemię. Biały jak śnieg kadłub pozbawiony był okienek, a jego bok znaczyły ogromne chińskie ideogramy.

– Chiński cargo – mruknął Oleszczuk zza kierownicy. – Sam widzisz. Dalej uważasz, że jestem sinofobem? Mało ci znaków na ziemi i niebie? Zalewają nas swoim szajsem, który produkują dzięki temu, że wcześniej ukradli na niego patenty. Śmiałym się do łez, gdyby to nie było takie tragiczne.

Kiedy skręciliśmy lekko w stronę olbrzymiego ronda, z którego mieliśmy zjechać na autostradę prowadzącą niemal bezpośrednio do luksemburskiej dzielnicy szklanych pałaców, olbrzymi airbus przeleciał nad nami, pokazując swój brzuch. Widząc to, pomyślałem, że Oleszczuk może mieć jednak trochę racji. Dwadzieścia minut później byliśmy na Kirchbergu. Wielki parking przy bulwarze Adenauera był niemal pusty i lekko się zdziwiłem, bo po tym, co opowiadał mi Oleszczuk o tej dzielnicy, wydawało mi się, że trafimy do krainy wieżowców, gdzie niebo jest widoczne dopiero wtedy, gdy wysoko zadrzesz głowę. Tymczasem wyglądało to jak obrzeża centrum każdego większego miasta w Polsce, ledwie nadgryzione zabudową i nieodkryte jeszcze przez zachłannych deweloperów. Zielone połacie czekały na nowe biurowce, a szpaler drzew wzdłuż bulwaru, po którym niemal nie jeździły samochody, i ten w połowie pusty parking jakby tylko czekały na korki, które pojawią się zaraz po wybudowaniu biurowców.

Ten, który był naszym celem, składał się z kilku budynków i przypominał nieco wielki, błękitny i leżący grzebień, którego zębami były wypuszczone do przodu cztery kilkukondygnacyjne części, spięte z tyłu przeszklonym łącznikiem. Błądziliśmy chwilę, aż wypatrzyłem na szczycie fasady logo firmy „Forge”, ukryte wśród kilkudziesięciu innych opasujących górną krawędź błękitnej tafli. Było na trzecim zębie od prawej, więc skierowaliśmy się do tego właśnie budynku, choć wciąż nie mieliśmy pewności, czy to tam. Na szczęście przy wejściu stał pylon z tabliczkami, wśród których znów znalazłem tę nazwę.

– Co teraz? – zapytałem, kiedy weszliśmy do przestronnego holu.

– Improvizujemy. – Oleszczuk wzruszył ramionami. – Będiesz miał okazję poćwiczyć język. Tam jest recepcja, może po prostu zapytaj o niego?

Zebrałem się w sobie i podszedłem do kontuaru. Moja pierwsza akcja w świecie szpiegów i łowców szpiegów. Zdrajców i myśliwych, którzy się na nich zasadzają. W tym fachu nie ma Bondów, którzy sami ratują świat.

Tak mówił mi w Emowie Oleszczuk. Każdy z nich to maleńki trybik w maszynie. Akcje, w których uczestniczą, to wielopoziomowe scenariusze realizowane przez sztab ludzi za biurkami i w terenie. Czasem praca oficera wywiadu polega tylko na zostawieniu czegoś w pewnym miejscu, a żeby to zrobić, musi poświęcić mnóstwo czasu, czasem pieniędzy, a na pewno sporo nerwów, zwłaszcza kiedy nie wiadomo, czemu tak naprawdę jego ruch ma służyć. Przecież trybiki się nad tym nie zastanawiają. Kręcą się tylko, żeby ten obok też mógł się kręcić, podobnie jak następny i następny... A najgorsze, że nie ma scenariusza, który przewidziałby wszystko, więc czasem trzeba improwizować. Kiedy jest się w tym zakresie przeszkolonym, to pół biedy, ale jeśli nie...

Ja byłem teraz takim trybikiem. Byłem również zdenerwowany oraz nieprzeszkolony. Kurewsko zdenerwowany, jak przed egzaminem na aplikację albo własnym ślubem. I zupełnie nieprzygotowany do tego, czego ode mnie wymagano.

– Dzień dobry – zagaiłem po francusku do ciemnowłosej dziewczyny w granatowym kostiumie. – Czy można?

– Dzień dobry, słucham? – Uśmiechnęła się.

– Poszukuję pana Ibrahima Farada. Pracuje tutaj, w firmie „Forge”...

– Przykro mi, nie udzielamy takich informacji. – Uśmiech nie zniknął z jej ust.

– Rozumiem. Czy mogę w takim razie sam podejść do siedziby...

– Był pan umówiony? – przerwała mi grzecznym, ale stanowczym tonem.

– Nie, ale...

– Nie ma możliwości spotkania bez wcześniejszego umówienia terminu, przykro mi, monsieur.

– I nic się nie da zrobić? – odezwał się we mnie typowy Polak.

Ale niestety nie byliśmy w Polsce.

– Nic się nie da zrobić, przykro mi.

Pokiwałem ze zrozumieniem głową, wpatrzony w wielki telebim wiszący na ścianie za plecami recepcjonistki. Wyświetlały się na nim jakieś informacje. Wśród napisów i znaków zauważyłem nagle logo „Forge”, niebieską mewę. O dwunastej miało się odbyć szkolenie z udziałem pracownika tej firmy, pana Ibrahima Farada. Uśmiechnąłem się do dziewczyny, podziękowałem i wróciłem do Oleszczuka, siedzącego na

kanapie pod wielkim sztucznym drzewem.

– I co? – zapytał.

– Nic. Nie wpuszczą nas do środka.

– Kurwa...

– Farad pracuje w „Forge”.

– Skąd wiesz? – ożywił się nagle.

– Widziałem rozpiszę spotkań i zauważyłem logo „Forge”. Mają jakieś szkolenie. Odbywa się o dwunastej w sali „platynowej” na trzecim piętrze, a on jest jednym z prelegentów.

– Spryciarz, no... Ale i tak tam nie wejdziemy.

– Nie, ale teraz wiemy przynajmniej, że on tu faktycznie pracuje.

– Fakt. To może zaraz dowiemy się, jak wygląda? – Oleszczuk wyciągnął telefon.

Usiadłem obok niego. Wpisał w wyszukiwarkę frazę „Ibrahim Farad LinkedIn” i po chwili patrzyliśmy na twarz śniadego chłopaka z lekkim zarostem, który wyglądał na jego policzkach i podbródku jak zaproszona sadza. Miał ciemne oczy i zaczesane do góry mocne, czarne włosy z cienkimi blond pasemkami.

– Czemu wcześniej na to nie wpadliśmy? – Oleszczuk spojrzał na mnie z rozbawieniem.

– Mnie nie pytaj. To ty jesteś asem kontrwywiadu.

– Chodź. – Dźwignął się z kanapy. – Poczekamy na niego w aucie.

Następne siedem godzin było mordęgą. Siedzieliśmy w samochodzie, wpatrując się w wejście do biurowca i zastanawiając się, czy Farad skorzysta z tylnego wyjścia, a może wyjedzie z podziemnego parkingu z drugiej strony kwartału. Nic innego nie mogliśmy zrobić i Oleszczuk stwierdził, że jeśli dziś nam nie pójdzie, jutro spróbujemy czegoś innego. Na moje wątpliwości i pytania dotyczące szczegółów jutrzejszych prób nie potrafił mi jednak sensownie odpowiedzieć.

Kwadrans po siedemnastej, już po zmroku, zobaczyliśmy Farada w drzwiach. Staliśmy już bliżej wejścia, a nie na parkingu, ale na wszelki wypadek Oleszczuk miał małą lunetkę, podobną do tej, którą montuje się na teleskopach i która służy do wstępnego nakierowania okularu na ciało niebieskie. Kiedy go o to zapytałem, odpowiedział:

– Wolałbyś wielką wojskową lornetkę? Takie rzeczy tylko na filmach.

Widok dwóch gości siedzących z takim sprzętem godzinami w samochodzie wzbudziłby podejrzenia najgłupszego ciecia z ochrony. Zaraz pojawiłby się tu radiowóz i co byś glinom powiedział? A ta zabaweczka w zupełności wystarczy i ma wielkość długopisu, no, może pióra.

– I jakby co, zawsze możesz twierdzić, że dłubiesz sobie czymś w oku – powiedziałem.

Nie roześmiał się.

\* \* \*

### **Miasto Luksemburg, dzielnice Kirchberg i Uewerstad, godz. 17.15**

Kiedy Farad się pojawił, znów poczułem skurcz w podbrzuszu. Okutany w szal okręcony wokół szyi i zwisający na plecach chłopak był prawie nie do poznania. Dobrze, że czapkę włożył dopiero po wyjściu na zewnątrz, inaczej moglibyśmy mieć problem z rozpoznaniem go. Zobaczyliśmy, jak podchodzi do stojaka na rowery i odpina jeden, potem dosiada go i rusza powoli w stronę Rue Erasme. Oleszczuk uruchomił silnik i powoli pojechaliśmy za nim. Czerwone światelko migające pod siodełkiem było naszym punktem odniesienia. Farad nie pędził; jechał niespiesznie chodnikiem, mijając nielicznych przechodniów, migając nam szalem kręcącym się w powietrzu w świetle latarni. Na rondzie skręcił w lewo, kilkaset metrów dalej dojechał, a my razem z nim, do Alei Kennedy'ego, części głównej arterii komunikacyjnej miasta Luksemburg. Potem przejechaliśmy przez most Wielkiej Księżnej Charlotty; przerzucone nad doliną Alzetty dzieło inżynierii zwane Czerwonym Mostem ze względu na kolor farby, jaką pokryty jest pylon, i wjechaliśmy do centrum. Problem zaczął się, kiedy dziesięć minut później dotarliśmy do starówki. W pewnej chwili lekko zdenerwowany Oleszczuk zawołał do mnie:

– Nie dam rady tam wjechać. Kurwa, co teraz?

– Zatrzymaj się – powiedziałem. – Biegnę za nim, zadzwonię, kiedy gdzieś się zatrzyma, i dojedziesz, a jak się nie da, to dojdiesz do mnie, jasne?

Oleszczuk pokiwał głową. Nie tracąc czasu, wyskoczyłem tuż przed wjazdem w małą uliczkę, do której dostęp uniemożliwiały ustawione u jej wlotu granitowe bloki. Wpatrując się w czerwone światelko roweru Farada

i zerkając co jakiś czas pod nogi, biegłem równym tempem, oddychając miarowo i spokojnie. Dziesięciokilometrowe przebieżki, które tak lubiłem, teraz zaprocentowały: wiedziałem, że mogę biec za naszym celem ładny kawałek i nie zmęczyć się, co chyba byłoby równoznaczne ze zgubieniem go. Tego Oleszczuk by mi nie darował.

Nawet ja sam sobie bym tego nie darował...

Nie musiałem biec długo. Chłopak zatrzymał się przed jakimś budynkiem, zsiadł z roweru i oparł go o słupek. Wielki neon Banana's wabił słoneczną żółcią i po chwili Farad zniknął w środku klubu. Stałem i uspokajałem oddech. Kilkunastu mężczyzn stało przed fasadą i rozmawiało, niektórzy palili papierosy, inni rozmawiali przez telefony. Po strojach, gestach i wybuchach emfatycznego śmiechu zorientowałem się, że to klub gejowski. Wyciągnąłem telefon i zadzwoniłem do Oleszczuka.

– Gdzie jesteś? – zapytałem.

– Kurrwwa, nie wiem! – Arek był wyraźnie wściekły. – To jakiś pieprzony labirynt, gdzie wjadę, tam ślepy zaułek!

– Zostaw auto tam, gdzie jesteś. Sprawdź sobie w nawigacji: Rue Monterey, klub Banana's. Starówka, niedaleko od miejsca, gdzie wysiadłem. Czekam na ciebie. Módl się, żeby Farad tu został... – Rozłączyłem się.

Jeśli Oleszczuk faktycznie się modlił, to został wysłuchany: chłopak nie wyszedł z baru, żeby pojechać dalej. Jego rower wciąż stał na chodniku, nikomu nie wadząc. Arek przybiegł zdyszany dziesięć minut później. Pokazałem mu neon z bananem, na co on zrobił nieokreśloną minę i nie tracąc więcej czasu, weszliśmy do środka.

Wnętrze baru przypominało dyskotekę z filmu *Grease* albo wideoklipu *Earth, Wind and Fire*. Małe lampki dające miękkie, aksamitne i nikłe światło rozmieszczone w zaskakujących miejscach sufitu i ścian sprawiały, że wystrój bardziej nikał w mroku, niż tonał w blasku. Szklana kula pod stropem kręciła się powoli, ale nie było kolorowych refleksów, bo lusterka, którymi została wyłożona, nie miały czego odbijać. Było duszno i gorąco, a powietrze przesycone symfonią zapachów skomponowaną z nut dobrych perfum zakłóconą nieco delikatną wonią świeżego potu. Większość klientów stanowili mężczyźni i nie miałem najmniejszych wątpliwości, do jakiego rodzaju przybytku trafiliśmy. Połączeni w pary, albo małe grupki, pili,

rozmawiali, śmiali się, głaskali po twarzach i włosach albo obejmowali. Było też kilkanaście lesbijek, a wszyscy zachowywali się swobodnie. Wyjątkiem był Ibrahim Farad. Siedział przy barze, na wysokim hokerze. Zdążył już coś zamówić, bo stała przed nim pusta szklaneczka. Przepychając się przez tłum, zobaczyłem, jak ktoś się do niego dosiada, ale chłopak pokręcił głową i machnięciem ręki dał mu wyraźny znak, że nie jest zainteresowany towarzysztwem. Podeszliśmy do niego z Oleszczukiem, zachodząc go z obu stron.

– Mówisz po angielsku? – zapytał Oleszczuk, siadając na stołku obok niego.

– Tak, ale nie mam ochoty na gadkę. Nie dziś. Dziś jestem sam, okej?

– Okej, ale mamy sprawę. Dosyć pilną, więc może załatwmy ją na zewnątrz...

– Nigdzie nie idę. Tu jest mi dobrze. O co chodzi?

– Chciałbym cię zapytać, czy znasz pewnego człowieka...

– Jesteście z Polski, tak? – zapytał nagle chłopak i jego twarz stężała.

– Myślałem, że mój angielski jest całkiem znośny... – Oleszczuk zmarszczył brwi.

Ibrahim Farad zaczął się śmiać. Histerycznie i głośno, ale najdziwniejsze było to, że na nikim nie robiło to żadnego wrażenia. Ze dwie, trzy osoby zerknęły w naszą stronę, a potem wróciły do swoich rozmów przy stolikach i barze.

– Co w tym śmiesznego? – zapytał Oleszczuk.

– I tak tego nie zrozumiesz. – Faradowi szeroki uśmiech wolno spelzł z ust, a jego twarz wykrzywiona dziwnym grymasem i oświetlona kolorowym, mdłym światłem zaczęła przypominać pośmiertną maskę.

– Skoro tak, to wróćmy do naszej sprawy... – Oleszczuk położył przed sobą mały dyktafon i spojrzał na Farada, pytając: – Pozwolisz?

Było jasne, że nie interesuje go żadna odpowiedź i chłopak również to wiedział. Wystarczyło popatrzeć w oczy Arka.

– Powiedział, że ktoś się po to zgłosi. – Farad pomachał barmanowi pustą szklaneczką i niemal w tej samej chwili po wypolerowanym barze wjechała następna, pełna, która o włos minęła dyktafon i którą chłopak zręcznie chwycił ruchem tak miękkim, że nie uрониł ani kropli.

Oleszczuk, podobnie jak ja, z podziwem patrzył na wprawę, z jaką to

zrobił.

– Nie mówił, kiedy to będzie. – Farad podniósł szklaneczkę i spojrzał przez nią na Oleszczuka jak przez szkło powiększające. – Miałem mieć to przygotowane. I mam... – Wykrzywił usta.

– To poproszę – powiedział Arek, zapewne również, tak samo jak ja, nie mając pojęcia, o czym chłopak mówi.

Farad wypił szota jednym haustem, otarł usta wierzchem dłoni i popukał Oleszczuka w klapę kurtki, tam gdzie w wewnętrznej kieszeni zniknęło przed chwilą zdjęcie Kamila.

– Ten człowiek zaczepił mnie pewnego dnia pod biurowcem, w którym pracuję. To było na początku tego roku, jakoś w styczniu. Zaprosił mnie do baru na jednego. Wiedział, jak się nazywam, wiedział, jak nazywa się mój chłopak, znał mój adres. Powiedział wprost, że potrzebuje informacji o spotkaniu, które odbyło się w mojej firmie w maju zeszłego roku. Chodziło o wizytę zespołu reprezentującego pewną polską firmę starającą się o fundusze na komercjalizację z powodu groźby utraty płynności finansowej. Wyśmiałem go i powiedziałem, żeby spadał. Nalegał. Jestem analitykiem rynku i nie brałem udziału w tym spotkaniu, a jedynie przygotowywałem coś w rodzaju wstępnej analizy ekonomicznej. On chciał mieć zapis spotkania i listę uczestników. Powtórzyłem, żeby spierdalał, a on wtedy zapytał, czy Kocham swojego chłopaka. Potem położył przede mną kilka kartek. Nie wiem, skąd miał te papiery. – Chłopak wzruszył ramionami. – Może dał mu je ktoś z kliniki, może je stamtąd wykradł, a może najzwyczajniej w świecie włamał się do mojego mieszkania. To chyba najbardziej prawdopodobne i najprostsze. Zresztą nieważne, po prostu je miał. Moje wyniki badań. Jestem chory, mam HIV. Spytał, czy mój partner już wie. – Otworzył szeroko usta, wystawił lekko język i zaczął nim poruszać, wpatrzony w jeden punkt gdzieś za naszymi plecami. – Orientował się, że mu jeszcze nie powiedziałem. I domyślał się też, że nie chcę, że nie mogę mu powiedzieć, bo go stracę...

Patrzyłem, jak Farad wodził czubkiem języka po wargach. Alkohol zaczął działać, co nie było dziwne, zważywszy na tempo, w jakim chłopak go w siebie wlewał.

Oleszczuk poprawił się na hokerze.

– Więc dasz nam to wreszcie? – zapytał niecierpliwie.



– Miał powiedzieć hasło. – Farad chwycił szklaneczkę palcami, odchylił głowę do tyłu i wlał alkohol w szeroko otwarte usta. – Ten ktoś miał powiedzieć hasło. S... Słucham...

## 12. Miasto Luksemburg, dzielnice Uewerstad i Belair, godz. 18.15

Arek zerknął na mnie szybko i w jego spojrzeniu znów ujrzałem ten wyrzut, jakbym to ja ponosił winę za zagrywki Kamila.

– Jean-Luc – powiedziałem bez zastanowienia.

Twarz Farada najpierw pozostała bez wyrazu. Potem jego usta zaczęły lekko drżeć. Pozbierał się szybko, po chwili w jego oczach pojawiła się jakaś zaciętość. Odstawił szklaneczkę. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiła się kolejna, tym razem sama wyhamowała niemal tuż przy swojej pustej towarzyszce.

– Zgadza się – powiedział cicho.

– Kto to jest Jean-Luc? – zapytałem. – Twój facet?

– Mój były facet. – Odchylił się na hokerze i głęboko nabrał powietrza. – Ten, któremu wasz kolega miał wyznać, że jestem seropozytywny. Zaraziłem go. Uważałem, ale zaraziłem. Wcześniej mówiłem, że mam HPV, co usprawiedliwiało używanie prezerwatyw, a on się zaszczepił. Tydzień temu powiedziałem mu prawdę, więc mnie zostawił, a przedtem omal nie zabił. Gównu mnie już to wszystko obchodzi, wiecie? – Z gardła wyrwał mu się stłumiony w ostatniej chwili szloch. – Macie szczęście, że mnie dziś spotkaliście. Wielkie szczęście.

– Bo?

– Bo już nic nie ma znaczenia. Wszystko i tak przestało mieć sens. Wczoraj zdiagnozowali u mnie AIDS. Mój wirus HIV był oporny na leki, w dodatku mam neurotoksoplazmozę. Nie zostało mi wiele czasu. Myślicie, że moi szefowie pozwolą mi pracować? Że wszystko będzie jak dawniej?

– Myślałem, że to cywilizowany kraj – bąknął Arek.

– Naprawdę? – W głosie chłopaka słyszeliśmy żal pomieszany z sarkazmem.

– Przykro mi.

– Tak? – Oczy Farada błysnęły.

– Tak. – Oleszczuk wytrzymał jego spojrzenie.

Farad opuścił wzrok i zaczął pocierać palcem brzeg szklaneczki.

– Dałbym wam to, nawet gdybyście nie znali hasła. Dałbym to komukolwiek, kto by o to zapytał. Albo wypieprzył do śmieci. Mam to w dupie. Koperta jest u mnie w mieszkaniu, leży na półce z albumami malarstwa, między Boschem a Vermeerem. Jakiś miesiąc temu wasz kolega przysłał mi coś i kazał do niej wrzucić. Tu macie klucze – przesunął je po blacie baru – 42 Rue Charles Arendt, kod do wejścia dwa, trzy, dwa, jeden i krzyżyk. Nie pobrudźcie dywanu i nie wystraszcicie kota.

– A ty?

Wychylił szklaneczkę i zamaszystym gestem odstawił ją na blat z głośnym stuknięciem.

– Ja jeszcze nie skończyłem. Zamierzam tu trochę zostać i nie chce mi się iść z wami. Uszanujcie chociaż to, skoro już wpierdoliliście mi się do życia z kopytami.

– Jak potem wejdiesz do domu? – zapytałem go.

Farad czknął lekko i machnął ręką. Wzrok miał już zamglony. To nie mogło się dobrze skończyć i zastanawiałem się, kiedy barman też na to wpadnie.

– Zostawcie klucze pod wycieraczką. I tak nie wiem, czy dotrę tam do rana... Zostało jeszcze trochę szklaneczek do wychylenia. Napijcie się za moje zdrowie? – Znow zaczął się histerycznie śmiać.

Nie wypiliśmy. Po prostu wyszliśmy żegnani dźwiękami *Time after time* Cyndi Lauper sączącymi się z kątów. Świeże, zimne powietrze uderzyło w nas jak obuchem. Oddychając, głęboko czyściłem płuca z powietrza przesyconego zapachami ciał i alkoholi.

– Grubo, co? – Oleszczuk szedł ze spuszczoną głową, kręcąc kluczami założonymi na palec wskazujący.

Pokiwałem głową, bo co tu było mówić. Arek zaprowadził mnie do samochodu. Na telefonie nastawił adres mieszkania Farada i znaleźliśmy się tam dosłownie kilka minut później. Niewielki, czterorodzinny budynek był taki sam jak pozostałe na tej uliczce. Wcisnąłem kod na klawiaturze przy drzwiach wejściowych i po chwili byliśmy już w mieszkaniu chłopaka.

Było niewielkie, ale przyjemnie urządzone. Na ścianach wisiało kilka męskich aktów; może nie znam się na sztuce, ale nie były wulgarne, za to

bardzo ładne. Kot przywitał nas głośnym miauczeniem i po chwili konsternacji zaczął ocierać się o moje nogi, wyraźnie ignorując Oleszczuka. Poczułem kręcenie w nosie. Zwierzak był zadbany, ale sierść musiała latać w powietrzu, więc dało o sobie znać moje uczulenie. Arek, nie tracąc czasu, od razu podszedł do regału.

– Jak to było? – Obejrzał się na mnie.

– Vermeer i Bosch.

Oleszczuk poprzesuwał albumy, aż wreszcie trafił na właściwe. Sięgnął nagle głębiej i odwrócił się w moją stronę z żółtą kopertą w ręku i tryumfalnym uśmiechem na twarzy. Z niecierpliwością otworzył zamknięcie i wyjął ze środka plik zbindowanych kartek. Położył je na niskim, kawowym stoliku i usiadł na kanapie, więc zrobiłem to samo.

– Po francusku. Czytaj – powiedział, podsuwając papiery w moją stronę. – Tego na górze nie musisz, to rozumiem.

Na samej górze okładki wytłuszczonym drukiem napisane było *Confidentiel*.

– Tytuł: *Spotkanie robocze delegacji zarządu „Femto Carbon” oraz przedstawicieli spółek właścicielskich w sprawie możliwości uzyskania funduszy na działalność badawczą, październik 2017.* – Otworzyłem okładkę i zacząłem przelatywać tekst wzrokiem.

Był zwięzły i składał się w większości z krótkich tabel, co niewątpliwie ułatwiało sprawę.

– Opis struktury firmy, zakres działalności, udziały i inne takie. Nakreślenie sytuacji finansowej, z uwzględnieniem wyników z ostatnich trzech lat: leciały na łeb na szyję. – Pokazałem Oleszczukowi palcem właściwą tabelkę. – Dofinansowania ze spółek państwowych: MKGH i PaGZ i sposób wydania tych pieniędzy. Myślisz, że tu chodzi o jakieś finansowe wałki? – zapytałem Arka.

– Nie wiem, co oni robili, że ten program stanął na krawędzi bankructwa. Mówię o władzach spółki. To przecież podlega kontroli NIK-u i innych instytucji, na przykład CBA, ale nie mam pojęcia, czy takie kontrole były i co wykazały. Dobra, co dalej?

– Propozycje działań mających na celu poprawienie kondycji. Piszą, że strona polska sugerowała sprzedaż części nieruchomości pozostających w zarządzie „Femto Carbon”, ale nie było zgody wszystkich decydentów.

A także sprzedaż specjalnego... reaktora termicznego, tak to tu nazywają, do produkcji grafenu. Betatron 322S. Za cztery miliony... „Forge” zaproponowała chętnego na reaktor. Wskazano firmę potencjalnie zainteresowaną zakupem, która również zgłosiła chęć skorzystania z usług konsultingowych oferowanych przez „Femto Carbon”. Widać mają to w zakresie działalności, ale to często jest pole do wałków finansowych, bo takie usługi trudno wycenić i jeśli strony się dogadają, mogą sobie płacić za to niezłe pieniądze.

– Jaka to firma?

– CAMC Australia Photoelectric Corporation.

– Australia... – Oleszczuk uśmiechnął się z przekąsem.

– Wyjaśnia się, dlaczego musieli szukać środków za granicą. Kto w Polsce kupi taki reaktor i po co? A CAMC to spółka zależna. Mamusia nazywa się China AllMetal Corporation. – Spojrzałem na Oleszczuka. Był bardzo zadowolony z siebie, więc dodałem szybko: – Nikt nie powiedział, że transakcja doszła do skutku. Poza tym CAMC jest firmą z Chin demokratycznych. Z Tajwanu...

– Nie doszła, nie doszła – uspokoił mnie Oleszczuk. – Ale w tym wszystkim raczej nie o to chodziło Kamilowi.

– A o co?

– O to. – Pokazał mi.

Tabelka z nazwiskami i podpisami uczestników spotkania była dość spora. Ściśle biorąc, były dwie: po lewej widniały same nazwiska francusko brzmiące i dwa chińskie, po prawej zaś wyłącznie polskie. I o tej tabelce mówił Oleszczuk. Zacząłem je czytać na głos.

– Michniewicz: członek zarządu MKGH TFI, Bardo: członek zarządu PaGZ-u i Rabiński, główny księgowy „Femto Carbon”, Szukalski, prezes zarządu z „Femto” oraz Zajnert. O, i Widacki, proszę.

– Co on tam robił?

– Jest wymieniony jako doradca. Nie mam pojęcia, w jakiej kwestii mógł tam doradzać.

– Skoro to program strategiczny, może ktoś uznał, że powinien tam być jako członek sejmowej speckomisji?

– Możliwe. A może pojechał w ramach wycieczki? Pan poseł był ze swoim asystentem... – wskazałem nazwisko Gdula – ...ale nie ma jego podpisu na

protokole. Tego asystenta. Czyli chyba nie uczestniczył w spotkaniu.

– W takim razie to asystent przyjechał tu w ramach wycieczki – stwierdził Arek.

– Możliwe.

– Dobrze, a te następne?

Przekartkowałem kolejny plik kartek, które były spięte biurowym klipsem. Zdjąłem go i rozłożyłem kartki na blacie.

– To to samo. Są dwie kopie, tylko ta jest bez okładki.

– No i dobrze. – Oleszczuk pozbiierał je i spiął klipsem, a ja podałem mu kopertę.

Kiedy to robiłem, coś stuknęło w środku i poczułem, że zmienia się jej środek ciężkości.

– Wszystko wyjąłeś? – zapytałem Oleszczuka.

Wzruszył ramionami. Potrząsnąłem kopertą i znów coś w niej lekko zastukało, przesuając się w środku na drugą stronę.

– Ładnie – sarknąłem. – O mały włos byś to przegapił.

– Na szczęście mam ciebie. – Wyjął mi kopertę z ręki, zajrzał do środka, potem sięgnął tam i wyciągnął... wizytówkę.

Uśmiechnąłem się lekko do swoich myśli.

– To nie jest, kurwa, zabawne... – Oleszczuk faktycznie nie wyglądał na rozbawionego.

Przyjrzał się wizytówce i odczytał głośno:

– *Hotel Adler, Folgaria...*

Miał przy tym dziwną minę.

– Co? – zapytałem.

– Nic. – Pociągnął lekko nosem i powtórzył: – Nic... Powiedziałem ci przed chwilą, co o tym sądzę. Może już czas kupić sobie wizytownik?

– Gdzie jest Folgaria?

– We Włoszech. W Dolomitach, po południowej stronie Alp. – Odwrócił wizytówkę i znów zobaczyliśmy jakiś napis. To był ten sam charakter pisma co na wizytówce „Forge”.

*Lista gości, 02.2018*

Oleszczuk westchnął cicho, potem podniósł papiery, włożył je do koperty, którą zgął wpół i wsadził do wewnętrznej kieszeni kurtki. Wizytówkę schował do portfela.

– Zbieramy się – rzucił.

Wstaliśmy z kanapy i przeszliśmy do drzwi wyjściowych. Rozejrzałem się jeszcze po małym mieszkaniu. Jeśli miejsce zamieszkania jest odzwierciedleniem właściciela, to Farad musiał być porządnym gościem.

– Nie wypuść sierściucha – powiedziałem do Arka, kiedy otworzył drzwi, a kot wyskoczył z jakiegoś kąta, w którym wcześniej się schował.

Może myślał, że wraca jego pan, bo kiedy zobaczył w drzwiach nas, wyprostował ogon, zakręcił w miejscu i wyraźnie rozczarowany wrócił, skąd przyszedł. Zamknąłem drzwi na klucz, a potem schowałem go pod wycieraczkę. Małe wybrzuszenie było wyraźnie widoczne, ale skoro chłopak tak chciał, to nie pozostawało nam nic innego, jak to zrobić. Wyszliśmy na zewnątrz, wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy do hotelu. Wieczór spędziliśmy tradycyjnie przy winie i piwie, a potem poszliśmy spać.

\* \* \*

**Miasto Luksemburg, hotel Ibis Budget, 30 października, godz. 08.20**

Kiedy się obudziłem, było już jasno, a Oleszczuk brał prysznic. Czekając, aż zwolni łazienkę, wziąłem do ręki pilota i włączyłem telewizor. Usiadłem na łóżku, oparłem się o ścianę i przecierając oczy, skakałem po niemiecko – i francuskojęzycznych kanałach. W pewnej chwili poczułem, jak żołądek zaciska mi się w twardy węzeł. Bezwiednie opuściłem rękę z pilotem i patrzyłem jak zahipnotyzowany w twarz Ibrahima Farada. W rogu ekranu było to samo zdjęcie, które chłopak zamieścił na swoim profilu w LinkedIn. Cały ekran zajmował czerwony most rozpięty nad doliną Alzetty. Po chwili widok ten zastąpił kadr z ulicy na moście, gdzie stało kilka radiowozów. Potem znów dolina, cicha uliczka, karetka i karawan, do którego wnoszono zapakowane w czarny worek ciało Farada.

Najgorsze były kadry z monitoringu.

Niebo już różowiało, kiedy chłopak, zataczając się, z rękami w kieszeniach i w tym swoim szalu zawiniętym na długiej szyi szedł mostem, bez roweru. Patrzyłem, jak podchodzi do barierki i podnosi ręce. Opiera się nimi i czołem o pleksyglasowy panel i stoi tak przez chwilę. Obok niego przejeżdżają samochody, czerwone smugi tylnych lamp rozmazują się w porannej mgle. Cały obraz z kamery na moście jest czerwony i niezbyt

wyraźny. A potem nagle Farad wskakuje na barierkę i zwinnie pokonuje panel, zwieszający się skośnie nad chodnikiem. Nie mogę uwierzyć, że ktoś tak bardzo pijany jest w stanie zrobić coś takiego i to tak szybko. Ale obraz nie kłamie. Farad traci na chwilę równowagę już na szczycie panelu, ale zaraz odzyskuje ją, choć rzut na jego wierzch jest rozpaczliwy, jak gdyby wiedział, że jeśli nie zrobi tego za pierwszym razem, to drugiej szansy nie będzie, bo nie da rady tego wyczynu powtórzyć. Szal mu przeszkadza, więc odwija go sobie z szyi i odrzuca na bok. A potem nagle ześlizguje się głową w dół w ciemność po drugiej stronie i znika z kadru pochłonięty przez mgłę. Na moście zostaje tylko szal. Wygląda jak wielka wylinka węża.

Nie wiedzieć czemu przypomniał mi się kot Farada.

– Co oglądasz? – zapytał Oleszczuk, wychodząc z boksu sanitarnego i wycierając owłosioną klatkę piersiową ręcznikiem.

Drugi miał zawiązany wokół bioder.

– Wiadomości – wydusiłem z siebie.

– Przecież nie znasz... – Zanim wyjaśniłem mu, że nie muszę znać niemieckiego, sam to zobaczył.

Zdażył, bo po chwili zdjęcie Farada zastąpił widok wielorodzinnego domu stojącego niedaleko brzegu rzeki. Kamera pojechała do góry i w pokrytej ciemnoszarą dachówką połaci ukazała się dziura wybita ciężarem spadającego ciała. Pokazywali to co kilka minut, na okrągło, jakby chcieli, żeby widzowie nasycili się obrazami prezentującymi po prostu ludzką tragedię.

Oleszczuk zastygł na chwilę z ręcznikiem przyciśniętym do piersi, ale po chwili znów zaczął się nim wycierać, tylko trochę wolniej.

– Gdyby mój brat nie podszedł do niego wtedy, to ten chłopak może by żył, pomyślałeś o tym? – zapytałem go.

– Nie myślę w ten sposób.

– Nie?

– Nie.

– Ta gra kosztowała już życie dwóch ludzi. Kolejne kilka osób ma je z tego powodu przesrane, na przykład ja czy Cwynar. Nie podoba mi się to, Arek. Bardzo mi się nie podoba. Te szpiegowskie zabawy nigdy nie przynosiły nic dobrego.

– Nie myśmy to zaczęli, przypominam.



– Nie szkodzi. My to ciągniemy.

– Mamy przestać? – Arek rzucił ręcznik na swoje łóżko. – Mamy zrezygnować z walki o swoje? Ta cicha wojna, te szpiegowskie zabawy, jak to nazwałeś, od zawsze przynosiły ofiary, Adrian, tu masz rację. Część tych ofiar była świadoma ryzyka, a część to niewinne osoby, tak zwane straty uboczne. Jak na każdej wojnie. Tylko chodzi o to, że dzięki tym działaniom często unika się prawdziwej wojny, takiej z bombami. – Podszedł i stanął przede mną, zasłaniając telewizor. – Wiesz, jak byłem mały, to myślałem, że wszyscy mają w życiu mniej więcej po równo. Że jeśli ktoś klepie biedę, to kiedyś wreszcie się odkuje. Że dla bogatych też kiedyś przyjdą chudsze dni. Że każdy samotny znajdzie sobie w końcu kogoś, nawet na jakiś czas, ale zakosztuje szczęścia u czyjegoś boku. Szczęśliwe związki też się kiedyś rozpadną i powstaną nowe. Wszystko to w jakimś dłuższym czasie, rozumiesz? Wszystkie wydarzenia z naszego życia zsumowane dadzą taką średnią; ni to szczęśliwą, ni to nieszczęśliwą, po prostu przeciętną. Każdemu. Dziś tak nie myślę. Za dużo widziałem. Nie ma Boga, nie ma karmy, nie ma szczęścia i pecha, jest czas i przypadek. Oraz konsekwencje podejmowanych decyzji. I owszem, ta średnia wciąż działa, sam uważam się za takiego średniaka. Ale sporo jest osób, które w życiu miały zajebicie. Żyły długo i szczęśliwie, i nawet śmierć miały przyjemną, bo umarły we śnie, niczego nieświadome. I odwrotnie: były takie, którym nigdy nic nie szło i zginęły w strasznych mękach. Tak, takie przypadki też znam osobiście. To trochę przeczy mojej teorii o średniej, ale tym też rządzi czas i przypadek. Nie wiem, jaki był ten chłopak, Adrian. Czy to, co go spotkało, było właśnie takim przypadkiem przejebanego życia, czy konsekwencją wyborów i działań: jego wyborów i działań. Może faktycznie mu się nie złożyło, powtarzam: nie wiem... Ale wiem jedno: to nie nasza wina. I nie Kamila. Nikt z nas nie ponosi winy za to, że był śmiertelnie chory. Rzuciłby się z tego mostu tak czy siak. A jeśli nie, to umarłby wkrótce, zapewne w męczarniach. To był jego wybór, nikt go do tego nie popychał. Tak uważam.

– To fajnie. – Westchnąłem. – Z takim podejściem lepiej się śpi.

– Otóż to. – Pochylił się nade mną i poczułem zapach jego żelu pod prysznic. – Nie myśl sobie, że wyznaję filozofię gołębia, czyli sram na wszystko, bo tak nie jest, ale czasem trzeba przyjąć postawę, która będzie

dobra dla ciebie, a nie dla innych. Dość długo mi zajęło dojście do takiego wniosku. I dzięki temu faktycznie lepiej śpię, czego i tobie życzę.

Wyprostował się i spojrzał na mnie z góry.

– Ileż łatwiejsze byłoby życie, gdybyśmy mogli po prostu żyć, a nie musieli ciągle zastanawiać się nad tyloma rzeczami, co? – powiedział cicho i dodał: – Łazienka wolna.

Wstałem z łóżka i poszedłem wziąć prysznic. Zamykając wąskie jak wieko od trumny drzwi, zobaczyłem, że Oleszczuk wyłącza telewizor. Potem odkręciłem wodę i dobre dziesięć minut stałem pod gorącym deszczem, pozwalając, by spłukiwał ze mnie wszystko to, czego doświadczyłem przez ostatnie kilka dni. Łudziłem się. Tego nie da się załatwić wodą. To zostanie ze mną już na zawsze. Przez szum wody słyszałem głos Oleszczuka.

Kiedy wyszedłem, odkładał właśnie telefon na górne łóżko.

– Z kim rozmawiałeś? – zapytałem go.

– Z Łodygowskim. Tablica rejestracyjna na skuterze Kamila została skradziona kilka godzin wcześniej. Skutery Yamaha X-max125 wypożyczają w dwóch miejscach w Warszawie, sprawdzają teraz, kto je wypożyczał w tamtym czasie, ale jak znam twojego brata, nic to nie da. Pewnie kupił z drugiej ręki albo ukradł i potem porzucił.

– Coś nam ta informacja daje?

– Nam, teraz, raczej nie. Ale pamiętaj, że moi koledzy nie ustają w desperackich próbach odzyskania Kamila na własną rękę.

– Okej... Podejrzewam, że nie jedziemy do domu? – zapytałem, wkładając bluzę.

– Nie. Jedziemy do Folgarii. Powiedziałem to Łodygowskiemu.

– Rozumiem, że nie powie tego Karaimowowi?

– Powie.

Spojrzałem na Oleszczuka jak na wariata.

– Żartujesz, prawda?

– Nie. Plan faktycznie był taki, żeby szczegóły operacji „Boeing” pozostały informacjami, które nie będą ujawniane górze jako nieistotne z ogólnego punktu widzenia. To środki, a nie cel, a ich interesuje wyłącznie cel. Ale tym razem zrobimy inaczej: wrzucimy petardę do szamba.

– Nie bardzo rozumiem. Wyjaśnisz mi to?

– Zobaczymy, co zrobi Karaimow. Zobaczymy, czy podzieli się z kimś tą

informacją, a przede wszystkim, jak na nią zareaguje.

– Dalej nie rozumiem. W dodatku mam wrażenie, że nie mówisz mi wszystkiego...

– Oczywiście, że nie. – Roześmiał się. – Wyjaśnię ci w ten sposób: w skrócie chodzi o to, że kiedy petarda w tym szambie pierdolnie, to wtedy od razu się okaże, kto ma na sobie brunatne kropki. Już teraz rozumiesz?

### **13. Warszawa, 30 października, godz. 09.30**

Mariusz siedział nagi przed komputerem w kawalerce na Woli. Była wynajęta na nazwisko matki i opłacona na dwa lata z góry, podobnie jak dwie pozostałe: na Żoliborzu i na Pradze. W każdej miał mały sejf, w którym trzymał broń, paszporty, kartę kredytową i trochę gotówki w złotówkach i euro. Każde z mieszkań miało przy wyjściu małą kamerkę, której zdalny podgląd pozwalał mu na bieżąco monitorować sytuację. Był ostrożny do przesady, wręcz obsesyjnie i to, podobnie jak pedanteria, stanowiło gwarancję osobistego bezpieczeństwa.

Wpatrywał się w monitor, w zdjęcia ludzi, których miał tropić, w tym tego najważniejszego: funkcjonariusza polskiego kontrwywiadu Kamila Wichę. Miał już niemal komplet informacji. Na następnych był kolejny funkcjonariusz, Oleszczuk, brat Wichy – Adrian oraz dysk Intel chroniony oprogramowaniem wykorzystującym 256-bitowe szyfrowanie, taki sam jak te dwa, które podobno miał Kamil Wicha. Pod tym zdjęciem podane były indywidualne numery seryjne, po których można było dyski zidentyfikować jako te właściwe. Kolejne obrazy zawierały dane lokalizacji domu, w którym mieszkał w Szczecinie Adrian Wicha, mieszkania Oleszczuka w Warszawie, a także zdjęcie jego samochodu z widoczną tablicą rejestracyjną. Mariusz wiedział, że ani jeden, ani drugi nie mieszkają u siebie od kilku dni i najprawdopodobniej przebywają na terenie ośrodka szkoleniowego polskich służb kontrwywiadowczych.

Wziął do ręki małe pojemniczki wielkości pendrive'a, który był w pakiecie przekazany mu przez Czanga. W środku znajdowały się małe kuleczki przypominające drobny śrut do balastu; miały nie więcej niż milimetr średnicy. Kiedy brał je w palce, przyczepiały się do skóry, ale nie jakby były posmarowane klejem, tylko namagnesowane. Kiedy obejrzał je pod lupą, zobaczył małe haczyki przypominające te na rzepach albo kwiecie łośnianu. Słyszał o nich, choć nie miał okazji ich zobaczyć,

przynajmniej do tej pory. To NanoFlea, najmniejsze lokalizatory GPS na świecie. Można je było zaaplikować w pokarmie i nawet jeśli do żołądka czy jelit dotarł tylko jeden, istniała duża szansa, że utrzyma się w błonie śluzowej do kilku dni, zanim zniszczy go kwas solny albo zostanie wydalony z resztkami przemiany materii. Najzabawniejsze, że nanopchły nie były chińskie.

Były izraelskie.

Na nośniku znajdowała się również aplikacja, dzięki której mógł śledzić lokalizację „pcheł”, a na wszelki wypadek jej plik instalacyjny był również na GoogleDrive, do którego dostęp był oczywiście zahasłowany i miał go wyłącznie on.

Mariusz drgnął, kiedy usłyszał sygnał esemesa. Wziął do ręki telefon i spojrzął na wyświetlacz. To była wiadomość od Czanga, z telefonu, który dał mu podczas spotkania w „Alhambrze”. „Czekać. Organizujemy wszystko. Najprawdopodobniej w grę wchodzi wyjazd do któregoś z państw UE. Gotowość do wyjazdu w każdej chwili”. To wszystko.

Wstał, przeciągnął się, podszedł do lustra i przybliżył twarz do zimnej, srebrzystej tafli. Wyszczrzył się, przyglądając się sobie z bliska przez chwilę, a potem sięgnął do ust, chwycił drobne, białe zęby i zaczął wykonywać nadgarstkami niewielkie ruchy. Klej puścił i Mariusz wyjął sztuczną szczękę z ust. Powtórzył zabieg z dolną protezą, przeszedł do kuchni, gdzie w zlewie opłukał je ze śliny, potem wrócił do pokoju i odłożył obie do specjalnego pudełka wypełnionego płynem antybakteryjnym. Miał kilka zestawów, każdy inny. Niewielkie, ale równiuteńkie i zadbane kobiece zęby. Krzywe, pożółkłe i dzięki kosmetyce sprawiające wrażenie nadpsutych zębiska żuła. Mocne i duże szczęki macho i niemal dziecinne ząbki nastolatka. Taki sam zestaw był w każdym z trzech warszawskich mieszkań. Dodatkowy w jego domu w Rotterdamie. Znów podszedł do lustra i ściągnął wargi w grymasie, który odsłonił nagie dziąsła. Nigdy nie żałował swoich prawdziwych zębów, usuniętych po to, by móc lepiej wcielać się w role, których wymagały czasem zlecenia i co miało służyć jego osobistemu bezpieczeństwu. Kiedyś, kiedy już się wycofa, zrobi sobie implanty. Miał zdrowe, mocne kości, pomijając dyskomfort i trochę bólu, które miały czekać go przez parę miesięcy, nie było to nic, czym mógłby się przejmować. Po prostu jeszcze jedna sprawa do załatwienia.

Taki był, zadaniowy. Nieważne, co się działo, należało postępować zgodnie z planem, nie bacząc na okoliczności. Wykonać zlecenie.

Oderwał wzrok od widoku w lustrze, kiedy znów rozległ się dźwięk nadchodzącej wiadomości. Podeszedł do stolika, wziął telefon do ręki i odczytał ją.

Sytuacja zaczynała się klarować. Źródło Czanga musiało się nagle uaktywnić.

„Hotel Adler, Folgaria, Włochy. Natychmiast!”

## **14. Włochy (Region Autonomiczny Trydent–Górna Adyga), Folgaria, hotel Adler, 30 października, popołudnie i wieczór**

Do Włoch jechaliśmy prawie dziesięć godzin. Podróż przez Niemcy była nudna jak cholera, za to później zrobiło się lepiej. Piękno Alp zachwycało, była cudowna pogoda, i choć drzewa straciły już część liści, wciąż czuło się tę specyficzną atmosferę przełomu lata i jesieni. Jechaliśmy jeszcze autostradami, kręte wstęgi górskich, wąskich i ciasnych dróg były dopiero przed nami. Zanim zapadł zmrok, zdążyłem się trochę napatrzeć na góry i niemal zapomnieć, po co tu jestem.

Oleszczuk żuł gumę, chyba brakowało mu epapsa, ale umówiliśmy się, że stajemy tylko w wyjątkowych wypadkach. Chcieliśmy dojechać na miejsce jak najszybciej.

– Powiem ci, co wiem na razie o naszej najgrubszej rybie z grona podejrzanych – rzucił nagle, zmieniając temat, bo wcześniej rozmawialiśmy o wszystkim, tylko nie o celu naszej wyprawy. – Piotr Karaimow, lat pięćdziesiąt sześć. Żona Danuta, pełnoletni syn Krystian. Absolwent prawa na UJ i Krajowej Szkoły Administracji. Oraz, uwaga, Kiejkut. Tak, to człowiek służb. Wszystkie szkoły kończył z wyróżnieniem. A ponieważ pracował kiedyś w UOP-ie, jest poważany przez funkcjonariuszy niemal wszystkich służb specjalnych, które mu formalnie podlegają, od CBA po SKW. Podobnie jak twój ojciec był funkcjonariuszem Zarządu Wywiadu. Już na samym początku pracy w UOP-ie trafił do pionu realizacji. To znaczy, że działał w terenie. Był szpiegiem, rozumiesz? Nie takim typowym, z legendą, wtopionym w jakieś środowisko gdzieś za granicą. On jeździł tam na akcje jako zabezpieczenie. Był młody, ale podobno dobry. Wtedy jeszcze pracowali tam ludzie z zimnowojennym doświadczeniem, miał więc się od kogo uczyć. To jak my, w abwerze, uczyliśmy się od dziadków z tak zwanego Studia Bałtyk, tudzież Służby Bożej. Oczywiście tych pozytywnie zweryfikowanych... Potem z jakichś względów Karaimow

trafił za biurko. Nie wiem dokładnie: kontuzja, problemy osobiste? Nikt chyba nie zna tych okoliczności. Awansował, ale po dwutysięcznym odszedł pod kapelusz, choć wciąż działał w sferze specsłużb. To było, kiedy do władzy znów doszła postkomuna. Wcześniej przetrwał różne nocne zmiany i niebezpieczne zabawy w teczki. Giętki był, ale potem mocno skręcił w prawo. Wziął ślub kościelny, zaczął regularnie chadzać na msze, więc kiedy u steru byli akurat goście z lewicy, on miał pauzę. Przeczekiwał w jakichś think-tankach, redakcjach pravicowych czasopism, firmach swoich kolegów emerytów ze służby. Przez jakiś czas prowadził sklep z akcesoriami typu podsłuchy, mikrokamery i podobne gadżety, ale wydymał go wspólnik. A kiedy wiatr zaczynał wiać w drugą stronę, bywał członkiem komisji, doradcą i tak dalej, zawsze doskonale zorientowany w kwestiach specsłużb. Był też posłem dwóch kadencji. Aż wreszcie rok temu dochrapał się stanowiska w rządzie, bez teki co prawda, ale podobno typują go nawet na ministra spraw wewnętrznych i administracji. Jest postrzegany jako człowiek środka, nie wikła się w konflikty między partyjnymi frakcjami i każdy zastanawia się, po której stronie, kiedy zacznie się walka o schedę po jaśnie panującym. To państwowiec. Sam widziałeś, jakie znaczenie ma dla niego służba jako taka. Jest jeszcze jeden fakt, który może o tym świadczyć: zwykle obsługę koordynatora zapewniała kancelaria Prezesa Rady Ministrów, w końcu to premier tak naprawdę określa zakres jego działania i to premier wskazuje ministerstwo lub organ centralny, który zapewnia tę obsługę. Kiedy nastąpił Karaimow, zainstalował się w gmachu centrali ABW. Ciągnie wilka do lasu. I jakie musi mieć układy z premierem...

– Myślisz, że to on faktycznie stoi za tym wszystkim?

– Pamiętasz, jak pytałem cię o twoje odczucia dotyczące Cwynara? – Skinąłem głową. – No właśnie. Też wierzyć mi się nie chce, ale historia zna takie przypadki. Zdradzali ludzie na bardzo wysokich stanowiskach: Otto John, doradca kanclerza Brandta, czy Aldrich Ames, o którym ci już mówiłem. – Roześmiał się nagle. – Wiesz, jak go rozpracowali? To w ogóle było pasmo porażek i nieporozumień, bo przez prawie dziesięć lat nikt nie wpadł na to, że to on. Na samym początku wsypał mnóstwo agentów, których Ruscy od razu rozwalili, potem szastał forszą na prawo i lewo: dom, jaguar w garażu, apartament nad morzem. Kiedy w końcu ktoś zaczął



podejrzewać, że w Langley jest kret i że on może nim być, stworzono specjalną tajną grupę. Stworzono ją z jego kolegów z kontrwywiadu. A i tak, mając go niemal na talerzu, weryfikowali dwudziestu potencjalnych zdrajców. Zanim sprawę przekazano FBI, minęło jeszcze trochę czasu.

– A my tylko trzech...

– Widzisz analogię? – Arek spojrzał na mnie. – Taak, nic nowego nie da się w tej dziedzinie wymyślić. To od lat działa w ten sam sposób, te same sztuczki, te same schematy i algorytmy. A także powody. Oraz te same błędy...

– Wydaje mi się, czy Kamil wymyka się tym schematom?

– Trochę tak. Zaczynam się poważnie zastanawiać, czy jest lisem, czy jednak ogarem, który zerwał się ze smyczy i pobiegł za prawdziwym lisem własnym tropem. Wracając do Karaimowa: nie mam pojęcia, czy to on, czy nie. Zobaczymy, czego dowiemy się w Folgarii.

Dojechaliśmy w końcu na miejsce, na ostatnim etapie podróży błędząc po jednokierunkowych uliczkach małego miasteczka położonego w urokliwej dolinie i na zboczu górskiego, ale niezbyt wysokiego pasma. Znaleźliśmy w końcu nasz hotel. Nazywał się Adler i był czterogwiazdkowym przybytkiem przeznaczonym głównie dla narciarzy. Położony przy jednej z głównych uliczek starej części miasta miał typową alpejską architekturę, choć zepsuły ją liczne rozbudowy, które mniej lub bardziej udatnie próbowały naśladować oryginalny charakter budynku. Sytuację próbowało ratować klimatyczne oświetlenie elewacji.

Kiedy meldowaliśmy się w recepcji, zapadł już wieczór. Byliśmy zmęczeni i głodni. Zanieśliśmy torby na górę, do pokoju na trzecim piętrze. Oleszczuk odruchowo włączył telewizor.

– Pójdziemy coś zjeść? – zapytał, kiedy wyszedłem z łazienki.

– Na miasto czy tu?

– Tu. Nie chce mi się już łązić. Zobaczymy, co mają na miejscu.

– Co z budżetem?

– Nie zostaniemy tu długo. Wiesz, czterogwiazdkowy hotel, trzeba ciąć koszty... – Puścił do mnie oko. – Ale myślę, że na dobrą kolację możemy sobie pozwolić.

Zeszliśmy do hotelowej restauracji i musiałem przyznać Arkowi, że to był

dobry, a nawet rewelacyjny pomysł. Spędziliśmy tam ponad godzinę, a kiedy byliśmy już pełni, Oleszczuk rozparł się na krześle. Wyglądał na bardziej odprężonego niż zwykle. Na ogół spięty i poważny, teraz siedział rozluźniony i rozglądał się po wnętrzu sali.

– Chodź do baru na kielicha – zaproponował niespodziewanie.

– Nie mówiłeś niedawno czegoś o cięciu kosztów? – zapytałem.

– Mówiłem. – Westchnął. – Ale nie możemy codziennie pić w pokoju, jak jakieś dziady. Skoro już jesteśmy w dobrym hotelu, to skorzystajmy chociaż trochę... Na koszt państwa.

Zgodziłem się, więc przeszliśmy do baru, który też był na parterze.

– Po browarku? – zapytałem, zapominając, że Oleszczuk nienawidzi piwa.

– Piwo masz w kraju, spróbuj czegoś tutejszego. Piłeś kiedyś bombardino?

Nie piłem. Arek zamówił mi więc koktajl, a sobie wino.

– I jak? – zapytał, patrząc, jak ostrożnie moczę usta w mocno ciepłym, żółtawym zajzajerze smakiem przypominającym ajerkoniak. Ale porównanie tego, co piłem, ze zwykłym ajerkoniakiem było nieporozumieniem.

– Zajebiste – powiedziałem z entuzjazmem, ścierając z nosa odrobinę bitej śmietany.

Roześmiał się. Zaczęliśmy gadać o polityce. Zastanawiałem się, kiedy przyjdzie czas na inne rozmowy, bardziej osobiste, w końcu spędzaliśmy ze sobą cały czas i choćby z tego powodu kończyły się tematy, na które można było pogadać niezobowiązująco.

Uważałem Oleszczuka za porządnego faceta. Nie to, że chciałem się przed nim od razu odsłaniać, w końcu nie zrobiłem tego nawet przed własną żoną, ale byłem pewien, że jeśli rozmowa zejdzie na wrażliwe tematy, ten gość jest kimś, z kim będę mógł je poruszyć bez czerwienienia się i spinania. Po prostu. Ale Oleszczuk nie kwapił się do tego. Czy chronił swoją prywatność? Czy postawił granicę, której nie pozwoli przekroczyć z nieznanych mi względów? Może on traktował naszą relację jako wyłącznie zawodową: w końcu połączył nas tylko wspólny cel, a nie wzajemna sympatia. Patrzyłem na niego i zastanawiałem się, jak rozgryźć tego faceta. On wiedział o mnie niemal wszystko, ja zaś o nim niewiele, tylko to, gdzie pracował, że był rozwiedziony i miał syna w szkole średniej.

W pewnym momencie Oleszczuk ziewnął i pokręcił głową. Widać było, że

oczy mu się same zamykają.

– Idę spać – oznajmił.

Była już prawie dwudziesta trzecia. Mnie nie chciało się jeszcze spać i powiedziałem to Arkowi.

– Nie ma sprawy, zostań sobie. – Machnął ręką. – Dorosły jesteś, nie? Tylko bądź grzeczny i nie rozmawiaj z obcymi. Po prostu sącz sobie te glutiny i myśl o życiu, dobra?

– Dobra. – Pokiwałem głową. – Jak sobie życzysz.

– Mogę ci zaufać?

– Możesz, możesz...

– Tylko nie siedź za długo.

– Dlaczego?

– Po prostu nie siedź. – Spojrzał z powagą.

Znów pokiwałem głową. Mogłem mu powiedzieć, że jestem dorosły, ale tego nie zrobiłem. Kamil by powiedział. I pewnie jeszcze podkreślił wypowiedź środkowym palcem. Ale ja przecież nie byłem Kamilem... Byłem sobą, więc potulnie położyłem uszy po sobie, choć i tak zamierzałem zrobić tak, jak uważałem.

Oleszczuk poszedł do pokoju, a ja zostałem sam.

Barman stał za drewnianym kontuarem i ściereczką wycierał wysoką szklankę, wpatrzony w telebim, który wisiał na ścianie za moimi plecami. Ostrzyżony na zapałkę, siwy i żyłasty wyglądał na faceta, którego nic i nikt nie jest już w stanie zdziwić. Czyli dokładnie tak, jak powinien wyglądać profesjonalny barman. Krótkie bokobrody, których włos miał tę samą długość jak te na głowie, sprawiały, że przypominał nieco lokaja z filmów. Miał na imię Maurizio, słyszałem, jak takim właśnie imieniem zwrócił się do niego wcześniej któryś ze stałych klientów. Nie przejmował się tym, że się na niego gapię, tylko pucował szkło ze wzrokiem wciąż wbitym w ścianę za mną. Obejrzałem się. Na telebimie leciała powtórka jakiegoś meczu Serie A. Dźwięk był wyciszony. Milan właśnie atakował i nie skończyło się to dobrze dla drużyny przeciwnej. Piątek huknął z lewej nogi, posyłając piłkę do siatki, i było po wszystkim.

– Aaa, Piątek – powiedział Maurizio, uśmiechając się do mnie porozumiewawczo i dodał: – Boniek.

Słyszałem kiedyś, że w przeciwieństwie do Maradony traktowanego po

pamiętnych mistrzostwach świata we Włoszech jak zdrajca Boniek jest tu wielbiony do dziś. To się potwierdziło, a teraz dołączał do niego Piątek.

Podniosłem szklanę i przepiłem do Maurizia. Podszedł do mnie. Szmatka wciąż pucowała szkło, choć z pewnością było już czystsze niż wtedy, kiedy kieliszek opuścił hutę. Barman uśmiechnął się do mnie przyjaźnie, więc zapytałem go po angielsku:

– Skąd wiedziałeś, że jesteśmy z Polski?

Nie przypominałem sobie, żebyśmy z Oleszczukiem podnosili głos; nasze rozmowy były z konieczności ciche; w końcu strzeżonego Pan Bóg strzeże...

– Twój kolega tu już kiedyś był – powiedział Maurizio, a ja poczułem, jak coś na kształt obręczy zaciska mi się na szyi.

– Jak to był?

– Był. Nie pamiętam dokładnie kiedy, ale w trakcie sezonu narciarskiego. Z kimś. Z Polakami.

– Jesteś pewien?

– Jestem pewien. Miał wtedy zarost, ale jego twarz jest bardzo charakterystyczna, prawda?

– Prawda. – Pokiwałem głową. – Należysz mi jeszcze jedno bombardino?

– *Ovviamente!*

Zrobił mi napój i wrócił do wycierania szklanek, wciąż zerkając w telewizor. Upiłem duży łyk koktajlu i poczułem, jak ciepło rozlewa mi się w ustach i gardle. Smakował trochę gorzko nie tylko ze względu na zawarty w nim likier, którego Maurizio chyba mi nie pożałował. Nie wiedziałem, co mam myśleć o Oleszczuku. Dlaczego nie powiedział mi, że już tu był? Zdawałem sobie jednak sprawę, że to Maurizio mógł się mylić, i nie było w tym nic dziwnego. Jego pewność wydawała się co prawda niewzruszona, ale widywał codziennie dziesiątki, jeśli nie setki twarzy. Nie mógł zapamiętać wszystkich, nawet jeśli były charakterystyczne. Postanowiłem, że zapytam o to Oleszczuka. Może nie dziś, nie jutro, ale na pewno przy jakiejś okazji. Upiłem kolejny łyk i kątem oka zarejestrowałem, że ktoś siada na stołku obok mnie. Odsunąłem się lekko, nie patrząc w tamtą stronę, i wypiłem bombardino niemal duszkiem. Odstawiłem szklany kubek na blat i usłyszałem, jak ktoś pyta słabym angielskim:

– Ma pan ochotę na jeszcze coś do picia?

Starłem z ust resztki bitej śmietany i odwróciłem głowę w stronę, skąd

dochodził dość niski, ale przyjemny głos. Na sąsiednim hokerze siedziała kobieta w długiej niebieskiej sukni z rozcięciem z boku uda. Miała odkryte ramiona i głęboki dekolt z tyłu. Nie wyglądała na narciarkę, już raczej na nieco znudzoną mężatkę szukającą przygody. Jej fryzura niewątpliwie wymagała sporo zabiegów, by ją zrobić i utrzymać, co też mogło świadczyć o tym, że siedząca obok w niedbałej pozie kobieta ma nieco inne priorytety, a może po prostu możliwości.

– Marianne. – Wyciągnęła dłoń.

Chwyciłem ją, bo co innego mogłem zrobić?

– Adrian – przedstawiłem się i ścisnąłem lekko szczupłe palce.

Dawno tego nie robiłem. Dawno nie dotykałem żadnej kobiety.

– Skąd jesteś? – zapytała, patrząc mi w oczy.

Ja zaś patrzyłem, jak światło znad baru błyska refleksami w kruczoczarnej grzywce tak gładkiej i lśniącej, jak z reklamy szamponu. Niesamowite. Znowu powróciła myśl, ile to musiało kosztować zachodu. I ile wziął fryzjer.

– A ty?

– Z Paryża.

– Piękne i magiczne miasto – przeszedłem na francuski.

To chyba trochę osłabiło trywialność mojej odpowiedzi. Po francusku nawet najgłupsze słowo brzmi jak szelest jedwabiu, taka prawda.

– Owszem, Paryż to piękne miasto. Masz świetny akcent – zdziwiła się.

– Kiedy byłem nastolatkiem, przez rok mieszkałem u ciotki w Montreuil pod Paryżem. Twój akcent nie jest paryski? – To akurat nie budziło moich wątpliwości.

Zmieszała się lekko.

– Nie jestem paryżanką. Mieszkam tam tylko od kilkunastu lat. Mój... Mój mąż stamtąd pochodzi.

– Nie ma go tu z tobą? – Moje pytanie było tylko z pozoru absurdalne.

Przecież to, że nie było go w barze, nie musiało jeszcze o niczym świadczyć.

– Nie ma – odparła krótko i spojrzała na mnie. – Mogę ci postawić mojito? Mam ochotę na coś innego niż ten słodki ulepek z jajek.

To przypomniało mi słowa Oleszczuka, które rzucił na odchodnym. Oboje prezentowali podobny pogląd na alpejski napój, który mi tak zasmakował.

W tych okolicznościach to ostrzeżenie wydało mi się bezpodstawne. Oleszczuk przesadzał. Przysiadła się do mnie chętna na rozmowę i może nie tylko rozmowę kobieta. W takiej sytuacji byłem może ze dwa razy w życiu. A teraz dodatkowo miałem w sobie odrobinę alkoholu, co tylko wzmogło chęć na kontynuowanie znajomości.

Poza tym tak się składało, że mojito też lubiłem.

– Może to ja ci postawię? – zaproponowałem.

– Nie. – Roześmiała się. – Nie bądźmy staroświeccy. Chyba że masz z tym problem?

– Żadnego. Chciałem być tylko szarmancki. Oczywiście, że pozwolę postawić sobie mojito...

Marianne zamówiła u Maurizia dwa drinki. Kiedy przygotowywał je, krusząc lód w blenderze i mieszając składniki oszczędnymi i profesjonalnymi ruchami, zerkał na mnie co jakiś czas, a na jego wargach błędził lekki półuśmiech. Gdy skończył, podał obie szklanki Marianne, a potem dyskretnie zniknął na zapleczu. A może nie miał co robić, bo ludzi w barze było niewiele.

Marianne podała mi mojito. Wziąłem je tak, żeby nie musieć obrócić się na hokerze w jej stronę. Nie chciałem, żeby zobaczyła, jak coś wypycha mi w krocze spodnie.

– *Prosit.* – Uniosła swoją szklankę i upiła łyk przez grubą, czarną jak jej włosy słomkę.

Zrobiłem to samo. Maurizio był rzeczywiście mistrzem; niby zwyczajny i popularny drink, a jednak w jego wykonaniu stał się niemal arcydziełem. Bałem się, że gdy zostanę tu dłużej, nie skończy się to dla mnie dobrze.

Marianne siedziała na hokerze bokiem do mnie, z twarzą zakrytą zasłoną włosów i sączyła swoje mojito jak lemoniadę. Też miałem na to ochotę, tak było smaczne. Przełknąłem odrobinę lodu, który zassałem przez słomkę razem z kawałkiem listka mięty, i odstawiłem szklankę.

– Co tutaj robisz? – zapytałem.

– Piję drinka z obcym mężczyzną. – Roześmiała się.

– A kiedy nie pijesz?

Spochmurniała.

– Odpoczywam. Nie jeżdżę na nartach, po prostu lubię górskie włoskie miasteczka, ich atmosferę. Tak się składa, że tu poznaliśmy się z mężem.

Na nartach, wiele lat temu. Musiałam przemyśleć kilka rzeczy, więc przyjechałam tu, gdzie wszystko między nami się zaczęło...

Zacząłem zastanawiać się, jaki plan wobec mnie ma ta kobieta. Kiedy chce się poderwać faceta, nawet na jedną noc, raczej nie mówi mu się o swoim mężu. To trochę niezręczne. A może za dużo sobie wyobrażałem? Francuzki są raczej bezpośrednie i jeden drink w hotelowym barze nie musiał jeszcze oznaczać czegoś więcej niż jeden drink w hotelowym barze. Jakby na potwierdzenie moich myśli Marianne wstała nagle i uśmiechnęła się do mnie.

– Dziękuję za miłe towarzystwo.

Zdołałem zachować kamienną twarz. Drugi raz zachowałem ją, kiedy kilka sekund później dodała:

– Gdybyś chciał ciągu dalszego, mieszkam w pokoju trzysta dziewięć. Wystarczy zapukać. – Znów posłała mi uśmiech.

Wstając ze stołka, otarła się o moje przedramię. Może przypadkowo, a może nie, ale gdybym miał obstawiać, to jak każdy facet stawiałbym raczej na to drugie. Poczułem najpierw krągłość jej łona na nadgarstku, a potem gorąco w podbrzuszu.

Nie sypiałem z Laurą już prawie rok. To też był znak nie najlepiej świadczący o naszej relacji. Prawda była taka, że byłem wyposzczony jak żołnierz albo więzień.

– Hej, Marianne! – zawołałem cicho.

Odwróciła się przy wyjściu z baru. Końcówki długich, czarnych włosów zatoczyły krąg i opadły na ramiona, a skraj spódnicy owinał się wokół łydki. W rozcięciu materiału przez chwilę błysnęła skóra szczupłego uda.

– Co na to twój mąż? – zapytałem.

– Przecież nie ma go tu ze mną – powiedziała cicho i z jakąś goryczą w głosie. – A skoro mnie zaniedbuje, to nie widzę przeszkód, żeby spotkać się z kimś, kto chociaż na parę godzin to zmieni. Chyba że ty masz coś przeciwko temu?

Nie odpowiedziałem. Uniosłem szklanekę w geście toastu. Potraktowała to jako pożegnanie i wyszła, a ja zostałem z niedokończonym mojito, smacznym jak diabli. Maurizio wyszedł z zaplecza i widząc, że jestem sam, uniósł gęste siwe brwi. Wzruszyłem tylko ramionami i zerknąłem na zegarek. Było już późno. Kończąc drinka, zastanawiałem się gorączkowo, co

zrobić. To samo robiłem, płacąc za bombardino, zegnając się z Mauriziem i człapiąc schodami na górę.

Pokój trzysta dziewięć.

Iść do niej czy nie?

Jedną z niewielu cech, jakie w sobie cenię, jest obiektywizm w stosunku do samego siebie. Znam swoje granice. Znam wady. Nie oszukuję się. Skoki na głęboką wodę nigdy nie były moją domeną. Rzadko docierałem nawet do tych miejsc, z których ten skok w ogóle można było oddać. Byłem niegdyś zahukanym dzieckiem, z którego wyrósł introwertyczny dorosły: zastanawiający się nad konsekwencjami każdego ruchu i mnożący w nieskończoność prawdopodobne scenariusze dalszych zdarzeń, przeważnie same czarne. Nie znałem faceta, który w mojej sytuacji, tu i teraz, zastanawiałby się, czy pójść do Marianne, czy nie. Żonaty byłem jedynie formalnie, więc nawet jeśli odczuwałbym opory moralne, to teraz nie miały one żadnego sensu. Francuzka o dziwnej fryzurze wyglądała na zadbaną i dobrze sytuowaną, zatem ryzyko choroby wenerycznej czy jakiegokolwiek innej przenoszonej drogą płciową było tak znikome, że aż niewarte brania pod uwagę. Ale było, i oczywiście ja musiałem je rozważyć, chociaż istniało spore prawdopodobieństwo, że miała w pokoju prezerwatywy... Nie byłem też dzieciakiem i nie musiałem się obawiać, że gdyby jednak nie miała, zapomnę się i za dziewięć miesięcy przyjdzie na świat owoc tego spotkania.

Było coś jeszcze. Jakieś dziwne wewnętrzne przekonanie, że nie powinienem wikłać się w tę znajomość, nawet przelotnie. Marianne była dość atrakcyjna i nawet mi się podobała. Przyznałem sam przed sobą, że miałbym ochotę spędzić z nią tę jedną noc, zresztą potwierdzenie tego wciąż wypychało mi spodnie.

Znałem mężczyzn, którzy reagowali podobnie na widok kawałka nagiej skóry, widocznego między kozakiem a spódnicą, nawet jeśli odcinek między skrajami tych dwóch części kobiecej garderoby liczył nie więcej niż trzy centymetry. Teraz zacząłem zastanawiać się, czy nie dołączyłem do tego grona, choć zaraz znalazłem coś na swoje usprawiedliwienie.

Ja byłem faktycznie wyposzczony, a oni nie.

Ale...

Może to ta aura tajemnicy i niebezpieczeństwa, którą wciąż roztaczał



przede mną Arek? Może wrodzone poczucie obowiązku i sumienność, a także obawa, że mógłbym odsłonić siebie, cel naszego pobytu, albo musiałbym kłamać, co skończyłoby się tym samym: niekonsekwencją, którą ona by wyłapała, a ja zacząłbym się więc i pograżać jeszcze bardziej kolejnymi kłamstewkami.

Nie potrafiłem kłamać. Nie byłem typem szpiega i ostatnio nieraz mi to udowodniano. Ba, ja sam to doskonale wiedziałem...

Dlatego teraz, stojąc na rozwidleniu hotelowego korytarza, zadawałem sam sobie pytanie: czy to zrobię. Toczyłem wewnętrzną walkę, w której przeciwnikami były racjonalność i instynkt. Chęć walczyła z obawą. Owocem tej walki miał być bilans zysków i strat. Oraz decyzja: tak czy nie. A nieprawdopodobnie wręcz burzliwy okres mojego życia, który właśnie przechodziłem, wcale mi w podjęciu tej decyzji nie pomagał. Byłem rozbity jak nigdy dotąd.

Chryste, to miało być przecież tylko niewinne spędzenie nocy z kobietą... Światło wzbudzone fotokomórką zgasło, a ja stałem nieruchomo w ciemności, tocząc swoją walkę. Stałem tak jeszcze z minutę, a potem walka się zakończyła. Zrobiłem bilans i przyjąłem go do wiadomości.

– Kurwa – szepnąłem do siebie i skręciłem w prawo.

Na korytarzu znów zapaliło się światło. Stałem pod drzwiami i zapukałem delikatnie. Po chwili uchylły się lekko.

– Jesteś? – mruknął zaspanym głosem Oleszczuk.

– Jestem. Przepraszam, że cię obudziłem. Nie wziąłem karty.

– Nie ma sprawy. – Przetarł oczy, przyglądając mi się. – W porządku?

– W porządku – odparłem, choć nie wszystko było w porządku.

W pokoju było ciemno, przez szparę w storze do środka wpadało trochę światła z lampy na parking. Migalo, co oznaczało, że pada śnieg. Oleszczuk wrócił do łóżka, a ja poszedłem pod prysznic. Myjąc się, znów poczułem dotyk jej łona na nadgarstku i zacząłem sobie wyrzucać, że na korytarzu skręciłem nie w tę stronę.

Wyszedłem z kabiny, wytarłem się, umyłem zęby, potem poszedłem do łóżka i wsunąłem się pod kołdrę. Myśli jeszcze długo kłębiły mi się w głowie, aż w końcu poczułem, że płaczą mi się z jakimiś abstrakcyjnymi zdarzeniami i zasnąłem.

## 15. Folgaria, Hotel Adler, noc z 30 na 31 października

Obudził mnie jakiś natarczywy dźwięk. Przez chwilę walczyłem jeszcze, żeby się nie wybudzić za mocno; nie tak, by uniemożliwiło to ponowne, w miarę szybkie zaśnięcie, ale dźwięk stawał się coraz głośniejszy, a potem poczułem, że ktoś szarpie mnie za ramię.

– Co jest? – zapytałem.

– Alarm pożarowy. Wstawaj, schodzimy na dół.

– Która godzina? – Zorientowałem się, że za oknem wciąż jest ciemno.

– Co to za różnica? Trzecia. Wstawaj, bierz kurtkę, buty i na dół.

Czując, jak wali mi serce, wcisnąłem buty na gołe stopy i chwyciłem kurtkę wiszącą obok lustra przy drzwiach. Oleszczuk był już gotowy. Wyszliśmy z pokoju na korytarz i poczułem swąd spalenizny. Nie był zbyt silny, ale wyraźnie odczuwalny. Alarm wciąż brzęczał, a winda nie działała, więc zeszliśmy na parter schodami. Przy recepcji kłębił się już mały tłumek dorosłych i dzieci. Wszyscy byli rozemocjonowani. Oleszczuk pociągnął mnie w jakiś kąt i wyszeptał do ucha:

– Masz tu tabletkę. – Wcisnął mi coś w dłoń. – Kiedy ci powiem, włożysz ją w usta i zgryziesz. Zrobi ci się gorzko i zaczniesz się mocno ślinić. Bardzo mocno. Upadniesz wtedy na podłogę i zaczniesz udawać, że masz jakiś atak. Chwyć się za gardło i charcz, nie wiem, zrób tak, żeby to wyglądało autentycznie i makabrycznie...

– Ty chyba żartujesz, Arek. – Spojrzałem mu w oczy, ale zobaczyłem w nich śmiertelną powagę.

– Zrób, jak mówię.

– Ale po co?

– Żeby odwrócić uwagę. Muszę się podpiąć do komputera w recepcji, rozumiesz?

– Kurwa, nie rozumiem! – wyszeptałem gorączkowo. – Nie można się do niego po prostu włamać?

– Masz pod ręką jakiegoś informatyka? Sam umiesz to zrobić? Nie? No właśnie. A może znasz lepszy i szybszy sposób? Tak myślałem... To tylko chwila i nic ci nie będzie. Po prostu zrób, o co proszę.

– Arek, ja tego nie jestem w stanie zrobić... Poza tym jest pożar...

– Nie ma żadnego pożaru.

Drzwi na zewnątrz otworzyły się nagle i zobaczyłem w nich strażaków w hełmach i z butlami. Na plecach mieli odblaskowe napisy *Vigili del fuoco*. Minęli nas i podeszli do rozemocjonowanego człowieka, stojącego na środku holu i cały czas rozmawiającego z kimś przez telefon.

– Jak to nie ma pożaru? – zapytałem, wskazując na strażaków. – A ci, to kto?

– Powtarzam ci: nie ma. Podłożyłem kopciucha w kanciapie na szczotki na drugim piętrze.

– Jesteś nienormalny... Przysięgam, jesteś zdrowo szajbnięty...

Nagle zgasło światło. Rozległ się krótki krzyk jakiejś kobiety albo dziecka. Któryś ze strażaków włączył potężną latarkę i omiół snopem światła zebranych, a potem skierował go na podłogę. Ludzie zebrali się wokół niego jak przemarznięta wycieczka przy ognisku, tworząc ciasny, zbity krąg.

Człowieczek z telefonem zawołał coś po włosku, a potem powtórzył łamanym angielskim. Na polecenie strażaków wyłączono zasilanie z powodu prawdopodobieństwa zwarcia w instalacji elektrycznej.

– Masz swój plan – syknąłem do Oleszczuka. – Jak się podepniesz do komputera, skoro nie ma prądu?

– Słyszałeś kiedyś o czymś takim jak UPS?

Spuściłem głowę. Oczywiście, że słyszałem. Miałem nawet taki w domu...

– Tabletki zaczną działać po kilku sekundach – szepnął Arek. – Nie przestrasz się. Dostaniesz mocnego ślinotoku, więc odpluwaj, żebyś się nie zachłysnął. I staraj się tego nie połykać, smakuje okropnie. Po prostu miotaj się po podłodze i jęcz. Potrzebuję pięciu minut. Dasz radę? – W półmroku widziałem jego błyszczące oczy.

– Co mam ci powiedzieć? – zapytałem bezradnie.

Klepnął mnie w ramię.

– Dawaj. Mamy mało czasu.

Czując, jak wali mi serce, przepchałem się na przód tłumku. Pochyliłem

głowę i wsunąłem sobie tabletkę w usta. Miała gorzkawy posmak. Postąłem chwilę, słuchając cichych rozmów, a potem napiąłem wszystkie mięśnie i zagryzłem zęby, uprzednio wsuwając tabletkę językiem między siódemki. Zamknąłem oczy. To było okropne uczucie. Poczułem ból ślinianek, a moje gardło zalała fala gęstej śliny. Miałem wrażenie, że coś puchnie mi w ustach, więc otworzyłem je, wydając z siebie jęk. Kurwa, wcale nie musiałem udawać. Ból co prawda zniknął, a w uszach słyszałem tylko trzeszczenie, kiedy bąbelki piany pękały, wylewając się ustami i nosem. Upadłem na podłogę, prosto w jasny krąg światła, jak na scenę podczas spektaklu jednego aktora. Aktorem byłem ja, a grałem chyba w horrorze. Usłyszałem przerażone jęki ludzi, a na ich twarzach zobaczyłem szok i obrzydzenie. Leżąc, chwyciłem się za gardło, próbując wykrztusić gorzką jak skurwysyn pianę. Przez głowę przechodziły mi tylko dwie myśli: kiedy to się wreszcie skończy i co potem zrobię Oleszczukowi.

Nie wiem, ile czasu minęło, kiedy tak wiłem się w drgającym konwulsyjnie snopie światła. Miałem wrażenie, że dobry tydzień. Ktoś próbował mnie przytrzymać, ktoś inny usiadł na nogach, którymi wierzgąłem, wcale nie udając. Nagle przez załzawione oczy zobaczyłem, że ktoś przepycha się przez tłum i klęka przy mnie.

– Spokojnie, Adrian, jestem. – Oleszczuk ujął w dłonie moją twarz i nachylił się nade mną.

Wystękałem coś.

– Co mówisz? – Przyłożył ucho do moich ust, nie przejmując się ich wyglądem.

– Powiedz, żeby przestali mi świecić w oczy tym jebanym reflektorem, bo oślepnę – wycharczałem, pryskając dookoła śliną.

Oleszczuk wyprostował się i odsunął rękę strażaka dzierżącą latarkę.

– W porządku? – zapytał, znów się pochylając.

– Nie w porządku. Zabiję cię...

– Czyli w porządku. – Odetchnął i zapytał cicho: – Wypluć wszystko?

Pokiwałem głową, czując, jak łyzy ciurkiem ciekną mi po policzkach. Arek wsadził mi w usta jakiś patyk.

– Zagryź – powiedział, już głośniej.

Zrobiłem to, wyobrażając sobie, że to jego ręka. Pomogło. Potem poluzowałem ścisk, bo zorientowałem się, że to element przedstawienia.

- Kolega ma atak padaczki. To mu się zdarza w stresujących sytuacjach.
- Oleszczuk wyjaśnił to zebrany po angielsku, a ja leżałem spokojnie, czekając, aż resztki śliny ściekną mi z ust.

Mój oddech się uspokoił, a napięcie mięśni zelżało. Zacząłem zbierać się z podłogi. Oleszczuk mi pomógł. W świetle latarki mignęła ogromna plama wilgoci błyszcząca na terakocie. Nie mogłem uwierzyć, że to wszystko ze mnie. Tłum rozstał się, robiąc nam miejsce.

- Już wszystko w porządku, kolega musi teraz trochę odpocząć. – Oleszczuk chwycił mnie pod ramię i wytaszczył poza ludzki krąg, kierując się w stronę schodów.

Kiedy światło na powrót zalało cały parter, po holu przetoczyło się westchnienie ulgi. Zostawiając za sobą publiczność i scenę mojego osobistego dramatu, wdrapaliśmy się po schodach na nasze piętro.

- Możesz mnie puścić, przedstawienie skończone – burknąłem do Oleszczuka, wyzwalając się z jego uścisku.

– Na pewno?

– Na pewno.

Weszliśmy do naszego pokoju. Oleszczuk włożył kartę do czytnika i zapalił światło, a ja wziąłem z łazienki rolkę papieru toaletowego i zacząłem wydmuchiwać nos. Oleszczuk przyglądał się, jak smarkam, i wyglądał, jakby go to bawiło.

Odrobinę.

- Kurwa, gastroskopia to przy tym pieszczota. Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś, co planujesz? – zapytałem z wyraźną pretensją w głosie, rozbierając się.

– Nie jesteś wybitnym aktorem, co?

– Jaki to ma związek? – Z ulgą rzuciłem się na swoje łóżko.

– Chciałem, żebyś był autentycznie wystraszony, jak reszta.

Kręciłem językiem po wnętrzu ust, bez powodzenia usiłując pozbyć się niesmaku.

– Co to za syf? Wciąż go czuję.

– Przejdzie ci. Popij colą albo piwem.

- Są jakieś działania niepożądane? Alergie? Inne niespodziewane reakcje organizmu?

– Nie mam pojęcia.

- Nie masz pojęcia?
- Mówili, że jest bezpieczna...
- Kurwa... Masz chociaż te dane z recepcji?

Oleszczuk uśmiechnął się szeroko. Miał minę jak chłopak, który właśnie przeszedł inicjację seksualną. Podniósł małe, czarne pudełeczko z kabelkiem i pomachał nim.

– Mam.

Oddychałem głęboko. Potem wstałem, otworzyłem lodówkę i wyjąłem z niej puszkę coli. Wypiłem ją duszkiem, ale smak napoju skażony zalegającą wewnątrz ust wydzieliną pozostawiał wiele do życzenia. Zgniotłem pustą puszkę i rzuciłem do pojemnika na śmieci stojącego koło stolika, a potem wróciłem do łóżka.

– Chodźmy spać – powiedział Oleszczuk, przypatrując mi się z uśmiechem. – To była ciężka noc. I dzięki. Dałeś radę, wiesz?

– Spierdalaj – mruknąłem po namyśle i narzucając na siebie kołdrę, odwróciłem się do niego plecami.

\* \* \*

## **Włochy, Folgaria, Hotel Adler, 31 października, rano**

Obudziłem się, kiedy Oleszczuk odsunął storę i pokój zalało światło poranka. Ostatnie obrazy czarnowłosej Marianne odpłynęły w niebyt, kiedy uniosłem zapuchnięte od snu powieki i spojrzałem prosto w okno. Niebo było błękitne, a góry pomalowane nieregularnymi maźnięciami bieli, skrzącymi się w porannym słońcu. Gdybym jeździł na nartach, pewnie pobiegłbym teraz połknąć śniadanie, żeby jak najszybciej wystartować na stok. Wysunąłem się spod kołdry i siadłem na brzegu łóżka.

Arek był już ubrany.

– Starczy tego gnicia w wyrze – rzucił. – Powoli się zbieramy.

Zobaczył, że moje slipy są wypchane w kroczu i uśmiechnął się.

– Chłopiec miał miły sen? Spokojnie, udamy, że to się nie wydarzyło.

– To chyba pokłosie wczorajszego wieczoru. – Poczulem, że się lekko czerwienię.

Oleszczuk zmarszczył brwi.

– Mam się zacząć martwić? – zapytał. – Przypominam ci, że wczorajszy

wieczór spędziłeś ze mną w barze.

– Tak, ale kiedy poszedłeś, przysiadła się do mnie na chwilę jakaś babka...

Zobaczyłem, jak uśmiech znika z twarzy Oleszczuka, kąciki jego warg opadają, a oczy rozszerzają się gwałtownie.

– Spokojnie, nic się nie działo – powiedziałem szybko. – Pamiętam, co mówiłeś, ale my po prostu rozmawialiśmy góra pięć minut, popijając sobie drinki. W barze, przy ludziach, nawet nie powiedziałem, skąd jestem...

– Ja pierdołę, nie wierzę... – Oleszczuk jakby mnie nie słyszał. – Co ja ci powiedziałem, kiedy wychodziłem z baru? O co cię prosiłem, Adrian? Czy ty jesteś poważny, chłopie?

– Arek... – Podniosłem ręce w uspokajającym geście, ale to chyba podziałało na Oleszczuka odwrotnie.

Zaczął się jeszcze bardziej nakręcać, a ja poczułem się jak mały chłopak złapany na robieniu czegoś naprawdę bardzo brzydkiego.

– Prosiłem cię przecież, kurwa! Pytałem, czy mogę ci ufać! Powiedziałeś, że tak. A tymczasem wdałeś się w gadkę z obcą laską jak jakiś wypuszczony z klatki i wyposzczony samiec. No, czy ci, kurwa, chłopie, odbiło? Pytam cię!

– Arek, spokojnie, to tylko jakiś nawiedzony babsztyl. Powtarzam: rozmawialiśmy tylko kilka minut!

– Nieważne! Miałeś z nikim nie rozmawiać! Nie powiedziałem ci, że masz nie rozmawiać z facetami, a z babkami możesz, prawda? Powiedziałem: z nikim! Z nikim to z nikim, to takie trudne do zrozumienia? – Uspokoił się trochę. – Kim ona jest?

– Nie wiem – bąknąłem.

– Co to znaczy: nie wiem? Mówisz, że nawiedzony babsztyl, to coś jednak o niej wiesz?

– Była trochę dziwna, to wszystko. To jakaś Francuzka, wystawił ją facet, chciała pogadać, no jaki problem?

– Jak wyglądała?

– Normalnie...

– Kolor oczu. Kolor paznokci. Bizuteria. Wielkość biustu. Wzrost. Wiek. Opisz to wszystko.

– No...

– Chcesz powiedzieć, że spędziłeś wieczór z kobietą i nie pamiętasz, jak wyglądała? Ile wypięś?

– Nie spędziłem z nią wieczoru, tylko kilka minut. A wypięm tylko dwa bombardino i mojito.

– Czyli niedużo. To czemu tego wszystkiego nie zauważyłeś i nie zapamiętałeś?

– Miała jakieś trzydzieści do czterdziestu lat, niebieską suknię i specyficzną fryzurę – powiedziałem, żeby się odczepił.

– Dość duży rozstrzał, jeśli chodzi o wiek. A fryzura?

– Długie, czarne włosy z grzywką. Wyglądała... No, specyficznie. Ale to Francuzka.

Oleszczuk obrzucił mnie ciężkim spojrzeniem.

– Na pewno jej nie bzyknałeś?

– Na pewno. Jesteś zazdrosny?

Nie roześmiał się, tylko westchnął głośno.

– Następnym razem w takiej sytuacji masz powiedzieć, że jesteś szczęśliwie żonaty, albo lepiej, że jesteś pedziem i nie jesteś zainteresowany znajomością z kobietą. A jeśli to będzie facet, to udasz, że nie znasz języka albo zrobisz cokolwiek innego, żeby uniknąć rozmowy. Czy mam ci to wytłumaczyć jeszcze jaśniej, czy wystarczy? A może do końca naszej wspólnej przygody mam cię nie spuszczać z oka, nawet w kiblu, co?

– Nie trzeba.

– Nie wikłaj się więcej w żadne relacje. Żadne. Dopóki nie skończymy, jasne? Nawet jak ktoś cię spyta na ulicy o godzinę, to się nie odzywasz.

– Wyjdę na chama.

– Sorry, ale gównu mnie to obchodzi.

– Myślę, że przesadzasz.

Brwi Oleszczuka uniosły się w wyrazie ogromnego zdziwienia. Potem opadły, kiedy Arek zbliżył twarz do mojej twarzy i wycedził:

– Wiesz, jaki jest z tobą problem, Adrian? Za dużo myślisz, kiedy nie trzeba. Nie myśl. Rób, co mówię. Dokładnie to, co mówię. Kiedy trzeba będzie pomyśleć, poproszę cię o to, okej? Nie masz pojęcia o tej robocie. To nie jest oczywiście twoja wina i ja absolutnie nie wymagam, żebyś się na niej znał. Ale nie mów mi, proszę, że przesadzam, kiedy nie przesadzam. Wykonuj. – Odsunął się ode mnie. – Zrozumieliśmy się?



– Tak.

– Na pewno?

– Na pewno, do cholery, daj mi już spokój! – wydarłem się na niego niespodziewanie nawet dla samego siebie. – Bawi cię znęcanie się nade mną?

Uśmiechnął się blado. Nie był to pełen szczęścia uśmiech, ale jego twarz straciła przynajmniej ten wyraz niechęci, który sprawiał, że nagle stała się jakaś obca.

– Nie bawi – powiedział spokojnie. – Ale chciałem znów zobaczyć twoje *cojones*. A poważnie: nie chcę, żeby to się powtórzyło. Mówię ci to ostatni raz i więcej do tego nie wracamy. A na przyszłość, zwróć uwagę na pewną rzecz: zapamiętałeś tylko jedną cechę charakterystyczną tej babki. Fryzurę...

– Była charakterystyczna – upierałem się.

– Właśnie o to chodzi. Była tak charakterystyczna i przyciągająca uwagę, że nie zapamiętałeś nic więcej. I to właśnie budzi moje podejrzenia. Ona, ta babka, a nie ty. – Odwrócił się w stronę stolika, na którym leżał jego notebook. – Dobra, sprawdziłem tę listę gości z recepcji. W okresie, który kazał sprawdzić Kamil, nie było żadnej osoby narodowości chińskiej, za to było siedemnaście osób z Polski. Ale nas interesują Piotr, Danuta i Krystian Karaimowie, Marek Widacki i trzech panów zameldowanych w jednym pokoju obok Karaimowów, których nazwiska są nieistotne. Zapewne ludki z SOP-u. Co ty na to?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem. – Popatrzyłem na Oleszczuka. – Mam się cieszyć?

Przewrócił oczami.

– Pewnie, że to nie podane na tacy rozwiązanie zagadki, ale to znów mały krokczek naprzód. Kolejne ziarenko, aż wreszcie ze wszystkich zbierze się miarka. Mamy dowód, że Karaimow i Widacki tu byli.

– I co nam to daje?

– Jeszcze nic. A może tylko o tym nie wiemy, że jednak daje. – Spojrzał na mnie krzywo. – Na tym przeważnie polega ta robota, Adrian. Nie na jeżdżeniu astonem martinem, picciu martini, chodzeniu do łóżka z najpiękniejszymi kobietami świata i waleniu w ryj kogo popadnie, tylko na żmudnym zbieraniu takich ziarenek prawdy w wielu miejscach przez

wiele osób. Przykro mi, jeśli cię rozczarowałem. – Uśmiechnął się półgębkiem. – Ale mamy coś jeszcze. – Pokazał na notebook. – Ciekawą informację, którą dostałem od Łodygowskiego. Czas spotkania polskiej delegacji w siedzibie Forge pokrywa się z podróżą służbową do Luksemburga pracownika chińskiej ambasady w Berlinie, attaché kulturalnego, niejakiego Li Zhao. Ta informacja pochodzi bezpośrednio od niemieckiego kontrwywiadu.

– Czyli co, mamy trop?

Oleszczuk popatrzył w okno i odruchowo powędrowałem spojrzeniem za nim. Górski grzbiet aż prosił się o jeszcze mocniejsze przypróśnienie śniegiem. Ten z nocy topniał w oczach, na zewnątrz było jeszcze dość ciepło. Podobno wkrótce biały puch zagości tam na kilka miesięcy.

Szkoda, że tego nie zobaczę.

– Sprawdzili jeszcze inne jego podróże w ciągu ostatniego roku – powiedział powoli Arek.

– No?

– O ile podróż do Pekinu jest całkiem zrozumiała, podróż do Wenecji również nie budzi moich podejrzeń, to jeden kierunek jest jednak dość nietypowy, jak dla mnie. Pan Zhao był w Polsce. I to kilka razy.

– Z Berlina ma żabi skok. No i jest attaché kulturalnym.

– Też... – Spojrzał na mnie. – Nie wiem, czy wiesz, ale niektórzy pracownicy dyplomacji mają podwójną funkcję, zwłaszcza na placówkach w państwach niekoniecznie sojuszniczych politycznie czy militarnie. To tak zwani rezydenci, zwykle pośledni pracownicy rozmaitych wydziałów, i to niekoniecznie tych wojskowych czy handlowych. Może nie na zasadzie: w dzień biurwa, w nocy szpieg, ale trochę do tego się to sprowadza. Są chronieni immunitetem dyplomatycznym i w razie wpadki nie zostają aresztowani, a co najwyżej wydaleny. Zwykle kontrwywiad danego kraju wie, jaką funkcję pełnią, i toleruje to, ale nie zawsze. Ci ludzie koordynują pracę rezydentury i raczej nie angażują się bezpośrednio w działania operacyjne. W dużych ambasadach jest sporo takich wydziałów i nie ma problemu, żeby kogoś takiego tam upchnąć. Poza tym na misjach dyplomatycznych nie siedzą tylko dyplomaci, ale też personel bez stopnia dyplomatycznego: techniczny, administracyjny czy służby domowej. Całkiem spory wybór, co? Wśród nich też się trafiają szpiedzy, ale oni mają

gorzej, bo nie chroni ich immunitet. W razie wypadki mają przejebane. Przykładem takiego krecika jest pan Li Zhao. To rezydent, agent wywiadu Chińskiej Republiki Ludowej, a konkretnie Biura IV Guoija Anquan Bu, czyli Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwa. Wiesz, za co opowiada Biuro IV w strukturze chińskiego wywiadu? Co za niespodzianka: za technologię!

– Twarz Oleszczuka rozjaśnił szczery i autentyczny uśmiech. – Niemcy wiedzą o jego podwójnej roli od dawna. Oczywiście, pan Zhao bywa na imprezach kulturalnych, zaszczyca swoją osobą rozmaite otwarcia, zwłaszcza gdy w grę wchodzi sztuka i kultura Państwa Środka. W Polsce też bywał, na targach książki w Krakowie, a ostatnio był gościem chińskiej ambasady w Warszawie z okazji którejś tam rocznicy powstania Chin Ludowych i nawiązania polsko-chińskich stosunków dyplomatycznych.

– Myślisz, że to o nim mówił mi Kamil przez telefon? Chen Quing?

– Nie. – Oleszczuk zdecydowanie pokręcił głową.

– Skąd wiesz? Może znał go pod takim nazwiskiem?

– Chen Quing to zupełnie inna osoba. Niewykluczone nawet, że zna się z Li Zhao. Quing to prezes Qin-Pol Consulting, właściciel restauracji Golden Dragon oraz szkoły polsko-chińskiej we Wrocławiu, działacz i popularyzator tradycji Chin w Polsce. Już wiesz, czemu myślę, że mogą się znać z panem Zhao? Quing ma obecnie spore kłopoty, bo miasto wypowiedziało mu umowę najmu pomieszczeń w jednym z biurów. Jak się okazało, ma spore dossier w mojej firmie. Nie mamy żadnych dowodów na jego podejrzaną działalność wywiadowczą, ale jest na celowniku. Dobra, idź się kąpać. To koniec naszej wycieczki. Wracamy do domu.

\* \* \*

Przy kontuarze recepcji stało kilkoro Włochów. Rozmawiali głośno i śmiali się jeszcze głośniej. Kiedy stanęliśmy za nimi, żeby się wymeldować, Oleszczuk oparł się o ścianę i spokojnie patrzył na przeszklone drzwi wejściowe, za którymi spacerowali nigdzie niespieszący się ludzie. Zrobiłem to samo. Turyści i miejscowi, każdy zajęty swoimi sprawami, wypoczywający albo robiący wszystko, żeby ci pierwsi byli zadowoleni. Zwyczajna historia, jak wszędzie. Ot, małe, ciche włoskie miasteczko. I ja wijący się na podłodze z pianą na ustach... Niemal jęknąłem, kiedy spojrzałem na posadzkę i przypomniałem sobie zdarzenie z dzisiejszej nocy.

Znów poczułem w ustach gorzki smak. Odkleiliśmy się od ściany i schyliłem po torby stojące obok nas.

– Zaniósę je do samochodu, a ty załatw wymeldowanie.

Oleszczuk obojętnie pokiwał głową i dał mi kluczyki.

Parking był z tyłu hotelu i żeby się na niego dostać, trzeba było wyjść albo tylnym wyjściem, obok sauny, albo innym, usytuowanym z boku budynku, w ślepej ścianie, którą od sąsiedniego budynku oddzielał wąski wyjazd na ulicę. Minąłem przechowalnię sprzętu z suszarnią butów, otworzyłem drzwi na zewnątrz i zdążyłem zauważyć małe niebieskie audi, wyjeżdżające właśnie z parkingu. W bocznej szybce mignęła mi znajoma fryzura, którą trudno było pomylić z jakąkolwiek inną. Marianne mnie nie zauważyła. Wyjrzałem ostrożnie zza węgarka. Audi skręcało w prawo, przepuszczając samochody na głównej ulicy. Odruchowo spojrzałem na tablicę rejestracyjną i lekko się zdziwiłem. Była żółta i na pewno nie francuska. Poczekałem, aż audi Marianne zniknie za rogiem budynku i dopiero wtedy poszedłem zanieść torby do naszego samochodu. Kiedy wróciłem do holu, Oleszczuk właśnie podchodził do kontuaru, a hałaśliwa włoska wycieczka na szczęście opuszczała już hotel. Nie powiedziałem Arkowi o tym, co widziałem przed chwilą. Nie było sensu do tego wracać, sam to powiedział.

Oddaliśmy recepcjoniście karty do pokoju. Młody, korpulentny brunet z rzadziejącymi na czubku głowy włosami zaczął klikać w klawiaturę, skacząc wzrokiem po ekranie komputera.

– Nie korzystaliście panowie z zawartości barku? – zapytał.

– Nie.

– Czy są panowie zadowoleni z pobytu?

– Tak...

– Czy pan się już dobrze czuje? – Spojrzał na mnie z troską.

To był nowy recepcjonista, ten z nocnej zmiany pewnie już smacznie spał, jednak informacje, zwłaszcza takie jak o moim nocnym występie, mają to do siebie, że rozchodzą się z prędkością światła.

– *Signor* Wicha... – Włoch pstryknął nagle palcami. – Coś dla pana mam.

– Dla mnie?

– Tak, mam tu informację od kierownika: przy wymeldowaniu przekazać przesyłkę.

Spojrzałem lekko zaniepokojony na Oleszczuka. Miał kamienną twarz. Chyba obaj się domyślaliśmy, od kogo jest ta przesyłka.

– Ktoś to zostawił? – zapytałem.

– Nie, o ile mi wiadomo, przyszła pocztą na adres hotelu.

– Kiedy?

– Przykro mi, nie mam pojęcia. Opakowania brak, paczuszka była zaadresowana do nas, a nie do pana, musiała być tylko dyspozycja o przekazaniu, więc... – recepcjonista rozłożył bezradnie ręce – ...zostało wyrzucone. Raczej niedawno, bo byłem przez ostatni tydzień chory, a wcześniej jej nie widziałem. Jeśli pan chce, mogę postarać się jakoś to sprawdzić...

– Nie trzeba.

Wyciągnąłem rękę po przesyłkę i Włoch mi ją wręczył. Podziękowaliśmy, a zanim wyszliśmy z hotelu, usiedliśmy na kanapie w holu i zajrzeliśmy do niewielkiego płaskiego pudełeczka. W środku był magnes na lodówkę i kolorowy folder. Magnes przedstawiał wenecką maskę karnawałową, a folder dotyczył jakiejś branżowej imprezy pod nazwą: „Venice Security Conference 2018”.

– A jednak. – Pokręciłem ze zdumieniem głową.

– Co? – zapytał Oleszczuk.

– Zastanawiam się, kiedy odbyła się niewinna, jak mówiłeś, podróż pana Zhao do Wenecji. Czy czasem nie wiosną tego roku? – Pokazałem mu folder.

Oleszczuk lekko pobladł. Wyciągnął komórkę i zaczął gorączkowo jeździć palcem po ekranie. Po kilkunastu sekundach podstawił mi ją pod nos.

– Co to? – Zmrużyłem oczy, byłem bez okularów.

– Strona firmy, która organizowała tę konferencję. VSC 2018. Polska delegacja. Kogo my tu mamy?

Wśród niezłego tłumu niemal jednakowo ubranych mężczyzn zobaczyłem ministra Karaimowa.

– Jeszcze ten. – Oleszczuk powiększył zdjęcie i pokazał mi na nim kogoś.

– Kto to?

– Widacki.

– Jezu, siedzi obok Chińczyka... – Poseł siedział obok króciutko ostrzyżonego człowieka w galowym mundurze z mnóstwem patek i baretek.

Wojskowy miał skośne oczy.

– Przestań panikować, to nie Chińczyk, tylko jakiś Kazach.

– Skąd wiesz?

– Bo to nie jest chiński mundur. Poza tym Chińczycy nie są mile widziani na tego typu spotkaniach i wcale się nie garną do tego, żeby w nich uczestniczyć, choć niewątpliwie trzymają rękę na pulsie i dobrze wiedzą, o czym tam się rozmawia. O nich również. Zresztą sam widzisz, wszystko jest napisane: tematy paneli, wykładowcy i tak dalej. I tak większość rozmów toczy się nieformalnie i w kuluarach. Normalka...

– Co tam robił Widacki?

– No właśnie... Z tego, co pamiętam, był w składzie zespołu, który sejmowa komisja do spraw specusłużb wysłała wiosną na wizytację zachodniej granicy państwa. Pierwszego kwietnia, pamiętam tę datę, bo jest charakterystyczna. Prima aprilis. A konferencja trwała od pierwszego do trzeciego kwietnia. – Wskazał daty na folderze. – Powinien męczyć pograniczników, starostów i kogo tam jeszcze, a on kosztował słońca i obzerał się pastą i pizzą.

– W europarlamencie mamy takiego jednego pakującego się do wszystkich komisji, których praca polega na jeżdżeniu po świecie. Sprawdza standardy demokracji w Kolumbii, poszanowanie praw zwierząt w Meksyku i poziom morza na Malediwach. Może Widacki też lubi jeździć na wycieczki na koszt podatnika?

– Możliwe – mruknął Oleszczuk, ale wyglądał, jakby mnie nie słuchał, tylko znów zaczął sprawdzać coś w telefonie.

– Czego szukasz? – zapytałem.

– Tego, o czym przed chwilą mówiłeś. – Nagle opuścił rękę i popatrzył na mnie. – Kamil po prostu chce, żeby nikt wcześniej nie zorientował się, dokąd pojedziemy. Nie daje nam szansy, żebyśmy podczas szykowania się do wyjazdu z kimś się spotkali, poinformowali go, nawet jeśli nie o tym, dokąd jedziemy, to o tym, że w ogóle dokądś jedziemy, rozumiesz?

– Brzmi sensownie.

– Wiem. A więc zmiana planów. Nie wracamy do domu, jedziemy od razu do Wenecji. Miałeś rację, Zhao był tam na przełomie marca i kwietnia...

## 16. Włochy, Wenecja, 31 października

Zjazd z Dolomitów był dla mnie koszmarem nie dlatego, że było stromo czy ślisko. Oleszczuk prowadził pewnie i z wprawą zdradzającą nie tylko umiejętności, ale i spore doświadczenie. Chodziło o to, że nagły spadek ciśnienia związany z obniżaniem wysokości nad poziomem morza skutkował u mnie wyjątkowo silnym bólem uszu wewnętrznych. Przełykanie śliny nic nie dawało, podobnie jak próby ziewania. Teraz teren od jakiegoś czasu był już płaski, a ucisk w uszach stał się tylko bolesnym wspomnieniem. Jechaliśmy trasą E70 w kierunku Padwy i dalej, Wenecji.

– Nie zapłaciliśmy za colę – powiedziałem, przerywając ciszę.

– Co?

– Mówię, że nie zapłaciliśmy za colę z lodówki w pokoju. Zupełnie zapomniałem.

– Aha... Nie przejmuj się. Nie wsadzą nas za to.

– Ale niesmak pozostał.

Zerknął na mnie.

– Niesmak, mówisz... Dobrze... Chciałbym mieć tylko takie problemy, wiesz?

– À propos. Chciałem cię o coś zapytać.

– Pytaj.

– Czemu nie powiedziałeś mi, że byłeś w Adlerze? Wtedy, z nimi: z Karaimowem i Widackim. Zimą tego roku.

Oleszczuk miarowo oddychał przez nos wpatrzony we wstęgę błyszczącego w słońcu asfaltu. Wciąż milcząc, wrzucił kierunkowskaz i wyprzedził ciężarówkę wiozącą na przyczepach samochody oklejone folią zabezpieczającą. Kiedy skończył manewr, spojrzął na mnie i wycedził:

– Skąd o tym wiesz?

– Maurizio cię poznał. Ten barman. Powiedział mi to wieczorem, kiedy już poszedłeś, a zanim podeszła do mnie ta babka z fryzurą pani Addams.

- Tak – przyznał po jakimś czasie, dość niechętnie. – Byłem tam wtedy.
- Więc po co była ta akcja z pianą na ustach? Pomijając, że zrobiłem z siebie idiotę i prawie udusiłem się tym syfem?
- Bo potrzebowałem dowodu, że Widacki tam był. Sam wiesz, że dokumenty znikają. Tego, że był tam Karaimow, nie da się ukryć, ale z Widackim jest inaczej, bo pojechał tam nieoficjalnie. Kiedy już będzie można powiedzieć o wszystkim osobom, które nie są w to umoczone, potrzebne nam będą dowody, rozumiesz? Twarde dowody. Po to to robimy. Tego chciał Kamil, zapomniałeś? Kazał nam sprawdzić listę gości.
- Po co tam z nimi byłeś?
- Nie byłem tam z nimi, to po pierwsze. A pojechałem na zlecenie samego szefa.
- Karaimowa?
- Nie. Łodygowskiego. Od dość dawna wiedzieliśmy, że Chińczycy zapuszczają macki w polski grafen. Nie wiem, jak to możliwe, ale twój brat nie był o tym informowany. Nie o tym, że podejrzewaliśmy posła Widackiego o kontakty z wywiadem ChRL. Miał robić swoje w instytucie, a ja nie wnikałem, bo to nie moja sprawa. Wtedy to nie była moja sprawa. O Widackim wiedziało tylko kilka osób z samej wierzuszki ABW.
- I Karaimow?
- Oczywiście powinien to wiedzieć. Ale nie wiedział. Nie mogę mieć stuprocentowej pewności, ale tak miało być. Miał nie wiedzieć.
- Łodygowski kazał ci jechać do Włoch, żeby śledzić koordynatora służb?
- Nie jego, tylko Widackiego.
- I wtedy nie zbierałeś dowodów przeciwko niemu?
- To była jedynie obserwacja...
- Skoro o podejrzeniach wobec Widackiego wiedziała cała wierzuszka ABW, to Dębski również musiał wiedzieć. O tej twojej misji pewnie też. A przecież to kumpel Widackiego? Karaimowa zresztą też! Łodygowski mu o tej misji nie powiedział? Swojemu zastępcy?
- Dębski nie był wtedy podejrzany, zresztą dalej oficjalnie nie jest, bo wiemy o tym tylko my dwaj i Kamil. Łodygowski mu nie powiedział, bo mieliśmy świadomość, że Dębski przyjaźni się z Widackim i z Karaimowem. Pewnie doszedł do wniosku, że dla własnego dobra rozsądniej będzie jednak o tym nie mówić żadnemu z nich. I to samo polecił



tym funkcjonariuszom, którzy o tym wiedzieli. A nie było ich wielu.

– Kurwa, jesteście trochę jak małe dzieci na podwórku – stwierdziłem. – To, co zrobiliście, było poważnym naruszeniem przepisów. To było wręcz nielegalne. Dlatego nie mogłeś zbierać dowodów przeciw Widackiemu, bo sąd by ich nie uznał, tak?

– Nielegalne, naprawdę? No tak, masz rację, to nie do końca zgodne z przepisami i jako funkcjonariusz wydziału wewnętrznego powinienem był napisać skargę na Łodygowskiego do swojego dyrektora, podlegającego bezpośrednio... Łodygowskiemu. Żartujesz sobie? Czasem trzeba pominąć procedury dla dobra sprawy i to był taki przypadek, działanie w stanie wyższej konieczności. Zresztą to nie twój problem, prawda? W każdym razie umowa była taka, że o moim wyjeździe do Folgarii nikt nie wie. Nikt poza mną i Łodygowskim. Oficjalnie byłem wtedy na urlopie, a w pracy powiedziałem, że wyjeżdżam na Mazury chlać na całe dwa tygodnie i mają do mnie nie dzwonić, bo i tak nie odbiorę, nawet jak będę miał zasięg. Gdyby jednak Dębski dowiedział się o tym i powiedział Widackiemu i Karaimowowi, to wszystko nie miałoby sensu. Chyba że obaj, Dębski i Karaimow, są bardziej lojalni wobec państwa niż wobec przyjaciela, czego w zasadzie powinno się wymagać od ludzi na takich stanowiskach. Tego nie wiem, zresztą to tylko teoria, a życie jest życiem. Wiem tylko, że Łodygowski jest jedyną osobą, której mogę i muszę teraz ufać.

– Wróćmy do sedna. Dlaczego mi nie powiedziałeś, że byłeś wtedy w hotelu?

– Nie mogę ci mówić o wszystkim. Poza tym... Jakie byś wnioski wyciągnął?

– Wspominałeś mi przecież, że Widacki był podejrzany od początku.

– Adrian... – Oleszczuk westchnął. – To, że w tym uczestniczysz, nie upoważnia mnie do dzielenia się z tobą wszystkimi informacjami, rozumiesz? Nie możesz o wszystkim wiedzieć.

– Nie mogę, ale przed chwilą wypaplałeś mi szczegóły akcji, w której pogwałcono zasady działania ABW.

– Niczego takiego nie powiedziałem. Nie mogłem powiedzieć, bo mnie tu nie było, ciebie też nie, a tak w ogóle widzieliśmy się raz, w Szczecinie, podczas rozmowy w delegaturze.

– W wydziale zamiejscowym... – bąknąłem.

- Właśnie. W wydziale zamiejscowym. Wszystko jasne?
- Nie wszystko. Rozumiem, że skoro Widacki siedział w hotelu i pił, a Karaimow szalał na nartach, to ty siedziałeś z Widackim na miejscu?
- Mniej więcej. On czasem wychodził do miasteczka i kupował alkohol w sklepie, potem zamykał się w pokoju i pijąc, czekał, aż Karaimowie wrócą ze stoku. Po kolacji razem szli do baru. Razem z Karaimowem, bo jego żona i syn wracali do pokoju.
- Przesiadywałaś z nim w tym barze?
- Nie, u siebie w pokoju. Szedłem za nim tylko wtedy, kiedy wychodził na zewnątrz.
- Skąd wiedziałeś, kiedy jest w barze, a kiedy wychodzi?
- Oleszczuk przewrócił oczami.
- Miał coś w portfelu.
- Co miał? – Nie zrozumiałem.
- Małeńki lokalizator, świeżutki nabytek służb. Wymiary cztery na cztery, na milimetr. Włożyłem go do przegródki, do której nigdy nie zagląda.
- Skąd wiedziałeś, że nie zagląda?
- Bo wciąż była tam karteczka z numerkiem i imieniem człowieka, który go szył w jakiejś włoskiej fabryczce. Albo w banglijskiej.
- Zajębałeś mu portfel?
- Nie. Wyjąłem mu go z kieszeni, kiedy pierwszego dnia wracał pijany do pokoju. Wpadliśmy na siebie na schodach. Zanim doczłapał się na górę, ja zdążyłem wejść piętro wyżej, włożyć czip, zejść do Widackiego i zaproponować mu, jak rodak rodakowi, pomoc w dojściu do łóżeczka. Przyjął moją propozycję z wdzięcznością, a kiedy poszedł do łazienki rozmawiać z wielkim białym uchem, rzuciłem portfel na łóżko i wyszedłem.
- Niezbyt wyrafinowane – zauważyłem.
- Ale skuteczne.
- Nie poznał cię. Mówiłeś, że był obecny podczas twojego spotkania z Karaimowem, nie bałeś się, że cię rozpozna?
- Ta akcja w hotelu była pół roku temu z okładem. Miałem wtedy brodę. Widzieliśmy się w przelocie ze trzy razy. Jak miał mnie zapamiętać?
- Maurizio cię jakoś rozpoznał. Zapamiętał.
- Maurizio to barman. Barmani tak mają. Widzą i zapamiętują wszystko.

Coś muszą robić z nudów.

– A Widacki?

– Śledziłem go z ukrycia. A jak raz czy dwa widzieliśmy się twarzą w twarz, to był pijany w sztok.

– Czyli nie stwierdziłeś żadnych podejrzanych kontaktów Widackiego?

– W Folgarii, nie.

– A Karaimowa?

– Nie był wtedy przedmiotem zainteresowania, no i nie mogłem się rozdwoić, prawda? Pamiętaj, że na stoku pilnowali go ci z SOP-u. Nie miał jakiejś wielkiej swobody, żeby spotykać się z nieznanymi.

– Minister bez teki ma ochronę SOP-u? – zdziwiłem się.

– On miał. Może mieć ją każdy, jeśli w danym, konkretnym przypadku chodzi o dobro państwa. Widać tak uznano.

– Aha.

– Słuchaj – powiedział Oleszczuk. – Jak już jesteśmy przy temacie ochrony. Gdyby coś mi się stało, nie wiem: zniknąłbym na więcej niż sześć godzin bez wcześniejszego poinformowania cię o tym i przez ten czas nie miałibyśmy ze sobą kontaktu, dzwonisz z telefonu, który ci dałem, pod numer, którego nauczysz się na pamięć, i to tak, że możesz zapomnieć imię własnej matki, a jego nie, rozumiesz? Kiedy ktoś odbierze, podajesz swój kryptonim: Gem Drugi...

– Bardzo wyszukane. – Uśmiechnąłem się. – To twój pomysł? Znasz łacinę?

– Nie komentuj, dobrze?

– Czyli twój.

– Wyciągnij łaskawie telefon, podaję ci numer, wpisuj w kontakty... – uniosłem tyłek i sięgnąłem do kieszeni spodni po komórkę – ...ale i tak masz go wbić sobie w pamięć, w razie gdyby coś się stało z telefonem; wtedy w ostateczności zadzwonisz z jakiegokolwiek innego. W ostateczności. I tylko w razie realnego zagrożenia.

Zrobiło mi się trochę chłodniej.

– Przewidujesz jakieś zagrożenie?

Oleszczuk milczał. Monotonny wizg powietrza zaczynał mnie już nużyć.

– Przewidujesz? – zapytałem znów.

– Wspominałem ci na początku, że istnieje pewne ryzyko i zgodziłeś się

na nie. Zabezpieczamy się na każdą ewentualność, to normalna praktyka. Uważam, że to ryzyko jest niewielkie, ale jest, więc należy przedsięwziąć środki, które mogą mu zapobiec, albo je zmniejszyć, rozumiesz?

– Rozumiem. Ale wiesz, że jeśli coś by mi się stało w jakichś dziwnych okolicznościach, nie dostałbym nic z ubezpieczenia? Zdajesz sobie sprawę, że zostanę z niczym, jakby co?

– Mędrzec nie martwi się tym, co może się stać, tylko najwyżej tym, co już się stało.

– Mędrzec przewiduje, co się może stać, Arek. Ciekawe, czy tym chłopakom, co wrócili z Iraku czy Afganistanu bez nóg czy rąk, też mówili przed wyjazdem, że jakby co, wszystko będzie w porządku i ci z góry wszystkim się zajmą... Jak myślisz?

– Nie wiem, co im mówili. Nie wiem, czy dali im kasę w wystarczającej na ich potrzeby wysokości. Wiem tylko, że na pewno dali im ordery. Dobra, podaję ci ten numer telefonu...

\* \* \*

Do Wenecji dotarliśmy niedługo potem. Zatrzymaliśmy się w jakimś tanim hostelu w dzielnicy Mestre, na tyłach dworca kolejowego. Byłem już chyba za stary na takie warunki mieszkaniowe, nawet w podłym akademiku pokoje wyglądają lepiej, ale Oleszczukowi to chyba nie przeszkadzało. Zainstalował się na małym stoliku między naszymi łózkami: umieścił na nim swój laptop, dysk zewnętrzny, jakieś dziwne urządzenie peryferyjne i komórkę.

Patrzyłem, jak podłącza telefon do laptopa. Stanowisko łączności. Zwykle robił to, kiedy ja już spałem.

– Nasze okno na świat. – Uśmiechnął się zgryźliwie, wskazując sprzęt ledwie mieszczący się na blaciku. – Nawet nie chcę sobie wyobrazić, jak nasza akcja wyglądałaby bez tych rzeczy. A przecież pamiętam czasy, kiedy nie mieliśmy nawet komórek... Nosiło się ze sobą karty telefoniczne.

– Znowu mały czat z Łodygowskim? – zapytałem.

– Tak. Porób coś sobie, sprawdzę tylko wiadomości.

– Co mam porobić? Pójść na miasto?

– Nie, na miasto nie. Do baru na wszelki wypadek też nie...

– Tu nie ma baru. Tu nie ma nic. Nawet papieru w toalecie.

– Dobra, Adrian, daj mi tylko kilka minut. Włącz sobie telewizor.

Włączyłem. Było tylko kilka stacji włoskich i jakieś arabskie. Miałem nadzieję, że złapię coś po francusku albo angielsku, ale nadzieja ta umarła dość szybko. Zostawiłem RAI, bo to i tak było lepsze niż widok z okna na ciasne podwórko studnię zastawione przepelnionymi kubłami na śmieci, wśród których buszowały wychudzone koty.

– Okej. – Kilkanaście minut później Oleszczuk odwrócił się do mnie na krześle. – Już. Wyłącz telewizor, dobrze? Chcę ci coś powiedzieć.

Zrobiłem, o co prosił.

– Słucham – powiedziałem, kładąc pilota obok siebie na łóżku.

– Łodygowski rozmawiał z kimś o Karaimowie. Z kimś, kto znał go w dawnych czasach; rozmawiamy o latach dziewięćdziesiątych. Pamiętasz, mówiłem ci, że w czasie pierwszych lat jego służby zaszło coś, co spowodowało, że usiadł za biurkiem. Karaimow był członkiem zespołu, który zabezpieczał pewną akcję przeprowadzaną przez polski wywiad w dziewięćdziesiątym trzecim. Latem dziewięćdziesiątego drugiego podjęto próbę zwerbowania pracownika już wtedy rosyjskiej ambasady w Madrycie, który był zakamuflowanym funkcjonariuszem wywiadu wojskowego. Tak naprawdę sam się zgłosił. Major GRU, Aleksiej Iwanowicz Gołybin. Zachowywał się trochę jak rozkapryszona dziewczica; chciałbym, ale boję się. Pamiętaj, jaki to był czas: transformacja ustrojowa, rozpad Związku Radzieckiego, wszyscy tam kombinowali, ile wlezie, zaczęli robić swoje własne interesy, wielu odeszło z wojska i wykorzystując stare znajomości, kręciło swoje lody. Gołybin spiknął się z polskim agentem z naszej ambasady w Madrycie. Poznali się na jakimś raucie. Obaj wywączali się nawzajem, zresztą ponoć Gołybin nawet za bardzo się z tym nie krył. To on zaproponował interes. Chciał dla nas pracować. Nasi chwycili przynętę, to była gruba ryba, chcieliśmy się pokazać przed nowymi sojusznikami, wiesz, jak było. I ten Gołybin, który w drugiej połowie lat osiemdziesiątych rezydował w Polsce, podczas któregoś spotkania z oficerem naszego wywiadu wypalił, że zna tożsamość współpracownika wywiadu Rosji, polskiego polityka pełniącego obecnie ważną funkcję w rządzie. To była bomba. Góra w UOP-ie była zachwycona. Mieli już na koncie sukcesy: operację „Samum” czy wykrycie afery Art-B, ale chcieli więcej i czemu tu się w sumie dziwić? Gołybin twierdził, że to polityk

Kongresu Demokratyczno-Liberalnego, ale dalsze informacje uzależniał od warunków współpracy. Chciał mnóstwo pieniędzy. Sprawa była oczywiście ściśle tajna, nowe kierownictwo UOP-u było dość ostrożne, pamiętaj, co się wtedy działo w polskiej polityce: noc teczek, dziwne ustalenia dotyczące nowych stosunków polsko-rosyjskich, konflikt prezydent–premier, premier–prezes i tak dalej... Nie było się pewnym dnia i godziny. Ale podjęto decyzję, że skoro ryba chwyciła przynętę, to użyjemy podrywki. Gołybin miał zostać przejęty przez oficera prowadzącego. Zgodził się, więc zaaranżowano spotkanie na neutralnym gruncie, w wyniku czego na urlop zamiast do Moskwy pojechał do Algarve. To w Portugalii...

Poczułem, jak przechodzi mnie zimny dreszcz.

– Czy... Czy mój ojciec miał z tym coś wspólnego? – zapytałem, czując suchość w gardle.

– Tak.

– Co?

Oleszczuk oblizał usta i wiedziałem już, co to było.

– To on miał być tym oficerem prowadzącym Gołybina, prawda? – Pytanie ledwo przecisnęło mi się przez usta.

– Tak.

– Ale nie zdążył? Zmarł w samolocie, zanim dolecieli na miejsce?

– Nie. – Oleszczuk pogładził się po łysinie, zauważyłem, że robi tak nieświadomie, kiedy jest zakłopotany. – Nie zmarł w samolocie. Zmarł na lotnisku, po wylądowaniu.

– Mówiono nam co innego.

– Wiem.

– Powiedzieli nam, że zmarł w samolocie, ale że to było tuż przed wylądowaniem w Lizbonie, więc nie zawrócili ani nie mieli międzylądowania. Że na lotnisku lekarz stwierdził zgon. – Mówiłem szybko, trajkotałem, jakbym bał się, że Oleszczuk przerwie mi, ale tylko po to, żeby oznajmić mi coś strasznego; coś, na co nie byłem gotowy. – Miał zawał. Ktoś na pokładzie próbował go reanimować, ale to nic nie dało.

– Adrian. – Podniósł rękę i zamilkłem, sam zaskoczony swoją tyradą. – Niczego więcej o okolicznościach jego śmierci nie wiem. Tylko to, że miał rozmawiać z Gołybinem o warunkach współpracy. Mieli spotkać się w hotelu gdzieś w Algarve i rozmawiać. Do spotkania nie doszło z powodu

śmierci kapitana Wichy. Co się działo potem w tej sprawie, w sprawie zwerbowania Gołybina, nie mam pojęcia. Wiem jedynie, że w końcu go nie zwerbowano, a on wkrótce zniknął z pola widzenia. Najprawdopodobniej skończył karierę.

– Co tam robił Karaimow?

– Był w ekipie zabezpieczenia. To normalna praktyka. Z oficerem jedzie dwóch innych, oczywiście udają, że się nie znają, ale stanowią wsparcie. Karaimow był jednym z nich. I właśnie po tej akcji poszedł za biurko. Tyle wiem.

Milczałem. Milion myśli kłębiło mi się w głowie. I coś mi w tej historii nie grało.

– Powiedz mi jedno, Arek. Skoro fiasko akcji nie było winą Karaimowa, to czemu poszedł w odставку?

– Nie mam pojęcia.

– Ale przyznasz sam, że coś tu jest nie tak?

– Trudno powiedzieć. Pamiętaj, jakie nadzieje wiązano z Gołybinem. Miał dać informację o ruskim szpiegu zainstalowanym w polskim rządzie. To by było coś: schwytać go w świetle jupiterów, utrzyć nosa Ruskim i pokazać paktowi NATO, że nie z nami takie numery i możemy być godni zaufania, bo jesteśmy czujni. Rozczarowanie musiało być ogromne.

– Rozczarowanie, mówisz. – Pokiwałem głową. – Skłamacz nam, Arek. Mówię o okolicznościach śmierci. Po co? Po co to zrobili?

– Względy bezpieczeństwa.

– Gówna, a nie względy bezpieczeństwa. Jakże to ma znaczenie, czy zmarł w samolocie, czy na lotnisku po wylądowaniu? Żadnego, a jednak skłamacz. Nie pojmuję tego.

– Zostaw to na razie, Adrian. Skupmy się na tym, co teraz, dobra?

– Nie pozwolili otworzyć trumny. Nie pozwolili nam się z nim pożegnać...

– Posłuchaj... Przepraszam, ale będę brutalny. Było lato, od jego śmierci do momentu sprowadzenia ciała do Polski minęło pewnie sporo czasu, poza tym względy sanitarne przy transporcie transgranicznym...

– Kamil nie wierzył im od początku, wiesz? – powiedziałem cicho, wpatrzony gdzieś przed siebie. – Ja tłumaczyłem sobie te nieścisłości w relacjach tym, że wszyscy byli przejęci. Ale Kamil twierdził, że to wynikało z prób ukrycia prawdy. Że źle ustalili szczegóły, którymi mogli

czy chcieli się z nami podzielić. I to wyszło. Ja wierzyłem we wszystko, co mi mówili. Bez zastrzeżeń. A on przesadzał w drugą stronę: nie wierzył w ani jedno ich słowo. A przecież ile nam powiedzieli, skoro byliśmy tylko dziećmi? Tyle co nic. Matce pewnie więcej, ale nigdy nawet nie zająknęła się na ten temat, aż do śmierci w dwa tysiące drugim. Wiesz, że Kamil nie przyjechał nawet na jej pogrzeb? Wiem, że chciał dotrzeć do pasażerów tego lotu. Jeszcze wtedy, w dziewięćdziesiątym trzecim. Chciał zapytać kogoś, kto leciał tym samolotem razem z ojcem, co się naprawdę stało. Próbował nawet dzwonić do przewoźnika, ale nikt nie traktował poważnie kilkunastoletniego dzieciaka. Nawet nasza matka, rozumiesz?

– Rozumiem...

Nie sądzę, żeby rozumiał, tak naprawdę rozumiał, ale widać było, że się stara. Westchnąłem.

– Wiesz, kiedy Kamil zadzwonił do mnie, tam w Lidlu, powiedział mi coś jeszcze...

– Znów masz dla mnie jakąś niespodziankę, Adrian? – Usta Oleszczuka się zacisnęły.

– Nie, spokojnie, to nie ma znaczenia dla naszej sprawy. – Pokręciłem głową. – Powiedział mi, że człowiek, którego pochowano w naszym rodzinnym grobie, to nie był nasz ojciec.

– Tylko kto?

– Nie mam pojęcia. Kamil też nie.

– A skąd on może to w ogóle wiedzieć?

– Też go o to zapytałem. Stwierdził, że nie ma czasu na tłumaczenie, ale sprawdził.

Oleszczuk milczał.

– Kim jest ta osoba? – zapytałem, przerywając ciszę. – Kim jest informator twojego szefa?

– To były pracownik Agencji. Nie wiem dokładnie kto, bo Łodygowski nie mógł albo nie chciał mi tego powiedzieć.

– A pytałeś?

– To chyba naturalne. – Nie patrzył na mnie.

Nie naciskałem go więcej, to i tak nie miało teraz znaczenia.

– Czy to coś zmienia? – zapytał. – To, że Karaimow znał się z twoim ojcem? Nie wiem, jak dobrze się znali, może tylko przelotnie, ale to chyba



nie ma teraz znaczenia, co? To działo się prawie trzydzieści lat temu.

Milczałem. Sam nie wiedziałem, czy to coś zmienia. Chodziło bardziej o to, że znów wróciłem wspomnieniami do tamtych chwil, kiedy całą trójką próbowaliśmy się pozbierać po tym, jak dotarła do nas lakoniczna informacja o śmierci ojca. Wszystko, co zdarzyło się w ciągu następnych dni i tygodni, było pasmem udręki. Nikt z dorosłych nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo takie rzeczy wpływają na dzieci, mimo że one przeważnie mają problem z wyrażeniem emocji. W końcu są tylko dziećmi, ich układ nerwowy jest jeszcze niedojrzały, a reakcje niespójne i nieodpowiednie, co nie oznacza, że ich nie ma. Wszyscy żywili przekonanie, że trzymanie na dystans będzie dla nas lepsze. Nikt nie pozwolił nam przepracować tego ze specjalistą. Nawet matka nie chciała o tym rozmawiać. Tak, o TYM. Nie nazywała tego śmiercią, odejściem, zgonem, pójściem do nieba czy powiększeniem grona aniołów. Nazywała to TYM zdarzeniem. Nie pomagali koledzy ojca. Nawet jeśli wiedzieli, co się naprawdę stało, nic nie mówili. Nie chcieli albo nie mogli. Pogrzeb odbył się z honorami, z salwą kompanii honorowej i orderami leżącymi na wieku trumny, tylko że nie pozwolono nam podnieść tego wieku chociaż na chwilę, tam w kaplicy, żeby pogłaskać tatę po rękę.

Zobaczyć go po raz ostatni.

Kolega z pracy taty powiedział nam tuż przed pogrzebem, że dzieci nie powinny oglądać śmierci. Kamil zapytał go wtedy, czy będąc w takiej sytuacji, nie chciałby jednak pożegnać jakoś własnego ojca, chociaż w taki sposób. Ten człowiek oderwał wzrok od trumny z ciałem taty, przeniósł go na nas i spoglądając to na jednego, to na drugiego, odparł, że nigdy nie poznał swojego ojca, bo zabili go hitlerowcy. Pamiętam, że zamknął tym Kamilowi usta, przynajmniej na czas pogrzebu. A potem zniknął; dziś nawet nie wiem, kim był.

Znów wróciłem myślami z cmentarza do obskurnego pokoju w weneckim hostelu. Zorientowałem się, że Oleszczuk skończył już temat ojca.

– Myślę, że pojedziemy do biura VSC pogadać o konferencji – powiedział.  
– Folgaria nie była jakimś krokiem milowym, chociaż nie możemy niczego wykluczyć.

– Na liście gości z tamtego okresu nie było nikogo o chińskim nazwisku – zauważyłem. – Tak mówiłeś.

– To jeszcze niczego nie przesądza. Mogli spotkać się gdzieś w miasteczku. Albo na stoku. Niewinna szklaneczka bombardino w barze pod wyciągiem i krótka rozmowa...

– Czyli nie mamy nic, jeśli chodzi o Folgarię?

– Nie do końca.

– Bo?

– Skoro byłem wtedy z Widackim przez cały czas...

– To musiał być Karaimow.

– Nie na sto procent, ale w tym wypadku Widacki po prostu odpada.

– Zauważyłeś, że cały czas wybieramy między Karaimowem a Widackim?

A co z Dębskim?

– A właśnie, Dębski... Mam o nim trochę informacji. Jak dla każdego z ludzi dopuszczonych do tajemnic państwowych przeprowadzono rozszerzone postępowanie sprawdzające konieczne do uzyskania poświadczenia bezpieczeństwa. Tam jest niemal wszystko, a resztę można sobie dopowiedzieć. I właściwie nie chodzi tu nawet o pułkownika Dębskiego, lecz o jego syna. Jacek Dębski jest inżynierem, był kiedyś pracownikiem pewnej firmy consultingowej. Ta firma na zlecenie dużej spółki developerskiej sprawdzała możliwość lokalizacji sporej inwestycji w gminie Chyry na Mazurach. To miał być hotel, marina i cuda wianki nad jednym z jezior. Firma Chalveston Developer była tam traktowana jak zbawca, remedium na bezrobocie i nadzieja na świetlaną przyszłość. Działka była w obszarze ochrony specjalnej Natura 2000, wiesz: ptaki, żaby i te sprawy, więc mieli ciężkie przeboje z paroma nawiedzonymi ekologami, w dodatku plan miejscowy ograniczał takie rzeczy. Po kilku latach uzyskali wreszcie decyzję środowiskową i pozwolenie na budowę, a młody Dębski został prezesem spółki córki tego developera, powołanej na okres realizacji pierwszego etapu inwestycji. Ptaszki śpiewają, że to była nagroda za nieocenioną pomoc, jaką Dębski ofiarował na etapie postępowania administracyjnego. Mówię o ojcu Dębskim, rozumiesz? To on pomagał. Lobbował, znaczy.

– Jeśli sądziłeś, że mną wstrząsnąłeś, to jesteś w błędzie. Takie rzeczy dzieją się wszędzie i przez cały czas.

– Zgadza się, ale spółka Chalveston to firma z chińskim kapitałem. Wyłącznie chińskim. Sporo inwestują w Polsce, zbudowali kilka dużych

rzeczy jako wykonawcy, a teraz zamarzyła im się inwestycja, na której mogą zarabiać. Poza tym Dębski jest skonfliktowany z Karaimowem. To akurat jest tajemnica poliszynela. Nie wiadomo tylko, dlaczego minister go jeszcze nie zdjął ze stołka, skoro ma taką mocną pozycję. Widzisz, stanowisk ministra koordynatora służb specjalnych ma bardzo skomplikowaną pozycję prawno-ustrojową, pewnie jako prawnik zdajesz sobie z tego sprawę. I to zarówno w odniesieniu do samych służb, jak i w ramach struktury Rady Ministrów. Trzeba mieć naprawdę mocną pozycję, żeby utrzymać to wszystko w ryzach, mam też na myśli na przykład konflikty z ministrem obrony narodowej na styku służb wojskowych. I Karaimow tę pozycję ma. Mówią o nim „Pancerne Piotruś”. Mógłby spokojnie zarekomendować odwołanie Dębskiego na posiedzeniu kolegium, a nawet załatwić to zakulisowo, ale z jakichś powodów tego nie robi.

– Ciekawe z jakich?

– A jak myślisz?

– Hak. Zawsze chodzi o jakiś hak. Widać na jego pancerzu jest jakaś niewidoczna, ale groźna rysa, o której wie tylko on.

– Też tak sędzę. Ale ten temat będziemy wałkować później. – Zerknął na zegarek. – Jest trzynasta, mam nadzieję, że zdążymy załatwić to VSC jeszcze dziś. A potem pójdziemy coś zjeść na mieście.

## 17. Włochy, Wenecja – Mestre, 31 października, wczesne popołudnie

Folder Venice Security Conference, który Kamil zostawił dla nas w recepcji hotelu Adler, wyjaśniał sporo, jeśli chodzi o charakter tego dorocznego spotkania, odbywającego się za każdym razem w innym miejscu Europy. W tym roku odbyło się właśnie w mieście miłości, a podmiotem odpowiadającym za jego organizację była rzymska firma eventowa, która miała również swój oddział w Wenecji. I tam właśnie poszliśmy.

Renzo e Ragazzi mieściła się w biurowcu w tej samej dzielnicy, Mestre, przy jednej z jej głównych ulic, co zdecydowanie zaoszczędziło nam nieco czasu. Wenecja w tej części wyglądała jak każde inne miasto: pełna samochodów, jednośladow w każdej odmianie i autobusów, hałaśliwa i tłoczna. Było dość ciepło i przyjemnie, a ja czułem lekki dreszczyk emocji. W normalnych okolicznościach siedziałbym teraz w pracy, w urzędzie, studiował umowy, poprawiał aneksy i gapił się w monitor, zastanawiając się, co zrobię sobie na obiad, albo co porabia Laura i dlaczego do tego dopuściłem.

Ale to nie były normalne okoliczności.

– Nie wierzę, wiesz? – powiedziałem nagle do Oleszczuka. – Wciąż nie mogę w to uwierzyć...

– W co?

– W to wszystko. – Zatoczyłem ręką szeroki krąg. – Że tu jestem. Że nie mnie w Szczecinie. Że nikt nie wie, gdzie w ogóle jestem. Totalnie odcięty od poprzedniego życia. Jeszcze jakiś czas temu miałem wam to za złe. Teraz sam już nie wiem...

– Nie traktuj tego jak wycieczki. Odcięcie od dawnego życia ma zapobiec ujawnieniu tajemnicy. Nie mieliśmy wyjścia. Co byś powiedział, gdyby znajomi zapytali cię, dlaczego nagle wyjeżdżasz? Co z rodziną?

– Nie mam rodziny. Znajomych też niewielu.

– W pracy masz ze dwustu.

Wzruszyłem ramionami.

– Pozwoliłeś mi spotkać się z żoną. Skąd miałeś pewność, że nie będę z nią rozmawiał o tym, co mi się przydarzyło?

– Przecież mi obiecałeś.

Prychnąłem.

– Błagam cię...

– No, więc dobrze, jeśli chcesz wiedzieć, to byłeś wtedy pod dyskretnym nadzorem.

Przystanąłem.

– Jak to możliwe? Wpadliśmy do Szczecina jak po ogień, miejsce spotkania z żoną ustaliłem przez telefon tuż przed... – Przerwałem. – Kurwa... Jesteście niebezpieczni.

Oleszczuk zatrzymał się dwa kroki dalej, teraz stał i milczał, nie patrząc na mnie, ale byłem pewien, że zaraz wybuchnie śmiechem. Mnie nie było do śmiechu.

– A co z samą rozmową? – zapytałem. – Też nie było czasu na zorganizowanie czegoś. Twierdziłeś, że wszystko jest w największej tajemnicy. Czyli facet z labradorem koło huśtawki też nie był tam przypadkiem? Czy to ta biegaczka w stroju do joggingu, która wpieprzała tartę waniliową, jakby tylko po to biegła, żeby móc ją bezkarnie zjeść?

Oleszczuk spojrzał na mnie tym razem.

– Brawo – powiedział z uznaniem, odwrócił się i ruszył przed siebie.

– To które z nich? – Zrobiłem to samo, doganiając go po chwili.

– Facet z psem. Nazywa się Biskopt. Pies, oczywiście. Tak się nawet składa, że mieszka niedaleko tej kafejki. Ten facet, razem z psem.

Pokiwałem głową.

– I tajemnica poszła się jebać – stwierdziłem smętnie. – A wyrzygujesz mi niewinne sam na sam w hotelu, kiedy nawet jednym słowem nie zająknąłem się, po co tam jestem.

– To nie do końca tak samo. Tamten człowiek miał kiedyś małe kłopoty. Nie mogę ci powiedzieć, na czym polegały i jak się w to wpakował, ale twierdził, że jest niewinny. I był.

– Jaki to ma związek?

– Byłem jedyny, który w przeciwieństwie do jego przełożonych od razu nie

założył, że JEST winny. Wiesz, co dzieje się z policjantami, którzy zostają oskarżeni o wzięcie łapówki, współpracę z gangusami i tak dalej? Nawet, a może właśnie przede wszystkim, jeśli to przestępcy rzucają te oskarżenia? Odsuwa się ich od roboty i przez cały czas do wyjaśnienia dostają gołą pensję bez dodatków, a to wyłącznie dzięki tym dodatkom mogą przeżyć do pierwszego. Plus jeszcze inne szykany. U nas jest trochę podobnie. Okazało się, że ten chłopak faktycznie jest niewinny, to zaistniał po prostu dziwny zbieg okoliczności, który stawiał go w niezbyt dobrym świetle. Skróciłem mu czas odstawki do niezbędnego minimum, przykładając się do swojej roboty i rzetelnie wszystko wyjaśniając. I wtedy, w Szczecinie, poprosiłem go o małą przysługę.

– Czyli to była spłata długu wdzięczności?

– Nieee, to nie tak. Przy okazji postępowania dość dobrze go poznałem i uznałem, że mogę mu zaufać. Oczywiście nie miał pojęcia o „Boeingu” i całej reszcie. Miał tylko słuchać, o czym rozmawiacie, z pomocą wspomagania, rzecz jasna, i przekazać mi szczegóły. Tak więc nic nie poszło się jebać, spokojnie.

– Nagrywał?

– To wszystko było nieoficjalne. Pomagał mi prywatnie. Nagranie skasowałem, po co miałbym je trzymać?

– Czuję się teraz nagi – poskarżyłem się, i to niewłaściwej osobie: właśnie tej, która odarła mnie nawet z figowego listka.

– Nie przejmuj się. – Oleszczuk machnął ręką. – Wiem takie rzeczy o ludziach, że nie masz pojęcia.

– Mam w dupie innych ludzi i to, co o nich wiesz. Kim ty jesteś, żeby wiedzieć takie rzeczy o mnie? To były moje prywatne i bardzo intymne sprawy. Są pewne granice, Arek. I ktoś tu je przekroczył. Ty je przekroczyłeś...

– Rozmawialiśmy już kilka razy o przekraczaniu granic i o powodach, dla których to robię. Nie wracajmy do tego, dobrze? Bardzo cię przepraszam, ale musiałem. Takie są zasady. To chyba ten budynek – uciał i wskazał jakieś gmaszysko przed nami.

Umilkłem, bo kontynuowanie tematu nie miało sensu. Spojrzałem na budynek, który pokazał Oleszczuk. Był kompletnie pozbawiony stylu. Jak dla mnie mógł być zarówno biurowcem, jak i wielopoziomowym

parkingiem. Technokratyczny styl zlewających się z niebem pokrytych taflami szkła prostopadłościanów, który pamiętałem z luksemburskiego Kirchbergu, tu zastąpiono nieco chaotyczną zbitką wielu rodzajów materiałów, głównie jednak betonu. Widać Włosi inaczej pojmują architekturę, choć przez wieki to oni tworzyli całe style i najwybitniejsze jej dzieła. Gmach, przed którym się znaleźliśmy, dziełem zdecydowanie nie był.

Kiedy wchodziliśmy do budynku, Oleszczuk wskazał na palmy rosnące szpalerem wzdłuż jednej z pierzei placu. Ich długie cienie kładły się na ulicę i smagały przejeżdżające samochody.

– Uwielbiam palmy, wiesz? – powiedział, a w jego głosie było coś miękkiego, jakby mówił o czymś żywym: Laura mówiła tak o kotach. – Nigdy wcześniej nie widziałem ich na żywo. To taka abstrakcja po prawie pięćdziesięciu latach oglądania zwykłych sosen, buków czy dębów. Niesamowite i piękne... – Pokręcił głową.

– Nie znałem cię z tej lirycznej strony. – Roześmiałem się.

– Jeszcze wielu rzeczy o mnie nie wiesz – odparł zagadkowo i wskazał tablicę przy drzwiach. – Siódme piętro.

Wjechaliśmy na górę windą. Lustra, którymi wyłożono kabinę, powieliły nasze postacie w nieskończoność; wrażenie nie było zbyt miłe, toteż z windy wyszliśmy z wyraźną przyjemnością.

Agencja nie była niczym specjalnym, po prostu biurem podzielonym na mniejsze przestrzenie szklanymi ścianami, za którymi widać było jej pracowników, przeważnie młodych ludzi ślęczących nad klawiaturami. Wielkie logo *Renzo e ragazzi* wisiało nad jeszcze większym ploterem, a ładna brunetka za kontuarem czegoś w rodzaju recepcji stanowiła wdzięczne dopełnienie całości. Po krótkiej rozmowie i telefonie wyszedł do nas sam szef. Miał na imię Pietro, jakieś trzydzieści pięć lat, szpakowate włosy, obrączkę na palcu, a po tym, jak spojrzał na recepcjonistkę, a ona na niego, widać było, że oprócz żony ma także kochankę.

– Dzień dobry, mówi pan po angielsku? – zapytał Oleszczuk.

– Oczywiście!

Nie było to znowu takie oczywiste, niemniej znacznie ułatwiało sprawę. Po krótkim wstępie Pietro zaprosił nas do swojej szklanej pułapki i usadził na niskiej, białej kanapie. Sam usiadł za szklanym biurkiem. Gdyby to było

możliwe, obrotowe krzesło, na którym siedział, też pewnie byłoby ze szkła.

Oleszczuk odchrząknął i zaczął:

– Przyjechaliśmy z Polski. Przebywamy w Wenecji czasowo, niejako przejazdem. Ja i kolega jesteśmy wspólnikami, jakiś czas temu przeszliśmy na emeryturę i postanowiliśmy założyć z jeszcze jednym naszym kolegą agencję doradczą-detektywistyczną...

– Na emeryturę? Nie za wcześnie? – Włoch uniósł gęste brwi i pokazał bieluteńkie zęby w lekko zdziwionym uśmiechu.

Oleszczuk też się uśmiechnął, porozumiewawczo, jak mi się zdawało.

– W pewnych zawodach emerytura przysługuje dużo wcześniej, rozumie pan, o czym mówię?

– Ach! – Brwi Pietra zjechały tuż nad oczy. – Naturalnie! Już o nic nie pytam! Słucham panów?

– Ten nasz kolega, wspólnik, uczestniczył kilka lat temu w jednej z edycji konferencji bezpieczeństwa, konkretnie w Berlinie. W tym roku organizowaliście ją wy...

Pietro zamachał rękami. Ziszczony stereotyp Włocha niemal pod każdym względem, nie tylko kochanki.

– Zgadza się, myślę, że wypadliśmy świetnie i wszyscy byli zadowoleni! A o co wam chodzi?

– Planujemy zorganizować coś takiego u siebie. Oczywiście nie na taką skalę, nawet nie mamy co próbować, ale chcemy zrobić takie spotkanie na kilkadziesiąt osób: doradcy bezpieczeństwa, byli pracownicy służb, paru polityków z naszego podwórka, wie pan, nic wielkiego, ale chcielibyśmy wypaść prestiżowo. Dlatego pomyśleliśmy, że skorzystamy z dobrych wzorców...

– Och! – Pietro pokraśniał z zachwytu, a ja zacząłem się obawiać, że Oleszczuk w końcu przegnie pałę i Włoch się zorientuje, że ktoś tu bierze go pod włos. – Bardzo bogaty materiał z tego wydarzenia jest na naszej stronie rer.it, w zakładce VSC2018...

– Tak, ale czy nie macie jakichś, ja wiem, nieformalnych materiałów, które pozwoliłyby nam zorientować się w atmosferze spotkania? Były tam zapewne jakieś eventy niezbyt ściśle związane z zagadnieniami bezpieczeństwa? Obiady, atrakcje?

– Naturalnie, to właśnie było nasze główne zadanie! Zapewnienie tych



atrakcji, jak pan to nazwał. Czyli dobra zabawa, dobre jedzenie i dobre wspomnienia. To były tylko trzy dni, a przy tak napiętym harmonogramie spotkań i paneli dyskusyjnych trudno było zorganizować coś sensownego. Logistyka i tak dalej, wie pan, oni wszyscy rozrzućeni byli po hotelach niemal w całym mieście...

– Macie jakieś zdjęcia? – Oleszczuk zdecydował się przerwać potok słów i przejść do sedna.

– Jasne!

– A może je pan nam udostępnić?

Brwi Pietra wędrowały teraz niezależnie od siebie.

– Żaden problem – powiedział, a ja poczułem, jak kamień spada mi z serca. – Wszyscy uczestnicy podpisywali zgodę na publikację wizerunku w związku z konferencją, te zdjęcia są przebrane, więc nie ma co liczyć na tanią sensację, że któregoś z nich nasz fotograf przyłapał na rzyganiu do fontanny czy podszcypywaniu hostessy.

Pietro wybuchnął perlistym śmiechem, więc natychmiast z Oleszczukiem dołączyliśmy do niego. Pietro był już nasz, a my byliśmy swojakami. Pięknie.

– Zaraz zgram wam zdjęcia. Ostrzegam, jest ich prawie osiemset! Prosiłbym tylko o rozwagę w publikowaniu.

– Będą tylko do użytku wewnętrznego – zapewnił Arek.

– Tak, ale jakby co, proszę nie ingerować w obraz, mam na myśli logo naszej agencji, którym oznaczone jest każde zdjęcie. – Pietro mrugnął wesoło i pochylił się nad klawiaturą, dodając: – Niech sobie tam zostanie, w końcu reklama dźwignią handlu, no nie?

Nadgryzione jabłko z tyłu jego monitora jarzyło się zimną bielą, a ekran odbijał swą zawartość w szklach niemal niewidocznych okularów, które Włoch założył do pracy. Kilka minut później Pietro odjechał krzesłem od biurka, wyciągnął pendrive z komputera i uniósł go jak cenną zdobycz.

Niewykluczone, że tym właśnie dla nas był. Oby.

– Proszę, moi drodzy, i życzę powodzenia!

Oleszczuk zerwał się z kanapy i wziął pamięć USB od Pietra. Zauważyłem, jak mocno zaciska na niej palce.

– Wielkie, naprawdę wielkie dzięki – powiedział. – Taka uprzejmość to w dzisiejszym świecie rzadkość, naprawdę. Doceniamy państwa gest...

– Ależ nie ma sprawy! Możecie zatrzymać pendrive. – Pietro uśmiechnął się porozumiewawczo.

Zdziwiłem się, bo chyba nie liczył, że mu go odniesiemy albo zgramy zdjęcia na miejscu na sprzęt, którego nie mamy?

Pożegnaliśmy się i odprowadzani okrzykami Pietra wyszliśmy do holu. Kiedy czekaliśmy na windę, Arek mruknął.

– Osiemset zdjęć...

– Nie rozumiem, wolałbyś ich nie mieć? – zapytałem.

– Nie przejmuj się mną. – Machnął ręką. – Pewnie mam dziś chujowy dzień...

Rozległ się cichy gong i drzwi wyłożonej lustrami windy rozsunęły się zapraszająco.

\* \* \*

Następne dwie godziny były ślęczeniem przy komputerze i oglądaniem do znudzenia setek tych samych twarzy. Na kilkunastu zdjęciach pojawili się i Widacki, i Karaimow, zawsze z kimś, kogo nie znaliśmy i kogo tożsamości nie byliśmy w stanie ustalić. Co dziwne, ani razu nie wystąpili razem w jednym kadrze. I faktycznie, tak jak mówił Pietro, te zdjęcia różniły się od tych zamieszczonych na stronach internetowych zarówno wydarzenia VSC2018, jak i agencji Renzo e ragazzi. Nie była to totalna impreza, ale widać było, że uczestnicy dobrze się bawią. Mundury wojskowe i garnitury ze zdjęć ze spotkań zastąpiły mniej formalne stroje. Dotarliśmy wreszcie do trzeciego, ostatniego dnia, kiedy Pietro ze współpracownikami zorganizował żelazny punkt programu, czyli wycieczkę po weneckich kanałach. Byłoby dziwne, gdyby akurat tego zabrakło. Uwagę Oleszczuka zwróciło wspólne zdjęcie kilkunastu mężczyzn, zrobione na placu Świętego Marka. Stali w grupie uśmiechnięci, wyluzowani, pewni siebie, a wśród nich Piotr Karaimow. Wszyscy patrzyli prosto w obiektyw i nie to wzbudziło zainteresowania Arka, tylko coś innego. Coś, co działo się z boku. W kadr załapał się fragment zabudowy. Arek zrobił zbliżenie i zobaczyliśmy... Chińczyka. Postawny i wysoki, otwierał właśnie drzwi do jakiegoś lokalu. Na zdjęciu dość wyraźnie widać było jego profil. Nad drzwiami zaś dało się zauważyć fragment napisu: „ERIA” i „eppe”.

– Ty wiesz, kto to jest? – zapytał Oleszczuk.

– Zhao? – strzeliłem.

Oleszczuk w milczeniu otworzył jakiś plik i ekran wypełniła twarz Chińczyka ze zdjęcia z placu Świętego Marka. Ubrany w garnitur i uśmiechnięty od ucha do ucha ścisnął dłoń kobiety w eleganckim kostiumie, wręczając jej kwiaty. Z tyłu, na olbrzymim telebimie wiszącym za ich plecami, widniał napis: „German-Chinese Cultural Association – Behind the Great Walls Annual Meeting 2016”.

– Tak jest – mruknął Arek. – Tu masz go w pełnej krasie. Na bank ten sam gość.

– Mówiłeś, że Chińczycy nie uczestniczą w takich wydarzeniach jak europejskie konferencje bezpieczeństwa? – przypomniałem mu.

– I dalej tak twierdzą. Pan Li Zhao wcale nie musiał być uczestnikiem VSC. Ale jego obecność w miejscu, gdzie przebywają inne biorące w niej udział osoby, w tym nasi podejrzani, jest co najmniej zastanawiająca, nie sądzisz? Wiemy, że był wtedy w Wenecji, ale teraz wiemy również, że kręcił się koło naszych. Przypadek? Nie sądzę.

Pochyliłem się i spojrzałem w ekran. Sięgnąłem do myszy i zwinąłem Zhao i jego bukiet kwiatów, a potem powiększyłem zdjęcie z placu i skrolowałem je w dół i bok, aż cały ekran zajęło wejście do pizzerii. Obraz nie był zbyt wyraźny, ale sytuację ratował fakt, że zdjęcie robił profesjonalista na bardzo dobrym sprzęcie.

– On tam nie wchodzi – powiedziałem do Oleszczuka. – Znaczący wchodzi, ale najpierw kogoś przepuszcza. Widzisz jego plecy?

– Kurwa, masz rację.

Oleszczuk pochylił się, zdjął moją dłoń z myszy i jeszcze bardziej powiększył zdjęcie, aż widoczne piksele zamazały sens obrazu, zmieniając całość w nic nieznaczącą kompozycję ciemnych kwadracików. Wyprostował się, zwinął zdjęcie i kliknął w jakąś ikonkę na pulpicie. Zobaczyłem logo programu z „graph” w nazwie.

– To taki prosty, ale sprytny programik do cyfrowej obróbki zdjęć – wyjaśnił Arek. – Powiększanie, czyszczenie obrazu, wyostrzanie. Coś jak w filmach, tylko bez przesady. Nie odczytasz godziny na obrazie zegarka zapisanym w obrębie czterech pikseli, ale i tak jest bardzo pomocny.

– Widać tylko jego plecy... – zwróciłem mu uwagę.

– Nie szkodzi, może będzie również widać kolor włosów, pstrą koszulkę,

jakiś charakterystyczny łańcuszek albo bliznę. – Zaczął klikać w przyciski myszy. – Cokolwiek.

O tym nie pomyślałem.

– Jesteś również grafikiem komputerowym? – zdziwiłem się.

– Tak. Jak już pójdę pod kapelusz, to zamiast pilnować parkingów strzeżonych, najmę się w agencji reklamowej. Przynajmniej nie będę marzył po nocach w budkach ze szlabanem. – Odwrócił się do komputera. – Daj mi chwilę.

Chwila trwała kilkanaście minut, ale jak się okazało, był to czas stracony.

– Nic z tego. – Oleszczuk nie był jednak bardzo zmartwiony. – Trudno. Dalej nie wiemy, kto znika w pizzerii przed Zhao, ale jest jeszcze cień szansy. Marny, bo marny, ale jest. Widziałeś kiedyś Wenecję? Tę prawdziwą, wyspiarską?

Pokręciłem głową.

– Ja też nie. To chodź, w takim razie pooglądamy ją sobie.

\* \* \*

## **Wenecja, 31 października, późne popołudnie**

Pizzeria „Giuseppe” zajmowała lokal w kamienicy stykającej się z placem Świętego Marka jedynie narożnikiem. Nie trzeba było tęgiej głowy, żeby domyślić się, czym jest lokal widoczny na zdjęciu od Pietra, na którym zidentyfikowaliśmy Li Zhao. Resztę załatwiło Google Inc. Weszliśmy tam i poczułem, jak żołądek owija mi się wokół kręgosłupa, a jamę ustną zalewa fala śliny. Zapach pizzy wciskał się w nos niemal namacalnie, drażniąc receptory i wywołując ślinotok. Lokal był prawie pusty. Albo to nie była pora obiadowa, albo był cholernie drogi ze względu na lokalizację, nie wiedziałem tego, ale sam fakt braku klientów bardzo mnie zdziwił. Przecież pachniało cudownie.

– *Buon pomeriggio! Come va?* – Facet w białym czepku i fartuchu wyszedł do nas zza drewnianego kontuaru z uniesionymi rękami i szerokim uśmiechem na ustach.

Oleszczuk naprawdę musiał mieć chujowy dzień. Na jego twarzy nie było nawet cienia uśmiechu.

– Nie chcemy nic zjeść – powiedział na wstępie po angielsku i to zaszokowało mnie jeszcze bardziej, bo na przykład ja, owszem, chciałem, i to bardzo. – Ty jesteś Giuseppe?

Facet w bieli wyraźnie oklapł.

– *Si* – powiedział zbity z tropu, przeciągając głoskę „s”, przez co zabrzmiał dość bojowo, jak szykujący się do ataku wąż, co musiało jeszcze bardziej podgrzać nastrój Oleszczuka.

Nie znałem skali chujowości nastroju Arka, ale miałem wrażenie, że dziś jest on w jej górnych wartościach.

– Załatwimy to błyskawicznie – powiedział zimno do Giuseppe. – Pokażę ci kilka zdjęć, a ty powiesz, czy znasz ludzi, którzy na nich są.

Włoch cofnął się lekko, mierząc nas nieufnym wzrokiem. Nic dziwnego, też bym się pewnie tak zachowywał na jego miejscu.

– Nie chcę problemów – odparł po angielsku, z jeszcze gorszym akcentem niż Oleszczuk.

– To tylko parę zdjęć. Powiesz, czy widziałeś w swojej pizzerii ludzi, których ci pokażę, i sobie pójdziemy.

– Powtarzam, nie chcę problemów. – Giuseppe podniósł ręce, jakby zasłaniał się przed niesionym wiatrem pyłem i zaczął cofać się za kontuar.

Oleszczuk wskazał podbródkiem drzwi do kuchni.

– Twoi pracownicy są tu legalnie? Zwłaszcza ci czarni? Szynka, która nazywacie w menu parmeńską, na pewno pochodzi z Parmy? Za czysto też tu nie masz. Nie jesteśmy stąd, ale urząd odpowiedzialny za koncesje i pozwolenia na prowadzenie restauracji na pewno znajdziemy. Więc jak? Kilka zdjęć i sobie idziemy. I nigdy nie wracamy. Stoi? No przecież nie chcesz problemów, prawda, Giuseppe?

Giuseppe spojrział na nas ciężkim, nienawistnym wzrokiem, a potem powoli skinął głową. Oleszczuk podstawił mu pod nos najpierw zdjęcie Li Zhao, potem Karaimowa, następnie Dębskiego, Widackiego, a na końcu Kamila. Za każdym razem usłyszeliśmy krótkie i zdecydowane *no*.

– Na pewno?

– Na sto procent. Może ich widziałem, może nawet tu byli, głowy nie dam. Ale na pewno ich nie pamiętam i nie kojarzę. A teraz spieprzajcie stąd, tak jak obiecaliście. – Wskazał drzwi wielkim paluchem.

Bez zbędnej zwłoki wypełniliśmy dane Giuseppemu przyrzeczenie.

Trzeba wiedzieć, kiedy jest się niemile widzianym. Skręciliśmy w lewo, a nie w stronę kanału i placu Świętego Marka. Wąska uliczka miała może dwa i pół metra szerokości, a w witrynach sklepów były wyłącznie pamiątki.

– Kłamał? – zapytałem Oleszczuka, kiedy kilkadziesiąt metrów dalej wyszliśmy z niej na jakiś niewielki plac.

Słońce było już dość nisko, ale świeciło niemal dokładnie w osi przepływającego przez plac wąskiego kanału, wciskając się promieniami w szczelinę między zwartymi pierzejami wystających z wody kamienic.

– Nie sądzę, żeby kłamał.

– Miał powód, jakby co – zauważyłem. – To, co mu powiedziałaś, nie było mistrzostwem świata, jeśli chodzi o zjednywanie sobie ludzi. To tak zwana radziecka szkoła dyplomacji. Mógł kłamać z czystej złośliwości i zemsty.

Oleszczuk prychnął lekceważąco.

– Inaczej nawet by nie spojrział na te zdjęcia. A tak chociaż zerknął. I raczej nie kłamał. Stuprocentowej pewności oczywiście mieć nie mogę, ale obserwowałem jego twarz. Tylko patologiczny kłamca nie da po sobie niczego poznać i wbrew pozorom takich ludzi nie ma wielu. Pozostali, nawet jeśli lubią kłamać, to zawsze wyczytasz to z ich mowy ciała. Wystarczy tylko wiedzieć, na co zwracać uwagę.

– Ty wiesz?

– Tak. Wiem. Co tak patrzysz?

– Jakiś dziwny dzisiaj jesteś. Nie podoba mi się to.

– Trudno. Ty nigdy nie miewasz złego nastroju?

– Miewam – przyznałem.

– No właśnie, to co się czepiasz?

– Dobra, niech ci będzie. Tylko powiedz mi, po co tu przyszliśmy?

Oleszczuk przystanął i westchnął.

– Zgadza się, że szansa na znalezienie czegokolwiek w tej pizzerii była znikoma. Nie po takim czasie, i mówiłem ci to. Ale jakaś była, rozumiesz? A jeśli istnieje choć cień szansy, że uda się złapać nic, należy to zrobić. Nawet cień, Adrian, jeden procent, a wręcz jeden promil prawdopodobieństwa. Trzeba to sprawdzić. Inaczej to byłoby niedbalstwo. A to nie mój styl. Ja pracuję rzetelnie. Nie lubię sobie potem pluć w brodę, że przez zaniedbanie coś przeoczyłem. Takie błędy kosztują zbyt wiele, by

je popęlniać. I mszczą się – prędzej czy później, ale zawsze. Dobra, możemy iść coś zjeść.

– U Giuseppe pachniało całkiem nieźle.

Oleszczuk spojrział na mnie krytycznie.

– Teraz chcesz tam wracać? Giuseppe, nawet jeśli nie wywaliłby nas na zbity pysk, to na bank dodałby do pizzy coś od siebie. Za duże ryzyko.

– Po prostu jestem głodny – pożałowałem się.

– Wytrzymasz kilkanaście minut.

– Chcesz jeść dopiero w hostelu? Znów tniemy koszty? Nie ma sprawy, w takim razie ja stawiam.

– Boże, jaki ty jesteś niecierpliwy! Jak mój dzieciak, no...

– Przecież nie masz z nim kontaktu?

Oleszczuk milczał ze wzrokiem wbitym w przestrzeń.

– Arek?

– Rozmawiałem z nim wczoraj, kiedy miziałeś się do tej twojej Marianne – powiedział nagle. – Wypiłem butelkę wina, tak mnie jakoś naszło i zadzwoniłem do byłej, żeby z nim pogadać...

– I co?

– I nic – uciał.

Rozumiałem już, czemu Oleszczuk był dziś nie w sosie. Bardzo dobrze to rozumiałem, więc postanowiłem nie kontynuować wątku. I tak, jak na niego, całkiem sporo się odsłonił.

Tymczasem Arek rozejrzał się po placyku.

– Dobra, zjemy gdzieś tutaj.

Też się rozejrzałem, czując, jak żołądek trawi z głodu sam siebie. Biały, sklepiony łukowo mostek przerzucony nad wąskim kanałem okupywali ludzie wystawiający twarze ku chowającemu się już za linią dachów słońcu. Kolorowe rolety, bijąc po oczach przeważnie trzema barwami narodowymi Włoch, zachęcały, by wejść właśnie tam, gdzie wisiały, i skorzystać z ich cienia oraz gościny właścicieli. Cichy gwar odbijał się od ścian kilkusetletnich budynków, gołębie gruchały, a delikatny plusk wody omywającej nabrzeże, ściany kamienic i kadłuby łodzi dopełniał całości, stwarzając cudowną i niespieszną atmosferę spokoju i relaksu.

Chciałem choć przez chwilę się nią nasycić.

I wtedy usłyszałem wystrzał, potężny ryk *Allahu akbar!*, następnie kilka

strzałów, a potem ludzie zaczęli przeraźliwie krzyczeć.



## 18. Włochy, Wenecja, 31 października, kilka godzin wcześniej

Mariusz wysiadł z cessny kilka minut po wylądowaniu w Wenecji. Kiedy zakołowali i zatrzymali się na płycie pod jednym z budynków portu lotniczego Marco Polo, pożegnał się z pilotem, wręczając mu napiwek, i wyskoczył z samolotu. Była piękna pogoda, ciepła i słoneczna, a znad laguny powiewał przyjemny wiaterek.

Zdecydował się na taksówkę powietrzną ze względów bezpieczeństwa. Nie chciał poruszać się przez cały czas swoim samochodem, a dziś wynajęcie środka transportu nie stanowiło najmniejszego problemu. Ograniczał ryzyko do minimum, koszty w tym wypadku miały drugorzędne znaczenie. No i zaoszczędził dobre półtorej godziny.

Po załatwieniu wszystkich formalności na lotnisku wynajął w Avisie passata i tuż po wyjechaniu z parkingu zatrzymał się na chwilę, żeby jeszcze raz sprawdzić lokalizację Wichy i Oleszczuka. Wciąż byli w Wenecji.

Mariusz zareagował od razu, kiedy tylko zorientował się, dokąd jadą. Szybki skok do Bolzano, gdzie zostawił swoje audi i wynajął aerotaxi, znów zmieniawszy tożsamość. Musiał jeszcze zadzwonić do Czanga, żeby poinformować go o ruchach tamtych. Czang lubił chyba trzymać rękę na pulsie, a Mariusz nie miał z tym kłopotu. Uważał, że dobra relacja z klientem jest podstawą sukcesu i to nie dotyczyło się wyłącznie jego wyuczonego zawodu. Dopóki informowanie klienta nie stanowiło problemu ze względów bezpieczeństwa, robił to regularnie, w miarę potrzeb i chęci Czanga. Ustalili oczywiście nazewnictwo, którym mieli posługiwać się w kontaktach, a które miało sprawić, że rozmowy telefoniczne nie budziły żadnych podejrzeń. Skorzystali przy tym z nomenklatury stomatologicznej, która tak spodobała się Czangowi podczas ich pierwszego spotkania w „Alhambrze”. I tak Adrian Wicha był „jedyńką”, Oleszczuk „dwójką”, dyski z danymi „implantami”, a Kamil Wicha „kłem”.

Od wczesnego popołudnia obaj śledzeni przez Mariusa mężczyźni poruszali się w obrębie miasta. Godzinny pobyt w okolicach stacji kolejowej Mestre mógł sugerować, że tam właśnie się zatrzymali. Potem jeszcze krótszy pobyt w miejscu oddalonym od tamtego o parę kilometrów i powrót. Obecnie poruszali się na południowy wschód, w kierunku wyspowej części Wenecji. Byli na Moście Wolności, najprawdopodobniej w pociągu, bo jazda na wyspę samochodem mijala się z celem: i tak trzeba by go zostawić na parkingu tuż przy wjeździe.

Kiedy Marius zameldował się już w małym hoteliku nad kanałem, niedaleko starego fortu Maghera, stanął w oknie swojego pokoju na drugim piętrze i patrząc na zacumowane do nabrzeża łodzie, wyciągnął telefon i zadzwonił do Czanga.

– Tak, Marius?

– Jestem w Wenecji.

W telefonie zapadła cisza.

– W Wenecji? – zapytał po chwili Czang, wyraźnie zaskoczony.

– Tak – potwierdził. – Przyjechałem za nimi.

– Co robią?

– Nie mam z nimi kontaktu. Dopiero przyleciałem. Poruszają się po mieście.

– Gdzie?

– Teraz jadą na wyspę. Może chcą zwiedzać?

– Gdzie dokładnie są, Marius?

– Musiałbym to sprawdzić.

– Proszę to zrobić.

– Dobrze. Oddzwonię za jakiś czas.

– Niech pan to zrobi teraz. Proszę się nie rozłączać.

Marius odsunął telefon od ucha i wszedł w aplikację obsługującą nanopchły. Aktywował funkcję raportu, dzięki której miał w czytelnej graficznie formie podane dokładne koordynaty i czas, jaki obiekt spędzał w danym miejscu.

Znów przyłożył telefon do ucha.

– Jest pan tam? – zapytał.

– Jestem. Słucham.

– Canale Grande. Najprawdopodobniej są w tramwaju wodnym, płyną

w kierunku placu Świętego Marka.

Usłyszał, jak Czang wciąga głośno powietrze.

– Coś nie tak? – zapytał.

– Zmiana planów, Marius. – Głos Czanga obniżył się odrobinę. – Zlecam panu ekstrakcję dwójki.

Marius milczał.

– Mowa była tylko o ekstrakcji kła, i to dopiero po upewnieniu się, że implant będzie dostępny – powiedział w końcu.

– Wiem, o czym była mowa. Pamiętam. Ale sytuacja wymaga natychmiastowej reakcji. Ma pan z tym jakiś problem?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale to będzie kosztować dodatkowe sto.

– To zrozumiałe. Koszt nie gra tu roli. Wpłata od razu po usunięciu zęba.

– Co z jedyką?

– Zostaje. Ma bezpośredni związek z kłem, a proszę pamiętać, że kiel to implanty. Wzajemna relacja jedyki i kła została potwierdzona, natomiast pojawiło się spore ryzyko pozostawienia dwójki, więc należy je zniwelować, rozumie pan? Jest zbyt duże, bo dwójka znalazła się zbyt blisko źródła, o którym panu mówiłem przy pierwszym spotkaniu. A my zrobimy wszystko, żeby to źródło chronić. Ale jedyka bezwzględnie zostaje. Nie możemy pozwolić sobie aż na taką stratę. To sanacja jamy ustnej. Dla dobra sprawy, nawet jeśli wiąże się to z ryzykiem zakażenia. Nie mamy wyjścia. Proszę wykonać zabieg natychmiast, zanim skontaktują się z kimkolwiek, czy to jasne?

– Oczywiście. Jak pan sobie życzy.

– Dziękuję za wyrozumiałość.

– Nie ma sprawy, panie Czang. To w końcu mój zawód. Ja usuwam zęby, a pan za to płaci.

– Aha, Marius...

– Tak?

– Niech to wygląda przypadkowo, dobrze? Żadnych tropów prowadzących do mnie.

– To zrozumiałe.

– Radzę pamiętać, że pan również jest tropem, który prowadzi do mnie. Proszę zatem o zachowanie szczególnej ostrożności, rozumiemy się?

– Oczywiście, panie Czang.

Marius odłożył telefon na parapet i zapatrzył się na łódki.

Jego zdaniem to nie był dobry pomysł. Ale nie był to również jego interes i dlatego nie powiedział nic Czangowi. Chińczyk zdawał sobie z tego sprawę i to reakcję służb na zabójstwo ich funkcjonariusza miał na myśli, mówiąc o zakazaniu, ale koniec końców, bilans zysków i strat nie był na szczęście zmartwieniem Mariusa, tylko Czanga.

Marius zerknął na smartwatch: miał mało czasu. Martwiła go trochę tylko jedna rzecz; tym razem nie da rady zrobić tego po cichu. To wykluczone: było ich dwóch, z czego jeden po przeszkoleniu. Musiał zakładać, że „dwójka” wciąż jest sprawny fizycznie i technicznie, a skoro tak, to opcja spotkania w bezpośrednim kontakcie odpadała. Poza tym ten drugi miał pozostać żywy, co w sposób oczywisty przekładało się na ryzyko, że go zapamięta, widząc go z tak bliska. A to było niedopuszczalne. No i czas: śmierć musiała być błyskawiczna.

Z żalem spojrział na małe, leżące na łóżku etui kryjące śmiertelnie niebezpieczny przyrząd własnego pomysłu. Westchnął i sięgnął do walizki, z której wyjął termos. Był ciężki, ale nie od kawy czy herbaty. Odkręcił pokrywkę i zaczął powoli wyjmować z niego części broni. Kiedy skończył, rozebrał się do naga i wyjął z walizki specjalny komplet ubrań. Kątem oka zobaczył siebie w ogromnym lustrze, którym wyłożone były drzwi szafy. Wyprostował się i stanął przodem do niego, studiując swoje ciało od stóp do głów. Drobne stopy, dość zgrabne nogi, wygolony wzgórek łonowy z dość wydatnymi wargami sromowymi i płaski brzuch, niezbyt szerokie biodra, nieduży biust, nieco wystające kości obojczykowe i długa szyja.

A na końcu twarz: zwyczajna i dość nieokreślona. Idealna w jego profesji.

Marius urodził się hermafrodytą. W czasach gdy tak właśnie nazywano osoby interplciowe, nikt nie miał lub nie chciał mieć pojęcia, że płeć można różnicować inaczej niż tylko na podstawie pierwszo- i drugorzędowych cech płciowych. Problem załatwiano modyfikacją anatomii płci, co w praktyce sprowadzało się do usunięcia mniej rozwiniętych genitaliów i terapii hormonalnej. U Mariusa lekarze zdecydowali o usunięciu cech męskich, pozostawiając narządy żeńskie, co, jak się okazało po latach, było decyzją błędną. Marius od zawsze czuł się chłopcem, potem mężczyzną. Dzięki temu, że przez pierwsze kilkanaście lat swojego życia mieszkał w Holandii, kraju tolerancyjnym i otwartym na inność, nie odczuł tego tak,

jak odczułby, czy też jak dano by mu odczuć, w kraju jego rodziców. Formalnie zmienił płeć na męską od razu, gdy stało się to możliwe, lecz nie przeszedł operacji plastycznej korygującej cechy anatomiczne. Budowę ciała miał podobnie jak twarz dość nieokreśloną: ani biodra, ani klatka piersiowa nie wskazywały jednoznacznie na płeć. Sięgające karku blond włosy zaczesywał do tyłu, przytrzymując je przeważnie przeciwsłonecznymi okularami, a kiedy pozwalał im opaść swobodnie, przypominały trochę kobiecą fryzurę na pazia. Nie miał zarostu na pociągłej i miłej z wyglądu twarzy, jego piersi były tak niewielkie, że można je było pomylić z początkową fazą męskiej ginekomastii, a po ciasnym obandażowaniu pod koszulką przypominały mięśnie piersiowe ćwiczącego mężczyzny. Pochwa, czy też brak penisa, jakkolwiek by to u niego określić, nie przeszkadzała mu ani nie stanowiła problemu. Genitalia w zasadzie nie były mu potrzebne, ponieważ był również aseksualny. Nie prowadził życia erotycznego, bo nie odczuwał pociągu do żadnej płci ani żadnych innych stworzeń żywych czy przedmiotów martwych, a seks jako kobieta uprawiał wyłącznie wtedy, gdy miał dzięki temu coś osiągnąć. Choć żył jako mężczyzna, czuł się dobrze w obu rolach; androgyniczna osobowość i nieokreślony typ urody pozwalały mu się z powodzeniem wcielać w mężczyznę lub kobietę, w zależności od potrzeb. Wiedział, że jest inny. Nie traktował tego w kategoriach wyjątkowości i wywyższania się, po prostu zaakceptował fakt i to pomogło mu uporać się ze wszystkimi problemami będącymi skutkiem jego przypadłości. Już dawno stwierdził, że jeśli trzeba sobie z czymś poradzić; z czymś, co dotyczy własnej osoby, to trzeba to zrobić samemu, a nie liczyć na innych.

A kiedy kilkanaście lat temu odkrył w sobie ten mroczny pierwiastek, wreszcie poczuł się kompletny, ukształtowany do końca.

Mariusz od zawsze zdawał sobie sprawę, że jest psychopatą. Potrafił nazwać uczucia, przyporządkować je konkretnym sytuacjom, potrafił nawet je okazać, kiedy było to potrzebne, ale ich nie odczuwał. Doświadczył tego w pełni, kiedy zabił pierwszy raz. To było jak objawienie. Jak sięgnięcie do głębi własnego „ja” i dotknięcie jądra ciemności, które tam spoczywa. Zrozumiał wtedy wszystko. Kim jest i kim chce być. Wiedział już, jakie to daje mu możliwości.

Niemal nieograniczone.

Nie sprawiało mu przyjemności zadawanie bólu czy zabijanie. Nie żałował też swoich ofiar. Nie zastanawiał się, jaki wpływ ich śmierć będzie miała na rodzinę i bliskich, czy jakie reperkusje będzie nieść w świecie polityki, albo tym podziemnym. Wszystkie jego działania cechowała obojętność i wyrachowanie, które pozwalały mu podejmować natychmiastowe decyzje. Nie wahał się. Nie roztrząsał konsekwencji moralnych swoich czynów. Gdy sytuacja zmieniała się nagle, robił wszystko, by osiągnąć cel bądź wycofać się, w zależności od oceny, którą robił błyskawicznie, właśnie dzięki temu, że nie zastanawiał się nad niepotrzebnymi rzeczami, a skupiał wyłącznie na najważniejszym. Gdyby ktoś zlecił mu strącenie samolotu pasażerskiego, dając po temu możliwości techniczne i sownie za to płacąc, najprawdopodobniej nie zawahałby się ani chwili. Marius robił po prostu to, co mu kazano i za co mu płacono. I był w tym dobry, naprawdę dobry.

Niektórzy nazwaliby go bestią, potworem. Inni straszliwą konsekwencją ludzkiej niewiedzy i nieszczęśliwą ofiarą wynikającego z niej medycznego błędu.

On sam nazwał siebie Cieniem.

Pół godziny później Marius siedział rozparty na tylnej kanapie wynajętej łodzi. Na twarzy czuł powiew pachnącego morzem wiatru i ciepło słońca. Z tyłu dobiegał łopot targanej pędem powietrza bandery i wizg mocnego silnika. Patrzył obojętnie na panoramę wyrastającego z wody miasta; dachy, wieże i kopuły, zatarte jeszcze dzielącą ich odległością. U stóp Mariusa leżał niewielki plecak, w którym było wszystko, czego w ciągu najbliższej godziny mógł potrzebować. Łódź prowadzona pewną ręką sternika ślizgała się po turkusowej wodzie laguny, kierując się w stronę największej wyspy Wenecji.

Tam znajdował się jego cel.

## 19. Włochy, Wenecja, 31 października, późne popołudnie

Poczułem potężne uderzenie w ramię. Oleszczuk walnął mnie tak mocno, że aż przygięło mnie ku ziemi. Zdążyłem obejrzeć się i kilkadziesiąt metrów dalej spostrzegłem człowieka w ciemnych okularach. Stał z uniesioną ręką, którą zaciskał na czymś czarnym. Następne, co zapamiętałem, to mleczna zieleń przed oczami i chłód ogarniający moje ciało. Szok sprawił, że nie zarejestrowałem świadomie ani krótkiego lotu do kanału, ani momentu wpadnięcia do niego głową w dół.

Kiedy wypłynąłem na powierzchnię, zobaczyłem głowę Oleszczuka wystającą ponad wodę. Miał szeroko otwarte oczy. Z góry wciąż dochodziły paniczne krzyki ludzi.

– Nabierz głęboko powietrza i pod wodę – sapnął, więc zrobiłem to, zobaczywszy jego ramiona, a potem tyłek znikające w toni.

Ścigały nas odgłosy kolejnych strzałów: ich suche, ostre dźwięki zanikły, kiedy zanurzyłem się pod wodę, kierując w stronę porośniętego muszlami i glonami muru nabrzeża. Zrobiło się ciemniej. Gdzieś z przodu majaczył zielonkawy cień Oleszczuka, przytrzymującego się pala cumowniczego, wbitego w dno kanału. Poczułem nagle pieczenie na plecach i z tyłu lewego ramienia. Mimowolnie jęknąłem z bólu, obserwując bąbelki powietrza, które wydostały się z moich zaciśniętych ust. Czułem, jak łomocze mi serce, i zastanawiałem się, na jak długo starczy mi powietrza i co powinienem zrobić. Nie zdążyłem nabrać go zbyt wiele. Olbrzymi stres powodował szybszą pracę serca, a co za tym idzie zwiększał zużycie tlenu. Oleszczuk podpłynął do mnie i popatrzył mi w twarz. Spojrzałem w górę i rozluźniłem napięte policzki, tak żeby się wydeły. To miał być znak dla Arka, że muszę już wypłynąć, bo brakuje mi powietrza. Zamknął oczy i pokiwał głową, więc odbiłem się od dna, czując, jak na chwilę nogi grzęzną mi w mule. Arek chwycił mnie za rękaw i skierował bliżej nabrzeża. Mokre i oślizłe macki wodorostów przesunęły się po mojej twarzy, budząc odruch obrzydzenia,

ale to było nieistotne, bo czułem, że walczę o życie. Tuż pod powierzchnią Oleszczuk szarpnął mnie w dół, przez co wytraciłem pęd i dzięki temu obaj wynurzyliśmy się niemal bez plusku. Wzięłem głęboki oddech wpatrzony w Arka przyciskającego palec do ust. Zrozumiałem. Przyłgnąłem do kamienia, starając się oddychać niemal bezgłośnie, co było trudne, bo moje płuca wołały o tlen. Poza tym byłem bliski wpadnięcia w panikę i tylko te oczy Oleszczuka wpatrzone we mnie bez zmrużenia powiek trzymały mnie jakoś przy zdrowych zmysłach. Pracowałem mocno nogami, bo palce wczepione w szczeliny nabrzeża nie dawały wystarczającego oparcia i czułem, że znów idę pod wodę.

Czekaliśmy.

Czas płynął nieznośnie wolno. Było cicho jak makiem zasiał.

Arek wyciągnął ręce nad głowę, chwycił palcami krawędź kamiennego oczepu i podciągnął się na nich. Wystając do połowy z wody, wyjrzał ostrożnie ponad nabrzeże i rozejrzał się. Trwało to kilkanaście koszmarnie długich sekund. Po tym czasie opuścił się i szepnął:

– Już po wszystkim.

– To dlaczego szepcesz? – zapytałem niemal bezgłośnie, czując, że zaraz zacznę szczekać zębami.

Na jego twarzy wykwitł nieokreślony grymas. Jeszcze raz podciągnął się, tym razem mocno wyrzucając tułów do góry i kładąc się na nabrzeżu. Machnął nogą, oparł kolano o krawędź kamienia i wypełznął z wody, potem obrócił się i leżąc na skraju, podał mi rękę. Po chwili dołączyłem do niego. Leżeliśmy tak, ociekając brudną wodą i rżąc cicho, i dopiero po kilku sekundach przyszło mi do głowy, żeby rozejrzeć się dookoła.

Plac był pusty i to pewnie dlatego Oleszczuk zdecydował, że możemy już wyjść z wody. Nagle Arek zerwał się z ziemi.

– Wstawaj, spierdalamy, zanim przyjedzie policja – wyszeptał gorączkowo.

W tej samej chwili usłyszałem głośny jęk. Zaraz po nim ktoś niewyraźnie zawołał: „Pomocy”. Po polsku. Wstałem, nie zważając, że kręci mi się w głowie. Prawie upadłem, ale ustałem na szeroko rozstawionych nogach. Spojrzałem w prawo: niedaleko, na boku, leżał jakiś starszy człowiek, trzymał się za nogę i kołysał jak dziecko z chorobą sierocą. To on jęczał.

– Musimy mu pomóc. – Wskazałem go Oleszczukowi.



– Nie możemy, Adrian. – Oleszczuk złapał mnie za ramię i lekko pchnął.  
– Nas tu nie ma.

– Co ty... – wykrztusiłem, ocierając czoło ze ściekającej mi z włosów wody.

– Już. – Wzrok Oleszczuka był śmiertelnie poważny, wręcz dziki.

Przełknąłem ślinę, jeszcze raz spojrzałem w stronę rannego Polaka i posłuchałem Oleszczuka. Z szybkiego marszu przeszliśmy w bieg. Utykałem lekko, ale nie dlatego, że coś mi się stało w nogę, tylko dlatego, że jeden but został w kanale. Musiał mi spaść, kiedy wylądowałem w wodzie albo kiedy próbowałem się z niej wydostać.

Gdzieś daleko rozległ się dźwięk policyjnej syreny. Arek skręcił nagle w jakąś uliczkę, a kiedy z rozpędu pobiegłem prosto, po prostu wyciągnął rękę, chwycił mnie za mokrą kurtkę i ściągnął do siebie. Ponad półtora tygodnia, niemal bez chwili przerwy, spędzaliśmy ze sobą czas, a dopiero teraz poczułem, jaki ten człowiek jest silny. Po prostu zawinąłem się wokół własnej osi, prawie wypadając z tego jednego buta, który mi pozostał, i Arek wciągnął mnie w wąski na szerokość rozłożonych ramion zaułek, a następnie wepchnął we wnękę z drzwiami prowadzącymi do jednej z kamienic. Kanalem przemknęła łódź patrolowa na sygnale. Jękliwy dźwięk syreny obniżył się, kiedy nas minęła, ale zaraz po niej przepłynęła następna, zostawiając za sobą spieniony kilwater.

Wciąż czekaliśmy.

– To był zamach? Na nas? – zapytałem Oleszczuka.

– Nie wiem – syknął. – Widziałem tyle co ty.

– Wrzuciłeś mnie do wody! A gdybym nie umiał pływać?

– Umiesz pływać.

– Skąd...

Obejrzałem ramię. Kurtkę miałem podartą, w zasadzie prawie brakowało rękawa, a skóra wystająca spod poszarpanego materiału była cała poharatana. Krew wsiąkała w mokry materiał, barwiąc go na malinowo. Trząsałem się z zimna i emocji, a ramię i plecy piekły mnie jak diabli.

– Co miałem robić? – zapytał z wyrzutem Oleszczuk. – Ciesz się, że jest jesień i że dwadzieścia stopni. Działalem instynktownie. Ratowałem ci dupsko.

– Tak mi ratowałeś, że omal go nie straciłem... Kurwa, ale boli –

syknąłem. – Czy ja oberwałem?

– Na szczęście nie. To skaleczenia. Musiałeś otrzeć się o skorupiaki porastające nabrzeże poniżej linii wody. Są ich całe kolonie i mają ostre muszelki. Nie wygląda to źle, znaczy wygląda, ale nie jest źle. W samochodzie mam apteczkę. Musimy jakoś dotrzeć do hostelu. Wytrzymasz?

– A mam wyjście?

– Po pogotowie nie zadzwonimy, bo mogą zorientować się, że brałeś udział w tym incydencie. Przebierzemy się tylko i wyjedziemy od razu z Wenecji, a po drodze zatrzymamy się w jakimś szpitalu, może w Padwie? Powiemy, że wpadłeś w jakieś gruzy czy coś takiego...

– Jedźmy już do tego hostelu, co?

Oleszczuk narzucił mi na barki swoją mokrą kurtkę. Wyszliśmy z naszej kryjówki i pokonaliśmy kilka przecznic, nie zwracając niczyjej uwagi. Obmacałem się jeszcze dla pewności, ale wyglądało na to, że oprócz skaleczeń na plecach i ramieniu nic mi nie dolegało. I chyba też niczego nie zgubiłem. Komórki trafił pewnie szlag, ale przynajmniej nie straciłem portfela. Stanęliśmy na chwilę, kiedy trafiliśmy na kolejny plac. W jednej z dochodzących do niego uliczek prześwitywał widok placu Świętego Marka, z całym tym jego harmidrem. Wciąż słyhać było syreny łodzi policyjnych.

Zdjąłem but, który mi pozostał, i kopnąłem go z wściekłością gdzieś w bok. Gapiliśmy się obaj z Oleszczukiem, jak toczy się, a potem sunie kawałek po trotuarze i zatrzymuje pod ścianą. Spojrzeliśmy na siebie i w tym samym momencie wybuchnęliśmy śmiechem.

To było jak oczyszczenie. Zeszło ze mnie napięcie. Poczułem się znacznie lepiej, jeśli w ogóle w tych okolicznościach można mówić o czuciu się dobrze, i było tak do momentu, w którym przypomniałem sobie jęk rannego na placu.

– Zostawiliśmy tamtego człowieka – powiedziałem.

Zabrzmiało to gorzko.

– Nie mogliśmy mu pomóc.

– Skąd wiesz? Nawet tego nie sprawdziliśmy...

– Nie mogliśmy sobie pozwolić na zostanie tam ani chwili dłużej, rozumiesz?

– Nie do końca, Arek. – Westchnąłem.

– Myślisz, że to była łatwa decyzja? – zapytał zimno. – Nie była. Ale to ja ją podjąłem, nie ty. Cieszę się, że się o niego martwisz, bo to przywraca moją nadwątloną wiarę w człowieka i ogólnie ludzkość, ale to jedna z tych sytuacji, w której mogłeś gównem zrobić, Adrian. Pamiętasz zdjęcie umierającego z głodu etiopskiego dziecka i tego sępa, który siedział obok i czekał, aż ono umrze albo będzie na tyle słabe, że nie da rady się bronić? Latami wypominano temu fotografowi, że zamiast je ratować, cykał zdjęcia. Że był jak ten sęp. A on, po pierwsze, i tak nie mógł mu już pomóc, bo było za późno, a po drugie, poprzez publikację tego zdjęcia zrobił dla innych głodujących dzieci naprawdę sporo. Pokazał, co tam się dzieje, i zrobił szum, którego skutkiem była pomoc humanitarna udzielona Etiopii przez cały świat. A ci wszyscy ludzie, którzy zarzucali mu nieczułość, zrobili przecież dla tego dziecka jeszcze mniej. Nic, kurwa, nie zrobili, kompletnie nic: potrafili tylko jęczeć, jaki ten świat niesprawiedliwy i jaki ten fotograf skurwysyn. A ja mam gorzej. Zostawiłem tamtego i mogę mieć tylko nadzieję, że przeżyje. Nie zrobiłem niczego, co nie pomogło jemu, ale pomogło innym. I będę musiał z tym żyć.

Pokiwałem głową. To była prawda, choć wciąż czułem się winny.

– To był Polak, wiesz? – powiedziałem.

– Jakie to ma znaczenie?

– Racja. – Pokiwałem głową. – Racja...

Dotarliśmy do placu Świętego Marka i wsiedliśmy na pokład tramwaju wodnego. Ja byłem na bosaka. Ludzie wciąż się na nas gapili, więc obaj wpatrywaliśmy się obojętnie w fasady kamienic wyrastających po obu stronach Canale Grande. I tak z każdą kolejną falą ludzi wsiadających na następnych przystankach. Nie wiem, jak Arek, ale ja tylko z zewnątrz tak wyglądałem, czy też może raczej robiłem wszystko, żeby tak wyglądać. W środku cały się trząsałem. Czułem każde uderzenie serca i pęd krwi docierającej do najdalszych partii ciała, czułem, jak przepycha się przez ściśnięte mięśniami naczynia, uderza do głowy i pulsuje w skroniach, brzuchu i w końcówkach palców rąk i nóg. Byłem napięty do granic możliwości.

Kiedy dotarliśmy do końca naszej trasy przy dworcu kolejowym, po prostu wstaliśmy jak gdyby nigdy nic i zeszliśmy na ląd, zostawiając po

sobie na siedziskach mokre plamy. Byłem już trochę spokojniejszy, przynajmniej na tyle, żeby ustać na nogach. Problem pojawił się już na samym dworcu. Tam bilety kupuje się w automacie i kasuje jeszcze na peronie, zanim wsiądzie się do pociągu.

– Masz jakieś drobne? – Arek odwrócił się do mnie, pokazując mi zwisające w palcach dziesięć euro.

Wyglądało jak wyjęte z pralki albo raczej z kałuży.

– Nie mam.

– Na pewno? Żadnych?

– Żadnych.

Ramiona mu opadły, więc wyjąłem mu banknot w rękę. Uśmiechnąłem się pocieszająco i wszedłem do budynku dworca. Wybrałem sklepik ze szkłem z Murano, upatrując sobie dziewczynę siedzącą za szklaną ladą i rozmawiającą przez telefon. Wszystko w tym butikku było ze szkła, prócz niej. Podszedłem i pomachałem banknotem. Rzuciła do telefonu kilka słów po rosyjsku i spojrzała na mnie pytająco. Nie miałem pojęcia, że Wenecja to aż tak kosmopolityczne miasto.

– *I need change* – powiedziałem i spojrzałem na nią błagalnym wzrokiem.

Zmarszczyła wytatuowane brwi, popatrzyła na mnie dziwnie, a potem delikatnie ujęła mokry banknot w dwa palce i podała mi garść monet. Poczułem się trochę niezręcznie i głupio, ale nagle przypomniałem sobie, co robiłem w holu hotelu Adler i zaraz mi przeszło.

– *Mille grazie*. – Uśmiechnąłem się z przymusem i wyszedłem na zewnątrz budynku, kierując się w stronę biletomatu.

Arek czekał znudzony przy słupie. Kiedy się od niego odsunął, zobaczyłem, że po gładkiej stali ścieka kilka kropel wody.

W hostelu byliśmy pół godziny później, zmarznięci, głodni i zmęczeni jak cholera.

\* \* \*

W pokoju przebraliśmy się błyskawicznie. Oleszczuk oczyścił i opatrzył moje skaleczenia, dał mi panadol i ibuprofen i powiedział, że do wesela się zagoi. Pokiwałem głową, bo co innego miałem zrobić, i przyssałem się do butelki z wodą, by po chwili wypić cały litr bez odrywania jej od ust. Potem odstawiłem prawie pustą na stół, usiadłem ciężko na łóżku i poczułem, jak

znowu zaczynają mi się trząść nogi, a wypita woda pęcznieje w żołądku, niemal go rozsadzając. Rzuciłem się w stronę łazienki i ledwo zdążyłem jej dopaść. Torsje targały mną kilka minut. Kiedy skończyłem, usiadłem na posadzce, opierając się o miskę klozetową, i zacząłem się trząść już na całym ciele. Przed oczami latały mi mroczki.

– W porządku?

Zamrugalem, wyostrzyłem wzrok i zobaczyłem Oleszczuka stojącego w drzwiach i przyglądającego mi się z troską.

– Chcesz pogadać? – zapytał.

Pokręciłem głową, czując, jakby zaraz miała mi spaść z karku i potoczyć się pod umywalkę albo nogi Arka.

– Nie – wycharczałem. – Ja nie gadam, nie pamiętasz? Ja duszę wszystko w sobie. Jak będę chciał pogadać, to ci powiem, dobrze?

– Dobrze – stwierdził krótko. – Jak ci już minie, uzupełnij płyny i weź jeszcze raz lekarstwa, które przed chwilą poszły do morza. Wyjeżdżamy natychmiast.

Pięć minut później nie było już nas w hostelu. Wychodząc, zauważyłem, jak Oleszczuk rozgląda się uważnie na wszystkie strony, ale nie skomentowałem tego. Jeszcze trzęsły mi się ręce.

Zjedliśmy coś na stacji benzynowej kilkanaście kilometrów za Wenecją, gdzie znów za paliwo i zarcie Oleszczuk zapłacił wilgotnymi banknotami. Siedzieliśmy w restauracyjce przerzuconej nad autostradą na podobieństwo wiaduktu i wpatrywaliśmy się w przejeżdżające pod spodem samochody. Rzuciłem się na swoje jedzenie jak wygłodniały wilk, potem kupiliśmy jeszcze coś na zapas i wyruszyliśmy dalej.

Obaj mieliśmy serdecznie dość Włoch.

Tuż po tym, jak wyjechaliśmy ze stacji, zagadnąłem Oleszczuka:

– To teraz możemy porozmawiać o tym, co się stało.

– Proszę bardzo. – Kiwnął głową.

– Okej. To co tam się stało?

Ujechaliśmy jeszcze kilometr, zanim Oleszczuk znów się odezwał.

– Pamiętasz ten numer alarmowy, który ci podyktowałem? – zapytał.

– To było rano. Jeszcze pamiętam. – Uśmiechnąłem się półgębkiem. – Poza tym wpisałem go w kontakty, jak kazałeś.

Oleszczuk miał nieprzenikniony wyraz twarzy. Nie patrzył na mnie.

Widziałem jego profil na tle rozmazanego prędkością krajobrazu za szybą samochodu.

– Myślałem, że nigdy do tego nie dojdzie; nie do takich rzeczy, jakie wydarzyły się kilka godzin temu. Ale się jednak zdarzyły. Ten numer to tylko część procedury. Jeśli wydarzy się coś jeszcze gorszego, zadzwonisz pod ten numer i zanim się przedstawiś kryptonimem, pamiętaj: kryptonimem, a nie broń Boże nazwiskiem, podasz hasło „Orkan”.

– Co to znaczy Orkan? Myślałem, że ta operacja nazywa się „Boeing”?

– To wezwanie pomocy. Oficer dyżurny nie będzie wiedział, kim jesteś, ale wypyta cię wtedy bez zwłoki o okoliczności i wyda ci polecenia, które następnie bezwzględnie wykonasz. Wykonasz je co do joty, bo obaj wiemy, że masz z tym pewne problemy.

– Okej... – powiedziałem ostrożnie. – A gdzie wtedy będziesz ty?

– To jest opcja, gdyby mnie już nie było, rozumiesz?

– Rozumiem – powiedziałem cicho.

Znów ujechaliśmy kawałek w milczeniu.

– Najważniejsza jest moja saszetka, w której są papiery od Farada i nagranie rozmowy w tym gejowskim barze, pendrive z plikami z recepcji w Adlerze, zdjęcia z Wenecji oraz komputer. Wszystko jest w mojej torbie. Masz tego strzec jak oka w głowie. Tylko Łodygowski ma prawo dostać ją do rąk własnych, rozumiesz? Nikt inny, choćby nie wiem, co ci mówili i jak grozili. To wszystko, co mamy, i nie będzie następnej szansy, żeby to zdobyć, jasne? – Obrócił głowę i spojrzał na mnie znacząco.

– Czyli jednak wiesz, co to było, tam, na tym cholernym placyku? – zapytałem.

– Nie mogę mieć pewności, Adrian. Słyszałeś, co on krzyczał. Najprawdopodobniej byliśmy świadkami kolejnego zamachu ISIS...

Westchnąłem.

– Arek, prosiłbym cię, żebyś nie robił ze mnie idioty, dobra? Zamach ISIS? W takim miejscu? Równie dobrze mógł się odbyć w piwnicy albo na środku morza. Efekt byłby mniej więcej ten sam...

– Sam widziałeś, że byli ranni.

– Zamachy robi się na świątecznym jarmarku, zatłoczonym bulwarze albo klubie na trzysta osób, a nie w najciaśniejszej uliczce starego miasta czy nawet na jakimś gównianym placyku wielkości sali gimnastycznej. Poza

tym nie mówiłbyś o tej saszetce i numerze alarmowym akurat teraz. On chciał zabić nas, prawda? O włos uniknęliśmy śmierci. Kurwa, to było jak śmignięcie jej kosy tuż za uchem, rozumiesz? Dotarło to do mnie dopiero w hotelu...

– To normalne. Do pewnego momentu jedziesz na adrenalinie, a potem, kiedy zagrożenie minie, masz zjazd i zaczynasz się zastanawiać. I przeważnie reaguje się wtedy podobnie jak ty. Czysta fizjologia, nic niezwykłego.

– Ty nie rzygałeś ani się nie trząsałeś. – Zerknąłem na niego.

– To prawda... Ale to nie znaczy, że tego nie przeżywałem. Myślisz, że kiedykolwiek wcześniej byłem w podobnej sytuacji?

– Nie wyglądałeś, jakbyś bardzo to przeżył.

– Ty też nie wyglądasz na gościa, który dusi w sobie traumę z dzieciństwa i to tak mocno, że jak sam deklaruje, nie pozwala mu to nawiązać normalnych relacji z innymi ludźmi.

Zacisnąłem usta. Miał rację.

– No więc ktoś chciał nas zabić – wróciłem do zasadniczego tematu.

– Tak. Nie na sto procent, ale raczej tak. Dlatego jakby co, zrobisz, co mówię. Z tym Orkanem. I z saszetką. Przede wszystkim z nią. To jest teraz najważniejsza rzecz. Nie ja, nawet nie ty. Tylko dowody się liczą.

– A jeśli to mnie nie będzie, Arek? – zapytałem. – Co wtedy?

– Obiektywnie rzecz ujmując, nie będzie to już twoim zmartwieniem, co?  
– Znów spojrzał na mnie.

Spróbowałem się roześmiać, ale słabo to wyszło. Bolało mnie jeszcze gardło podrażnione kwasem żołądkowym.

– Obiektywnie, to masz rację – przyznałem i dodałem: – Bardzo szybko zareagowałeś, wiesz? W zasadzie, zamiast wrzeszczeć na ciebie, że wrzuciłeś mnie do wody, powinienem podziękować ci za uratowanie życia.

– Nie ma sprawy. Drobiazg.

– A co z tą pierwszą częścią mojej wypowiedzi?

– Nie rozumiem?

– Szybkość reakcji. Wspominałeś, że jesteś zwykłym urzędnikiem jak ja. Ja bym tak nie zareagował. Zresztą... Nie zareagowałem.

Oleszczuk wzruszył ramionami.

– Mówiłem ci, że funkcjonariusze służb specjalnych przechodzą szkolenia.

Kurs strzelecki, samoobrony, technik inwigilacji, nawet surwiwalu. Też mam takie za sobą i widać dobrze sobie wszystko zapamiętałem.

– Ale nie w Kiejkutach?

Uśmiechnął się lekko.

– Nie. Nie w Kiejkutach. A skoro już jesteśmy przy kwestiach bezpieczeństwa, to doszedłem do wniosku, że powiem ci coś jeszcze. Hubert Tomala. Zapamiętaj sobie. Tak nazywa się jeden gość, który za mną nie przepada. Mieszka w Truskawiu, to taka wioska w Kampinosie. Gdyby sprawy zaszły tak daleko, że nie miałbyś naprawdę dokąd pójść ani z kim pogadać, pojedź do niego i powołaj się na mnie.

– Kto to?

Oleszczuk uśmiechnął się pod nosem.

– Nie myśl o nim za dużo. Miej to nazwisko z tyłu głowy, ale to ostateczna ostateczność. Wiesz, że lubię przesadzać i to jest właśnie taka przesada z mojej strony, ale uznałem, że skoro dzieją się rzeczy, jakich nie przewidywaliśmy, to może zdarzyć się coś jeszcze gorszego. Oby nie. Mówię ci o nim tylko na wszelki wypadek. Gość jest bardzo dziwny, kiedyś razem pracowaliśmy, dawno, dawno temu. Nie lubi rozgłosu, żyje sobie na uboczu. Moja firma też nie obeszła się z nim elegancko, więc ma pretensje o parę rzeczy i uważam, że to również miało wpływ na to, jaki się stał: lekko zgorzkniały. W każdym razie jakby co w pierwszej kolejności obowiązuje cię procedura „Orkan”. I tyle na ten temat.

– A kiedy stanie się to, co nie ma się stać, i do niego pojedę, to co mam mu powiedzieć? – zapytałem autentycznie zaciekawiony.

– Wszystko. Jeśli już do tego dojdzie, to „Dziadkowi” możesz powiedzieć wszystko. – Odwrócił się i spojrzał na mnie z jakimś łobuzerskim błyskiem w oku.

Zamilkliśmy. Przetrawiałem w myślach słowa Oleszczuka i wpatrywałem się w monotony jeszcze krajobraz. Byłem koszmarne zmęczony przeżyciami i nawet nie zauważyłem, kiedy zasnąłem. Gdy się obudziłem, sam byłem zaskoczony tym, że w ogóle zdołałem zasnąć po tych wszystkich przeżyciach. I przy tęnym, pulsującym bólu poharatanych pleców.

Było już ciemno, a my przebijałyśmy się autostradą przez Alpy, kierując się na północ, w stronę przełęczy Brenner i granicy austriackiej. Dwujęzyczne napisy na tablicach świadczyły, że już niedaleko. Jak na



każdym pograniczu i tu przez dziesięciolecia, a może i wieki ścierały się dwie opcje narodowościowe, co w przypadku Trydentu/Południowego Tyrolu w czasach już współczesnych kosztowało życie siedemnastu osób.

– Zmienić cię? – zapytał Oleszczuk, tłumiąc ziewnięcie.

– Później, jeszcze daję radę. Wiesz, od kilku godzin się nad czymś zastanawiam, Adrian. I nic nie mogę wymyślić.

– No?

Spojrzał na mnie poważnym wzrokiem.

– Nikt nie wiedział, że jesteśmy w Wenecji. Nikt, rozumiesz? Nawet Łodygowski. Tylko my dwaj. Chyba że... Chyba że ty do kogoś dzwoniłeś?

– Nie, Arek. – Nie denerwowałem się, bo skoro nie Oleszczuk, to faktycznie pozostawałem tylko... Ja.

Chyba że było coś, o czym nie wiedzieliśmy.

– Do nikogo nie dzwoniłem – powtórzyłem. – Nie wysyłałem żadnych maili, listów ani pocztówek. Przysięgam.

Oleszczuk oddychał głośno przez nos. Nagle zerknął w lusterko, wrzucił kierunkowskaz i gwałtownie skręcił na prawy pas. W świetle reflektorów zobaczyłem znak miejsca obsługi podróżnych. Pół kilometra dalej zjechaliśmy z autostrady na parking i zatrzymaliśmy się na samym jego końcu, tuż przy budyneczku toalety. Oleszczuk wysiadł z samochodu i otworzył bagażnik. Ja zostałem w środku, zastanawiając się, co kombinuje. Usłyszałem stuki z tyłu, a po minucie pojawił się z jakimś urządzeniem w ręku. Domyśliłem się, że to pewnie skaner do wykrywania lokalizatorów GPS. Arek znów zniknął, tym razem za maską, i znowu usłyszałem stuki. Potem wsiadł do auta i zaczął przesuwając skanerem po desce rozdzielczej, po tylnej kanapie, podsufitce i zasłonkach przeciwsłonecznych. Później sprawdził swój fotel, a na koniec mój. Kiedy przeciągał wykrywaczem koło oparcia, urządzenie cicho zabrzęczało.

– Zrób mi miejsce – polecił.

Otworzyłem drzwi i wysiadłem z samochodu. Dochodziło do nas trochę światła z lampy nad wejściem do toalety.

Oleszczuk klęknął na swoim fotelu i jeszcze raz przesunął skaner po tapicerce mojego. Tym razem nie rozległ się żaden dźwięk. Zmarszczył brwi i ponownie spróbował. Kiedy skaner uparcie milczał, Arek podniósł głowę i obrzucił mnie taksującym spojrzeniem.

– Chodź do tego kibla. – Wskazał ceglany budynek za nami.

Obejrzałem się odruchowo.

– Nie mam potrzeby – stwierdziłem.

– Nieważne, chodź...

Zatrzasnął drzwi samochodu, zamknął je pilotem i obaj poszliśmy w kierunku toalety. W środku wepchnął mnie do jednej z kabin, sam wszedł tam za mną i zamknął cienkie drzwi na skobelek.

– Rozbieraj się – rzucił, majstrując coś przy skanerze.

– Co?

– Zdejmuj ciuchy.

Kręcąc głową, spełniłem polecenie. Wiedziałem już oczywiście, czego szuka, ale nie chciało mi się wierzyć, że pluskwa tkwi w moim ubraniu. Zdjąłem kurtkę, bluzę i spodnie i podałem je Arkowi. Podniósł je i przesunął skanerem wzdłuż nich. Urządzenie nie wydało żadnego dźwięku. Odłożył ubranie na klapę sedesu.

– Wolałbym, żebyś tego nie robił – zwróciłem mu uwagę. – Kogoś niedawno przypiliło tak bardzo, że chyba zapomniał podnieść deski.

Nie zareagował.

– Teraz buty. – Pochylił się i przyłożył skaner najpierw do jednego, potem do drugiego.

Dalej nic.

– Reszta. – Jego ton robił się coraz bardziej nerwowy.

– Jaka reszta? – zapytałem, bo stałem przed nim jedynie w slipach, T-shircie i skarpetkach. – Nie możesz tego zrobić na mnie?

Zacisnął usta i pomachał wykrywaczem wzdłuż mojego tułowia. Ciche brzęczenie w okolicach brzucha zaskoczyło nas obu. Chyba obaj mieliśmy głupie miny. W cienkich ubraniach nie było przecież miejsca na pluskwę.

– Do rosołu – powiedział. – Już. Trzeba je wypatroszyć. Sprawdzić szwy.

Zrobiłem i to. Zdjąłem podkoszulek i slipy i zasłaniając genitalia, podałem mu je, jak poprzednio kurtkę, bluzę i spodnie. Dla pewności jeszcze raz przejechał je skanerem.

I nic.

– Kurwa, co jest... – warknął i spojrzał na mnie nagle szeroko otwartymi oczami.

Zobaczyłem w nich niedowierzanie.

– Co? – zapytałem niemal bez tchu.

Oleszczuk w milczeniu przyłożył mi skaner do brzucha i wtedy usłyszeliśmy delikatne brzęczenie.

Poczułem, że robi mi się słabo, a nogi uginają się pode mną.

– Mam się martwić? – zapytałem, siadając na sedesie i stercie swoich ciuchów.

Zacząłem trząść się z zimna. Oleszczuk stał nade mną oparty o ścianę i patrzył, jak matka na dorastającego syna, który pierwszy raz w życiu wrócił do domu pijany.

– Możemy spróbować sprowokować wymioty, ale to chyba nic nie da. Wymiotowałeś w hostelu, a i tak pluskwa została w środku. Pewnie masz już ją w jelitach, nie wiadomo, kiedy ją połknąłeś. Kurwa... – Przejechał dłonią po łysej czaszce i usłyszałem chrzęst, kiedy odrastające z tyłu i z boków włoski otarły się o skórę. – Przecież jedliśmy to samo i w tych samych miejscach... Kiedy to się stało? I jak mogłeś wpierdolić kawałek plastiku i metalu, nawet o tym nie wiedząc? Nie uczyła cię mama, że się gryzie porządnie? Przynajmniej sześć razy, kurwa?

– Hotelowy bar – powiedziałem cicho, nie patrząc na niego. – W Adlerze.

Oleszczuk zastygł w bezruchu.

– Myślisz, że to barman? – wycedził. – Ktoś go podkupił?

– Nie. – Pokręciłem głową. – Ta babka... Marianne i jej pierdolone mojito. To nie mogło być nic innego. Nic wtedy nie jadłem. Nie tylko ty bawisz się pluskwami, jak widać – nawiązałem do opowieści Oleszczuka o śledzeniu Widackiego.

Przypomniałem sobie, jak ukrywając wzwód, gryzłem smakujący miętą siekany lód i zamknąłem oczy. Oleszczuk obserwował mnie z pełną wyrzutą miną.

– Tak to jest, kiedy myśli się nie tą głową co trzeba. – Westchnął. – A było mnie słuchać. Wrzuciła ci lokalizator do koktajlu, a ty go ze smakiem wychłptałeś, gapiąc się na cycki i tyłek tej krowy. Kury wam szczać prowadzać, a nie tajne misje... – Machnął ręką.

– Sądziś, że to mi zaszkodzi? – zapytałem.

– Jeśli to jest to, o czym myślę, to chyba nie masz się czym martwić. Wysrasz prędzej czy później. Zresztą to takie maleństwo, że zasilanie nie działa zbyt długo. Kto by pomyślał, że to właśnie Izraelczycy zostaną

mistrzami miniaturyzacji... Dużo bym dał, żeby wiedzieć, kto przysłał tę twoją Marynę...

– Marianne – poprawiłem go odruchowo

– Jeden chuj. – Machnął ręką. – Nieważne, mleko się rozlało, to teraz i tak bez znaczenia. Ubieraj się, wracamy do domu. Mamy trochę dowodów, ale wciąż nie wiemy przeciw komu konkretnie. Dalej i Karaimow, i Widacki mogą być „Kowalskim”.

– Albo Dębski. Z jakiegoś powodu Kamil również go wskazał. Nawet jeśli nie wypłynął ani razu podczas naszej wycieczki po Europie.

– No właśnie. Jemu też trzeba się będzie w końcu przyjrzeć...

## 20. Wenecja, kilka godzin wcześniej

Marius z niedowierzaniem patrzył, jak po oddaniu pierwszego strzału cel znika za linią nabrzeża. W zasadzie zniknęli obaj: Oleszczuk i Wicha. Nie miał wyjścia, tak czy siak musiał doprowadzić akcję do końca, nawet jeśli nie miał osiągnąć zakładanego celu. Jeszcze raz krzyknął: *Allahu akbar!*, wbiegł na opustoszały mostek i dla pewności, której już i tak nie mógł mieć, wystrzelił resztę pocisków w lazurową toń. Następnie rzucił się w kierunku wąskiej na niecałe dwa metry uliczki, którą wcześniej sobie upatrzył. Wiedział, że jeden z budynków jest ruiną obstawioną rusztowaniami mającymi przedłużyć jej agonię do momentu, gdy już dłużej nie da się udawać, że grozi jej zawalenie, i trzeba będzie wydać sporo pieniędzy na rozbiórkę. W środku śmierdziało kocim moczem i zepsutym mięsem. Marius zasunął za sobą obluzowaną deskę, jedną z kilku, które iluzorycznie broniły dostępu do wnętrza. Znalazł miejsce wolne od gruzu i rozpoczął przemianę ze zbiega w ofiarę.

Zdjął kurtkę i niewielki damski plecak, który był pod nią: kurtkę zwinął w kulkę i położył w jakimś kącie, a plecak obok siebie. Potem zdjął spodnie, spod których ku dołowi niczym kurtyna w operze spłynęła kwiecista, sięgająca kostek sukienka. Spodnie wylądowały obok kurtki. Oczy ukryte pod ciemnymi okularami już wcześniej były oczami kobiety: staranny makijaż podkreślał ich lekko skośny kształt, a głębokie cienie na powiekach powiększały je optycznie. Ray-bany również skończyły na bezładnej kupce łańców, podobnie jak czarna czapka z daszkiem z logo Under Armour. Marius rozpuścił włosy i potargał je, a potem przeczesał palcami i pozwolił, by opadły na uszy i kark. Z plecaczka wyjął szminkę i lusterko i wykorzystując światło sączące się przez szparę w niestarannie zabitym deskami oknie, umalował usta. Przyjrzał się sobie, włożył szminkę i lusterko do plecaczka i wyjął inne okulary, tym razem lenonki z niebieskawymi szklami. Zdjął jeszcze buty i zmienił je na zgrabne

czółenka na płaskim obcasie. Adidasy skończyły tam, gdzie reszta ciuchów, przysypane na koniec resztkami cegieł i połamanymi dechami. Na sam koniec Marius rozłożył berettę na części i każdą z nich wyrzucił w innym pomieszczeniu, starając się, żeby zniknęła w stercie śmieci, które zalegały dosłownie wszędzie. Wszystko zajęło mu może trzy minuty.

Kiedy był już gotowy, ostrożnie wyjrzał na uliczkę. Słysząc było tylko jęki syren policyjnych łodzi i ambulansów i nawoływania ludzi. Rozejrzał się jeszcze w obie strony, kiedy w ciasnym, ciemnym, murowanym wąwozie rozległ się nagle głośny, zwielokrotniony echem dźwięk czyichś pośpiesznych kroków. O bruk stukwały obcasy i Marius zobaczył kobietę biegnącą w panice w jego stronę. Oglądała się za siebie i nie widziała go. Wyszedł szybko ze swojej kryjówki i wyciągnął rękę. Dziewczyna odwróciła głowę w momencie, w którym na niego niemal wpadała i kiedy zobaczyła jego twarz tuż przed sobą, zawołała przerażona:

– *Oh, my God!!!*

– *Come down, just come down* – powiedział Marius i objął ją za ramię, a wtedy ona zaczęła wyrywać się z jego objęć. – *It's okay, he's not here! Listen, what I'm saying: he's not here! He's gone!*

Spojrzał jej w twarz. Dziewczyna uspokoiła się, przynajmniej odrobinę, więc chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą. Biegli tak wzdłuż wystaw niemal pustymi uliczkami, aż wreszcie wypadli na jakiś większy plac, prosto w objęcia dwóch carabinieri. Marius zatrzymał się, wciąż ściskając dziewczynę za rękę. Płakała, bez przerwy powtarzając *oh, my God, oh, my God*.

Karabinierzy z bronią gotową do strzału zapytali łamanym angielskim, czy nic im nie jest, a kiedy Marius pokręcił głową, od razu przestali się nimi interesować.

– *Okay, go, go!* – Znikając w uliczce, z której przed chwilą wypadły na nich dwie kobiety, machali rękami w tył, nie patrząc w ich stronę.

Marius puścił dłoń dziewczyny i po prostu ruszył przed siebie. Plecak przewieszony przez ramię dyndał, objając się o łokieć. Uspokoił oddech i poprawił okulary na nosie.

Był wściekły. Wściekły, ale i pełen podziwu. Reakcja „dwójki” była szybka i to właśnie ją podziwiał. Musiał to Oleszczukowi oddać, jak profesjonalista profesjonalistcie. Wściekłość zaś czuł na sobie. Wiedział, że spierdolił

sprawę. Czang będzie miał o to zapewne uzasadnione pretensje, ale Mariusowi nie chodziło o to, że zawiódł jego, tylko siebie.

Czas spotkania obliczył idealnie. W ogóle czasowo od początku składało się świetnie: od otrzymania sygnału od Czanga do wyjazdu z Warszawy minęło dziesięć minut, bo zawsze był gotowy na niespodziewany wyjazd, a w bagażniku czekała podręczna walizka. Te tysiąc trzysta kilometrów z okładem pokonał swoim sportowym audi w niecałe dziesięć godzin, uzbrojony w izotoniki, napoje energetyczne i pieluchę, by nie tracić ani sekundy. A dziś przejazd do Bolzano, skok do Wenecji, a tu, od chwili opuszczenia wodnej taksówki do momentu oddania pierwszego strzału, minęły dwie i pół minuty, podczas których zdążył znaleźć kryjówkę potrzebną mu do przebrania się. Zdecydował, że nie odda strzału z bliska, ale odległość nie stanowiła dla niego przeszkody. Był jakieś dwadzieścia, góra dwadzieścia pięć metrów od nich i stał idealnie ze słońcem, tak że oni nie mogli go wyraźnie widzieć. Może gdyby nie wrzasnął: *Allahu akbar!*, nie dałby tamtym czasu na reakcję?

A teraz nie miał nawet pewności, czy wykonał zadanie. Nie wiedział, czy w ogóle trafił Oleszczuka, czy go zranił, czy tylko drasnął, a może wszystkie pociski przeszły bokiem? Idąc wzdłuż kanału, zastanawiał się, czy powinien zadzwonić do Czanga już teraz, czy dopiero później, gdy się dowie, co z Oleszczukiem. Zdecydował w końcu, że zrobi to później. Skoro Czang kazał mu zabić Oleszczuka niezwłocznie, mógł być niemal pewien, że każe mu poprawić spartaczoną robotę jak najszybciej, czyli od razu. A Marius nie miał na to ochoty. To było zbyt ryzykowne. Teraz musiał prędko zniknąć z Wenecji. Postanowił, że zamelinuje się gdzieś niedaleko, w promieniu stu kilometrów, żeby trzymać rękę na pulsie i móc zareagować na ich kolejny ruch. Mógł być w miarę spokojny: wizualna zmiana płci oddaliła od niego jakiegokolwiek podejrzenia, ale lepiej nie kusić losu i dmuchać na zimne.

To dlatego wciąż jeszcze funkcjonował w tej branży.

Dzięki dmuchaniu na zimne...

Od godziny był już w hotelu, znów jako mężczyzna. Sprawdził lokalizację Wichy. Był w okolicach Padwy, co przypuszczalnie oznaczało, że są razem z Oleszczukiem i najprawdopodobniej kierują się w stronę Polski. Gdyby Oleszczuk był ranny lub nie żył, Wicha wciąż tkwiłby w Wenecji. Marius

zastanawiał się gorączkowo, czy jednak ścigać ich i próbować naprawić błąd, czy poczekać. I tak musiał wrócić do Bolzano po samochód, choć to nie było teraz najważniejsze. Ale jednak była to jakaś konsekwencja błędu, który popełnił.

Był tak pewien swoich umiejętności strzeleckich i tego, że potrafi przewidzieć reakcję tamtych, że nawet przez chwilę nie liczył się z możliwością fuszerki. Pokręcił głową, znów wściekając się na własną głupotę. Może się starzał. A może powinien przemyśleć pewne rzeczy...

Wziął do ręki telefon i zadzwonił do Czanga. Chińczyk dzwonił do niego siedem razy w ciągu ostatniej godziny, ale on nie odbierał. Musiał się najpierw uspokoić.

– Chciałbym usłyszeć jakieś pomyslnie wieści, Marius. – Usłyszał jego zimny głos. – Czytam właśnie wiadomości. Czy mam rozumieć, że to pan osobiście wywołał ten chaos w Wenecji?

– Chaos to element strategii, panie Czang.

– Co to znaczy?

– Chciał pan, żeby to wyglądało przypadkowo. Nie ma żadnych tropów prowadzących do was. Ani do mnie, jak pan sobie życzył.

– To jak zapalić świecę miotaczem ognia. Zaangażowanie połowy włoskiej policji oraz służb innych państw europejskich nazywa pan strategią? Gdzie tu logika, Marius?

– Pan pozwoli, że to ja będę decydował o sposobie wykonania zlecenia. To ja jestem na miejscu, to ja oceniam sytuację i to ja dokonuję... zabiegu. – Ze zdenerwowania prawie użył innego sformułowania.

Czang oddychał głośno przez nos, Marius słyszał to wyraźnie.

– Rozumiem, że osiągnął pan zamierzony efekt? Usunął pan właściwy ząb? Wiadomości są sprzeczne, więc zasięgam informacji u źródła.

– Niestety nie.

Cisza.

– To żart?

– Obawiam się, że nie.

– Mam rozumieć, że spartolił pan zabieg? Czy któryś ząb uległ uszkodzeniu?

– Nie. Oba zęby są raczej nienaruszone.

Czang milczał. Marius też. Czekał.



– Raczej? – zapytał w końcu Czang.

– Opieram się na niepełnych informacjach. To podejrzenie graniczące z pewnością.

– Zaczynam wątpić w to, co mi o panu mówiono. A mówiono: jeden z najlepszych w branży.

– Zdarza się, panie Czang. Zawsze jest ryzyko powikłań i uświadamiałem to panu. Oczywiście wykonam kolejne podejście niezwłocznie, gdy tylko...

– Teraz to da pan sobie spokój, Marius... – przerwał mu Czang – ... dopóki nie podejmę decyzji, co dalej. Pan chyba zapomina, że nie jest od planowania leczenia, a tylko od wykonywania zabiegów. Niech pan nie wchodzi w nieswoją działkę. Nie życzę sobie żadnych kolejnych ruchów, dopóki nie ustalę, jakie są konsekwencje pańskiego błędu, czy to jasne? Proszę monitorować sytuację z odległości, zachować spokój i pozostawać w kontakcie. Odezwę się. – Czang rozłączył się bez pożegnania, co Marius uznał za wyraz najwyższego zdenerwowania.

I nie dziwił się temu. Spierdolił sprawę na całego. Pomylił się też, sądząc, że Chińczyk każe mu iść za ciosem i naprawić swój błąd od razu. Czang chyba przestraszył się hałasu, jakiego narobił Marius, choć on sam wciąż był przekonany, że wzięwszy pod uwagę wszystkie okoliczności, wybrany sposób działania był optymalny. Dla niego oczywiście; ze względów bezpieczeństwa. Pewnie, że najlepszym sposobem na likwidację Oleszczuka byłby karabin wyborowy, ale na zorganizowanie tego rodzaju broni brakowało po prostu czasu. Marius był świadomy pewnych ograniczeń i uważał, że ta świadomość pomaga mu w planowaniu działań. Tym razem po prostu zabrakło mu szczęścia. Nie, to nie brak szczęścia, przecież nie wierzył w szczęście ani pecha. Przypadek. Cholerny przypadek; coś, czego mimo najszczerszych chęci i maksimum profesjonalizmu nie da się przewidzieć...

\* \* \*

Marius obudził się z krótkiej drzemki. Wciąż lekko zaspany z zaskoczeniem wpatrywał się w sufit, przeczesując palcami obu rąk wilgotne od potu włosy. Zdążył śnić i to właśnie treścią tego snu był tak bardzo zdziwiony.

Śnił o swojej pierwszej ofierze. W sennej marze cofnął się w czasie o jedenaście lat, znów wracając do portu w Rotterdamie, kiedy późną nocą

jego kolega Alex wręczył mu glocka i zaproponował, może trochę żartem, a może nie, żeby to on zastrzelił klęczącego przed nimi Albańczyka. Albańczyk nazywał się Delmin Rama i był kelnerem w knajpie, która znajdowała się w strefie wpływów Alexa. Delmin był winny Alexowi sporo pieniędzy, w dodatku posuwał mu dziewczynę, więc Alex postanowił przykładowo go ukarać. Marius był tylko zwykłym dentystą, znał Alexa z podwórka, trzymali się razem od dziecka do wyjazdu Mariusa do Polski. Kiedy Marius wrócił na studia do Rotterdamu i zmienił płeć, odnowili kontakt i choć ich światy były już dwoma kompletnie różnymi światami, jakimś cudem tamtej nocy wylądowali w porcie razem. I Marius po prostu wziął broń od Alexa, wymierzył w czoło Delmina i pociągnął za język spustowy, nie czując nic: ani przed, ani w trakcie, ani po. Potem wykonał dla przyjaciela kilka zleceń, później usamodzielniał się, aż wreszcie stał się w tym fachu mistrzem.

Ale nigdy wcześniej nie śniły mu się jego ofiary. Do dziś.

Usiadł na łóżku, mrużąc oczy skierowane na jasny prostokąt okna. Jak do tej pory coś takiego mu się nie przydarzyło. Myślał o tych dwóch: o Wisze i Oleszczuku. Oleszczuk zaimponował mu refleksem i błyskawiczną reakcją, Wicha zaś... Marius z racji swoich zaburzeń nie mógł wiedzieć w pełni, czym jest pożądanie, i był tego świadomy. Nie czuł go nigdy, nie na tyle, by uzyskać pełną satysfakcję ze zbliżenia. Ale wiedział, że inni nie potrafią mu się oprzeć. Wiedział, że to siła zdolna zmieniać losy świata. Z tego powodu wielu straciło życie, jedni w sensie biologicznym, inni w rodzinnym czy towarzyskim, zwykle przez głupią zdradę, a właściwie przez fakt przyłapania na niej. Marius jako kobieta nie był pięknnością, ale po dobraniu odpowiedniej garderoby i starannym makijażu na pewno mógł się podobać mężczyznom, co potwierdziło się już nieraz w praktyce. Dwa razy zabił w trakcie stosunku ze swoim celem. Jeszcze nigdy żadnemu mężczyźnie nie udało mu się oprzeć, kiedy on, jako ona, chciał coś w ten sposób osiągnąć: znaleźć się w ustronnym miejscu, osłabić czujność, a nawet zabić.

Nie chciał tak naprawdę zaciągnąć Wichy do łóżka. Już raczej wybadać, choć dając mu w hotelowym barze na odchodnym jasny sygnał, miał nadzieję, że on koniec końców wyląduje u niego w pokoju. Był wręcz o tym przekonany! Marius mógł zakończyć sprawę na drinku z pluskwą, ale

postanowił, że spróbuje pójść o krok dalej, licząc na to, że Wisze coś się wypnie, coś o planach, o bracie, cokolwiek, co mogło Mariusa naprowadzić na trop Kamila Wichy, „kła”. A on nie przyszedł. Czekał dwie godziny, w prześwitującej koszuli nocnej i z przygotowanym żelem nawilżającym, zanim kompletnie zaskoczony zgasił światło i poszedł spać, nie rozumiejąc, dlaczego to nie skończyło się zgodnie z planem. I nie rozumiał tego do tej chwili. Widział, że Marianne mu się podoba. Widział te ukradkowe spojrzenia, słyszał obniżony głos i przyśpieszony oddech, ewidentne oznaki zainteresowania przedstawicielem płci przeciwnej. A jednak.

Marius pokręcił głową. Z Wichą coś musiało być nie tak. Czy tak jak z nim? Bał się? Wstydział? Upił się i zapomniał, albo nie był w stanie dojść do pokoju trzysta dziewięć? Nie sprawdził tego rano, tylko upewniwszy się, że lokalizator trafił gdzie trzeba, opuścił hotel i przyczał się w sąsiednim miasteczku, czekając na ich ruch. Potem, kiedy zorientował się, że jadą do Wenecji, popędził do Bolzano, gdzie wynajął powiatrzną taksówkę. A później stało się to, co się stało.

I tego, jak doszło do takiej sytuacji, nie rozumiał dokładnie tak samo, jak postępowania Wichy...

**21. Warszawa, Centrala ABW, Rakowiecka 2a, 2 listopada, godz.  
09.00**

Major Arkadiusz Oleszczuk czekał w sekretariacie gabinetu ministra koordynatora na umówioną wizytę i w milczeniu wpatrywał się w twarz sekretarki. Tak naprawdę patrzył tylko w jej kierunku, ale nie widział jej: jego wzrok przebijał wszystko, co materialne i nie skupiał się na niczym.

Zdawał sobie mniej więcej sprawę, o czym będzie mowa na spotkaniu. Zastanawiał się tylko, dlaczego był tu sam, a nie z Łodygowskim. To jego szef powinien tu czekać, ze wszystkimi informacjami o ostatnich wydarzeniach, które Oleszczuk mu zrelacjonował, ewentualnie poprosić majora o towarzyszenie mu, by ten mógł dopowiedzieć coś, sprostować czy wyjaśnić. Tak to zwykle się odbywało. Tak powinno się odbyć.

Nie dziś.

Dlatego właśnie major Oleszczuk przeszywał niewidzącym spojrzeniem twarz dziewczyny, okno za jej plecami i całą Warszawę za nim. Bo patrzył w niedaleką przeszłość, a nie teraźniejszość.

Po powrocie z Włoch zniknęli wszystkim z oczu. Nie wrócili do Emowa. Wichę chciał na początku zainstalować w tajnym mieszkaniu ABW, zarezerwowawszy je w logistyce na cele spotkania ze źródłem informacji, zgodnie zresztą z przeznaczeniem lokalu. Procedura nie wymagała oczywiście podania danych tej osoby, ale za to danych oficera prowadzącego już tak, a tego nie chciał; to jak zostawienie tropu, a wręcz zaproszenie. Zawiózł więc Adriana do swojego mieszkania, dał jakąś książkę, butelkę wody, kazał leżeć plackiem na łóżku i broń Boże nie pokazywać się w oknie ani nie otwierać drzwi. Oleszczuk nie poinformował również o niczym firmy, a jedynie Łodygowskiego, którego odwiedził o pierwszej w nocy w jego domu. Szef był zaskoczony obrotem sytuacji. Rozmawiali długo, snując dywagacje i rozważając różne możliwości, ale jedynym tego efektem był tak naprawdę brak efektów. Łodygowski powiedział Oleszczukowi

wprost, że o pewnych rzeczach będzie musiał poinformować Karaimowa. O Wenecji wiedział już cały świat, choć nikt nie wiązał z tym Oleszczuka i Wichy, jednak ta sprawa była zbyt gruba, żeby po prostu zamieść ją pod dywan. Dębski miał pozostać poza kręgiem osób informowanych o przebiegu ostatnich dni operacji „Boeing”. Chłodne relacje między ministrem koordynatorem i zastępcą szefa ABW pozwalały mieć nadzieję, że akurat dla Dębskiego pozostanie to tajemnicą. Wychodząc z domu Łodygowskiego o czwartej nad ranem, Oleszczuk był przekonany o dwóch rzeczach: że musi działać dalej i że sprawa Wenecji będzie miała jakieś konsekwencje.

Teraz wiedział, że nie pomylił się, przynajmniej jeśli chodzi o tę drugą rzecz. Reakcja była bardzo szybka. Od momentu wyjścia z domu Łodygowskiego minęło zaledwie pięć godzin, a on już czekał na spotkanie wezwany telefonem o ósmej rano.

Drzwi do gabinetu ministra otworzyły się nagle i stanął w nich sam Karaimow.

– Zapraszam, panie majorze.

Oleszczuk wstał i odprowadzany obojętnym spojrzeniem sekretarki zniknął w gabinecie.

W środku od razu skierował się do otoczonego fotelami stolika. Kiedy zobaczył posła Widackiego, nawet nie za bardzo się zdziwił. Tym razem nie zamierzał niczego komentować. Chciał jak zwykle załatwić sprawę możliwie najszybciej i opuścić gmach. Wciąż mieli z Adrianem sporo do zrobienia.

W milczeniu skinął głową Widackiemu, ten odpowiedział w ten sam sposób. Karaimow powitał go uściskiem dłoni. Usiadł w jednym z głębokich foteli i grzecznie czekał, aż minister zacznie rozmowę.

Karaimow poprawił się w swoim fotelu i założył nogę na nogę, splatając ręce na udzie.

– Pana posła już pan zna i mam nadzieję, że tym razem nie ma pan nic przeciwko jego obecności. – Uprzejmy uśmiech ministra był chłodny jak poranek za oknem.

Oleszczuk nie odezwał się, tylko zrobił nieokreśloną minę, która miała świadczyć, że owszem, nie ma nic przeciwko. Oczywiście kompletnie nie odzwierciedlała stanu jego duszy.

– Najpierw sprawa kapitana Wichy. Podobno wypłynął gdzieś w Warszawie? – padło kolejne pytanie. – Tak mi raportowano.

– Zgadza się – potwierdził major. – W Wawrze. Incydent z telefonem w supermarkecie. Próby pójścia jego tropem bezpośrednio po ujawnieniu spełzły na niczym. Jest wyjątkowo ostrożny. Wiemy, że musiał być w ostatnim czasie za granicą. Mógł kupić kartę prepaidową w którymś z krajów, gdzie nie obowiązują przepisy podobne do naszej ustawy antyterrorystycznej i nie trzeba rejestrować danych użytkownika, a potem używać tego telefonu do kontaktów z bratem. Ale on wybrał jednak taki dziwny sposób. Pytanie, co było bardziej ryzykowne: to, co zrobił, czy to, czego nie zrobił, mówię o zagranicznym numerze...

– Wyruchał was, co? – Widacki roześmiał się głośno, a na wąskich ustach Karaimowa wykwitł ledwo zauważalny grymas półuśmiechu.

– Jak to możliwe, że w dobie cyfryzacji obejmującej wszystkie dziedziny życia nie da się ustalić miejsca pobytu człowieka? – zapytał minister.

Oleszczuk zdawał sobie sprawę, że Karaimow musi znać odpowiedź na to pytanie, ale z czegoś musiało ono wynikać. Może było retoryczne, ale milczenie Karaimowa przedłużało się, więc zdecydował, że na nie odpowie.

– To prawda, ciągle inwigilacja, która jest niejako dodatkiem do funkcjonujących dzisiaj udogodnień technicznych, to dla nas nieoceniona pomoc...

– Pamiętam, jak na amerykańskich filmach ukrywający się ludzie za wszystko płacili gotówką – wtrącił się nagle Widacki, przerywając mu w pół słowa. – Niepojęte dla nas, za komuny, co? Nikt wtedy karty kredytowej nie widział na oczy, a teraz? – Machnął ręką.

Oleszczuk pominął tę uwagę milczeniem. Była trochę jak podjęta przez dziecko próba zaistnienia na przyjęciu dorosłych poruszających tematy, o których słyszało kiedyś przypadkiem, ale tak naprawdę nie ma o nich zielonego pojęcia.

– Ale ten system nie jest doskonały – kontynuował po chwili major. – Nawet nie dlatego, że pozostając w ukryciu, wciąż można w nim funkcjonować, bo nie można, tak się nie da. Ale wystarczy być poza nim. Przyczać się gdzieś, nie używać kart płatniczych, dzwonić z kradzionych telefonów albo w ogóle nie dzwonić, tylko zostawiać wiadomości: samolociki i tak dalej. – Oleszczuk kątem oka zauważył, że Widacki przytakuje

skinieniem głowy, choć był pewien, że nie jemu, lecz sobie. – Najbardziej poszukiwani ludzie świata wpadali z trzech głównych powodów: przez technologię, pieniądze i innych ludzi, ludzi ze swojego najbliższego otoczenia. Te dwie ostatnie sprawy są ze sobą ściśle związane, powodem zdrady była rzecz jasna nagroda. To oczywiście znaczne uproszczenie, ale chodzi o zasadę. Zdrajcy informowali o miejscu ukrycia, a obiekty poszukiwań w końcowej fazie operacji namierzano na podstawie połączeń telefonicznych czy ruchu w sieci, kiedy już wiedziano, gdzie szukać. A kapitan Wicha nie ma wokół siebie nikogo, kto mógłby go zdradzić. Ani nie korzysta z technologii. Nie istnieje, panie ministrze. Nie istnieje dla systemu, bo go w nim nie ma...

Karaimow spuścił na chwilę oczy. Popatrzył na swoje palce, poruszał nimi i znów wbił wzrok w Oleszczuka.

– Ale zadzwonić, nawet z ukradzionej chwilę wcześniej komórki, można w miarę rozwoju sytuacji, a wiadomości trzeba podrzucić wcześniej. Znacznie wcześniej... – powiedział z zastanowieniem.

– Zgadza się.

– Musiał przygotować nory, w których się ukrywa, bo jest ich pewnie kilka, transport, pieniądze, wszystko... Od jak dawna to planował? – Minister ze zdumieniem kręcił głową wpatrzony w blat stołu, jakby chciał odczytać na nim odpowiedź.

Oleszczuk milczał. Co mógł powiedzieć?

– Co z tą strzelaniną w Wenecji? – zapytał nagle Karaimow. – Powinni was za to powiesić za jaja, wie pan?

– Panie ministrze, z całym szacunkiem, ale nie ma w tym żadnej naszej winy...

– Dobrze, do rzeczy.

– Oficjalnie nikt nas z tą sprawą nie łączy. Dzięki temu, że ranny został przypadkowo polski obywatel, nasze służby konsularne i policyjne mają wgląd w śledztwo, które idzie w dwóch kierunkach: jeden z nich zakłada, że był to zamach terrorystyczny przeprowadzony przez tak zwanego samotnego wilka związanego z ISIS lub ogólnie z islamskim dżihadem. Świadkowie twierdzą, że sprawca krzyczał: *Allahu akbar!*...

– A krzyczał? – przerwał mu Karaimow. – Pan też przecież był świadkiem.

– Krzyczał. Ale ta koncepcja powoli upada, bo Europol podejrzewa, że sprawcą był Cień, płatny morderca, obywatel któregoś z państw Europy Zachodniej, prawdopodobnie jednego z krajów Beneluksu, poszukiwany od kilku lat na całym kontynencie. Człowiek ten, zidentyfikowany na podstawie zapisów monitoringu miejskiego, przyleciał tego dnia rano taksówką powietrzną z Bolzano we Włoszech, posługując się paszportem belgijskim na nazwisko van Oosten. I to ten paszport był interesujący, a nie twarz, o czym za chwilę. Intencje działania zamachowca nie są znane, przynajmniej nie służbom włoskim.

– Bolzano to włoski Trydent?

– Zgadza się.

– Jeżdżę w Dolomity na narty z rodziną.

Oleszczuk zdołał zachować kamienną twarz. Minister poprawił okulary, naciskając palcem mostek łączący szkła.

– Byliście tam, konkretnie w Folgarii. – To nie było pytanie i major zdawał sobie z tego sprawę.

Wiedział też, że Karaimow nie jest głupi. Informację o ich pobycie w Folgarii przekazał ministrowi Łodygowski, na jego, Oleszczuka wyraźną sugestię. Może właśnie teraz powinien obserwować, czy na nieskazitelnym wizerunku ministra nie pojawiły się brązowe ślady? Ale nie potrafił odczytać jego reakcji, której się nie spodziewał. Nie miał pojęcia, w którą stronę zmierza ta rozmowa i co myśli o wszystkim Karaimow. Pierwsza jej część mogła wskazywać na to, że zdaje sobie sprawę z zainteresowania, jakie budzi w kręgach kierownictwa niektórych komórek służb specjalnych, z czym Oleszczuk i Łodygowski musieli się liczyć, ale jaki sens miało nawiązywanie do tego w tak jawny sposób? Czy to mania prześladowcza? Czy przejaw obawy przed wypłynięciem na światło dzienne jakiejś tajemnicy? Tylko jakiej?

– Tak – odparł po chwili. – Tam prowadził ślad wskazany przez kapitana Wichę.

– Folgaria, a potem ta Wenecja. Czy mam rozumieć, że oficer ABW miał jakiś związek z płatnym mordercą o międzynarodowej renomie?

I tu Oleszczuk zupełnie się pogubił. To było dziwne pytanie. Obliczone na odwrócenie jego uwagi? Czy Karaimow miał go za idiotę? Brzmiało, jakby minister nie zdawał sobie jednak sprawy ze związku, jaki istniał pomiędzy



jego osobą a sprawą Wichy, i przeczyło temu, o co zapytał najpierw.

Nie zdążył opracować żadnej strategii, bo Karaimow z uporem drażył temat.

– Po co tak naprawdę był pan we Włoszech? A wcześniej w Luksemburgu?

– Podążałem do tych miejsc tropem zostawionym przez kapitana Wichę.

– O co tu chodzi, panie majorze, co? Jaki jest cel tych podróży? Konkretnie?

Oleszczuk nabrał w płuca powietrza. Dużo powietrza.

– Rozmawiamy z ludźmi, pokazujemy im jego zdjęcie i pytamy, czy kojarzą tego człowieka. Mówimy, że szukamy członka rodziny, który zaginął podczas podróży po Europie. Adrian Wicha jest zdesperowanym bratem, ja wynajętym prywatnym detektywem. Odtwarzamy ostatnią znaną marszrutę zaginionego w nadziei, że to coś da. Po prostu badamy prawdopodobne i rzeczywiste miejsca pobytu kapitana Wichy ustalone metodami operacyjnymi. To wszystko wymaga potwierdzenia, co niniejszym robimy.

– Metodami operacyjnymi? Przecież on sam zostawia jakieś ślady. Ten samolocik w biurku, na przykład. Jakaś wizytówka.

– Owszem. Ale mieliśmy sygnały, że pojawiał się w miejscach, których nam nie wskazał. Tak więc tropimy go wszędzie tam, gdzie wypłynął, sprawdzając wszystko. Luksemburg, Folgarię, Wenecję. Co dalej, nie wiem. Dwa z tych trzech miejsc odwiedzał wcześniej rezydent chińskiego wywiadu operujący na terenie Niemiec.

– Czy ten fakt nie wskazuje jednoznacznie na rolę Wichy w tej sprawie? Nie potwierdza naszych podejrzeń?

– Jednoznacznie – nie. Nie można tego powiedzieć. Jeszcze nie. Terminy wizyt się nie pokrywały.

– Jak to w ogóle możliwe, że przełożeni Wichy nie wiedzieli o jego podróżach zagranicznych? Dlaczego pan o tym nie wiedział, panie majorze?

Oleszczuk powstrzymał się w ostatniej chwili przed oblizaniem ust.

– To nie należało do moich kompetencji, panie ministrze.

– Nie?

– Nie, nawet pomimo mojej roli w programie grafenu. Ja nie byłem jego przełożonym. Nawiasem mówiąc, nie są to tak duże odległości, żeby nie

dało się obrócić w weekend. Jest to do zrobienia. A to może umknąć, przecież nie ma obowiązku spowiadania się z weekendowych wypadów?

Karaimow przez chwilę wpatrywał się w Oleszczuka, a jego usta zrobiły się nagle jeszcze węższe i drobniejsze niż zwykle. Niemal pozbawione czerwieni wargi zmieniły się w prawie niewidoczną wąską linię zaznaczoną światłowieniem.

– Dobrze, co z tym Cieniem? – Cmoknął i usta znów się pojawiły, jeszcze bledsze niż wcześniej.

Oleszczuk odetchnął. Z mielizny, na której utknął, wypływał wreszcie na głębsze wody. Widacki wciąż się nie odzywał, siedział na kanapie z nogą na nodze, z ramieniem na oparciu i przyglądał się im w milczeniu. Nie uśmiechał się już.

– Cień działa na zlecenie międzynarodowych grup przestępczych oraz służb specjalnych krajów prowadzących agresywną politykę wobec swoich dysydentów: Rosji, Turcji czy nawet Korei Północnej. Te kraje powoli wycofują się ze zlecenia zabójstw oficerom swoich służb, to zbyt ryzykowne w razie wpadki, co zdarza się coraz częściej. Dlatego zdają się na kilerów, co najwyżej przygotowując im legendę i załatwiając lewe, ale dobre dokumenty. Cieniowi nie trzeba niczego przygotowywać. To profesjonalista. Ma specyficzny sposób likwidacji swoich ofiar, co jest jego znakiem rozpoznawczym: zabija rycyną. Przypisuje mu się kilkanaście zabójstw w ciągu ostatnich dziewięciu lat.

– Jeśli w Wenecji to faktycznie był on, to strzelał, a nie truł.

– Zgadza się. Ale ten sposób dobrze sprawdza się w przypadku pojedynczej ofiary, z którą można nawiązać bezpośredni kontakt. A jeśli chodzi o potwierdzenie jego tożsamości... Po tych wszystkich zamachach przeprowadzonych w Europie od Madrytu po Londyn i Paryż to pierwsza rzecz, jaką robią służby: sprawdzają nagrania z lotnisk i dworców z użyciem programów do identyfikacji twarzy, a on nagrał się właśnie na weneckim lotnisku. Potem na starym mieście w wyspowej części Wenecji. Tam, na placu, na którym doszło do strzelaniny, miał już czapkę i ciemne okulary, ale tamtejsi spece twierdzą, że to bez wątplenia był on. Dziwne jest to, że nie nagrał się nigdzie po zamachu. Zniknął jak kamfora. Przybył z Bolzano lotem wewnętrznym, paszportem legitymował się wyłącznie na potrzeby firmy wynajmującej awionetkę, ale tym belgijskim dokumentem

posługiwał się już w przeszłości. Paszport nie jest co prawda zastrzeżony w Systemie Informacji Schengen jako nieważny czy fałszywy, ale tak się składa, że pan Bernd van Oosten jest pacjentem oddziału zamkniętego szpitala psychiatrycznego w Charleroi, i to od pięciu lat, choć podobno nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Europol zwrócił się od razu do służb granicznych państw unijnych o ustalenie, czy paszport gdzieś wypływał w przeszłości. Jako obywatel kraju strefy Schengen van Oosten nie podlega kontroli w ruchu granicznym wewnątrz strefy, i to znacznie ogranicza ryzyko, że zostaną porównane dane biometryczne, a na pewno w jej obrębie, ale okazało się, że dokument został zanotowany dwukrotnie: raz we Francji, w okresie, kiedy ze względu na szczyt NATO czasowo przywrócono kontrolę na granicy, i drugi raz w Szwecji. W obu przypadkach w tym samym czasie i miejscu, gdzie nazwisko van Oosten wypłynęło, doszło do głośnych zabójstw. Dwa i pół roku temu w Malmö zginął szef dużej i świetnie zorganizowanej serbskiej grupy przestępczej. Został zastrzelony na ulicy, a w czasie obławy legitymowano wszystkich, którzy się tam kręcili, jego zapewne przypadkiem. Również i ta informacja została w szwedzkim systemie. A w zeszłym roku w Marsylii zginął prezes jednego z dużych banków. Cztery godziny po zamachu tym paszportem legitymowano się na granicy z Hiszpanią. Teraz po prostu dodano dwa do dwóch: oba zabójstwa przypisano Cieniowi i przyjęto, że wystąpił pod tym właśnie belgijskim nazwiskiem, choć to wciąż tylko przypuszczenia. Nagrania sprzed paru dni nie są rewelacyjnej jakości, ani te z lotniska, ani te z samej Wenecji, więc raczej nie ma mowy o szczegółowym rysopisie. A paszport został wpisany do SIS, więc jest nomen omen cień szansy, że zabójca wpadnie podczas jakiejś przypadkowej kontroli. Ale to naprawdę mizerny cień, ja na jego miejscu już dawno bym ten paszport zniszczył. Zapewne ma w zanadrzu następny...

– W Wenecji chodziło mu o was. O was obu.

– Tak podejrzewamy. Zdążyłem zauważyć, że nie strzelał w tłum, tylko w naszą stronę. Był dość daleko i miał o wiele lepszy cel, na przykład w postaci wycieczki, która przechodziła przez ten plac. Wystarczyłoby, że strzelałby w jej stronę nawet na oślep, a osiągnąłby o wiele lepszy rezultat. Mówię oczywiście z punktu widzenia zamachowca dżihadysty. A tak zranił lekko trzy osoby. I to zapewne przypadkiem. To był teatrzyk. Czyli chodziło

mu o nas.

– To oznacza, że musieliście być blisko?

– Taki wniosek nasuwa się sam, ale... Nie wiemy jeszcze, do czego się zbliżyliśmy. Pewni nie możemy być nawet zleceniodawcy, choć oczywiście najprawdopodobniej to Chińczycy.

– Chronią w ten sposób Wichę?

– To... – Oleszczuk zakłopotany potarł grzbiet nosa – ...możliwe. Ale oznacza również, że oni także nie wiedzą, gdzie jest, nawet jeśli działał na ich zlecenie. Gdyby mieli go u siebie, takie postępowanie nie miałyby sensu.

– Czyli istnieje szansa, ryzyko, czy jakkolwiek to określić, że chronią kogoś innego. Kogoś, o kim jeszcze nie wiemy?

– To też dość prawdopodobne...

– Mówimy o krecie, panie majorze?

– Tak. – Oleszczuk wyprostował się i spojrzał ministrowi prosto w oczy. – Mówimy o krecie.

– Wtedy założenie, że nie mają Wichy, staje się bezzasadne. Bo mogą go mieć, a próbując was wyeliminować, chcieli jedynie chronić kreta, od którego ustalenia tożsamości byliście najprawdopodobniej o krok.

– To również możliwe.

– Ile osób i jakie, według pańskiej wiedzy, znały miejsce waszego pobytu? Operacja „Boeing” ma najwyższą klauzulę niejawności.

– Według mojej wiedzy trzy. Nie licząc mnie i Adriana Wichy.

– Jakie to osoby?

– Pan, pan poseł – Oleszczuk wskazał na Widackiego – i pułkownik Łodygowski. O innych osobach znających cele naszej podróży nic mi nie wiadomo. Oczywiście należy być świadomym, że to nie oznacza jeszcze, że takich osób nie ma.

– Pułkownik Dębski wiedział?

– Nie mam takich informacji – odparł Oleszczuk obojętnym tonem.

– A kapitan Wicha?

– Jego też nie liczę.

– Ale tylko pan go nie wlicza. Czy według pana on również może być w gronie tych pozostałych osób, o których nie ma pan pojęcia?

– Niewykluczone.

– Skoro dokonano na was zamachu, oczywiste jest, że Chińczycy wiedzieli, gdzie was szukać. Patrząc na wszystko z jednej strony, wygląda na to, że Wicha wskazuje miejsca, gdzie mógł nastąpić kontakt kreta z pracownikiem chińskiego wywiadu, którą to opcję pan forsuje...

– Panie ministrze, ja nie forsuję...

– Ale z czym pan się ewentualnie zgadza, tak? I to on was do tych miejsc wysłał. Czyli również wie, gdzie przynajmniej w teorii będziecie. I to jest widok z drugiej strony. W końcu ktoś Chińczykom przekazał te informacje.

– Te dwa punkty widzenia są ze sobą sprzeczne. Nie może robić i tego, i tego. Albo jest z nami, albo przeciw nam.

– Ja to wiem, panie majorze. To oczywiste. Czyli jednak pozostajemy przy krecie. W takim razie gdzie jest przeciek? Który z nas za tym stoi? Kto jest najsłabszym ogniwem? Sugeruje pan, że ja? Pan poseł Widacki? Pana szef? A może pan? Powoli kończą nam się możliwości...

Oleszczuk pomyślał nagle, że gra w jakiejś farsie. Wyglądało to tak, jakby Karaimow wystawiał mu się na tacy, co było tak nieprawdopodobne, że aż niemożliwe. Albo faktycznie nie miał nic wspólnego z „Kowalskim”. Poza tym przecież on niczego nie sugerował. Od początku tej rozmowy wił się jak piskorz, żeby przekazać jak najmniej informacji. To minister sugerował, nie on.

Na wszelki wypadek milczał, usiłując wyglądać tak, jakby się głęboko zastanawiał nad odpowiedzią. To była dobra koncepcja, bo Karaimow go w końcu wyręczył.

– Służby specjalne to specyficzna branża, panie majorze, i ja to oczywiście wiem. Jak najmniej mówić, to ich domena – powiedział, a Oleszczuk poczuł, że minister sięgnął mu przed chwilą do głowy, wyjął myśli i czyta je teraz, udając, że to jego własne słowa. – Brak konsekwencji dyplomatycznych zdarzenia w Wenecji i uniknięcie kompromitacji naszych służb są w tym wypadku kwestią szczęścia. Wyłącznie szczęścia. Nawet nie chcę myśleć, co by się działo, gdyby ktoś zorientował się, że w incydencie uczestniczył funkcjonariusz polskiego kontrwywiadu. To raz, i chwilowo nie będziemy do tego wracać. Dwa. Prosiłem o bieżące informacje na temat operacji „Boeing”, a mam wrażenie, że jestem ostatnio pomijany. Moja współpraca z pańskim bezpośrednim przełożonym, pułkownikiem Łodygowskim, nie jest najlepsza, rozumie pan? – Oleszczuk lekko skinął

głową, choć nie do końca rozumiał, a może po prostu obawiał się, co to może oznaczać.

Już po chwili Karaimow rozwiązał jego wątpliwości.

– Będę mówił wprost, bo nie zamierzam bawić się w niedopowiedzenia. Jeżeli pułkownik Łodygowski zamierza coś ugrać na tej sytuacji, to dobrze mu radzę, żeby się najpierw nad tym zastanowił. To, co się dzieje, jest niedopuszczalne. Pod przykrywką operacji specjalnej toczą się jakieś prywatne gierki przesadnie ambitnych karierowiczów. Chciałbym, żeby to było jasne, bo mam wrażenie, że nie jest, co mnie bardzo martwi. Dlatego właśnie powiem wprost i po żołniersku: jeśli dowiem się, że robi mi pan koło dupy razem z nim, wyleci pan z wilczym biletem i nie dostanie roboty nawet jako cieć na osiedlowym parkingu, czy to, kurwa, jasne, panie majorze?

– Tak jest. – Oleszczuk wbijał wzrok w nieokreślony punkt gdzieś w przestrzeni gabinetu i usiłował sobie wyobrazić coś miłego.

Na przykład palmy.

– Zastanawia się pan teraz, dlaczego mówię to panu, a nie bezpośrednio pułkownikowi Łodygowskiemu, więc odpowiadam: jemu też to powiem w odpowiednim czasie. Wymagam i żądam absolutnej lojalności nie wobec przełożonego, którym jestem, tylko przede wszystkim wobec państwa, rozumiemy się? Służy pan nie ludziom, tylko właśnie państwu! Nie będę panu obiecywał zaszczytów i stanowisk w zamian za lojalność. Mam nadzieję, że honor oficera i Polaka to są wartości panu bardzo bliskie, panie majorze. To jest sprawdzian i chcę, żeby pan o tym wiedział. Tylko najlepsi przetrwają, jasne?

Oleszczuk wciąż twardo patrzył przed siebie. Kątem oka widział, że Widacki lekko się uśmiecha. Poseł odwrócił co prawda głowę, jakby nie chciał się mieszać do konfliktu, ale ten uśmiech nieudolnie maskowany gładzeniem dolnej wargi, a także sama obecność posła w tym pomieszczeniu świadczyły jednoznacznie o tym, że po pierwsze: jest w to zamieszany, a po drugie: po której stronie tego konfliktu się opowiada.

Karaimow wrócił za biurko i usiadł. Zdjął okulary, z szuflady wyjął etui, a z niego flanelową szmatkę i zaczął metodycznie czyścić szkła.

– Proszę pamiętać, o czym mówiłem – rzucił, nie podnosząc głowy, skupiony na czynności, którą wykonywał. – O lojalności. Na przyszłość:

zyczę sobie być informowanym o wszystkich szczegółach tej operacji. Jeśli nie przez Łodygowskiego, to przez pana, na każde moje polecenie. I radzę myśleć głównie o sobie, a nie o innych, kiedy przyjdzie pora na podejmowanie trudnych decyzji. Liczę na pana...

Ze spotkania Oleszczuk wyszedł z mętlikiem w głowie. Nie potrafił sobie poukładać tego, co widział i słyszał w gabinecie Karaimowa. Zachowanie ministra można było uznać pod pewnymi względami za irracjonalne. Twierdził, że mówi wprost, ale tak nie było. Poza tym robił to, co wszyscy do niego podobni na stanowiskach: dzielił i rządził. Nie chodziło o dobro państwa, o ideały; tu pryncypia były zgoła inne. Oleszczuk miał wrażenie, że jedynym celem tej rozmowy było skłócenie go z Łodygowskim. Karaimow grał w jakąś swoją gierkę, i to wyłącznie polityczną, twierdząc równocześnie, że robi to Łodygowski. Być może zbliżała się jakaś rozgrywka między jastrzębiami a gołębiami, a to miał być wstęp i przygotowanie pola.

Pytanie, czy Widacki, z którym Karaimowa łączyły chyba jeszcze bliższe relacje, niż Oleszczuk do tej pory podejrzewał, był w tej grze pionkiem, czy figurą.

Było jeszcze drugie pytanie, które Oleszczuk musiał zacząć sobie wreszcie zadawać. Zdał sobie sprawę, że to pokłosie zakończonej przed chwilą rozmowy z Karaimowem, a ziarno zasiane przez ministra zaczęło właśnie kiełkować, ale było to przecież w jakiś sposób naturalne pytanie. Zwłaszcza w tym popieprzonym świątku styku służb i polityki.

Czy Łodygowski też był wobec niego całkowicie szczery?

**22. Warszawa, mieszkanie majora Oleszczuka, 2 listopada, godz.  
11.40**

Usłyszałem chrobot klucza i stuk odblokowywanych w zamku zapadek. Nie wychodziłem z salonu, czekając, aż Oleszczuk do niego wejdzie. Pojawił się w drzwiach, obrzucił pomieszczenie szybkim spojrzeniem, jakby sprawdzał, czy coś się zmieniło, albo był w nim pierwszy raz i oceniał jego przydatność do swoich celów. Albo ryzyko. Ale w salonie byłem tylko ja. Tak jak prosił, dosłownie, siedziałem na dupie i czytałem książki. Historyczne. Oleszczuk miał ich całą biblioteczkę.

Podszedł do mnie i usiadł obok. Popatrzył, co czytam i powiedział:

– Czas sprawdzić kolejne nazwisko z listy Kamila. Pana Chena Quinga. Myślę, że taki powinien być nasz następny krok.

– Nie boisz się kolejnego zamachu? – zapytałem, prostując się i odkładając książkę na podłokietnik kanapy.

Arek splótł palce i zaczął im się przyglądać.

– Czy ja się boję, czy nie, to nie ma żadnego znaczenia. – Wygiął dłonie i stawy strzeliły, a mnie przeszedł dreszcz obrzydzenia. – Ja jestem w pracy. Tak naprawdę to pytanie do ciebie. I nawet nie chodzi o to, czy się boisz, czy nie, bo tylko idioci się nie boją i strach w tej sytuacji jest całkowicie naturalny. Pytanie brzmi: czy chcesz się wycofać. Pamiętaj, że działasz ze mną bez przymusu. W każdej chwili możesz sobie odpuścić i mieć w dupie, co ktoś sobie o tym i o tobie pomyśli. Jeśli chodzi o kwestie przeżycia, nic innego nie jest ważne, Adrian. Chcę, żebyś był tego świadomy. Ja na pewno nie będę ci miał tego za złe. Decyzja należy do ciebie. Lojalnie uprzedzam, że ryzyko jest dość duże, zresztą sam się już zorientowałeś. Rzecz jasna zrobię wszystko, co możliwe, żeby je zminimalizować i cię chronić. To moja praca. A twoja praca to sprawdzanie umów i analizy prawne w urzędzie, przypominam ci. Mnie za podejmowanie ryzyka płacą, tobie nie.



– Zawsze podejrzewałem u siebie ukryte pokłady altruizmu. Działam dla kraju, pamiętasz? Mój dziadek też walczył w powstaniu...

– Nie wygłupiaj się.

Pozwoliłem, żeby uśmiech zszedł z moich ust.

– Nie mam do czego wracać, Arek – powiedziałem nagle, po prostu i już całkowicie poważnie. – Rozstałem się z żoną, nie mam dzieci, rodziców, tylko rodzeństwo, brata, który jest mi już równie obcy jak, bez urazy, ty czy ktokolwiek inny. Moja praca nie jest szczytem marzeń, kariera stoi w miejscu, a tak naprawdę nie mam nawet ochoty tej kariery robić. Moje życie jest jałowe i puste; kurwa, nie mam nawet porządnych zainteresowań ani prawdziwych przyjaciół... Mam teraz wrócić do domu, gapić się w telewizor, w weekendy wyczekiwać poniedziałku, żebym mógł chociaż pójść do pracy, między ludzi, obcych, ale zawsze ludzi, i nie być sam? Nawet kota nie wezmę, bo jestem uczulony na ich sierść. Kiedy umrę w domu na zawał albo wylew, znajdą mnie dopiero po miesiącu, bo nie będzie nikogo, kto by o mnie zapytał czy zainteresował się moim losem, rozumiesz? Takim właśnie typem jestem. Kiedy opowiadałeś mi na początku naszej znajomości trochę o sobie, o swojej pracy i o tym, co robisz po pracy, a właściwie czego nie robisz, bo nie masz z kim, to słuchając cię, widziałem siebie, rozumiesz? Jesteśmy tacy sami, ale ty przynajmniej żyjesz tą swoją pracą. Ja nie... Ja żyję tylko biologicznie. Wegetuję. Tak było do tej pory, a teraz... To jest trochę chore i boję się tego odczucia, ale teraz czuję, że żyję. Po raz pierwszy od wielu lat.

Oleszczuk spojrział na mnie bez jakiegokolwiek wyrazu na tej swojej kwadratowej twarzy, a potem mlasnął i zapytał:

– Rozumiem, że to odpowiedź na moje pytanie, czy dalej w to grasz. Twierdząca odpowiedź?

– Dobrze rozumiesz – mruknąłem, spuszczać wzrok.

Przez chwilę pożałowałem swojego wybuchu emocji. Ale tylko przez chwilę. Oleszczuk budził we mnie jakieś nie do końca dające się nazwać uczucie, które mógłbym określić czymś w rodzaju ojcowskiej więzi, czyli czegoś, czego tak naprawdę nigdy nie dane mi było odczuć. Był zaledwie kilka lat starszy ode mnie, ale kiedy na mnie patrzył, odnosiłem wrażenie, że jego wzrok jest wzrokiem starego i mądrego człowieka, który wiele już w życiu widział, i choć nigdy nie zrozumie wszystkiego, to przynajmniej już

się niczemu nie dziwi. Mentor. Tak określa się czasem takich ludzi. On nim dla mnie nie był, nie takie relacje nas łączyły, ale to słowo dobrze oddawało istotę rzeczy. Ten człowiek jakimś niepojętym cudem sprawiał, że mijały mi opory przed otworzeniem się przed nim.

Przestałem nawet mieć do niego żal o podsłuchanie mojej rozmowy z Laurą.

– Jeśli chodzi o zamachy, zwłaszcza te na nas. – Arek uśmiechnął się lekko, ale samymi ustami. – To pojawiły się pewne sygnały, kto może za nimi stać, a w zasadzie, kto mógł je przeprowadzić.

– A to nie to samo?

– Nie. To prawie nigdy nie jest to samo. Wykonawcą zamachów jest najprawdopodobniej człowiek o nieustalonej jak do tej pory tożsamości, a nawet narodowości, znany służbom policyjnym całej Europy jako Cień. To cyngiel, zabójca do wynajęcia, tylko że wysokiej klasy. Jak to brzmi, co? Wysokiej klasy to może być dyrygent, specjalista fizyki jądrowej albo neonatolog... Ale on też jest dobry w swoim fachu. Zabójczo dobry. Niektórzy porównują go do Szakala, innego znanego międzynarodowego zabójcy do wynajęcia. Ale to nieprawda. Między nimi jest zasadnicza różnica. Iljicz Ramirez Sanchez lubił gwiazdorzyć. Lubiał, jak pisali o nim w gazetach. No i był terrorystą o skrajnie lewicowych poglądach, choć pieniądze lubił trochę za bardzo jak na pogromcę kapitalizmu. Cieniowi zaś nie zależy na sławie, a przynajmniej nie na tej ogólnie pojętej. Ten jego śmieszno-straszny pseudonim to nie dlatego, że jest prawie niewidzialny. Kilka kamer go uchwyciło, dziś to nieuniknione. Ale mimo to wciąż nie daje się złapać. On po prostu lubi pozostawać w cieniu, rozumiesz? Kryć się w nim. Nie ryzykuje bez potrzeby. Sanchez był zbyt znany, co się w końcu na nim zemściło. Doklejanie wąsów i peruki jest dobre na krótką metę, a dziś, w dobie biometrycznych dokumentów, w ogóle traci rację bytu. Dziś trzeba być ostrożniejszym.

Oleszczuk podszedł do biurka i aktywował klawiszem uśpiony komputer. Ekran rozjarzył się kolorami. Było na nim zdjęcie, wyglądało jak kadr z monitoringu i przedstawiało wnętrze jakiejś wielkiej hali, wyglądającej jak lotniskowy terminal. Rząd ludzi siedział przy kontuarze czegoś w rodzaju baru z fast foodami. Jeden z nich, obwiedziony dość niezdarną czerwoną kreską, miał przed sobą wysoką szklanę. U stóp wysokiego

krzesła, które zajmował, stał niewielki plecak.

– Schiphol – powiedział Oleszczuk. – Amsterdamskie lotnisko. Gość w czerwonym kółku to prawdopodobnie Cień. Najlepsze ujęcie, jakie mieli. Jak widzisz, zabawy grafików Europolu nie przyniosły większych efektów, bo ma okulary i czapkę, ale to już jest coś. – Kliknął w klawisz ze strzałką i zdjęcie się zmieniło. – A tu z Wenecji, też z lotniska, sprzed paru dni. Jakość nie najlepsza, ale trochę przypomina gościa, który strzelał do nas na tym placu, co?

– Tak, też ma okulary i czapkę... Weź wróć do poprzedniego – poprosiłem nagle.

Arek kliknął przycisk myszy.

– Co? – zapytał.

Zmarszczyłem brwi.

– Nic...

– No jak nic? Wyglądasz, jakbyś coś zauważył.

– Nee. – Pokręciłem głową. – Przez chwilę miałem wrażenie, że gość wygląda znajomo. Nie mówię o twarzy, bo jej przecież prawie nie widać, mówię o postawie.

– Postawie?

– Widzisz, nawet nie wiem, jak to określić. To właśnie takie wrażenie, rozumiesz?

– Powiedzmy. – Skrzywił się lekko. – W przypadku Cienia mamy też polski trop, wiesz?

– Jaki?

– Pół roku temu w warszawskim szpitalu zmarł pewien człowiek. Okoliczności śmierci były na tyle podejrzane, że rodzina zażądała sekcji zwłok. Nie chodziło o podejrzenie zabójstwa, tylko o popełnienie błędu medycznego, złej diagnozy skutkującej zgonem. I okazało się, że jego przyczyną było zatrucie rycyną. Znalaziono również ślady wkłucia na udzie. Tak właśnie działa Cień. W podobnych okolicznościach w czasie zimnej wojny zginęło kilku dysydentów: paru radzieckich, bułgarski... To był jeden ze sposobów służb krajów komunistycznych. Chyba się Cieniowi spodobał, bo zastosował go kilka razy.

– To trochę sprzeczne z tym, co powiedziałeś o nim przed chwilą w kontekście porównania z Szakalem. Skoro chce pozostać w cieniu, to

czemu zabija w charakterystyczny sposób, który ewidentnie wskazuje, że to on?

– Może powinniśmy na to spojrzeć inaczej? Pamiętaj, że przy otruciu rycyną od momentu zamachu do zgonu mija kilkanaście albo kilkadziesiąt godzin. Objawy można dość łatwo pomylić z wieloma wrednymi przypadłościami, zwłaszcza w podrzędnym szpitalu. Podejrzewam, że wiele jego celów uznano po prostu za ofiary jakiejś choroby o nietypowym i błyskawicznym przebiegu. Nie wiem: sepsa, na przykład. Nie każdy ma rodzinę, której zależy na prawdzie...

– Kim był ten zabity? – zapytałem.

– Właśnie to jest bardzo dziwne. Nikim specjalnym. Był muzykiem. Wiolonczelistą w warszawskiej filharmonii. W zasadzie z Cieniem łączy go wyłącznie trucizna i sposób jej zaaplikowania.

– Więc może to przypadek? Co Cień robiłby w Polsce?

– Może faktycznie przypadek. – Oleszczuk wzruszył ramionami. – Tylko po co ktoś chciałby się tak wysilać? Są o wiele prostsze i mniej ryzykowne sposoby zadania śmierci. A tu... On to chyba lubi. Zabijanie nie jest normalne, Adrian. A skoro tak, to on również nie jest normalny. Może to go rajcuje? Sama świadomość, że zadał śmierć w taki zindywidualizowany sposób? Nie wiem, ale mam nadzieję, że to się kiedyś wyjaśni. Że będziemy mieli okazję go o to zapytać, a on nam odpowie. I że zadamy te pytania bezpośrednio, twarzą w twarz, oddzieleni od niego wyłącznie stalowymi prętami.

– Podejrzewacie, że działa na zlecenie Chińczyków?

– Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Pewne rzeczy można uznać za oczywiste, choć w tym fachu rzadko kiedy coś jest oczywiste. – Spojrzał na mnie, marszcząc brwi. – Chyba nie spodziewałeś się, że jeśli zamach zlecają Chińczycy, to ten, kto go przeprowadza, też będzie Chińczykiem?

– Nie jestem idiotą. Zresztą nawet gdyby próbował nas zabić Chińczyk, to też by jeszcze o niczym nie świadczyło. Wyłącznie o tym, że był to Chińczyk.

– Prawnik z ciebie wychodzi. Logiczny do bólu. W zasadzie trudno się spodziewać, że do operowania na terenie Europy wybierze się Azjatę czy Murzyna. Najlepiej posługiwać się kimś, kto dobrze zna realia danego kraju, a przede wszystkim nie wyróżnia się, na przykład kolorem skóry.

Brata Kim Dzong Una zabiły w Malezji Wietnamka i Indonezyjka. Na lotnisku, wśród tysięcy ludzi wszystkich ras. To był majstersztyk! W dodatku były przekonane, że to taki telewizyjny „prank” i że są w ukrytej kamerze.

– Myślały, że zabijają na niby? Miały po dwanaście lat?

Oleszczuk uśmiechnął się półgębkiem.

– Wtarły mu w twarz jakiś środek. Każda miała na dłoniach swój neutralny składnik. Kiedy połączyły się na skórze brata Kima, nastąpiła reakcja chemiczna i aktywacja trucizny. Inna wersja mówi o pryśnięciu gazem VX w jego twarz. Północnokoreańscy agenci posłużyli się tymi kobietami, przekonując je, że występują w telewizyjnym show. To był naprawdę dobry numer, choć okazało się, że głośny, zbyt głośny, ale pamiętaj, że chodziło również o demonstrację i pokaz siły. A Cień jest po prostu skuteczny. A kiedy gra idzie o wysoką stawkę, skuteczność jest tym, co liczy się najbardziej. Mamy się dziwić, że wybrali jednego z najlepszych?

– W Wenecji nie zrobił tego kameralnie.

– Otóż to. Może więc to był taki pokaz siły. Albo ostrzeżenie.

– Nie jesteśmy dysydentami ani wolnymi strzelcami, Arek. Za nami stoi aparat całego państwa i Chińczycy o tym wiedzą. Nie pasuje mi tu żadne ostrzeżenie. Po prostu mu nie wyszło. Może cię nie docenił, a może w ostatniej chwili coś go zdekoncentrowało, nie wiem, przeszkodziło...

Oleszczuk milczał przez chwilę.

– Opinia o twojej przydatności do operacji „Boeing”, a właściwie jej braku, była wydana zbyt pochopnie. Masz analityczne podejście do rzeczy.

Spojrzałem na niego.

– Naprawdę stwierdzili, że się nie nadaję? – zapytałem, nie oczekując odpowiedzi.

– Dziwisz się?

– Nie – przyznałem. – Przecież ja to wiem najlepiej...

– Taak, wspominałeś. Wracając do kwestii zamachów na nas: nie sądzę, żeby przysłali Cienia do Polski. Nie powiem, że na pewno tego nie zrobią, ale uważam, że szansa jest nikła ze względów, o których przed chwilą mówiliśmy. To nie jego teren, więc chyba jesteśmy bezpieczni. Dalej mnie tylko niepokoi, że ktoś wie o każdym naszym ruchu i dzieli się tą wiedzą z Chińczykami.

– To się nie zmieni, dopóki o wszystkim będą informowani główni podejrzani.

– Zgadza się. A najgorsze jest to, że oni się ze sobą kontaktują. Gdyby tylko jeden z nich wiedział, dokąd jedziemy, byłoby oczywiste, że to właśnie on przekazał to dalej Chińczykom. Zamach był w Wenecji...

– Kamil. On wiedział, że będziemy w Wenecji – przerwałem mu, trochę wbrew sobie.

I znów, sugestia, że własny brat mógł maczać w tym palce, kosztowała mnie dość dużo.

Oleszczuk zmarszczył nos.

– Nie mógł wiedzieć, kiedy dokładnie tam będziemy. Wytropili nas po niespodziance od tej twojej Marianne, to już ustaliliśmy. O Folgarii wiedział teoretycznie tylko Karaimow, ale ze względu na zażyłość z Widackim mógł mu to powiedzieć i raczej to zrobił, choć moim zdaniem nie powinien. Do tajemnicy takich operacji dopuszczanych jest tak naprawdę tylko kilka osób i nie przypominam sobie sytuacji, żeby kiedykolwiek był to minister czy to spraw wewnętrznych, czy koordynator, że o pośle ze speckomisji nie wspomnę. Tak nie powinno być. To, że ktoś ma dopuszczenie do tajemnicy państwowej, nie oznacza jeszcze, że może znać każdą. Oni będą twierdzić, że są gwarantem jej zachowania i tak dalej, ale to i tak nie ma znaczenia. To nieprofesjonalne. Tak nie powinno się dziać, ale się dzieje, a ja jestem za krótki, żeby choć miauknąć o niestosowności takiego postępowania. Ten cały Widacki musi mieć niezłe wtyki. Karaimow z Dębskim są skonfliktowani, więc minister raczej nie przekazał mu tej informacji, zatem należy przypuszczać, że to nie Dębski. Ale to tylko przypuszczenie. Jak wszystko.

– Mógł się dowiedzieć od Łodygowskiego?

– Nie mógł – odparł zdecydowanie Oleszczuk. – Nie od niego. Dlatego Dębskiego stawiałbym na ostatnim miejscu, nawet mimo powiązań jego syna z chińskim biznesem. Ale prawda jest taka, że stoimy w miejscu, Adrian. Mamy sporo materiałów, ale nie są to konkrety, twarde dowody: nic z tego. To wciąż mało.

– Spodziewałeś się, że dostaniemy wszystko na talerzu?

– Niczego się nie spodziewałem. Trzeba to jeszcze zanalizować, pogrzebać, ale nie dam rady zrobić tego sam. Będę musiał jakoś zgrabnie wyciągnąć

różne cząstkowe informacje, tak żeby nie wzbudzać podejrzeń: od SOP-u, od Agencji Wywiadu, a potem kleić coś z tego. Ale to jeszcze sporo roboty, tak myślę. – Klepnął się w uda. – No nic, zobaczymy, na co trafimy, kiedy przyjrzymy się Quingowi.

– Dobrze pamiętam, że był obiektem waszego zainteresowania?

– Tak, dwa lata temu. Nie był objęty kontrolą operacyjną, zrobiono tylko pobieżny wywiad, związany z jego dość szerokimi i czasem dziwnymi kontaktami. Podejrzewany był o przemyt ludzi do Polski. Swoich ziomków, którzy tu, na miejscu, posługiwali się dokumentami Chińczyków przebywających w Polsce legalnie. Wiesz, dla nas wszyscy oni są podobni. Ten myk podpatrzyli chyba u Wietnamczyków: tamci w latach dziewięćdziesiątych rozmnażali się przez pączkowanie, szczególnie w Warszawie, w okolicach Stadionu Dziesięciolecia i wszyscy nazywali się Nguyen. Widać Chińczycy upatrzyli sobie Wrocław.

– Arek... – Coś nagle przyszło mi do głowy. – Pamiętasz, jak Cwynar opowiadał o tych naukowcach z Hongkongu? O jednym z nich, którego oprowadzał po Warszawie?

– Coś pamiętam.

– Cwynar wspomniał, że celem jego wizyty w Polsce nie była wyłącznie Warszawa...

– Tego akurat nie pamiętam. – Jedna brew Oleszczuka powędrowała wyżej. – A dokąd jeszcze miał pojechać?

– Do Wrocławia. Tak powiedział Cwynar.

Oleszczuk wpatrywał się we mnie ze zdumieniem.

– Jesteś pewien?

– Jestem. Zdziwiłem się nawet wtedy, bo myślałem, że jak ktoś leci pół świata do Polski na kilka dni, to punktem obowiązkowym oprócz stolicy będzie Kraków, a tu wyskoczył ten Wrocław...

– Trzeba sprawdzić, kiedy to było. Jeśli nazwiska tego naukowca nie będzie w aktach, w protokole z przesłuchania, zadzwonię do aresztu i poproszę o rozmowę z Cwynarem. Jako obywatel chiński facet podlegał kontroli przy wjeździe do strefy Schengen, więc można zdobyć te dane u pograniczników.

– I mamy możliwy związek z Zhao.

– Dlaczego? – zdziwił się.

– Tamten naukowiec przyleciał do Warszawy z Berlina. Tak powiedział Cwynar.

– Kurwa, co ty masz w głowie, twardy dysk? – Arek wyszczerzył zęby.

– Kwestia wprawy. – Wzruszyłem ramionami.

Oleszczuk zagryzł górną wargę.

– Zhao podróżował do Polski kilkakrotnie, mówiłem ci: targi, imprezy kulturalne i tak dalej. Nie stwierdzono aktywności wywiadowczej. Naukowiec z Tajwanu jest fizykiem, pewnie wie o grafenie tyle co Cwynar. Może był pośrednikiem albo po prostu instruował „Kowalskiego”, na co powinien zwrócić uwagę, planując wykradzenie danych? Najpierw konsultacje w Berlinie, dzięki czemu Zhao nie musiał ruszać się z miejsca, potem wizyta w Polsce, w Warszawie, gdzie Cwynar był tylko przykrywką, a właściwy cel, czyli Quing, był we Wrocławiu. W końcu z jakiegoś powodu Kamil tego Quinga nam wskazał. Co myślisz?

– Ma to sens – zgodziłem się. – Choć naukowiec mógł przylecieć z Berlina, bo tam właśnie lądował rejs z Chin. Ale pamiętaj, że jeśli nawet „Kowalskim” jest ktoś z naszej trójcy, to i tak żaden z nich nie miał możliwości fizycznego wykradzenia dysków z laboratorium.

– Wiem. Nie wiem za to, kto ma dyski. Czy Kamil, czy Chińczycy. A może on ma jeden, a oni drugi? To jest właśnie najgorsze. Gdybyśmy wiedzieli, że oba ma twój brat, byłoby jasne, że chciał je chronić przed Chińczykami, a teraz usiłuje jakoś nas nakierować na kreta, sam nie wiedząc dokładnie, kto nim jest. Jeśli mają je już jednak Chińczycy, bo dał im je na przykład Cwynar, to odnalezienie zdrajcy niczego już nie zmieni. To będzie musztarda po obiedzie. Marna satysfakcja.

– Kamil twierdzi, że Cwynar, który przecież miał możliwość wykradzenia dysków, jest niewinny, więc założmy, że tak faktycznie jest. On sam z kolei Chińczykom na pewno dysków nie dał. Jeśli nasz „Kowalski” nie miał współpracownika w instytucie, to można domniemywać, że albo dyski ma właśnie Kamil, albo nie ma ich nikt, a przynajmniej nie Chińczycy.

– To co by się z nimi stało? Przecież nie wyparowały. A instytut jest raczej czysty. Żadnych podejrzeń wobec pozostałych jajogłowych. Przemaglowali ich wte i wewte. I nic.

– Okej. Ale na twoim miejscu sprawdziłbym coś jeszcze.

– No?



– Kiedy duża zagraniczna firma zamierza wejść na jakiś obcy rynek, zwykle potrzebuje kogoś, kto jest dobrze zorientowany zarówno w specyfice lokalnej, jak i tej firmy. Taki łącznik w interesach. A kiedy dotyczy to różnych kultur, to już w ogóle. To zwykle dwa światy, dwa różne podejścia do biznesu.

– Co masz na myśli?

– Quing ma firmę consultingową, tak?

– Tak. No i?

– Syn Dębskiego – podpowiedziałem Oleszczukowi. – Developer na Mazurach i pałace na wodzie, pamiętasz? Sprawdź, czy korzystali z usług Quinga. Skoro były podejrzenia, że pan Quing zajmuje się nie tylko biznesem, to może faktycznie piecze kilka pieczeni na jednym ogniu? Doradza, przygarnia pod swój dach ziomków i pośredniczy w kontaktach wywiadowczych. Może faktycznie jest opiekunem naszego kreta. Zbyt częste podróże Zhao do Polski wzbudziłyby w końcu podejrzenia, ale Chińczyk mieszkający od dziesięcioleci w Polsce...

Oleszczuk wyglądał, jakby właśnie zobaczył przed sobą wyjątkowo atrakcyjną kobietę. Przysięgam, tak właśnie na mnie patrzył.

– Masz w oczach błysk. Klasyczny kurwik, wiesz? – powiedziałem półżartem.

Dlatego tylko pół, bo Oleszczuk faktycznie wyglądał jak pies, który chwycił trop. Wyraźnie miał nadzieję na jakiś postęp w sprawie, jakby oczekiwał, że we Wrocławiu znajdziemy coś, co przedstawi wszystko w nowym, pełnym i jasnym świetle. Nie sądziłem, by to, co powiedziałem przed chwilą, mogło jakoś diametralnie zmienić przebieg całej akcji. Jak dla mnie były to raczej jakieś przypadkowe powiązania. To naprawdę mogły być kwestie wyłącznie biznesowe.

– Kurewsko ci zależy na złapaniu go, co? – zapytałem.

Arek popatrzył na mnie, mając w oczach coś w rodzaju zadumy, która zastąpiła ten błysk sprzed chwili.

– Wiadomo, każdy z nas marzy o złapaniu szpiega – odparł z lekkim ociąganiem, jakby się tego wstydził. – Niewielu to się udaje, a jeśli nawet, to raz w życiu, a i tak przeważnie to jakiś pionek, debil, który myślał, że zostanie Bondem, albo chłopaczyna, który połasił się na łatwą kasę. Tak naprawdę szpiegostwo bardzo trudno udowodnić. Poza tym lepiej takiego

przekabacić, żeby grał dla nas, niż skazać. Rzadko kiedy dochodzi do postawienia zarzutów przez prokuratora. To wszystko strefa cienia, Adrian. Jeszcze mniej bieli i czerni niż gdzie indziej, tylko odcienie szarości. Nieoczywiste i niejednoznaczne moralnie. Dylematy. To echa niewypowiedzianych wojen.

– A ty?

– Co: ja?

– Złapałeś już swojego szpiega? Takiego przez duże „sz”?

Oleszczuk pokręcił głową.

– A chciałbyś?

– Kto by nie chciał? – Zadumał się.

– Wychodzi twoja ambicja...

– Czy to źle?

– Nie... W sumie nie...

Arek nagle się ożywił.

– Dobra, będę szczery. Owszem, chciałbym złapać swojego szpiega. I to takiego, jakiego szukamy. Grubą rybę. Ale nie dlatego, żeby do końca życia chodzić w glorii i chwale, nie. Chciałbym po prostu poczuć, że ta praca ma sens. Że jak trafiła się jakaś pazerna łajza, pieprzony zdrajca, to będzie można go pokazać i powiedzieć: mamy chuja, a wy, następni, którym przyjdzie do głowy zrobić coś podobnego, bójcie się. Może jestem staroświecki, a może po prostu pojebany, ale ja wręcz uwielbiam, kiedy dobro zwycięża. Kiedy triumfuje sprawiedliwość. Uwielbiam to uczucie, rozumiesz? I mam nadzieję, że nie jestem jedyny. Że jeszcze paru takich pojebów jak ja chodzi po tym świecie... – Westchnął. – Dobra, poczytaj sobie jeszcze, ja skoczę po żarcie...

Kiedy wyszedł, znów zagłębiłem się w *Ludowej historii Stanów Zjednoczonych*. Było tak inaczej niż w domu...

Po prostu dobrze.

## **23. Wrocław, Sun Hostel, 5 listopada, godz. 09.25**

Plan Oleszczuka był następujący. Chen Quing zostanie wezwany do delegatury ABW we Wrocławiu na rozmowę, podczas której będzie przesłuchiwany pod kątem jego informacji o działalności na terenie Polski chińskich służb wywiadowczych, z naciskiem na technologie. Rzecz jasna powie, że nic mu na ten temat nie wiadomo, ale nie o to chodziło. To miało być zamącenie wody. Petarda w szambie, jak określił to znów Oleszczuk. W tym czasie Quing miał już być objęty kontrolą operacyjną w najszerszym możliwym zakresie. Podśłuch telefonu, dostęp do kont mailowych, inwigilacja jego i najbliższej rodziny: żony i siedemnastoletniej córki. Arek liczył, że wystraszony nagłym zainteresowaniem służb jego osobą Quing uaktywni się, żeby poinformować o tym kogoś ze swoich: zapewne oficera prowadzącego, w domyśle Li Zhao. Albo kogokolwiek innego, o kim nie mieliśmy pojęcia. Oleszczuk miał nawet pojawić się podczas tej rozmowy i zostać przedstawiony Quingowi imieniem, nazwiskiem i stopniem, żeby wszystko było jasne: niech wiedzą, że istnieje związek między zaproszeniem Quinga do siedziby ABW a śledztwem w sprawie grafenu. I że niekoniecznie jest to macanie na ślepo. Chińczycy mieli poczuć nasz oddech na plecach. Tyle teorii.

– To zawsze jest zakładanie pewnych rzeczy – tłumaczył mi Oleszczuk jeszcze u siebie w mieszkaniu. – I nigdy nie możesz być pewien efektu. To gra, a jej przebieg warunkuje nie tylko skrupulatne planowanie, ale również zupełnie przypadkowe kwestie. Nie da się przewidzieć wszystkiego. Założenia to jedno, wykonanie to drugie. Drobiazgi, których nie wzięło się pod uwagę z różnych względów, mogą diametralnie zmienić postać rzeczy, a nawet wynik rozgrywki, bo i tak bywało. Poza tym wchodzimy teraz na grząski grunt; wyłaniamy się z cienia, w którym byliśmy w pierwszej fazie „Boeinga”. O tej części będzie wiedzieć więcej ludzi zaangażowanych w inwigilację Quinga, choć oczywiście to będzie

wiedza cząstkowa. No i jest zebranych trochę materiałów, które będę analizował, i szczerze mówiąc, mam nadzieję, że efekty, jakie przyniesie ta prowokacja, tylko mi w tym pomogą.

– Jak szybko jesteście w stanie zacząć kontrolę? – zapytałem.

– Można ją rozpocząć bez zgody sądu, jeśli istnieją po temu wyraźne przesłanki, takie jak groźba zatarcia dowodów czy utrata informacji. Tu zakładamy, że istnieją jak cholera. Złożymy oczywiście wnioski o wydanie postanowienia, prokurator Gonera nie powinien robić żadnych problemów. Wyda nam zgodę na wystąpienie z takim wnioskiem do sądu, ale zanim sąd go rozpatrzy, minie kilka dni. Nie mamy tyle czasu.

– A co, jeśli sąd oddali wasz wniosek?

– Dlaczego?

– Podobno Quing był już objęty kontrolą operacyjną. Przyniosła coś? Postawiono mu potem jakieś zarzuty?

– O ile wiem, to nie. Ale tamta kontrola dotyczyła czegoś innego.

– Nie szkodzi. Była. Sędzia może dojść do wniosku, że skoro nie przyniosła efektów, to kolejna kontrola jest nieuzasadniona. Dziś mamy wysokie standardy, jeśli chodzi o zasadność ingerencji w wolność osobistą jednostki, zapomniałeś?

– Uzasadnieniem zajmiemy się my. Agencja.

– No to nie nieuzasadniona, tylko bezcelowa. Co wtedy?

– Gonera zgodzi się na bank, co do sądu, faktycznie trudno przewidzieć – przyznał Arek z lekkim ociąganiem. – Ale jest tak, że jeśli w ciągu tych ustawowych pięciu dni od daty zarządzenia kontroli sąd nie udzieli na nią zgody, to należy ją wstrzymać. Ale to wciąż pięć dni. Tylko i aż. Może tyle wystarczy.

– Da się po wstrzymaniu wykorzystać materiały?

Oleszczuk się skrzywił.

– Nie, to bezprawne. Należy je zniszczyć. Ale nie szkodzi. Kropki z gówna ciężko sprać. Nawet jeśli nie da się tego wykorzystać procesowo, to nie znaczy, że tego nie było. To wciąż będzie trop, który dokądś nas poprowadzi. A właściwie do kogoś. – Uśmiechnął się lekko. – Zgadujemy do kogo? Karaimow, Dębski, Widacki?

– Wiesz – powiedziałem z wahaniem – przyszło mi do głowy, że Kamil dowiedział się o Karaimowie i jego roli w wydarzeniach

z dziewięćdziesiątego trzeciego. Może on wie więcej niż ty, może jest coś, za co Karaimow ponosi odpowiedzialność, i Kamil chce, żeby za to faktycznie odpowiedział...

– Chce się zemścić?

– Nie wiem. Głośno myślę.

– Po co zaprzątasz sobie głowę takimi rzeczami akurat teraz?

– Bo może to jest coś, co powinniśmy jednak wziąć pod uwagę? Nie wiemy praktycznie nic, cały czas zgadujemy, więc równie dobrze mogę mieć teraz rację, nie sądzisz?

Oleszczuk westchnął.

– Teoretycznie tak, ale takie scenariusze można by mnożyć w nieskończoność. Opierajmy się jednak na faktach, a nie domysłach, a przynajmniej nie w aż takim stopniu. Poczekajmy na efekty rozmowy z Quingiem. – Zatarł ręce. – Mam przeczucie, że skończy się to czymś spektakularnym... Aha. Poprosiłem Gonere o nazwisko tego naukowca z Tajwanu, który odwiedził Cwynara w Warszawie. Nazywał się Luo Shugang. Trzeba będzie...

– Ja pierdolę – szepnąłem, przerywając mu w pół słowa.

– Co jest?

– Daj mi te notatki Farada – zażądałem.

– Po co?

– Dawaj!

Oleszczuk wyciągnął ze swojej nierozpakowanej jeszcze torby leżącą koło kanapy saszetkę, a z niej zbindowany plik kartek, który wzięliśmy z mieszkania Ibrahima Farada. Wyrwałem mu go z ręki, otworzyłem i zacząłem wertować. Kiedy dotarłem do tabelki z nazwiskami uczestników spotkania, położyłem palec na jednym z nich, w tabelce z uczestnikami strony luksemburskiej, tam gdzie były również dwa nazwiska osób powiązanych z tajwańską firmą zainteresowaną kupnem reaktora od PIZE. Pokazałem je Oleszczukowi.

Zrobił wielkie oczy.

– Zawsze może to być zbieżność nazwisk – ostudziłem jego zapał.

Swój również. Jak zwykle starałem się być obiektywny, ale chyba nie było wątpliwości. Oleszczuk tylko parsknął.

– Sugerujesz, że w Chinach nazwisko Luo Shugang to taki odpowiednik

naszego Jana Kowalskiego, tak? – zapytał.

Nie odpowiedziałem.

\* \* \*

**Wrocław, 5 listopada, Wydział Zamiejscowy we Wrocławiu delegatury ABW w Poznaniu, ul. Druckiego-Lubeckiego 2, godz. 11.30**

Chena Quinga przywieziono po jedenastej. Siedziałem w małym pomieszczeniu ukryty za lustrem weneckim i obserwowałem, jak drobny, zgarbiony człowieczek o żółtawej skórze, skośnych oczach i nieproporcjonalnie dużej głowie pokrytej rzadkimi, siwymi włosami siada przy biurku przed funkcjonariuszem i poprawia się na krześle, a potem gładzi po udach, jakby sprawdzał, czy kanty prążkowanych spodni od garnituru są wciąż na miejscu. Z drugiej strony stołu siedział funkcjonariusz ABW, który miał go wprowadzić w temat rozmowy. Oleszczuk mrugnął do mnie i wyszedł z kanciapy, a po chwili zobaczyłem, jak wchodzi do pokoju przesłuchań czy też, jak to ładnie określano w miejscowym slangu: pokoju rozmów.

Podszedł do stołu i usiadł naprzeciwko Quinga. Popatrzył na niego, zrobił dziwną minę i pomacał się po biodrze, jakby go coś uwierało, a następnie uniósł się lekko na krześle i wyjął z kieszeni spodni klucz do naszego pokoju hotelowego. Przyjrzał mu się z lekkim zdziwieniem, jak gdyby widział go pierwszy raz, i odłożył na bok.

– Dzień dobry, major ABW Arkadiusz Oleszczuk. To nie będzie długa rozmowa, ale ze względu na jej poufny charakter zdecydowaliśmy się zaprosić pana do nas, zamiast rozmawiać u pana.

Jego głos dobiegał do mnie z głośnika wiszącego w rogu pomieszczenia.

– Mam bardzo mało czasu – powiedział Quing, w specyficzny sposób zmiękczając głoski.

– Oczywiście, rozumiem, dlatego załatwimy to bardzo szybko...

– Chciałem powiedzieć, że tamte oskarżenia sprzed dwóch lat były bardzo krzywdzące i postawiły mnie w wyjątkowo złym świetle wobec moich partnerów w interesach...

– Nie, nie, zostawiamy tamtą sprawę... – Arek machnął niedbale ręką –

...choć oczywiście nie będę twierdził, że całkowicie o niej zapomniami. Jest pan tu nie tylko z racji pańskiej barwnej przeszłości i podejrzeń o nielegalną pomoc, że tak to określe, udzielaną pańskim rodakom kilka lat temu. Doszły nas słuchy, że służby specjalne pańskiego kraju starają się pozyskać do współpracy swoich obywateli zamieszkujących terytorium Rzeczypospolitej.

– Dlaczego rozmawiacie akurat ze mną? Mało jest Chińczyków w Polsce? We Wrocławiu?

Oleszczuk z kpiącym uśmiechem bawił się kluczykiem, głośno stukając breloczkiem o blat, jakby chciał wyprowadzić Quinga z równowagi.

– Panie Quing, przecież obaj wiemy, że pan jest wyjątkowy. Zna pan wszystkich, wszyscy znają pana... Można powiedzieć, że jest pan nieformalnym przywódcą chińskiej diaspory w tym mieście. Do kogo innego mogliby się zwrócić, jak nie do pana?

Quing skłonił głowę, garbiąc się jeszcze bardziej, a oczy na chwilę zupełnie zniknęły w wąskich szparach powiek. Zmarszczki na twarzy pogłębiły się, żłobiąc ją skomplikowaną siatką bruzd.

– Pan jest bardzo miły, panie majorze, ale to nie do końca prawda. Mieszkam w tym kraju ponad ćwierć wieku, to fakt. W tym mieście jestem od siedemnastu lat. Mam tu sieć restauracji, szkołę języka chińskiego, biuro podróży, organizuję obchody chińskiego Nowego Roku, aktywnie promuję Polskę w chińskich mediach społecznościowych. Moja córka mówi po polsku lepiej niż niejeden z jej kolegów ze szkoły, polskiej szkoły. Prowadzę szeroką działalność edukacyjną i kulturalną, pomagam inwestorom, wie pan, że dostałem od waszego państwa medal upamiętniający sześćdziesiąt pięć lat współpracy w ramach stosunków polsko-chińskich?

– Bardzo się cieszę i gratuluję, ale nie to jest przedmiotem naszej...

– A teraz administrator chce usunąć moje firmy z biurowca przy ulicy Świętej Katarzyny... – Monotonny ton głosu Quinga nie zmienił się ani odrobinę. – Miasto wymówiło mi lokale po tylu latach. Za co? Płacę czynsz regularnie, nie mam żadnych zaległości. Nie jestem z nikim skonfliktowany, przynajmniej biznesowo. Nawet ten remont, który trwa od roku, a który utrudnia mi prowadzenie interesu, toleruję, bo podobno ma podnieść standard budynku... To wasza zemsta? Jestem biznesmenem,

panie majorze. Nie wikłam się w ciemne interesy, bo ja chcę zarabiać pieniądze i dawać ludziom radość. Moim rodakom i pana rodakom, w imię wspólnej...

– Panie Quing. – Widziałem na twarzy Oleszczuka rozbawienie i zarazem znużenie rozmową. – Powtarzam panu: nie interesują mnie pana osobiste kłopoty, nie po to tu jesteśmy, a ja nie mam wpływu na sytuację, w której pan się znajduje. Tak więc skończmy może nasze spotkanie. Proszę o poinformowanie nas, gdyby ktoś z pańskich rodaków zwrócił się do pana o udzielenie pomocy, której forma i charakter byłyby niezgodne z polskim prawem. Czy pan to rozumie? Zwłaszcza w aspekcie związanym z nowoczesnymi technologiami. To mam na myśli.

Chińczyk kiwał siwą głową ze spuszczonego wzrokiem.

– Zna pan Luo Shuganga? – zapytał nagle Oleszczuk.

Quing drgnął, jak wyrwany z zamyślenia.

– Kogo?

– Luo Shugang. To fizyk z uniwersytetu technicznego w Tajpej. Zna pan go?

– Znam dużo ludzi.

– Ale ja pytam, czy zna pan jego, a nie innych ludzi. Przebywał we Wrocławiu w zeszłym roku. A skoro pan jest taki aktywny w kontaktach z rodakami, to może z nim też miał pan do czynienia?

– Możliwe. – Wypowiedział to jako „możliwe”, a siwa głowa znów się zakołysała niczym u pieska maskotki na desce rozdzielczej. – Ale jak już mówiłem, znam bardzo dużo ludzi. I chyba już pamięć nie ta...

Quing sprawiał wrażenie, jakby nie do końca rozumiał, o co chodzi Oleszczukowi, albo nie pojmował niuansów języka polskiego. Arek przyglądał mu się badawczo.

– A ja myślę, że ma pan świetną pamięć – powiedział. – Ale na wszelki wypadek jeszcze raz przypomnę: proszę o kontakt z nami, w razie gdyby zgłosił się do pana ktoś chcący pozyskać pana do współpracy w niedozwolonym polskim zakresie. Uniknie pan w ten sposób jeszcze większych kłopotów niż te, o których mi pan opowiedział. Proszę mieć to na uwadze.

Chińczyk znów przytaknął monotonnym ruchem głowy.

– Czy to już wszystko? – zapytał.



Oleszczuk rozparł się na krześle i założył ręce na piersi.

– Tak, to wszystko. Dziękuję i do widzenia.

Odprowadził Quinga wzrokiem, kiedy ten wychodził z drugim funkcjonariuszem z pokoju. Potem spojrział w lustro, za którym stałem, i zrobił nieokreśloną minę. Wstał i chwilę później był już u mnie z butelką wody.

– Widziałeś dziada? – sapnął, odkręcając ją. – Pierdoli o tych swoich szemranych interesach, jakby był czyściutki niczym łza dziewicy. Udaje niemotę, którym nie jest, inaczej nie utrzymałby tylu srok za ogon. Jestem pewien, że w tym siedzi. Twój brat miał rację.

Przytknął butelkę do ust i upił parę łyków wody.

– I co, już, po wszystkim? – zapytałem zdziwiony, patrząc, jak rusza mu się grdyka. – Puszczacie go?

Opuścił butelkę, odstawił ją na stół i spojrział na mnie zdziwiony, ocierając usta wierzchem drugiej dłoni.

– A co chciałeś? Żebyśmy go trzymali bez snu i jedzenia, aż się do czegoś przyzna? Przecież wiesz, na czym polega plan. Tylko zarzuciliśmy wędkę, Adrian. I teraz zobaczymy, kto się złapie. Czy Quing, czy jakaś grubsza ryba. – Wyjął z kieszeni klucz do pokoju, podrzucił go w dłoń i uśmiechnął się drapieźnie. – Nie spuszczaamy wzroku ze spławika. Niech no tylko zadrzy...

\* \* \*

## **Warszawa, mieszkanie Mariusa, 6 listopada, wieczór**

Mariusz leżał w wannie pełnej wody, usiłując o niczym nie myśleć. Na twarzy miał wilgotny, gorący ręcznik. Pozwalał działać na swoje ciało sile wyporu wody i czuł się zawieszony niczym płód w płynie owodniowym. Przez słuchawki wetknięte w uszy sączyły się kojące dźwięki pierwszej arii Królowej Nocy, a jego umysł oczyszczał się tak samo jak ciało. Chciał go wyjałować, sprawić, by był jak niezapisana kartka, świeży i gotowy na nowe bodźce. Taki psychiczny reset. Potrzebował tego jak każdy. Nie dane mu było jednak cieszyć się tą chwilą, bo w uszy wdarł się nowy dźwięk, w sposób grubiański i wysoce niestosowny przerywając Dianie Damrau jej partię. Mariusz z ciężkim westchnieniem zdjął ręcznik z twarzy, odłożył go

na krawędź wanny i sięgnął po telefon leżący we wnęce na kosmetyki.

Mógł nie odebrać, ale to nie było w jego stylu.

– Tak, panie Czang? – Nawet nie starał się wykrzesać w sobie choć odrobiny entuzjazmu, bo po prostu go nie czuł.

– Pojawiły się nowe okoliczności, Marius. Jak szybko może pan się znaleźć we Wrocławiu?

## **Wrocław, Sun Hostel, 7 listopada, godz. 09.25**

Oleszczuk siedział na parapecie przy uchylonym oknie i palił papierosa. Prawdziwego. Wydmuchiwał dym przez szparę i obojętnie patrzył przez szybę na niebo. Widziałem jego masywny kark, łysą głowę i zgarbione plecy. Profil z wydatną, kwadratową żuchwą przywodził mi na myśl antyczną rzeźbę.

– Dlaczego ciągle siedzimy w tym pieprzonym hostelu? – zapytałem, poprawiając się na łóżku. – Nie możemy gdzieś się przejść?

Z głośnika na bluetooth, który przyniósł skądś Arek, sączyli się Stonesi. Właśnie skończyło się *Paint it black*.

– Nie pokazujemy się na mieście. – Arek pokręcił głową.

– Powiedziałeś, że wychodzimy z cienia?

– Ale zostajemy w półcieniu. Poczytaj sobie...

– Mogę wiedzieć, czemu ciągle siedzisz w oknie? Fascynuje cię beton? Niczego innego stąd nie widać.

Oleszczuk milczał.

– Co z Quingiem? – drążyłem. – Wykonał jakieś nerwowe ruchy?

– Jeszcze nie wiemy. Spotyka się z różnymi ludźmi, ciągle wisi na telefonie; człowiek interesu. Trochę mu zazdroścę inwencji i energii w tym wieku...

Nagle Oleszczuk urwał i wyprostował się. Zobaczyłem, jak ramiona mu się unoszą, a twarz tężeje w wyrazie zacięcia. Patrzył w dół, na mały dziedziniec okolony ścianami kamienic i oficyn zamykających przestrzeń na podobieństwo wielkiej, prostokątnej studni. Nie odwracając oczu od widoku za oknem, zgasił papierosa w szklance stojącej na parapecie.

– Zostań w pokoju – powiedział takim tonem, jakiego nigdy wcześniej u niego nie słyszałem.

– Co się stało? – zaniepokoiłem się.

– Zostań, dopóki do ciebie nie zadzwonię. – Arek doskoczył do swojej torby leżącej za łóżkiem.

Pochylił się i po chwili w jego rękę zobaczyłem pistolet. Poczułem, jak krew odpływa mi z twarzy.

– Co jest? – wydukałem.

– Zamknij się od środka i czekaj na mój telefon, rozumiesz? – Miał skupioną i poważną minę, choć oczy błyszczały mu nienaturalnie jak zawsze, kiedy się czymś ekscytował.

– Co tam zobaczyłeś? – zapytałem, ale Oleszczuk był już przy drzwiach.

– Śmierdzi mi jeden gość na dole.

– Czy to on, Arek? Czy to Cień?

Obejrzał się od drzwi.

– Nie wiem, być może. Ale ty nie ruszasz się stąd, dopóki nie zadzwonię, rozumiesz? Zamykaj! – rzucił jeszcze i już go nie było.

Z bijącym sercem podszedłem do drzwi i przekręciłem klucz w zamku. Nie miałem pojęcia, co dalej. Podbiegłem do okna i odsunąłem przesiąkniętą zapachem tanich środków piorących firankę. Dziedziniec był pusty. Otworzyłem okno szerzej i wychyliłem się, rozglądając na boki. Nagle zauważyłem Arka. Wybiegł z budynku przez tylne drzwi, które, jak nas poinformowała recepcjonistka, używane były w nocy przez spóźnialskich i imprezowiczów. Oleszczuk zwolnił, rozejrzał się z ręką wciśniętą pod pachę. Nie wyciągał jej. Nagle znów rzucił się do biegu, przeciął dziedziniec po skosie i skierował się w stronę witryny ze studiem tatuażu. Chciałem zawołać do niego, ale przyszło mi do głowy, że nie będzie zadowolony.

I wtedy wszystko się zawaliło. Wspomnienie z Wenecji wróciło nagle jak bumerang, który źle rzucony trafia nie do ręki, tylko w głowę. Strzał był dużo bardziej ogłuszający, a echo odbijające się od ścian głośniejsze i dłuższe niż tamto nad kanałem. Zobaczyłem, jak jakaś niewidzialna siła zatrzymuje Oleszczuka w miejscu, jakby biegnąc, natrafił na przeszkodę rozciągniętą na wysokości pasa. Jego tułów i nogi siłą rozpędu przesunęły się jeszcze ku przodowi, ale coś, co chwyciło go w pasie, nie pozwoliło biec dalej. Arek złożył się jak scyzoryk i upadł na ziemię, chwytając się za brzuch.

## 24.

Patrzyłem na to z wysokości trzeciego piętra i nie byłem w stanie nic zrobić. Kompletnie nic, mogłem tylko stać i gapić się. Oleszczuk drgnął jeszcze, lekko poruszył nogami, jak gdyby chciał się poderwać z ziemi i rzucić do biegu, ale po chwili znieruchomiał, trzymając się za brzuch. Nawet stąd widziałem wyraźnie białą plamę twarzy odcinającą się od szarości posadzki tak samo mocno jak jasnoczerwona plama krwi wypływająca spod jego ciała. Było jej okropnie dużo. Buchała niepowstrzymanymi falami, zagarniającymi zachłannie kolejne kostki bruku, a wraz z nią z Arka wyciekało życie.

Poczułem, że zaraz upadnę, więc chwyciłem się parapetu, ściskając go tak mocno, aż strzeły stawy. Głos Micka Jaggera dobiegający z głośnika brzmiał w tych okolicznościach irracjonalnie.

Nagle na dziedzińcu ktoś się pojawił. Spokojnym krokiem wyszedł z zacienionego przejścia w plamę słońca zagląającego do studni znad kalenicy, minął ciało Oleszczuka, obojętnie mu się przyglądając, a potem odwrócił się, przystanął i wymierzył broń w jego stronę. Zamknąłem oczy, modląc się, żeby to nie była prawda, albo chociaż żeby to, co miało się zaraz wydarzyć, nie wydarzyło się. Ale wtedy znów zagrzemiał suchy wystrzał, a zaraz po nim następny. Kiedy otworzyłem oczy, postać zniknęła w drugim przejściu, prowadzącym na główną ulicę.

A więc wydarzyło się. Oleszczuk leżał nieruchomo w plamie jasnoczerwonej krwi.

Panowała niemal absolutna cisza, nie licząc cichych słów refrenu sączącego się w przestrzeni pokoju.

*Jumpin' Jack Flash, it's a gas, Jumpin' Jack Flash, it's a gas...*

Oleszczuk nie żył, nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Zaciskałem spocone dłonie, czując, że zaraz wpadnę w panikę. Miałem w głowie kompletną pustkę. Gdzieś tam pod czaszką kołatały się instrukcje

Oleszczuka, ale byłem jak porażony, niezdolny do myślenia, ruchu czy jakiegokolwiek reakcji wymagającej użycia mięśni lub rozumu. Mogłem tylko stać w miejscu, a i to z trudem, i wpatrywać się w ciało Arka leżące na środku dziedzińca jak szmaciana lalka zrzucona z dachu przez znudzone dzieciaki.

Napiąłem mięśnie i drgnąłem, co pozwoliło mi wreszcie ocknąć się z tego odrętwienia. Zacząłem na powrót oddychać, głęboko i spazmatycznie, poczułem ucisk w nadbrzuszu, co mogło zwiastować reakcję organizmu podobną do tej, którą miałem w weneckim hostelu kilka dni temu. I ta obawa sprawiła, że otrząsnąłem się do reszty i zacząłem postępować jak automat. Doskoczyłem do torby Oleszczuka i wyciągnąłem z niej saszetkę z materiałami „Boeinga” oraz jego mały notebook, na którym tak zawzięcie klikał wieczorami. Nic innego mnie nie interesowało. Zostawiłem torbę Arka, swoją, wszystkie ubrania i kosmetyki. Z wieszaka przy drzwiach ściągnąłem kurtkę i narzuciłem ją na siebie. Zza okna dobiegł mnie czyjś przeraźliwy krzyk. Urwał się w momencie, w którym wyskoczyłem na korytarz i zatrzasnąłem za sobą drzwi.

Pobiegłem w stronę klatki schodowej, ściskając pod pachą saszetkę i notebook Oleszczuka. Dopadłem schodów i dygocząc na całym ciele, przeskakiwałem co trzy stopnie, aż w połowie drogi zatrzymałem się, porażony nagłą myślą: czy zabójca nie idzie teraz po mnie?

Zawróciłem.

Znów przeskakując po dwa stopnie, wróciłem na kondygnację, na której był nasz pokój. Hostel zajmował całe drugie i trzecie piętro, na parterze i pierwszym znajdowały się pomieszczenia biurowe, szkoły językowe i jakieś gabinety doradców zawodowych czy psychologów. Na górę prowadziły dwie klatki schodowe i winda. Windę sobie darowałem, istniało zbyt duże ryzyko, że spotkam się z zabójcą, kiedy zjadę na dół, albo nawet kiedy ona przyjedzie na górę i on pojawi się za rozsuwającymi się drzwiami. Wybrałem klatkę ewakuacyjną. Była szersza i miała sporą przestrzeń między biegami schodów, co pozwalało zobaczyć, kto nimi idzie nawet dwa piętra wyżej czy niżej. To była moja szansa. Zamiast z powrotem w dół pobiegłem na górę, gdzie było już tylko wyjście na dach. Drabinka wisiała wysoko nad posadzką, ale nie zamierzałem z niej skorzystać. Chciałem tylko przez chwilę skupić się w spokoju, nie

narażając się na spotkanie z kimkolwiek. Naprawdę przez chwilę, na więcej nie było czasu – musiałem zniknąć. Skoro byłem zameldowany w pokoju z Oleszczukiem, to policja od razu zapyta o mnie i zatrzyma mnie do wyjaśnienia. A na to nie mogłem sobie pozwolić. Wyciągnąłem telefon. Nie traciłem cennego czasu na przypominanie sobie numeru, skoro miałem go w kontaktach. Dotknąłem ikonki ze słuchawką, modląc się, by ktoś po drugiej stronie odebrał.

Moje modlitwy zostały wysłuchane. Usłyszałem głos i ścisnąłem komórkę w dłoni. Człowiek, który odezwał się do mnie, był w tej chwili jedyną osobą, na którą mogłem liczyć.

- Dyżurny oficer operacyjny ABW, słucham?
- Orkan, Orkan – niemal załkałem do telefonu.
- Potwierdzam Orkan. Zidentyfikuj się.
- Adrian... – zacisnąłem zęby. – Kurwa, przepraszam... – Miałem pustkę w głowie. – Gem Drugi. Gem Drugi.
- Czekaj...

Cisza, która w rzeczywistości trwała może dwie, trzy sekundy, dla mnie była jak cała pierdolona wieczność. Gdzieś w tle słyszałem delikatne klikanie klawiszy.

- Potwierdzam Gem Drugi – usłyszałem wreszcie. – Co się stało?
- Czy... Czy można mówić?
- Można, mów. – Spokojny i opanowany głos pomógł mi skupić myśli.
- Ale... Czy ja mogę mówić otwarcie? Nie jestem od was, ja...
- Możesz mówić otwarcie. Co się stało?
- Oleszczuk nie żyje. Major Arkadiusz Oleszczuk, funkcjonariusz ABW. Przed chwilą został zastrzelony. Byłem z nim, teraz uciekam. On mi kazał, kazał mi uciekać i dzwonić pod ten numer...
- Czy funkcjonariusz na pewno nie żyje?
- Kurwa, na pewno... – odpowiedziałem gorzko, ledwie powstrzymując się od dosadnego komentarza, ale jakoś zdołałem wziąć pod uwagę fakt, że to mój rozmówca zachowuje spokój i potrzebuje dokładnych informacji, a ja działałem w skrajnych emocjach.
- Podaj, gdzie jesteś. Miasto, ulica, numer, rodzaj budynku.
- Wrocław, Sun Hostel przy... Nie pamiętam, jak się nazywa ta ulica... Chyba Kazimierza Wielkiego.

– Jesteś teraz sam?

– Tak.

– Czy grozi ci bezpośrednio niebezpieczeństwo?

– Nie wiem... Teraz chyba nie. Uciekłem...

– Jesteś ranny?

– Nie.

– Jesteś mobilny?

– W jakim sensie? Czy mam samochód?

– Nie, czy jesteś zdolny do działania?

– Czyli czy mogę gdzieś pójść? O to chodzi?

– Tak.

– Mogę. Czy mam poczekać na policję? Już chyba jadą. – Słyszałem dźwięk syreny, choć nie miałem pojęcia, czy to policja, czy na przykład ambulans albo straż pożarna.

– Nie czekaj. W miarę możliwości unikaj kontaktu z kimkolwiek, z policją też. Udasz się w miejsce, które ci zaraz wskażę. Przede wszystkim zachowaj spokój, to teraz najważniejsze...

Prawie parsknąłem śmiechem. Chryste, zachowaj spokój...

– Dokąd mam iść?

– Czekaj... – Znów chwila wlokąca się w nieskończoność. – Plac Solny. Starówka, blisko twojej lokalizacji. Przejdź tam jak najszybciej. Pozostań wśród ludzi, trzymaj się większych grup. Kiedy już będziesz na placu, stań przy iglicy, to taki charakterystyczny punkt, nie przegapisz go. W ciągu dwudziestu minut od teraz ktoś po ciebie przyjdzie. Poda hasło „Orkan”, odpowiesz mu swoim kryptonimem „Gem Drugi” i pójdziesz z nim. W porządku, kolego?

Zamknąłem oczy i nabrałem głęboko powietrza.

– W porządku – szepnąłem.

– Ruszaj. Gdybyś nie zdążył w dwadzieścia minut, po następnych dziesięciu ten ktoś znów będzie cię tam szukał, aż do skutku, co dziesięć minut. Powodzenia.

– Dziękuję. – Rozłączyłem się.

Patrząc w jasny kwadrat światła sączącego się przez świetlik, oddychałem głęboko i gorączkowo zastanawiałem się, co zrobić z saszetką i notebookiem. Nie mogłem mieć ich ze sobą. Od razu mi je zabiorą,

a szanse na oddanie ich osobiście szefowi ABW były nikłe jak cholera i dobrze o tym wiedziałem. Nie mogłem zawieść Oleszczuka. Nie chciałem stracić efektów naszej pracy i być może jedyne go tropu, jaki prowadził do „Kowalskiego”. Byłem to winny Arkowi. Może nie byłem zbyt pojętym uczniem szpiegowskiego rzemiosła i szczerze mówiąc, miałem to w dupie, ale musiałem być w porządku wobec Arka. Przyszedł czas, żeby porządnie doprowadzić coś do końca.

Wstałem. Nogi wciąż miałem jak z waty, ale czułem się już pewniej. Zdjąłem kurtkę i bluzę, ostrożnie wyglądając za barierkę, czy ktoś nie nadchodzi. Kurtkę włożyłem z powrotem, a notebooka i saszetkę owinąłem w bluzę i wcisnąłem sobie pod pachę, za połę kurtki. Zacząłem powoli schodzić na dół. Klatka była pusta. Na drugim piętrze zobaczyłem, że jedne z drzwi są lekko uchylone. Dochodził zza nich zapach, jaki pamiętałem z dzieciństwa z magła. Coś przyszło mi do głowy. Zajrzałem tam ostrożnie. Nieduże pomieszczenie zajmowały worki wypełnione czymś miękkim. Na wielkim stole leżały jakieś ubrania i żelazko, ale po chwili zorientowałem się, że ubrania to w rzeczywistości poszewki na kołdry i poduszki. Miały takie same wzory jak te w naszym pokoju.

Byłem w hotelowej pralni.

Wślizgnąłem się przez szparę w drzwiach i przymknąłem je. W środku nikogo nie było, żelazko cykało cicho, a więc ktoś, kto tu pracował, wyszedł tylko na chwilę. Znow nie miałem za wiele czasu. Pomieszczenie było długie i wysokie. Minąłem prasownię i wszedłem między regały z workami. Za nimi było okno. Grzejnik obudowany był zakurzonymi panelami z blachy. Odchyliłem jeden z nich, w tej samej chwili przypomniało mi się „umówione miejsce” i zachciało mi się płakać. Pod grzejnikiem było mnóstwo kurzu i pajęczyn, co bardzo mnie ucieszyło, bo oznaczało, że nikt nie zaglądał tam od wieków i nieprędko zajrzy. Jak na te okoliczności, uznałem, że ta tymczasowa kryjówka jest niezła. Ciaśniej owinąłem notebook i saszetkę bluzą, wcisnąłem zawiniątko w kąt we wnęce pod oknem i na powrót zasłoniłem blachą. A potem rzuciłem się w kierunku wyjścia. Pech chciał, że w tym czasie zdążyła wrócić pani, która prasowała pościel. Zrobiła to tak cicho, że jej nie usłyszałem i teraz zastałem ją pochyloną nad stołem, w benedyktyńskim skupieniu przesuwającą żelazkiem po poszwie kołdry. Obejrzała się z zaskoczeniem,



kiedy ją mijalem. W oczach za szklami w staromodnych oprawkach zobaczyłem zaskoczenie.

– Przepraszam, zablądziłem – rzuciłem do niej i wyszedłem, czując, jak serce znów wali mi jak bęben.

Nie zareagowała, tylko znów pochyliła się nad żelazkiem. Kilkanaście sekund później byłem już na dole. Nie miałem pojęcia, czy zabójca jeszcze tu jest i jakie ma plany. Nie mogłem tego wiedzieć, a zastanawianie się nad tym było stratą czasu, którego nie miałem. Znalazłem się w przejściu między dziedzińcem a ulicą i po chwili byłem już na zewnątrz. Skręciłem w prawo, wcisnąłem dłonie do kieszeni i ruszyłem przed siebie.

Miasto tętniło życiem. Pod kamienicą, w której mieścił się hostel, stało kilka radiowozów i karetka. Wszystkie pojazdy miały włączone koguty, ale poza tym wszystko naokoło było jak zwykle: ruch samochodów, tramwajów, rowerów i ludzi. Szedłem jak automat, starając się wyglądać normalnie, nie rozglądać nerwowo na boki i stawiać równe kroki. Czekanie na światło na przejściu dla pieszych było katorgą, miałem wrażenie, że tylko pozostawanie w ciągłym ruchu zapewni mi bezpieczeństwo. Przeszedłem przez ulicę i wąskim zaułkiem dotarłem na Starówkę. Plac Solny faktycznie był tuż obok, a od razu po wejściu na niego zobaczyłem iglicę, o której mówił oficer dyżurny. Skierowałem się w tamtą stronę i kiedy dotarłem na miejsce, stanąłem przy granitowym szpikulcu, ale po chwili zmieniłem miejsce, wybierając bezpieczniejsze w swoim mniemaniu sąsiedztwo jakichś kramów i grupy niewielkich drzew, w których cieniu się skryłem. Trząsałem się z chłodu, w końcu pod kurtką miałem tylko T-shirt. Kilka minut później zobaczyłem młodego blondyna w granatowej, pikowanej kurteczce opinającej talię, spodniach przypominających skrzyżowanie bojówek z legginsami i zamszowych butach, które w dzieciństwie nazywaliśmy „szczurami”. Powoli podszedł do pomnika, włożył ręce do kieszeni kurtki i zaczął się rozglądać na boki, ale tak, jakby nigdzie się nie spieszył. Jakby po prostu przystanął na chwilę i zastanawiał się, co zrobić ze sobą dalej.

Zdecydowałem się wyjść z cienia. Z wahaniem wyłoniłem się spomiędzy kramów i powoli podszedłem do blondyna, patrząc mu w twarz. Kiedy byłem już blisko, zauważył mnie i wykonał ruch przypominający ten, który robi ojciec przychodzący po dziecko do przedszkola: zaczął wyciągać ku

mnie rękę, ale po chwili zatrzymał ją i cofnął, a następnie przycisnął do boku, jakby zawstydzony niestosownością takiego gestu wobec człowieka starszego od niego o ładnych parę lat. Musiałem wyglądać jak siedem nieszczęść.

– Orkan – powiedział do mnie cicho.

Spojrzałem na niego, marszcząc brwi. Miałem nieodparte wrażenie, że brak mi sił nawet na podniesienie głowy.

– Gem Drugi – szepnąłem.

Uśmiechnął się lekko, jakby z ulgą.

– Chodź. – Wyciągnął wreszcie tę rękę w moją stronę. – Wracasz do domu...

**25. Warszawa, Centrala ABW, Rakowiecka 2a, 9 listopada, godz.  
09.30**

Wprowadzono mnie do jakiegoś pomieszczenia. Wyglądało chyba jak każde inne w tym budynku. Biurko, krzesło, niski, prostokątny stolik z czterema małymi fotelami, parę szaf na akta, niewielki sejf w kącie i kserokopiarka ustawiona obok niego. Przez okno wpadało niewiele światła; na zewnątrz też nie było go dużo, bo gruby kożuch chmur skutecznie blokował dostęp słońca do ziemi pogrążającej się powoli i nieubłaganie w marazmie nadciągającej zimy. Pogoda była taka sama jak mój nastrój. Żałobna i beznadziejna. Prawie dwie doby, które spędziłem w Emowie pozostawiony niemal sam sobie, też nie wpłynęły na mnie mobilizująco. Poza tym odmówiłem przyjęcia leków uspokajających, które mi tam zaproponowano. Można by sądzić, że popadłem w paranoję, ale po prostu uznałem, że po pierwsze: chcę mieć czysty, niezmacony działaniem żadnych środków umysł, a po drugie, że sobie jakoś poradzę.

Jak zwykle od ponad ćwierć wieku.

Mężczyzna, który mnie tu przyprowadził, odsunął jedno z krzeseł przy biurku i wskazał mi je. Chciałem usiąść na którymś z foteli, byłem nawet zdziwiony, że nie zaproponował mi tego, lecz po chwili wahania usiadłem jednak przy biurku. Mężczyzna lekko się uśmiechnął, jakby zaakceptował mój wybór, a przynajmniej był z niego w jakiś sposób zadowolony.

– Narobiło się, co? – rzucił bez sensu, z okropnym hurgotem podsuwając sobie pod tyłek krzesło i siadając przede mną.

Milczałem, obserwując go. On robił to samo. Przypatrywał mi się. Przeniosłem wzrok na podłogę i z zaskoczeniem zauważyłem, że wyścieła ją nie wykładzina dywanowa ani panele, tylko coś w rodzaju linoleum. To wyjaśniało odgłos, jaki wydało krzesło, na którym siedział mój rozmówca. Przesunąłem stopę o kilka centymetrów i poczułem opór, jaki stawiał lepki brud.

– Nie jest dobrze, panie... Adrianie, tak? – zagadnął mnie powtórnie. Machinalnie skinąłem głową.

– Nie jest dobrze... – powtórzył z westchnieniem, jakbym wcześniej go nie usłyszał.

– Mogę wiedzieć, kim pan jest? – spytałem.

Spojrzał na mnie lekko zniechęcony.

– Tak... Nazywam się Rybicki, jestem z centrali – odpowiedział i zabrzmiało to dziwnie, zważywszy na miejsce, w którym się znajdowaliśmy.

O niczym więcej nie uznał za stosowne mnie poinformować. Nie podał imienia, stopnia, nazwy komórki, niczego poza nazwiskiem. Pasowało do niego jak ulał: biała w świetle jarzeniówek twarz oraz wyłupiaste, jasne i nieruchome oczy wpatrzone we mnie. Niemal wcale nie mrugał i prawie się nie ruszał. Kiedy coś mówił, jego głowa i ramiona pozostawały bez ruchu, jak u prezentera wiadomości telewizyjnych. Z tym bezruchem kontrastowały krótkie, nerwowe ruchy miękkich dłoni, które jakimś cudem nie obejmowały górnej połowy ciała. Blade usta niemal nie brały udziału w mówieniu, czasem tylko pojawiała się w nich wąska szpara. Krótka wymiana paru zdań pozwoliła mi wyrobić sobie pogląd na temat siedzącego przed nim człowieka.

– Nie zapyta pan, jak się czuję? – mruknąłem, spuszczać wzrok.

Rybicki lekko rozchylił usta, co można było uznać za wyraz lekkiego zaskoczenia.

– Jak pan się czuje? – zapytał, ale w tym pytaniu nie było krzty zainteresowania odpowiedzią.

– A jak mogę się czuć?

– To po co każe mi pan pytać? – Funkcjonariusz zdziwił się, i to autentycznie.

To tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że przede mną siedzi jeszcze jeden palant zainteresowany wyłącznie sobą.

– Nieważne. – Westchnąłem. – Po co mnie tu przywieziono?

Rybicki lekko przekrzywił głowę.

– To koniec – powiedział.

– Koniec czego?

– Operacji „Boeing”. – Wzruszył ramionami: uniosły się, opadły i znów

zastygły w bezruchu.

– Kim pan jest?

– Słucham? – Powieki Rybickiego poruszyły się więcej razy niż podczas całej rozmowy do tej pory.

– Kim pan jest? – powtórzyłem.

– Podałem panu swoje nazwisko, więc...

– Nie o to mi chodzi – przerwałem mu. – Chcę wiedzieć dokładnie, z kim rozmawiam.

– To nieistotne...

– Dla mnie istotne.

– Nie musi pan tego wiedzieć. A nawet lepiej, żeby pan nie wiedział. Musi panu wystarczyć to, czym uznamy za stosowne się podzielić. I nie wracajmy już do tego, mamy sprawę do załatwienia.

– Podobno nie ma już sprawy?

Rybicki przyjrzał mi się uważnie.

– I tak, i nie, panie Adrianie – wycedził, potem zamrugał, jakby właśnie się obudził.

W milczeniu czekałem na dalszy ciąg. Wyglądało na to, że jestem widzem w jakimś teatryku. A właściwie nie widzem, tylko aktorem. Cisza trwała kilka długich sekund, aż wreszcie Rybicki doszedł do wniosku, że już czas.

– Pański udział w operacji „Boeing” został zakończony. Zostałem również upoważniony do przekazania panu pewnych informacji związanych z tą operacją. Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że są objęte najwyższą klauzulą niejawności i z nikim się pan nimi nie dzieli, to chyba zrozumiałe? Odpowiedzialność karna i tak dalej... Major Oleszczuk nie żyje, i to pan oczywiście wie, bo był świadkiem jego śmierci. Nie wie pan tylko, że to on stał za tym wszystkim.

Poczułem, jak oblewa mnie fala gorąca, a moje ciało staje się ciężkie; tak ciężkie, że za chwilę nie zdołam utrzymać go na krześle i spadnę prosto na lepkie linoleum.

– Za czym wszystkim? – wyrzeźbiłem, chwytając blat biurka.

– To on współpracował z chińskim wywiadem. Nazwijmy to po imieniu: był zdrajcą. Zdradził. Nas, swój kraj...

– To jakiś absurd – parsknąłem, czując na podbródku kropelki własnej śliny.

Rybicki otworzył teczkę i wyciągnął z niej jakieś zdjęcie. Leżało na samym wierzchu, jakby przygotowane do prezentacji w pierwszej kolejności i w związku z tym miało coś udowodnić. Dobitnie i bez żadnych wątpliwości.

Położył je przede mną i obrócił o sto osiemdziesiąt stopni. Przedstawiało dwóch mężczyzn siedzących w barze. Najprawdopodobniej rozmawiali, pochyleni ku sobie, nad kuflami z piwem. W tle widać było podświetlony kaseton z reklamą jakiegoś niemieckiego piwa. Obu mężczyzn sfotografowano od tyłu, ale ponieważ siedzieli bokiem do siebie, żeby dobrze się słyszeć, musieli lekko obrócić głowy w swoją stronę. I dlatego właśnie nie było żadnych wątpliwości, kogo przedstawia to zdjęcie.

Był na nim Oleszczuk. Chińczyka również kojarzyłem.

– Poznaje pan? – zapytał Rybicki.

Skinąłem głową powoli, jak w letargu, przymykając oczy. Kiedy zamierałem je otworzyć, powieki nie chciały odkleić się od siebie, jakby ktoś właśnie obudził mnie z mocnego snu w środku nocy. Gdy mi się to wreszcie udało, zobaczyłem, że Rybicki patrzy na mnie spokojnie.

– To Li Zhao. – Położył palec na zdjęciu, nie odrywając ode mnie wzroku. – Attaché kulturalny chińskiej ambasady w Berlinie. Tak się zna na kulturze, jak ja na gwiazdach... Wyjątkowo mało aktywny jako szpieg, ale bardzo wysoko postawiony w strukturach wywiadowczych. Mimo to nie mam pojęcia, dlaczego tamtejsze władze go jeszcze tolerują, BfV doskonale wie, kim jest ten pan... – Rybicki urwał, jakby uświadomił sobie, że powiedział za dużo, nie mając zapewne pojęcia, że to wszystko wiem.

– Chce mi pan powiedzieć, że to jedno zdjęcie ma udowodnić współpracę Oleszczuka z chińskim wywiadem? – zapytałem, kiedy mogłem już wydobyć z siebie głos.

– Nie, oczywiście, że nie. To zdjęcie jest po prostu jedyną rzeczą, którą możemy panu pokazać. Wiem, że trudno w to panu uwierzyć, ale nam jeszcze bardziej, zapewniam pana.

– Dlaczego to zrobił?

– A jak pan myśli? Przecież nie zapalał nagle miłością do chińskiej odmiany bolszewizmu? Dla pieniędzy. Zrobił to dla pieniędzy. Jak wszyscy.

– Nie o tym mówię. Po co goniłby własny cień? Po co chciałby mnie włączyć do tej pieprzonej operacji tajnej przez poufne, po co jeździć po

Europie, śledzić ludzi...

– Nie domyśla się pan? – Rybicki uśmiechnął się z niedowierzaniem i drwiną. – Pan jest przecież inteligentnym człowiekiem. Z jakiego powodu mógł to robić, no niech pan pomyśli. Podpowiem, że są dwa takie powody. Jeden to taki, że robił to dla odsunięcia podejrzeń, panie Adrianie. Wiele hałasu o nic. Pozory działań, mizerne efekty, czas, czas, czas... – Rozłożył ręce, wciąż z tym samym drwiącym uśmieszkiem na ustach.

– A dlaczego zginął?

– Nie rozumiem pańskiego pytania.

– Dlaczego go zabito? Skoro był cennym źródłem dla Chińczyków, to dlaczego go zabili? Nie ucina się łąba kurze znoszącej złote jajka!

– A skąd pan wie, że to Chińczycy?

– W takim razie kto?

– Przykro mi, ale to już pana nie dotyczy. Niech pan więcej o tym nie myśli. Wykonał pan to, o co został poproszony, i żadnych więcej działań nie będziemy od pana wymagać.

– Skoro tak, to jaką rolę odgrywał w tym mój brat?

Rybicki milczał.

– Powie mi pan to?

Łypnął na mnie. Potem zrobił minę, która miała chyba świadczyć o tym, jak mu ciężko, ale skoro nalegam, to coś mi powie. W każdym razie nie za dużo.

– To nie jest jeszcze do końca jasne – wydusił i już wiedziałem, skąd ten wyraz twarzy. – Sytuacja uległa zmianie, w każdym razie można uznać, że status pana brata w tej sprawie się zmienił. Nie można powiedzieć, że diametralnie, ale jednak się zmienił...

– Co to znaczy? Z jakiego statusu na jaki?

– Na jaki? Tego właśnie nie wiemy. – Uśmiechnął się trochę bezradnie. – Natomiast nie jest już głównym podejrzanym. Sądzimy wręcz, że jego działania służyć miały ochronie programu. Liczymy na to, że ujawni się, kiedy dotrze do niego wiadomość o śmierci Oleszczuka.

Powinienem się teraz ucieszyć. Skakać z radości. Rzucić się Rybickiemu na szyję i wyściskać go. Mój brat był prawdopodobnie niewinny, w dodatku okazał się cichym bohaterem. Ale ja pokręciłem głową z drwiącą miną i pochyliłem się w stronę Rybickiego.

– Jest jedna rzecz, której chyba nie wzięliście pod uwagę. Twierdzi pan, że powody zdrady Oleszczuka były materialne. Błąd. On nie dbał o pieniądze...

– Skąd pan to wie? – Rybicki zamrugnął gwałtownie.

– Wiem. Widziałem. Mówił mi też o swoim stosunku do nich...

Rybicki spojrział gdzieś w bok, ze znaczącym uśmieszkiem błędzącym po wargach.

– Pan wybaczy, ale jakoś nie czuję się przekonany. W ogóle. A jeśli już mowa o pieniądzach... Coś się nie zgadza w finansowaniu operacji. Major Oleszczuk mimo próśb nie przedstawiał rachunków za poszczególne etapy.

– Przecież to była tajna operacja! Za co miał przedstawiać rachunki? Na paliwo? Za hotele? Już nie mówię o fakturach, ale na każdym paragonie czy innym głównianym kwitku podana jest lokalizacja i czas. Czy pan zwariował?

– Wszystkie pieniądze muszą być rozliczone co do grosza. To nie prywatny folwark. Byliście we Włoszech, w Luksemburgu, zrobiliście kilka tysięcy kilometrów autem i samolotami, musieliście coś jeść i gdzieś spać. Nie ma na to rachunków. Żadnych. Czysto.

Zrobiło mi się sucho w gardle.

– Miał specjalny fundusz... – wychrypiałem.

– Miał, to prawda. Ale jego stan jest nienaruszony. Nie wiem, o co chodzi, ale te nieprawidłowości świadczą na jego niekorzyść.

– Przelewy da się wyśledzić. Nie mógł płacić służbową kartą, skoro chciał zachować wszystko w ścisłej tajemnicy! Czy to tak trudno pojąć?

Nie powiedziałem, że Oleszczuk za wszystko płacił gotówką.

– Pan wybaczy, ale nie ma pan pojęcia o działaniu tej instytucji. Zielonego.

Przypomniała mi się jedna z ostatnich rozmów z Arkiem, tuż przed wyjazdem do Wrocławia, gdzie spotkała go śmierć. Ta o ludziach, którzy chcą złapać swojego szpiega, najlepiej grubą rybę. Może Oleszczuk chciał złapać swojego tak bardzo, że postawił wszystko na jedną kartę? Reputację i własne pieniądze? Wbrew regulaminowi i zasadom. Wbrew wszystkiemu, bo cel uświęcał środki. Jedno było pewne: jeśli faktycznie o tym marzył, to zapłacił za to marzenie najwyższą możliwą cenę.

– Chcę rozmawiać z szefem ABW – zażądałem.



– Po co?

– Chcę rozmawiać z pułkownikiem Łodygowskim.

– Przykro mi, pułkownik Łodygowski nie jest już szefem Agencji. Wczoraj wieczorem decyzją premiera został odwołany z tej funkcji.

– Dlaczego? – wyszeptałem.

– Opinia kolegium specsłużb, a nawet pana prezydenta były w tej sprawie jednoznaczne. Istnieją podejrzenia, że pułkownik Łodygowski firmował nieformalne działania majora Oleszczuka i pańskie. Pan oczywiście za nic nie odpowiada, proszę się nie martwić... Pan był tylko marionetką w ich rękach. Dobrze się pan czuje? – Tym razem w jego głosie nie było obojętności, ale też nie troska.

To po prostu zwykła ciekawość, taka sama, jaką prezentują kierowcy przejeżdżający obok miejsca wypadku, który wydarzył się kilkanaście minut wcześniej, kiedy wszystko, co konieczne do ratowania życia, zostało już zrobione.

– Jakoś nie cieszy się pan, że pański brat jest najprawdopodobniej niewinny? – zauważył lekko zdziwiony.

– Ja... Nie wierzę, że to był Oleszczuk.

– Dowody nie kłamią. – Rybicki popukał palcem w zdjęcie.

– Dla mnie to nie jest żaden dowód, ale nawet nie o tym mówię. Po prostu jestem rozbity, rozumie pan mnie? – Popatrzyłem na niego i dodałem: – Nie, nie rozumie pan.

Rybicki wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

– Przykro mi, nie mam na to wpływu. – Siedział wpatrzony w swoją teczkę.

Teraz uświadomiłem sobie, że kiedy otwierał ją, żeby wyciągnąć zdjęcie, niczego więcej w niej nie było.

Powoli zaczęło do mnie tak naprawdę docierać, co Rybicki powiedział o Oleszczuku. Funkcjonariusz siedział przede mną i chyba zastanawiał się, o co jeszcze mnie zapytać.

Czekałem. Czekałem i czułem, jak ogarnia mnie furia. Jakbym od początku rozmowy z Rybickim był podgrzewany, a teraz temperatura osiągnęła punkt wrzenia.

„Tak się nie robi!” – chciałem krzyknąć Rybickiemu prosto w twarz. Byłem w kompletnie bezsensowny i irracjonalny sposób wściekły nawet nie

na to, że Oleszczuk okazał się zdrajcą, tylko na to, w jaki sposób się o tym dowiedziałem. To było jak diabeł wyskakujący z pudełka. Jakby ktoś zdzielił mnie deską w twarz. Rybicki przyglądał mi się i chyba widział uczucia malujące się na mojej twarzy, choć ich pewnie nie rozumiał.

– To Chen Quing – powiedziałem niespodziewanie nawet dla samego siebie. – To on jest winny śmierci majora Oleszczuka.

Rybicki spojrzał na mnie z zaskoczeniem.

– Skąd to panu przyszło do głowy?

– Oleszczuk zainteresował się jego kontaktami z oficerami chińskiego wywiadu. Tak, mam na myśli Li Zhao. Zarzucił wędkę, chcąc sprawdzić, czy Quing chwyci przynętę. A oni spanikowali. Zabili go...

– Nie. – Usta Rybickiego wygięły się w podkówkę, jak u małego dziecka, które zaraz wybuchnie płaczem. – To zupełnie nie tak, jak pan myśli.

– A jak? – zapytałem.

Rybicki milczał przez kilka długich sekund.

– Tak między nami... – Chrząknął nagle. – Nie mam pojęcia, jak można było nie wpaść na to wcześniej. Po pierwszych sygnałach o podejrzanym zaangażowaniu Chińczyków w nasz program produkcji grafenu do rozpracowania wycieku wyznaczono człowieka, który miał go chronić i nie ochronił. Tak przynajmniej uważaliśmy do tej pory. Wicha wiedział o nim niemal wszystko, na tyle, na ile może to wiedzieć nienaukowiec. Znał kody i hasła dostępu do danych, właściwie miał do nich praktycznie nieograniczony dostęp. Program sobie hula, są sukcesy, bo niewątpliwie były, i nagle wszystko się wali, a kiedy ci na górze zaczynają pytać „czemu?”, ci pod nimi do znalezienia odpowiedzi wskazują właśnie osobę odpowiedzialną za tę katastrofę... To niepojęte... Niekompetencja to mało powiedziane. To się nadaje do Trybunału Stanu.

– Kogo ma pan na myśli? – Spojrzałem na niego ciężko, bo nie bardzo rozumiałem, o co mu chodzi.

Pomijając, że to nie miało związku z kwestią, którą poruszyłem. Z kwestią Chena Quinga.

– Mam na myśli osoby odpowiedzialne – odparł Rybicki bez chwili zastanowienia. – Które notabene zostały już odsunięte od zadań związanych z programem Femto Carbon. Między innymi pułkownik Łodygowski.

Zrobiło mi się gorąco. Tylko jemu mogłem przecież przekazać materiały Oleszczuka.

– Nie mówię o tych na górze – powiedziałem, nie dając niczego po sobie poznać. – Miał pan na myśli Kamila czy kogoś jeszcze? Bo już się pogubiłem.

– Miałem na myśli majora Oleszczuka...

## 26.

Atmosfera w pokoju zgęstniała do maksimum. Czułem, jak robi mi się mokro pod pachami i na plecach, a na czoło wypełzają wielkie krople potu. Chwila milczenia przedłużała się, kiedy usiłowałem poukładać sobie wszystko w głowie.

– Co Oleszczuk miał z tym wspólnego, zanim doszło do zabójstwa Zajnerta i kradzieży dysków? – zapytałem.

– Myśli pan, że tylko jedna osoba jest odpowiedzialna za tak skomplikowaną kwestię jak nadzór kontrwywiadowczy nad strategicznym programem badawczym?

– Przecież nie mam o tych sprawach zielonego pojęcia. Sam pan to przed chwilą powiedział. Z informacji, jakie mi udostępniano do tej pory, jasno wynikało, przynajmniej dla mnie, że tak właśnie było i tym człowiekiem był mój brat.

– To nie do końca tak. Major Oleszczuk sprawował kontrolę nad działalnością pana brata. Nie leżało w jego kompetencjach mieszanie się do tego, a jedynie nadzorowanie, i to bardzo dyskretne. Gdyby to pański brat współpracował z Chińczykami, Oleszczuk musiałby o tym wiedzieć. W rzeczywistości nie była to aż tak skomplikowana kwestia. To trochę jak układ otwarty, bardzo prosty w przeciwieństwie do zamkniętego. Pożądaną wartość wyjściową uzyskuje się, ustawiając poprawnie tę wejściową, oczywiście przy dobrej znajomości tego układu. I tak, jeśli układem jest program produkcji grafenu, to wielkością wyjściową skuteczna ochrona, a wejściową: właściwi ludzie, którzy ją zapewnią. Proste? Ale podstawową wadą układu otwartego jest to, że działa dobrze przy braku zmiennych, które mogłyby go zaburzyć. Nie wzięto pod uwagę zakłóceń, które mogły wystąpić i wystąpiły, bo Oleszczuk połasił się na juany. Kiedy zrodziło się naturalne w tamtym czasie podejrzenie, że to pański brat zabił Zajnerta, lub zmusił do tego Cwynara, a potem wymontował dyski i zniknął, ktoś na

górze pomyślał, żeby w ślad za nim wysłać kogoś, kto miał Wichę pod kontrolą i trochę mu nie wyszło. Ten ktoś na górze zakładał widać, że Oleszczuk, pałając żądzą zemsty albo żeby umniejszyć swoją odpowiedzialność za zdradę Wichy, da z siebie wszystko, żeby go odnaleźć... I tym samym ułatwiono mu zadanie, angażując naprawdę spore środki w akcję poszukiwawczą. A jedynym celem Oleszczuka było odnalezienie kapitana Wichy i dysków, ale nie po to, żeby oddać materiały w ręce prawowitych właścicieli, tylko chińskie ręce, panie Adrianie. I to jest właśnie drugi powód waszej wycieczki po Europie. Ważniejszy chyba nawet niż pozorowanie działań, o którym mówiłem jakiś czas temu.

– To nie ma sensu, pan tego nie widzi? – jęknąłem. – Przecież to Chińczycy go zabili...

Rybicki chyba mnie nie słuchał, zatopiony we własnej tyradzie.

– Uważam, że odpowiedzialność za to ponoszą również ci, którzy wyznaczyli Oleszczuka do tego zadania. To proste konsekwencje, choć jestem zdania, że należałoby sprawdzić, czy ta sprawa nie sięga głębiej. Ale, jak już kilka razy wspominałem, to już pana nie dotyczy.

Wróciłem nagle wspomnieniami do podobnego, ciasnego i równie bezosobowego pokoju, w którym siedziałem kilkanaście dni wcześniej z Oleszczukiem. „Lis w kurniku”, powiedziałem mu wtedy, mając na myśli swojego brata, kiedy Oleszczuk zasugerował związek Kamila z zabójstwem profesora Politechniki Warszawskiej. Wspomnienie nie niosło teraz za sobą żadnych wniosków. Po prostu błysnęło mi w głowie i przebrzmiało, a ja nie miałem nawet siły, by jakieś wnioski spróbować wyciągać, choć narzucały się same. Po prostu wciąż w to wszystko nie wierzyłem. Dlaczego Oleszczuk nie powiedział mi, co naprawdę łączyło go z programem? Dlaczego skłamał, że nie znał Kamila?

Nie wierzyłem, że to on był lisem w kurniku. Albo nie chciałem wierzyć. Dowód w postaci zdjęcia Oleszczuka i Zhao, który pokazał mi Rybicki, mnie nie przekonywał. Nie miałem podstaw, by Rybickiemu nie wierzyć, ale nie wierzyłem. Owszem, wiedziałem, że tak mogło być. Dopuszczałem do siebie tę okropną myśl, że Oleszczuk był winny. Współwinny. Równocześnie wierzyłem w obie te możliwości i nie wierzyłem w żadną z nich. Złapałem się też na tym, że łatwiej już było mi uwierzyć w winę Kamila niż Arka. W winę własnego brata. Może chodziło o to, kto wypadł bardziej

przekonująco, opowiadając o tej winie?

Oblizalem usta i pochyliłem się w stronę Rybickiego.

– Skąd ta niezachwiana pewność, że to Oleszczuk? – warknałem. – Skąd tak nagle się o tym dowiedzieliście? O funduszach, spotkaniu z Zhao i reszcie? Jeszcze dwa dni temu, zanim Arek zginął, wszystko było po staremu! Prowadził śledztwo i zdawał Łodygowskiemu raporty. Gdzie pan był wcześniej? Gdzie byli pańscy przełożeni, którzy odsunęli od zadania pana poprzedników i teraz przydzielili je panu? Chcę to wiedzieć! Ja tego żądam, rozumiesz, człowieku!? Jesteście mi to, kurwa, winni! – Ostatnie słowa podkreśliłem mocnymi uderzeniami dłonią w blat biurka.

Nawet nie czułem bólu. Nie słyszałem też, że krzyczę. Oczy zasnuła mi czerwona mgła, w jej centrum był mały otwór, przez który widziałem rozmazaną twarz Rybickiego.

– Tylko spokojnie – powiedział funkcjonariusz.

– Co spokojnie!? – warknałem, tym razem cicho, co nie oznaczało, że mniej stanowczo. – Ty mi mówisz: spokojnie!? Strzelali do mnie! Prawie zginąłem! Na moich oczach zabili innego człowieka! Straciłem dla was swoje dawne życie, pracę, kobietę, wszystko, a ty mi będziesz mówić: spokojnie!?

– Dobrze, udzielę panu niezbędnych informacji w zakresie, w jakim uznam za stosowne. W porządku? Mogę?

Oddychałem szybko i głęboko. Kręciło mi się w głowie.

– Tak – wyszeptalem. – Proszę...

– To były informacje powzięte od OZI. Osobowego Źródła Informacji.

– Kto jest tym źródłem?

Rybicki westchnął teatralnie.

– Pan naprawdę myśli, że mu powiem? – zapytał, przechylając się na krześle.

Milczałem, zaciskając szczęki tak mocno, że aż zgrzytnęły zęby.

– To są pewne i potwierdzone w stu procentach informacje ze sprawdzonego źródła... – Rybicki robił wszystko, żeby wypaść przekonująco.

– Jak mogliście je potwierdzić w jeden dzień? To prowokacja i to grubymi nićmi szyta, ślepy pan jest? Co z kontrolą operacyjną Chena Quinga? Przecież taki był cel Oleszczuka, sprawdzić, jak Quing zareaguje na

zainteresowanie służb. I co? Jakie są efekty, pomijając śmierć Oleszczuka?

Rybicki złożył dłonie jak do modlitwy i przytknął do nich podbródek.

– Kontrola została zakończona.

– Słucham? Dlaczego?

– Wniosek do sądu o objęcie kontrolą został wczoraj wycofany. Decyzje podjęte w tej sprawie przez byłego szefa ABW zostały zweryfikowane. Uznano po prostu, że te działania były bezzasadne i na wyrost.

– Jakie są efekty kontroli? – powtórzyłem pytanie. – Trwała kilka dni, więc jest szansa, że coś w tym czasie się zdarzyło.

– To nieistotne. Zgodnie z prawem materiały zgromadzone podczas jej stosowania zostaną protokolarnie i komisyjnie zniszczone.

Roześmiałem się. Ten śmiech był niemal histeryczny i tak bezsilny, jak tylko mógł być w takiej sytuacji. Wszystko nagle stało się jasne, nawet dla mnie. Przestałem miotać się wewnątrz, próbując dociec, czy Oleszczuk był winny, czy nie. Kawałki układanki powskakiwały na swoje miejsce i zobaczyłem obrazek, może nie cały, ale na pewno tak duży jego fragment, że pozwoliło mi to na wyciągnięcie oczywistych wniosków.

Zdjęcie Oleszczuka z Zhao; Oleszczuka siedzącego nad wypitą do połowy szklanką piwa. Oleszczuka bawiącego się podczas rozmowy z Quingiem kluczem do naszego pokoju, kluczem z breloczkiem, na którym widniał walący po oczach napis „Sun Hostel” i numer pokoju. Bardziej czytelnej wskazówki dać nie mogłem. I zrobił to specjalnie. Zwabił zabójcę do hostelu, to dlatego tym razem miał ze sobą broń, której przecież zwykle nie nosił. Tego elementu swojego planu mi nie zdradził. Mogłem się domyślić, czemu bez przerwy siedzi w oknie, ale się nie domyśliłem. Ryzykował również moje życie, choć zginął tylko on. Ale przecież pytał mnie wcześniej, czy dalej chcę w tym być, czy jestem świadomy ryzyka, a ja odpowiedziałem mu, że tak, jestem, ciesząc się w duchu jak idiota, że nie siedzę w domu, tylko wreszcie coś się w moim życiu dzieje. I zadziało się. Znów teoria rozminęła się z praktyką. Teoretycznie świadomy ryzyka, praktycznie zaskoczony tym, że uległo nagłemu zmaterializowaniu w postaci śmierci Oleszczuka.

Arek przeszarżował. Znów przypomniałem sobie ten kurwik w jego oczach. To wtedy musiał wpaść na to, co zrobi we Wrocławiu. I zrobił to, lecz nie docenił ani ryzyka, ani Chińczyków, ani Cienia, jeśli to faktycznie on go zabił. Dowiódł, że Quing jest umoczony w sprawę, bo to on musiał

przekazać zabójcy, gdzie mieszkamy, skoro nikt inny tego nie wiedział. Arek zapłacił za to własnym życiem, w dodatku został przez niego wrobiony, a teraz wyglądało na to, że jego poświęcenie może iść na marne. Po wybuchu rzuconej przez Arka petardy Quing był cały w brązowych kropkach, lecz z jakichś powodów zrezygnowano z prób dowiedzenia się, do kogo jeszcze przykleiła się zawartość szamba. I nawet nie wiedziałem, co mogę zrobić dalej. Komu ufać? Kogo się bać? Bać się wszystkich. Nie ufać nikomu z wyjątkiem Łodygowskiego, tak jak mówił Oleszczuk. Tylko że Łodygowskiego już nie było...

– Quing jest tym źródłem, tak? – zapytałem Rybickiego i po jego twarzy widziałem, że trafiłem, co tylko potwierdziło moje obawy. – Oczywiście, to dlatego wstrzymano kontrolę! Sam się do was zgłosił i zaproponował współpracę? Wczoraj, przedwczoraj? To on dał wam to zdjęcie z Zhao? To gównu, którym usiłuje mnie pan przekonać o winie Arka? To arcydzieło absolwenta pekińskiej akademii sztuk wizualnych biegłego w Photoshopie? Oleszczuk nienawidził piwa, a geniusz, który robił ten fotomontaż, nie miał o tym zielonego pojęcia. Chryste, nie wierzę... Dajecie się podpuszczać jak dzieci... Robią z wami, co chcą, a wy się jeszcze cieszyacie! Dźgnęli was tak sprytnie, że wykrwawiacie się, nawet tego nie widząc. Jeszcze sami pozbywacie się cennych ludzi...

Rybicki przypatrywał mi się z ciekawością.

– Pan tak dobrze zna się na mojej robocie? Myśli pan, że jesteśmy stadem partaczy, którzy nie wiedzą, co robią? Tak?

Popatrzyłem mu prosto w oczy.

– Gdyby wszyscy w służbach byli geniuszami, nie zdarzyłyby się takie rzeczy, jak chociażby jedenasty września. A na naszym podwórku: ujawnianie danych czynnych agentów czy na przykład śmierć mojego ojca, którego wysłano za granicę z zadaniem, nie sprawdzając wcześniej stanu jego zdrowia. Mylę się? Sam pan przed chwilą dziwił się swoim kolegom i ich niekompetencji. To o czym, do cholery, my mówimy?

Znów przypomniał mi się Oleszczuk i jego opowieść o Aldrichu Amesie. Rybicki wyprostował się, lekko cofnął podbródek i minimalnie przymknął powieki.

– Odpowiadam za swoją część zadania i wykonuję robotę bez zarzutu...

– Pan zdobył te informacje osobiście? – dociekałem. – Pan sam je



sprawdził u źródeł? Czy ktoś panu o tym powiedział? Ten, do kogo zgłosił się Quing? To skąd może mieć pan pewność?

– Niech pan nie będzie naiwny. To, że major Oleszczuk prowadził śledztwo, nie oznacza, że wszyscy inni siedzieli beczynnie. Oleszczuk nie był Bondem, choć mam wrażenie, że okoliczności jego śmierci wskazują na to, że tak mu się jednak wydawało. Ustalenia, o których panu mówię, nie opierają się wyłącznie na informacjach jednej osoby, mam na myśli OZI. Poza tym myślę, że ta rozmowa zmierza w niewłaściwym kierunku i nie zamierzam jej kontynuować, nie w tym napastliwym stylu, który pan narzuca. Za dużo tu emocji. A zatem nie pozostaje mi nic innego, jak tylko poinformować pana, że przez jakiś czas zostanie pan pod opieką Agencji.

– Zwariowaliście? Chcecie mi dać ochronę?

– Nie do końca. Zostanie pan zakwaterowany w ośrodku w Emowie do momentu, gdy uznamy, że zagrożenie minęło. To będzie taka tymczasowa... Izolacja.

– Słucham!? Nie zgadzam się!

– Pana zgoda nie jest wymagana. Taka jest decyzja najwyższych władz. Nie moja, ja tylko jestem posłańcem niepomyślnych wieści, tak to ujmijmy.

– To pogwałcenie moich praw konstytucyjnych! Tak to ujmę!

– Konstytucja Rzeczypospolitej nakazuje państwu polskiemu chronić swoich obywateli. W tym wypadku państwo reprezentowane jest przez Agencję. Wykonujemy swój obowiązek. Przykro mi, że pojawił się konflikt, ale nasze prawo jest tym razem nadrzędne.

– Pierdol się, gostku! – Wstałem gwałtownie, krzesło upadło na podłogę w metalicznym brzękiem. – Nie ma czegoś takiego jak „izolacja”. Dopóki nie zostanę zatrzymany, a potem aresztowany na podstawie prawomocnej decyzji niezawisłego sądu, możecie mnie wszyscy pocałować w dupę. Nigdzie nie jadę, słyszysz?

Rybicki spokojnie wstał, okrążył biurko, schylił się i postawił krzesło, a potem wrócił na swoje miejsce. Stałem przez chwilę niezdecydowany, aż wreszcie usiadłem. Rybicki w odpowiedzi uśmiechnął się przymilnie.

– Panu znudziło się żyć, panie Adrianie? – zapytał cicho. – Wciąż jeszcze na wolności są ludzie, którym zależy na pana śmierci. Na przykład Cień. No i sam fakt, że jest pan jedyną osobą po tej stronie cienkiej linii oddzielającej dobro od zła, która łączy nas z pańskim bratem. Oraz jedyną,

która prawdopodobnie widziała tego skurwiela. Mówię o Cieniu.

– Widziałem go przez chwilę, byłem przerażony i nie kojarzyłem, co się dzieje wokół mnie. Powiedziałem, że gdzieś go już widziałem, ale teraz nie jestem już pewien. Takie wrażenie miałem kilkanaście razy w życiu, panie?

– Jest duża szansa, że to był on. Lepsze to niż nic. – Rybicki wzruszył ramionami.

– Cienia nie schwytano przez kilkanaście lat. Dlaczego nagle miałyby się to szybko zmienić?

– Istnieją pewne podejrzenia co do jego tożsamości, ponieważ posługiwał się oryginalnym belgijskim paszportem. Kradzionym. A skoro tak, to musi być choć trochę podobny do jego właściciela. Jeśli sporządzimy z pańską pomocą dobry portret pamięciowy, to może jednak tak się stanie i go schwytamy. Skoro pan go widział...

– Ja... Ja już nie wiem... – Wplotłem palce we włosy i ścisnąłem sobie głowę obiema rękami.

Mocno. Czułem, że zaraz upadnę.

Rybicki spojrzał na mnie z ukosa.

– Co ma oznaczać, że już pan nie wie? Powiedział pan tak człowiekowi, który pierwszy rozmawiał z panem po śmierci Oleszczuka. A przed chwilą pan to potwierdził w rozmowie ze mną. Zatem skąd wniosek, że to był Cień?

– To mógł być on – wykrztusiłem.

– Będę drażył: na czym opiera pan ten wniosek?

– Arek... Major Oleszczuk sądził, że ktoś się za nami wlecze. Próbował nas zabić. W Wenecji... Potem dostał informację potwierdzającą, że to mógł być on. Tak podobno podejrzewa Interpol, czy tam Europol, nieważne. Były w każdym razie podstawy sądzić, że człowiek, który do nas strzelał, to Cień.

– Nie pytam teraz o wasze dywagacje, tylko o to, czy widział pan go w końcu, czy nie?

– Widziałem go i w Wenecji, i we Wrocławiu. Ale tylko postać. Za każdym razem tego samego wzrostu, i to chyba jedyna rzecz, jakiej nie da się zatuszować. Można założyć perukę, ogolić się, przebrać, cokolwiek, i na tym zwykle skupia się ktoś, kto nie chce być rozpoznany, ale wzrost zwykle

zostaje. W Wenecji miał ciemne okulary i czapkę z daszkiem. We Wrocławiu widziałem go z wysokości trzeciego piętra. To wtedy odniosłem wrażenie, że gdzieś go już widziałem. Jestem prawie pewien, że to ta sama osoba. I bardzo charakterystycznie się porusza. Nie potrafię powiedzieć, na czym to polega, ale tak jakoś... Miętko... I chodzi delikatnie przechylony w jedną stronę.

– Zauważa pan takie szczegóły?

– Owszem, pana to dziwi? Nie uczyli was dostrzegać takich rzeczy na kursach?

Wąskie usta Rybickiego się zacisnęły.

– To nie ma nic do rzeczy. A więc na podstawie wzrostu doszłście do wniosku, że to Cień?

Dłonie ukryte pod stołem zacisnęły mi się w pięści. Rozmowa z Rybickim zaczęła przypominać dyskusję z upartym dwulatkiem badającym u dorosłego granice wytrzymałości. Wciągnąłem powietrze przez nos i wypuściłem ustami, nie dbając nawet o to, żeby zrobić to cicho.

– Oleszczuk tak sądził. Ja nie miałem nawet pojęcia, że ktoś taki istnieje, dopóki Arek mi o nim nie opowiedział dwa czy trzy dni temu. Już w Polsce.

– W świetle prawdziwych intencji Oleszczuka wszelkie jego deklaracje i wyjaśnienia, jakich panu udzielał, stają chyba pod znakiem zapytania, co? Dobrze, zostawmy to tym w Emowie. Oni się wszystkim zajmą. A moja rola właśnie się kończy – uciał nagle Rybicki.

Włożył zdjęcie Oleszczuka i Zhao do teczki i założył gumkę na okładkę.

Zwilżyłem wyschnięte wargi koniuszkiem języka. Tylko tyle zdołałem go wysunąć przez zlepione usta. Korciło mnie, żeby poprosić Rybickiego o szklankę wody, ale uznałem, że wytrzymam, byle tylko szybciej zakończyć to koszmarnie spotkanie.

– Ile czasu zamierzacie mnie tam trzymać? – wychrypiałem.

– Powiem tak: w Emowie będzie pan miał sporo czasu, żeby pomyśleć o wszystkim. Wspólnie popracujemy nad portretem Cienia i zastanowimy się również, jak namierzyć pańskiego brata. Nie możemy tylko czekać, aż się ujawni, my też musimy być aktywni. W końcu tylko odzyskanie dysków będzie można uznać za sukces tej operacji.

Znów przymilny uśmiech, nieszczerzy do bólu i niepotrzebny, wyuczony i wytrenowany.

– Ach, wyszło szydło z worka... – słyszałem swój głos jak przez watę, był pełen rezygnacji. – Panu chodzi tylko o sukces, co? Ja się nie liczę?

Zachnięcie Rybickiego było o ułamek sekundy spóźnione, żeby brać je za szczere.

– Ależ liczy się pan! – Rozłożył ręce. – W ośrodku stworzą panu naprawdę dogodne warunki! Myślę, że nawet jeśli zażyczy pan sobie raz na jakiś czas panią do towarzystwa, to też nie będzie problem...

Przez chwilę myślałem, że się przesłyszałem. Że Rybicki powiedział coś innego albo przynajmniej miał coś innego na myśli, a ja to źle zinterpretowałem. Ale nie, zrozumiałem go dobrze.

– Nie... Nie... To chyba jakiś chory żart... – wykrztusiłem.

Rybicki pochylił się nagle ku mnie, aż nasze twarze niemal się zetknęły.

– Żaden żart – powiedział dobitnie, patrząc mi prosto w oczy. – Oczywiście, że traktuję sprawę poważnie również w aspekcie osobistym, i nie wstydzę się tego. Ambicja to żaden wstyd. Każdy chce odnieść sukces, każdy, i ani ja, ani pan nie jesteśmy wyjątkami. Ale najważniejsze są te pierdolone dyski. To już nie kwestia ambicji, to kwestia przyszłości tego kraju, rozumie pan? Może pan ma ojczyznę w dupie, ale ja nie mam.

Nie odpowiedziałem. Nieruchomym wzrokiem wpatrywałem się w maleńkie jak łebki szpilek źrenice Rybickiego i wciąż milczałem. Żadna odpowiedź nie miała sensu, ja i tak wiedziałem swoje i nikt nie mógł przekonać mnie do zmiany zdania w tej kwestii, a na pewno nie ktoś taki jak Rybicki. Zamiast tego podniosłem głowę i zażądałem głośno i wyraźnie:

– Chcę pójść na pogrzeb Oleszczuka.

– To wykluczone. Od tej pory przestaje pan się pojawiać na zewnątrz, myślałem, że wyraziłem się jasno. Nie ma odstępstw od tej zasady, bardzo mi przykro.

Zwiesiłem głowę. To było do przewidzenia. Tak właśnie spełzła na niczym ostatnia, rozpaczliwa próba pokazania, może im, a może samemu sobie, że mam na coś wpływ.

Bo tak naprawdę nie miałem wpływu na nic, co działo się w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Wcześniej też nie, ale wcześniej było inaczej: żyłem w bezpiecznej bańce, którą stworzyłem sobie, nie dbając, czy pasuje to innym, co słusznie wypomniała mi moja żona. Kilkanaście dni temu ta bańka pękła za sprawą Kamila. Nie byłem manipulowany, ale każda

z osób, z którą zetknąłem się w tym czasie, traktowała mnie jak narzędzie do osiągnięcia jakiegoś celu. Swojego celu. Oleszczuk, Marianne, ów cholerny Cień, teraz Rybicki; wszyscy. A głównie Kamil. Byłem w tym wszystkim najmniej istotny, wbrew temu, co usiłowano mi wmówić na początku jebanej operacji pierdolony „Boeing”. Tak naprawdę byłem bezwolny, każdy mój ruch i działanie z pozoru samodzielne faktycznie wynikały wyłącznie z czyichś oczekiwań wobec mnie.

Czego mogłem się spodziewać, skoro tak było od trzynastego roku życia, a ja nigdy nie zrobiłem nic, żeby to zmienić?

I właśnie w tej chwili, w której sobie to z całą mocą uświadomiłem, wobec braku możliwości zrobienia czegokolwiek, postanowiłem, że poddam się prądowi, który niósł mnie nie wiadomo gdzie. Nie uśmiechał mi się bezterminowy pobyt w miejscu odosobnienia, ale zdawałem sobie sprawę, że nie mam wyjścia. Żadnego. Ucieczka nie miała sensu, bo nie miałem dokąd uciec. Do domu nie miałem już po co wracać. Był pusty, a może znów wprowadziła się do niego Laura, i to na dodatek z kimś. Równie dobrze mogłem siedzieć w Emowie. Przynajmniej popracuję nad sobą. Będę biegał, trenował jakieś sztuki walki z Jackiem, cokolwiek, byle zająć się czymś i nie patrzeć bezmyślnie, jak czas przecieka mi przez palce.

– Wszystko mi jedno – powiedziałem w końcu drewnianym głosem. – Pierdole was i wasze brudne gierki. Mam głęboko w dupie polski grafen. Jest mi już wszystko jedno...

– Cieszę się, że wreszcie pana przekonałem. – Rybicki niemal klasnął w dłonie, jak dziecko, któremu obiecano zabawkę. – Aha, byłbym zapomniał: poprosiłbym pana również o przekazanie wszystkich materiałów, jakie zgromadziliście podczas operacji.

– Jakich materiałów? – zapytałem, marszcząc brwi.

– Major Oleszczuk nie dostarczył żadnych raportów. Nie mamy nic, jakichkolwiek dokumentów świadczących o przebiegu wykonywanych działań. Rozumiem, że on po prostu nie zdążył ich dostarczyć, ale one istnieją i to pan je ma.

– Dlaczego to ja miałbym je mieć?

– Nie było ich w jego torbie znalezionej w hotelu.

– Nie mam pojęcia o zawartości torby majora Oleszczuka ani za nią nie odpowiadam.

Wzrok Rybickiego stwardniał.

– Nie był pan świadkiem wytwarzania takich dokumentów przez Oleszczuka?

– Wytwarzania dokumentów. – Spojrzałem w sufit. – Pyta pan po prostu, czy on coś pisał, notował, nagrywał?

– Tak. Właśnie to mam na myśli.

– Nie wiem. Nie widziałem tego. Chodziłem wcześniej spać, wiem tylko, że siedział po nocach i klikał w ten swój maleńki notebook podłączony do równie maleńkich czarnych skrzyneczek.

– No właśnie, gdzie on jest? Ten notebook?

– Nie mam pojęcia. Zgodnie z wcześniejszymi instrukcjami Arka, po tym, co się stało, natychmiast wybiegłem z hotelu, zostawiając w pokoju nawet swoją torbę. Natomiast instrukcje oficera dyżurnego ABW wyraźnie zakazywały mi tam wracać. Nic więcej nie wiem. Podejrzewam, że w tym pokoju po śmierci Arka znalazło się sporo osób. Policjanci, prokurator, może jacyś hotelowi goście, którzy skorzystali z tego, że drzwi były otwarte. Okazja czyni złodzieja. Poza tym... – Zawahałem się.

– Poza tym? – zapytał Rybicki.

– Po co wam to, skoro wszystko było grą pozorów? W takim razie każdy dokument, który wytworzył, jest gównem warty, prawda?

– Pan pozwoli, że to ocenią specjaliści, a nie pan, dobrze?

Rybicki wstał i podszedł do mnie, czekając, aż również podniosę się z krzesła. Nie spieszyłem się, nie było do czego. Puszczając mnie przodem w drzwiach, powiedział:

– Pan myśli, że dobrze poznał Oleszczuka przez te kilka czy kilkanaście wspólnie spędzonych dni. Byliście ze sobą dwadzieścia cztery godziny na dobę i ja wiem, że to sporo czasu, żeby dowiedzieć się o sobie wielu rzeczy. – Zawiesił na chwilę głos. – Ale to tylko złudne wrażenie, wie pan? Tak naprawdę nie dowiedział się pan o nim nic oprócz tego, na co on pozwolił, po prostu to panu mówiąc. Nie poznał pan go świetnie, tylko pobieżnie. Nie wie pan, jaki naprawdę był. Co myślał, co planował. Co zrobił w przeszłości. Stworzył siebie na nowo, specjalnie dla pana, był aktorem wcielającym się w rolę. Umiał to robić...

Wyszliśmy na korytarz. Nie zamierzałem komentować słów Rybickiego; nie chciało mi się o tym gadać. O niczym i z nikim nie chciało mi się już

gadać. Czułem się oszukany. I przegrany. Ale nie wytrzymałem.

– Oleszczuk był jedynym porządnym człowiekiem spośród was wszystkich, z którymi miałem kontakt przez ostatnie dwa tygodnie – wycedziłem. – Niech pan go nie skreśla tak łatwo, bo on wam jeszcze wskaże właściwy tor. Nawet mimo tego, że jest martwy. I kiedy w końcu prawda wyjdzie na jaw i okaże się, że był niewinny, to głównie mnie obchodzi, czy będzie wam z tego powodu przykro, czy nie. Zapewne nie będzie, i pieprzyć to. Tak właśnie on by o tym powiedział: że to pieprzy. A ja pieprzę to razem z nim...

Rybicki jakby mnie nie słyszał.

– W Emowie zostanie również przeprowadzone jeszcze kilka rozmów o tym, co się stało, proszę być na to przygotowanym – rzucił przez ramię. – Również na badanie wariografem.

– Słucham?

– Tak zwany wykrywacz kłamstw. To standardowa procedura.

– Poddanie się temu badaniu wymaga chyba mojej zgody?

Rybicki uniósł brwi w wyrazie bezbrzeżnego zdziwienia.

– A ma pan przed nami coś do ukrycia, panie Adrianie?

Nie odpowiedziałem. Wiedziałem, że jednym z kluczowych pytań będzie to o materiały, które zebrał Oleszczuk. Miałem nadzieję, że wciąż spoczywają bezpiecznie w zakurzonej wnęce grzejnika w pralni wrocławskiego Sun Hostelu.

## 27. Warszawa, apartament Mariusa, 7 listopada, godz. 22.30

Mariusz właśnie wyszedł spod prysznica. Pół godziny wcześniej wrócił z Wrocławia, teraz zamierzał odpocząć. Należało mu się. Ale zanim jeszcze położy się do łóżka, czekała go rozmowa z Czangiem.

– Mam sporo zastrzeżeń do pana pracy, Marius...

Głos Czanga był niski, o wiele niższy niż zwykle. Chińczyk pałał zapewne wściekłością i tylko dobre wychowanie, a może wyrachowanie, nie pozwalało mu na wylanie jej na Mariusa. Pewnie wiedział, że nic by to nie dało. Marius z kolei miał na swoją obronę poważny argument. Trupa Oleszczuka, który pewnie nawet jeszcze nie zdążył ostygnąć.

– Nie zbliżył się pan do implantu na krok.

A więc o to chodziło...

– Realizuję zleczone zadania, panie Czang, krok po kroku. Robię dokładnie to, o co zostałem poproszony. „Jedynka” jest cały czas pod obserwacją, „dwójka” została usunięta.

– Zgadza się, ale efektów, o które nam chodzi, wciąż nie ma.

– Przykro mi. Może nie spełniłem pokładanych we mnie nadziei, ale nie jestem w stanie sam odnaleźć implantu, rozumie pan? Nie mam punktu zaczepienia.

Czang milczał przez chwilę.

– Czy plomba w „jedynce” wciąż jest aktywna? – zapytał.

– Nie. I nie mam obecnie żadnej, powtarzam, żadnej możliwości ponownego zaplombowania...

Pluskwa, jedna z tych, które dał mu Czang i którą zdołał wrzucić Wisze do drinka, nie działała zbyt długo ze względu na swoje rozmiary. Marius miał nadzieję, że Czang jest świadomy tego ograniczenia.

– Dobrze... – Chińczyk nie wrócił już do tego tematu, więc chyba jednak zdawał sobie z tego sprawę. – Marius, chciałbym się umówić z panem na jeszcze jedną wizytę.



- Tak?
- Ekstrakcja „jedyńki”, ale ten ząb musi pozostać żywy. Czy rozumie pan, o czym mówię? Musi pozostać żywy i trafić do nas. Czy wyrażam się jasno?
- Tak.
- Czy jest pan w stanie wykonać zabieg sam?
- Ja zawsze pracuję sam, panie Czang. Zawsze.
- Nie chodzi mi o pańskie przyzwyczajenia. Pytam o kwestie techniczne.
- Skąd będę wiedział, kiedy nadejdzie termin zabiegu?
- Ja panu to powiem. Szczegółowe informacje później. Także szczegóły późniejszego przekazania nam „jedyńki”.
- Jest pan pewien, że ten zabieg jest celowy? Wiąże się ze sporym ryzykiem. Trzeba będzie najprawdopodobniej usunąć przy okazji jeszcze kilka zębów.
- To już nie pańskie zmartwienie. A jeśli chodzi o straty, to liczymy się z tym. Byle tylko „jedyńka” ocalała. To bardzo ważne. Nie dopuszczamy myśli, że moglibyśmy ten ząb stracić, Marius, czy to też jest dla pana jasne? Bez niego wszystko nie ma sensu i zostajemy z niczym.
- Rozumiem.
- To dobrze.
- Dwieście, Czang. To dość drogi zabieg.
- Zapomniał pan już, że sfuszerował jedną rzecz? Nieudaną operacją naraził pan nas na ogromne ryzyko.
- Czy próbuje się pan targować?
- Stwierdzam tylko fakt. Mam wrażenie, że usiłuje pan wykorzystać sytuację.
- Po pierwsze: ja się nie targuję. Po drugie: wykonałem zadanie, jeśli chodzi o „dwójkę”. Z lekkim opóźnieniem, ale skutecznie. A po trzecie: po tak dużej operacji będę musiał zamknąć gabinet w tym kraju, przynajmniej na jakiś czas, jeśli nie na zawsze. A to oznacza, że w jakiś sposób będę stratny i należy mi się z tego tytułu rekompensata. I nie sądzę, żeby prędko znalazł pan kogoś odpowiedniego, kto podjąłby się tego zadania. Dwieście. Tym razem płatność gotówką przy odbiorze. Taka jest cena. I jeśli to zakończy sprawę, to nie będzie pan musiał płacić całej kwoty za pierwszy etap leczenia. Pozostaniemy przy zaliczce, która już wpłynęła, stówie za „dwójkę” i dwustu za „jedyńkę”. Razem trzysta pięćdziesiąt.

– A więc proszę o konkretne potwierdzenie: czy pan da radę to zrobić? Marius nabrał w płuca powietrza. To było jak skok na głęboką wodę.

– Tak – powiedział spokojnie.

– Sam?

– W odpowiednich warunkach tak.

– Jakie to warunki?

– Zakładam, że „jedyńka” jest przez cały czas pod ochroną. Nawet jeśli ustali pan jej lokalizację, to nic nam nie da. Dlatego to musi stać się podczas przemieszczania. Tylko wtedy. Jeśli będzie przetrzymywany w jednym miejscu, nie dostaniemy go. Będzie zapewne dobrze chroniony na terenie którejś z jednostek ABW. W grę wchodzi więc wyłącznie moment przenoszenia, jeśli taki nastąpi. Muszę wiedzieć skąd, dokąd i kiedy, i to z jakimś rozsądnym wyprzedzeniem. Jeśli siły i środki nie będą zbyt duże, to jestem w stanie zrobić to sam. Będzie o tym głośno, ale jest to do zrobienia. Co pan na to?

– Nie interesuje mnie odbiór społeczny. Już nie, choć nie chciałbym również, żeby powtórzyły się okoliczności włoskiej roboty. Proszę o zachowanie zdrowego rozsądku, ale przede wszystkim liczy się efekt. Dostarczenie „jedynki” w całości.

– Jak szybko?

– Obawiam się, że ma pan mało czasu. Jeśli chce pan to załatwić we wspomnianych przed chwilą warunkach, to tak się składa, że jutro, góra pojutrze. Ale raczej na pewno jutro. Nie mam żadnych informacji o innych terminach, nawet jeśli takie będą. Najprawdopodobniej „jedyńka” pozostanie już w docelowym miejscu na nie wiadomo jak długo. A więc? Potwierdza pan?

Mariusz zawahał się, zanim udzielił odpowiedzi, ale trwało to tylko ułamek sekundy. Czang nawet nie zwrócił na to uwagi.

– Tak – odparł pewnym głosem. – Potwierdzam.

– Jeszcze raz: nie dopuszczamy możliwości błędu. Nie tym razem, Marius.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Maila dostanie pan może nawet dziś w nocy, w każdym razie natychmiast, kiedy tylko będziemy znać czas i miejsce transportu. Jesteśmy umówieni?

– Co, jeśli środki i siły będą zbyt duże?

– Jak duże pana zdaniem jest ryzyko, że tak będzie?

– Dość niewielkie. To nie będzie jakiś wielki konwój, raczej pojedynczy pojazd. Ale mogę się mylić. Chodzi o to, że nie da się zorganizować kilku dobrych operatorów w tak krótkim czasie. Zrobię to sam, jeśli okaże się, że są odpowiednie warunki. Jeśli nie, trzeba to będzie odłożyć na później. Tak to widzę.

– W porządku. Akceptuję to. Jeśli według pańskiej oceny sytuacji okoliczności pozwolą na przeprowadzenie operacji w pojedynkę, ma pan zielone światło. Jeśli nie, będziemy myśleć dalej.

– Panie Czang?

– Tak, Marius?

– Mogę wiedzieć, skąd ta zmiana planów? Taka nagła?

Po drugiej stronie znów zapadła cisza.

– Stwierdziliśmy, że jest tylko jeden sposób, dzięki któremu „kiel” wyjdzie na zewnątrz. Doszliśmy do smutnego wniosku, że czasem nawet najlepszy stomatolog bywa bezsilny. Pozwolimy więc zadziałać naturze. Bo „kiel” ujawni się, kiedy pokażemy mu, że „jedyńka” jest zagrożona. Tylko wtedy. A „kiel” to implant, Marius. To zależność nieoczywista w tradycyjnej stomatologii. – Chropawy śmiech Czanga zabrzmiał w uchu Mariusa. – Czasem trzeba chwycić się niestandardowych metod leczenia... I nie mamy już czasu. Im dłużej to trwa, tym mniejsza szansa na pomyślne zakończenie.

Marius spojrział na panoramę miasta. Smog i wilgoć wiszące w powietrzu rozmywały kontury budynków. Pomarańczowe światło słońca chowającego się za niewidoczną zza nich linią horyzontu oblekało je delikatną, drgającą poświatą, widoczną z jego perspektywy niczym tajemnicza aura. Chuchnął na szybę, wyciągnął palec i obrysował na szkle tarczę słoneczną. W mlecznej plamie pary jego oddechu pojawiło się małe, idealnie równe kółko.

– Czekam na maila, panie Czang – powiedział Marius i rozłączył się.

Starł kółeczko kantem dłoni i znów zapatrzył się na dachy domów. Czuł podniecenie. Zdawał sobie sprawę, że być może następuje radykalna zmiana w jego życiu. Skoczył właśnie na głęboką wodę. Nie było odwrotu, choć istniała również możliwość, że porwanie Wichy nie wypali ze

względów, o których mówił przed chwilą Czangowi.

Im bardziej skomplikowany plan, tym większe ryzyko, że któryś z jego elementów nie wypali. Marius był zwolennikiem prostych rozwiązań. Naprawdę uważał, że jest realna szansa odbicia Wichy podczas przewożenia go w jakieś miejsce. Niemal ze stuprocentową pewnością wiedział, że nawet jeśli będą go gdzieś przewozić, to dyskretnie i bez fajerwerków, przecież nie w żadnym konwoju błyskającym niebieskimi światełkami. Jeżeli Czang faktycznie da radę ustalić trasę i czas przejazdu, to istniała realna szansa, że uda mu się to zrobić. Straty będą zapewne nieuniknione. Będzie musiał unieszkodliwić funkcjonariuszy ABW, stosując być może rozwiązanie ostateczne. Marius wiedział też, że ryzyko, jakie podejmuje, jest ogromne. Może nawet największe w jego życiu. Poważnie liczył się z możliwością zawieszenia działalności, a nawet obu, i to być może na zawsze...

Miał odłożone sporo pieniędzy. Na kontach w Holandii, w gotówce, którą trzymał u matki w Emden, i tu, w Polsce. Dwie kawalerki w Warszawie. Dodatkowe trzysta pięćdziesiąt tysięcy euro ustawi go do końca życia. Nie miał dużych potrzeb, choć to przecież były całkiem spore pieniądze. Wystarczy mu, żeby osiedlić się na którejś z wysp na Antylach. Aruba, Sint Maarten albo Curaçao. Będzie żył dostatnio i spokojnie. W czasie pierwszej rozmowy był z Czangiem szczery, jeśli chodzi o kwestię wyboru: naprawdę lubił pracę stomatologa, ale równocześnie nie stanowiło dla niego żadnego problemu, żeby dosłownie tak jak stoi, wyjechać nagle, rzucając wszystko w diabły. Zniknąć i zacząć nowe życie. Teraz wszystko zaczęło rysować się w innych barwach; w bogatszej paletce kolorów i w ich mocniejszym nasyceniu.

Przecież zawsze mógł kontynuować praktykę stomatologa również na Arubie...

\* \* \*

**Droga wojewódzka nr 721, 10 listopada, godz. 08.50**

Marius poprawił rzepy kamizelki kuloodpornej, nie spuszczając wzroku z wyświetlacza zainstalowanego na uchwycie przymocowanym do deski rozdzielczej. Obraz przedstawiał drogę w punkcie oddalonym blisko dwa

kilometry od miejsca, gdzie znajdował się teraz Marius. Kamerę skierowaną w stronę szosy lubelskiej przytwierdził w nocy do pnia drzewa, pierwszego z brzegu w kompleksie leśnym, który przecinała prowadząca do ośrodka szkoleniowego ABW droga wojewódzka i rzeczka Mienia. Zrobił to ubrany w odblaskową kamizelkę z napisem SŁUŻBA DROGOWA. Biały volkswagen transporter oklejony znakami Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad zamówionymi w agencji reklamowej od razu po zakończeniu wczorajszej rozmowy z Czangiem stał teraz w leśnej przesiece, tuż przy drodze. Marius siedział za jego kierownicą, przygotowany do akcji. Pod siedzeniem miał małą walizeczkę z lekami anestetycznymi, których miał użyć do uśpienia Wichy. Na pace leżała skrzynia ze szmatami, łopatami i innymi narzędziami, które kupił wieczorem w markecie budowlanym, a potem pobrudził farbą i masą bitumiczną, tak żeby wyglądały na używane i śmierdziały chemią. Skrzynia miała z tyłu otwór. Od wewnętrznej strony wlotu do ścianki przytwierdzony był kawałek „peszela” zakończony półmaską lakierniczą. Nieprzytomny Wicha z maską na twarzy i owinięty w grubą folię miał wylądować w skrzyni, pod narzędziami, na ten krótki w założeniu czas, kiedy Marius będzie go przewoził na miejsce spotkania z Czangiem. Co prawda w ciągu pół godziny policyjna akcja, polegająca głównie na ustawianiu blokad, powinna się dopiero rozkręcać, co miało dać Mariusowi wystarczający zapas czasu na bezpieczne dotarcie do miejsca przekazania Wichy, ale jak zwykle wolał zniwelować ryzyko do minimum. Chińczyk miał na niego czekać w Wesołej w samochodzie na niebieskich tablicach rejestracyjnych. Tak się składało, że niebieskie tablice mają pojazdy przedstawicielstw dyplomatycznych. I Mariusa jakoś to nie dziwiło...

Zerknął na zegarek. Miał przed sobą jeszcze około kwadransa oczekiwania.

Nie było możliwości podrzucenia lokalizatora do samochodu, którym poruszał się jego cel, ale dostał markę, kolor i, co najważniejsze, numer rejestracyjny. Cała operacja przewiezienia Wichy do ośrodka ABW była dokładnie zaplanowana pod względem logistycznym, tak przynajmniej twierdził Czang w mailu, który przesłał wieczorem. Godzina wyjazdu, trasa przejazdu, pojazd oraz ludzie. Trzech. Dużo, ale Marius uznał, że nie jest to przeszkoda nie do pokonania. Byli w jednym pojeździe. To według

niego błąd, ale osoby odpowiedzialne za przewiezienie Wichy w bezpieczne miejsce kierowały się widać innymi względami. Może nie doceniali niebezpieczeństwa, może nie mieli ludzi, wystarczającej liczby samochodów, a może byli po prostu głupi.

Na szczęście dla Mariusa. To głównie dzięki temu uznał, że poradzi sobie sam.

Marius obejrzał się do tyłu. Zwłoki zaczynały wydzielać drażniący odór śmierci i choć nie było ich już w aucie, lekki, ale nieprzyjemny zapach pozostał. Od trzeciej rano krążył po okolicznych drogach tym samym vanem, w którym teraz siedział, polując na swoją ofiarę; nie tę właściwą, tylko wabik, który miał posłużyć do upolowania tej najważniejszej: Wichy. O czwartej rano, tu niedaleko, na pustej drodze potrącił jadącego na skuterze człowieka. Zepchnął go do rowu podczas wyprzedzania. Obserwując w lusterku, jak nikły snop światła skutera tańczy po pniach drzew, a potem niknie między nimi, zatrzymał się spokojnie, cofnął, odnalazł mężczyznę z rozbitą głową leżącego obok swojego pojazdu i dobił go strzałem w potylicę. Potem zapakował trupa i skuter do volkswagena i podjechał do swojej kryjówki w przesiece. Wszystko zajęło mu kilka minut.

A teraz czekał, cierpliwie i beznamiętnie. Wiele rzeczy w jego planie zależało od przypadku. Zbyt wiele, ale nie miał na to wpływu. Mógł polegać tylko na swoim refleksie i modyfikować plan w trakcie jego realizacji w zależności od okoliczności. Wiedział, że będzie gorąco. Dopuszczał nawet myśl, że może zginąć. Istniało takie ryzyko, choć szacował je na raczej nikłe. Przed wszystkim liczył na element zaskoczenia. Tamci mogli spodziewać się zasadzki, ale czujność zawsze spada w momencie, w którym zadanie się kończy.

W końcu wszystko to miało się wydarzyć zaledwie kilkaset metrów w linii prostej od ośrodka ABW. Najciemniej jest zawsze pod latarnią.

Nagle na ekraniku zobaczył czarnego opla insignię. Poczekał, aż samochód zbliży się, dał „stop” i odczytał numery. To ten. Wyskoczył z vana. Przewieszony przez ramię H&K MP5SD3 uderzył go lekko w biodro, więc poprawił go, przesuwając do tyłu. Skuter i ciało leżały już w rowie, na wszelki wypadek przykryte gałęziami, choć i tak nie były widoczne z drogi, z wysokości siedzenia przeciętnego auta osobowego.

Sprawdził to wcześniej. Ale teraz właśnie w grę wchodził niezaplanowany element przypadku. Marius miał nadzieję, że nikt inny nie będzie teraz tędy przejeżdżał, w końcu w sobotę ruch był nieco mniejszy niż zwykle. Na jego korzyść działał fakt, że ta droga i w tygodniu była raczej mało uczęszczana. Miał jakieś dwadzieścia sekund. Naciągnął na głowę kominiarkę, a na oczy nasunął gogle taktyczne.

Był gotów.

Na wszystko.

Ktoś przyszedł po mnie około ósmej. Przedstawił się i poprosił o przygotowanie się do wyjścia. Byłem już spakowany, jeśli reklamówkę z jednym kompletem za dużych ubrań i bielizny oraz kosmetyczkę wypełnioną napędce kupionymi przez kogoś w „Żabce” przyborami toaletowymi można nazwać bagażem. Poza tym znajdowałem się w stanie, który można określić jako otępienie. Było mi wszystko jedno. Zacząłem obawiać się, że mam początki depresji.

A może wcale nie początki.

Na korytarzu dołączył do nas jeszcze jeden mężczyzna. Wzięli mnie między siebie, jakbym został właśnie zatrzymany, i zeszliśmy wszyscy do samochodu, w którym czekał już kierowca. Jeden z mężczyzn usiadł z przodu, drugi otworzył mi drzwi z tyłu, a kiedy wsiadłem do środka, zaczął wpychać się za mną. Przesunąłem się za plecy kierowcy, kładąc sobie reklamówkę pod nogami. Trzasnęły drzwi i natychmiast ruszyliśmy. Żaden z nas się nie odzywał. Wyglądałem obojętnie przez przyciemnioną szybę na mijane budynki, most Poniatowskiego, stadion, a potem po prostu zapatrzyłem się gdzieś przed siebie, nie widząc już nic.

I tak przez kilkanaście następnych minut. Ocknąłem się z zamyślenia, kiedy nagle zwolniliśmy, a potem się zatrzymaliśmy. Rozejrzałem się jak obudzony ze snu i zorientowałem się, że dawno musieliśmy wyjechać z Warszawy, bo jesteśmy w środku lasu. Pamiętałem ten odcinek z poprzedniej podróży, jeszcze z Oleszczukiem. Byliśmy niedaleko Emowa.

– Co jest? – zapytał ten obok mnie.

– Ktoś leży na drodze – odparł zdziwiony kierowca. – Chyba wypierdolił się na skuterze.

– Rusza się?

– Nie. Co robimy?

– Jedziemy – powiedziałem nieswoim głosem. – Zostawcie go. Zadzwońcie



pod sto dwanaście i jedźmy stąd. Już, teraz.

– Nie damy rady przejechać. – Kierowca obrócił się i popatrzył na nas. – Zatarasowana cała droga, brak poboczy i rowy odwadniające. Nie zmieścimy się. Musimy chociaż przesunąć skuter.

Wyschło mi w gardle. Miałem złe przeczucia.

– Staranujcie go, zepchnijcie zderzakiem, nie wiem, ale nie wysiadajcie.

– Myślisz, że to pancerna limuzyna prezydenta Trumpa? Wiesz, komu potrącają z pensji za uszkodzenia służbowych fur?

– Po prostu jedźmy – wyszeptałem.

Ten obok mnie, który był najwyraźniej dowódcą i którego nazwiska zapomniałem, patrzył przed siebie, marszcząc brwi, a czas mijał. W końcu podjął decyzję:

– „Skory”, wysiądź i odsuń ten skuter na bok, kierowca – jedziesz powoli. Z tyłu chyba coś się zbliża, niech on się zajmie rannym. Pełna gotowość, broń w pogotowiu.

„Skory” wyciągnął z kabury broń i rozejrzał się. Nawet ja wiedziałem, że to wszystko pachnie na kilometr zasadzką. Osunąłem się na siedzeniu i zamknąłem oczy. Przypomni mi się Oleszczuk, upadający na zakurzony dziedziniec w Sun Hostelu. On i wielka plama krwi buchającej z jego brzucha. Otworzyłem oczy, bo wolałem jednak widok przed sobą niż ten pod powiekami. Zobaczyłem, jak „Skory” pochyla się nad nieruchomym ciałem kierowcy skutera. Wyprostował się po chwili, pokręcił głową i przeciągnął dłonią po gardle. Potem przeszedł dwa kroki i chwycił kierownicę skutera, schowawszy broń do kabury. Nagle szarpnął się i jak na zwolnionym filmie upadł na skuter, z jedną dłonią wciąż zaciśniętą na rękojeści broni tkwiącej już w kaburze, a drugą na rączce kierownicy.

– Co do chuja... – Funkcjonariusz siedzący obok mnie wyciągnął głowę, żeby lepiej widzieć nad zagłówkiem przedniego fotela.

Nagle huknęło, kiedy na przedniej szybie pojawiło się pęknięcie. Z kępy krzaków po prawej stronie wychynęła jakaś postać w kamizelce kuloodpornej, kominiarce i goglach. W rękę miała broń. Usłyszałem metaliczny grzechot pocisków uderzających w felgi naszego auta. Zamachowiec wyszedł na skraj drogi, prosto przed naszą maskę i wymierzył w przednią szybę.

– Gaz, gaz!!! Rozjedź skurwysyna!!! – wydarł się dowódca. – Rozpierdol

go!

Silnik ryknął z pełną mocą. Zamachowiec nie musiał nawet uciekać, po prostu okręcił się na jednej nodze jak tancerz i minęliśmy go o kilka centymetrów. Kierowca przypłacił to życiem, pocisk przebił boczną szybę i trafił go w czubek głowy, odłupując fragment czaszki. Miałem ten widok tuż przed oczami i przez ułamek sekundy błysnęła mi myśl, że nie pozbędę się go do końca życia, bez względu na to, ile potrwa: czterdzieści lat czy minutę. Poczułem, jak staje mi serce. Bezwładne ciało funkcjonariusza osunęło na bok, ale jego noga została na pedale gazu, niemal wbijając go w podłogę. Przejechaliśmy jeszcze kilkanaście metrów, podskakując na zboczach rowu tak mocno, że uderzyłem głową w dach mimo zapiętego pasa, i z impetem wbiliśmy się w drzewo. Usłyszałem potężny huk miażdżonych blach. Szarpnęło mną, poczułem ból, kiedy pas otarł mój bark, a kark zgiął się w nienaturalnej pozycji grożącej urazem „smagnięcia biczem”. Uderzyłem potylicą w zagłówek i lekko mnie zamroczyło. Kiedy otrząsnąłem się, zobaczyłem, jak siedzący obok mnie funkcjonariusz z wściekłością mocuje się z drzwiami. Nie dawały się otworzyć. Nagle z przodu coś zamigotało; to rozbity przód samochodu stanął w ogniu. Płomienie nie były duże, ale lizały też ochlapany olejem pień drzewa, w które uderzyliśmy. Usłyszałem pełne furii przekleństwa i kopnięcia. Facet z ABW, leżąc na mnie, kopał w szybę drzwi, usiłując ją rozbić. Drogę w przód mieliśmy odciętą przez ogień. Nachylenie tylnej szyby, praktycznie schowanej za oparciem kanapy i zagłówkami uniemożliwiało wybicie jej nogami. Byliśmy uwięzieni w płonącym samochodzie.

I wtedy światło padające z boku przysłonił jakiś cień. Zerknąłem w lewo. Funkcjonariusz przestał kopać w drzwi i wciąż leżąc na moich kolanach, odchylił głowę, bo również zauważył zamachowca, który stał bez ruchu i wpatrywał się w nas przez ciemną szybę. Nagle tuż przed moim nosem pojawił się pistolet, usłyszałem ogłuszający huk wystrzałów, który niemal rozszarpał mi bębenki. Gorąca łuska uderzyła mnie w czoło, do całej gamy smrodów dołączył kolejny, spalonego prochu. W szybie pojawiły się cztery otwory otoczone pajęczynkami pęknięć. Jak w transie śledziłem rozwój sytuacji, prawie głuchy i zmartwiały z przerażenia. Pociski dosięgły celu. Na korpusie zamachowca pojawiły się trzy maleńkie chmurki, on sam drgnął i cofnął się o krok, prawie upadając. Ale czwarty pocisk zagłębił się

w ciało, tuż pod skrajem kamizelki kuloodpornej. Mężczyzna pochylił się lekko i złapał za biodro, okręcając się wokół własnej osi, potem uniósł głowę, spoglądając w zaciągnięte chmurami niebo. Wtedy funkcjonariusz wystrzelił po raz ostatni i głowa zamachowca odskoczyła nagle w bok. Nie upadł, tylko ruszył powoli przed siebie, kulejąc.

Greczan. Jedyne ocalały funkcjonariusz z naszej ekipy nazywał się Greczan i to właśnie przypomniało mi się w kompletnie niepojęty sposób w momencie, gdy byłem pewien, że za chwilę stracę życie. Greczan przekręcił się na moich kolanach, znów wymierzył przez popękana szybę w kierunku zamachowca, ale w tej samej chwili płomień smagnął go w twarz. Zasłonił się ramieniem, zobaczyłem wyszczerzone zęby i krople potu na czole, a kiedy zsunął się z moich kolan, poczułem, że i tak nie mogę nimi ruszać. Oparcie przedniego fotela przesunięte do tyłu w wyniku uderzenia w drzewo ścisnęło je jak kleszcze. Greczan strzelił w szybę swoich drzwi, potem zaczął z furją walić w nią kolbą pistoletu, aż rozsypała się w drobny mak. Wypełznął na zewnątrz, widziałem, jak spogląda ponad dachem za zamachowcem, a potem wkłada głowę do środka.

Było gorąco. Nie miałem czym oddychać. Mimo braku szyb szalejący z przodu auta ogień i temperatura nie pozwalały dostać się powietrzu do środka, wypychając to, które było wewnątrz samochodu. Gryzący smród wyciskał łzy, dławił krtań i płuca i drapał w gardle. Kaszlałem już na całego, usiłując równocześnie uwolnić nogi.

Greczan zostawił zamachowca w spokoju. Ścisnął moje kolana, usiłując je choć przesunąć, i wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczami, w których dostrzegłem pytanie: „Kim ty, kurwa, jesteś, człowieku?”

Przednie fotele paliły się na całego. Płomienie smagały oparcia i moją twarz. Ogień zaczął lizać mi włosy i brwi i oprócz smrodu palącego się oleju poczułem również swąd palonego białka. Ciało kierowcy też stało już w ogniu. Postać widoczna przez spękaną przednią szybę oddalała się powoli, lekko zgarbiona, z jedną ręką przyciśniętą do boku, a drugą do ramienia. Zamachowiec, wciąż kulejąc, skierował się w stronę kępy krzewów porastających przestrzeń między szosą a ścianą lasu.

Zdałem sobie sprawę, że widziałem go i w Wenecji, i we Wrocławiu. Ta sama poza. Te same ruchy. Ta sama linia szyi i ramion. Nagle mózg poraziła kolejna myśl, ale nieprecyzyjna. Uświadomiłem sobie, że

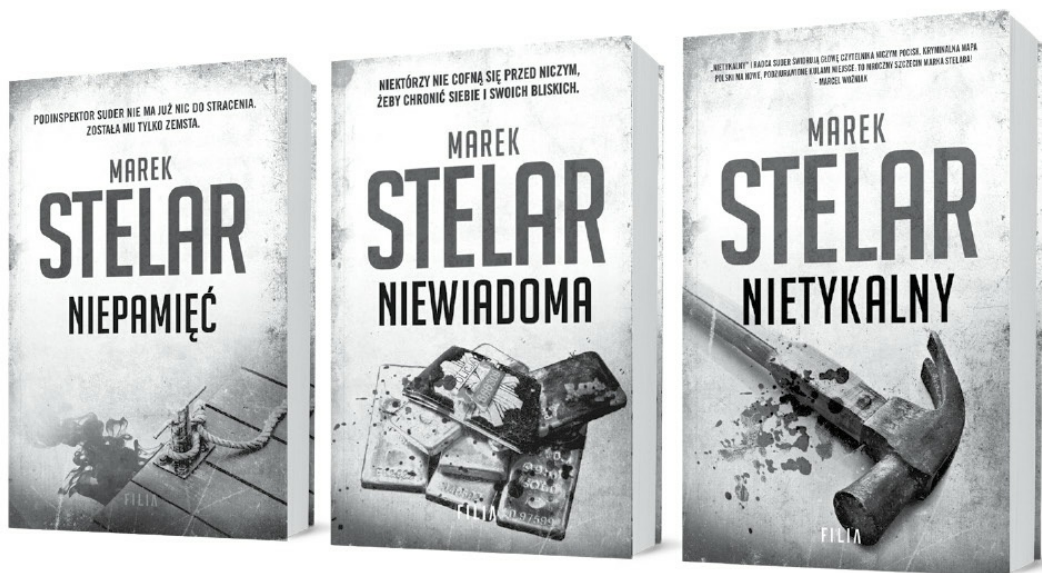
widziałem tego człowieka jeszcze gdzieś, ale nie mogłem sobie przypomnieć gdzie ani w jakich okolicznościach. Wiedziałem tylko, a może czułem, jak ważne jest, by sobie te okoliczności przypomnieć, ale nie miałem już siły.

Po prostu nie miałem siły.

Było mi gorąco. Tak okropnie gorąco, że niemal nie dało się oddychać...

Usłyszałem krzyk Greczana: „Pomóż mi, podciągnij nogę, przyciągnij tę pierdoloną nogę do siebie!”, usłyszałem go jak przez gorący ręcznik owinięty ciasno wokół głowy, a potem poczułem, że moje ciało wiotczeje i osuwa się gdzieś w mrok. Tuż przed tym, jak straciłem przytomność, jęzor ognia liznął już nie tylko włosy, ale i moją skórę. Osłaniając rękami twarz, pomyślałem nagle o Laurze i właśnie wtedy uświadomiłem sobie, kiedy i gdzie rozmawiałem z człowiekiem, który wysłał mnie prosto w objęcia śmierci...

**KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ**



Bestsellerowa seria z Dariuszem Suderem!  
Szczecin jeszcze nigdy nie był tak mroczny.

**FILIA**



Copyright © by Marek Stelar, 2019  
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2020

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz  
Zdjęcie na okładce: © Dave Wall/Arcangel

Redakcja: Jacek Ring  
Korekta: Dorota Wojciechowska  
Skład i łamanie: Jacek Antoniuk

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:  
„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8195-139-5

**FILIA**

Wydawnictwo Filia  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona  
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.